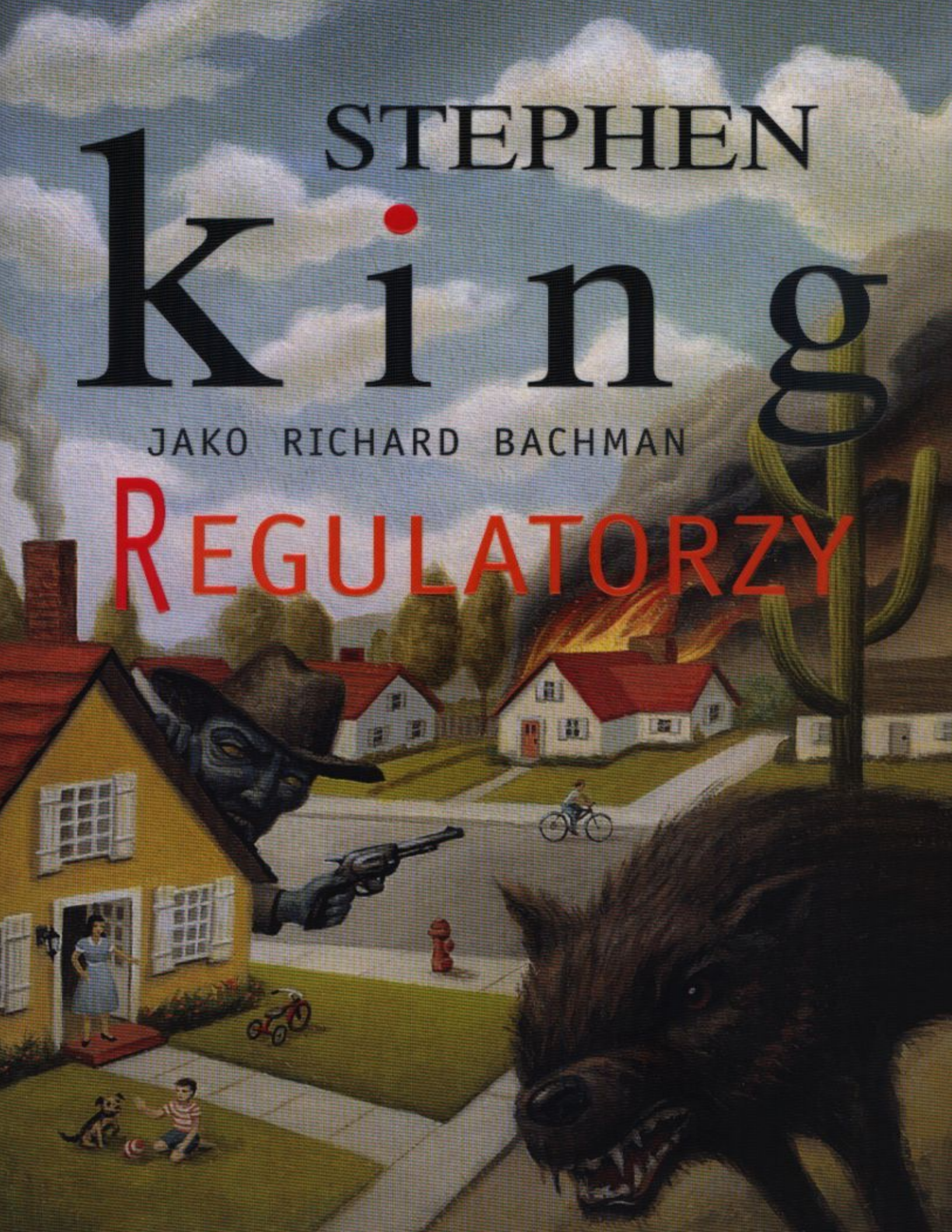


STEPHEN King

JAKO RICHARD BACHMAN

REGULATORZY



RICHARD BACHMAN

Regulatorzy

(przełożył Piotr Jankowski)

Z myślą o Jimie Thompsonie i Samie Peckinpahu -
widmowych legendach

"Panie szanowny, my robimy w ołowiu"

- Steve McQueen

Siedmiu wspaniałych

Pocztówka, którą przysłał Audrey Wyler jej brat William Garin:

ROZDZIAŁ 1

Ulica Topolowa/15.45/15 lipca 1996 roku

Przyszło lato.

Nie jakieś tam zwykłe lato - nie w tym roku - lecz apoteoza lata, awatar lata, absolutny przebój buchający zielenią w środku lipca; z białym słońcem jarzącym się na tle tego słynnego nieba środkowego Ohio, nieba w kolorze wypłowiałych lewisów, z dzieciakami wydzierającymi się na okrągło w Lasku Niedźwiedzim na wzgórzu, z puk! kijów baseballowych Małej Ligi na boisku po drugiej stronie lasu, z warkotem kosiarek, z wyciem sportowych samochodów bez tłumika na autostradzie numer dziewiętnaście, z szumem łyżworolek na betonie chodników i gładkim tłuczniu ulicy Topolowej, z brzęczeniem radia, w którym baseball w wykonaniu Cleveland Indians (rzadkość, mecz w środku dnia) konkuruje z Nutbush City Limits w wykonaniu Tiny Turner, co to idzie tak: "Pięćdziesiątka dla pojazdów, dla motocykli zakaz wjazdu" - a to wszystko wykończone, niczym lamówką dźwiękowej koronki, gładkim, jedwabistym poszumem spryskiwaczy na trawnikach.

Lato w Wentworth, miasteczku na obrzeżach Columbus w Ohio, chłopie, ty to czujesz?

Lato na ulicy Topolowej, biegnącej przez sam środek tego słynnego, wypłowiałego

amerykańskiego snu; z zapachem hot dogów w powietrzu i papierowymi łuskami po fajerwerkach zalegającymi na skraju jezdni od Czwartego Lipca. To upalny lipiec, w pierwszym gatunku, jak Pan Bóg przykazał, odlotowy lipiec, bez dwóch zdań, choć prawdę powiedziawszy, to również bardzo suchy lipiec - niemal bez deszczu, jeśli nie liczyć rzadkich paroksyzmów węża do podlewania strącających szczątki fajerwerków z trawnika. Może dziś to się zmieni; od zachodu dobiega raz po raz pomruk grzmotu, a ci co oglądali prognozę na Kanale Pogody (kablówek na Topolowej jest w bród, a jakże), wiedzą już, że po południu spodziewane są burze. Może nawet tornado, choć to już mniej prawdopodobne.

Tymczasem jednak wokół nic tylko arbuzy i lody na patyku, i kikszy na końcu baseballowego kijka; chciałeś lata, to je masz, w samym środku Stanów Zjednoczonych Ameryki, życie jak z najskrytszych marzeń, z chevroletami na podjazdach i stekami w zamrażalniku, czekającymi tylko, by je ubić i rzucić wieczorem na grilla za domem (może na deser będzie szarlotka, jak myślisz?). Oto kraina zielonych trawników i starannie utrzymanych klombów; oto Królestwo Ohio, gdzie dzieciaki noszą czapki daszkami do tyłu i krótkie koszulki w paski do workowatych szortów i szurają tymi wielkimi, topornymi adidasami jak w reklamach Nike.

W tym kwartale Topolowej, który rozciąga się między ulicami Niedźwiedzia, u wierzchołka wzgórza i Hiacyntową, u jego podnóża, stoi jedenaście domów i jeden sklep. Ten ostatni, na rogu Topolowej i Hiacyntowej, to nieśmiertelny amerykański osiedlowy sklep samoobsługowy, do którego idzie się po paczkę marlboro, po butelkę pepsi albo sześć puszek budweisera, po cukierki za centa (dziś to już chyba za dziesięć centów), po sprzęt do grilla (talerzyki papierowe widelce plastikowe chrupki bekonowe lody keczup musztarda przyprawy), po lody na patyku i po soczek Snapple w "szerokim asortymencie produkowanym ze składników w najlepszym gatunku". Na stoisku z prasą, jeśli chcesz, możesz tu nawet kupić Penthouse'a, ale trzeba poprosić kasjerkę; w Królestwie Ohio

czasopisma z golizną trzyma się najczęściej pod ladą. I jest to absolutnie w porządku, a co. Ważne, że wiadomo, gdzie w razie potrzeby można je dostać.

Dziś jest nowa kasjerka; pracuje tu dopiero od tygodnia i w tej chwili, o piętnastej czterdzieści pięć, czeka, by obsłużyć dziewczynkę i chłopca. Dziewczynka ma jakieś jedenaście lat i powoli zaczyna przeistaczać się w piękność. Chłopiec, z pewnością jej braciszek, jest sześciolatkiem i zaczyna (przynajmniej zdaniem kasjerki) przeistaczać się powoli w pierwszej klasy gnojka.

- Ja chcę dwa batony! - oznajmia Gnojkwaty Braciszek.

- Starczy nam tylko na jeden, jeżeli chcemy sobie kupić picie - tłumaczy mu Śliczna Siostrzyczka z cierpliwością zdaniem kasjerki godną podziwu.

Gdyby to był jej braciszek, najchętniej zasunęłaby smarkaczowi takiego kopa, żeby mu tyłek przeskoczył na plecy; mógłby wtedy zagrać dzwonnika z Notre Dame w szkolnym teatrzyku.

- Mamusia ci rano dała pięć dolców, widziałem - mówi gnojek. - Gdzie masz resztę, Małgocha?

- Nie nazywaj mnie tak, nienawidzę tego - odpowiada dziewczynka.

Ma długie miodowoblond włosy, które, zdaniem kasjerki, są absolutnie przepiękne. Ona sama nosi krótką odlotową fryzurę: ufarbowała włosy z lewej strony na pomarańczowo, z prawej na zielono. Zdaje sobie doskonale sprawę, że gdyby kierownik sklepu nie potrzebował na gwałt kogoś, kto zgodzi się pracować od jedenastej do dziewiętnastej, z takimi włosami nie dostałaby tu roboty - jej szczęście, jego pech. Wydusił z niej zresztą obietnicę, że przykryje te kolorki czapeczką baseballową, ale obietnice są po to, żeby je łamać. A teraz Śliczna Siostrzyczka przygląda się jej fryzurze z pewną fascynacją.

- Małgocha, Małgocha, Małgocha! - skrzeczy chłopiec i rozpiera go typowa właśnie dla takich braciszków złośliwa radość.

- Naprawdę mam na imię Ellen - mówi dziewczynka takim tonem, jakby powierzała komuś wielką tajemnicę. - Margaret mam na drugie. On specjalnie tak na mnie mówi, bo wie, że tego nienawidzę.

- Miło mi cię poznać, Ellen - odpowiada kasjerka i zaczyna sumować zakupy dziewczynki.

- Miło mi cię poznać, Małgocha! - przedrzeźnia ją gnojek i wykrzywia twarz w grymas tak ohydny, że aż śmieszny. Marszczy nos, robi zęza. - Miło mi cię poznać, Małgocha-Gliździocha!

- Masz piękne włosy - mówi Ellen, nie zwracając na niego uwagi.

- Dzięki - uśmiecha się nowa kasjerka. - Nie są tak ładne, jak twoje, ale ują. Dolar czterdzieści sześć.

Dziewczynka wyciąga z kieszeni dzinsów małą, plastikową portmonetkę na drobniaki.

Taką zamykaną na zatrzask. W środku są dwa pomięte banknoty dolarowe i kilka pensów.

- Zapytaj się Małgochy-Gliździochy, na co wydała tamte trzy dolce! - trąbi gnojek. Drze się jak megafon na dworcu. - Kupiła sobie pismo z Braadem Piiiiitem na okładce!

Ellen nadal stara się go ignorować, choć policzki już jej lekko poczerwieniały. Podaje kasjerce dwa dolary i mówi:

- Chyba pierwszy raz cię tutaj widzę.

- Chyba tak; zaczęłam w zeszłą środę. Potrzebowali kogoś na cały dzień i jeszcze na zastępstwo, jeżeli chłopak z nocnej zmiany się spóźni.

- Fajnie, że cię poznałam. Jestem Ellie Carver. A to mój braciszek, Ralph.

Ralph Carver pokazuje język i wydaje taki dźwięk jak osa, która wpadła do słoika z majonezem. Jakież to miłe stworzonko - myśli młoda kobieta o dwukolorowych włosach.

- Cynthia Smith. - Wyciąga ponad kontuarem dłoń do dziewczynki. - Cynthia, w żadnym wypadku nie Cindy. Zapamiętasz?

- To tak samo jak ze mną: Ellie, w żadnym wypadku nie Margaret - kiwa z uśmiechem głową tamta.

- Małgocha-Gliździocha! - wrzeszczy oszalały z uciechy sześciolatek. Unosi ręce i kołysze się w biodrach; jego radość życia to czysta trucizna. - Małgocha-Gliździocha, Braaada Piiiiita kocha!

Ellen posyła Cynthii dorosłe, zmęczone życiem spojrzenie, oznajmiające: Widzisz przez co ja muszę przechodzić. Cynthia też ma młodszego brata i doskonale wie, przez co musi przechodzić Ellie. Ma ochotę wybuchnąć śmiechem, ale udaje jej się zachować powagę. I dobrze. Dziewczynka jest więźniem swego czasu i wieku. Jak każdy. A to znaczy, że traktuje to wszystko niezmiernie poważnie. Ellie podaje bratu puszkę pepsi.

- Baton podzielimy na ulicy - mówi.

- Pociągniesz mnie w Busterze - oznajmia Ralph, gdy ruszają do drzwi i wchodzi w prostokąt słonecznego światła wpadającego przez szybę niczym płomień. - Pociągniesz mnie w Busterze aż do samego domu.

- Akurat, cholera jasna - odpowiada Ellie, lecz gdy otwiera drzwi, Gnojkwaty Braciszek odwraca się i posyła Cynthii cwane spojrzenie, które mówi: Jeszcze zobaczymy, kto wygra. Zaraz się przekonamy. Potem wychodzą.

Lato. Tak, lato. Ale nie jakieś tam; mówimy tutaj o piętnastym lipca, o samej kalenicy lata w miasteczku w stanie Ohio, gdzie większość dzieci uczęszcza do wakacyjnej szkółki biblijnej i bierze udział w letnim programie czytelnictwa w bibliotece publicznej i gdzie jedno z nich właśnie dostało czerwony samochodek na pedały, który nazwało (z sobie tylko wiadomych powodów) Busterem. Jedenaście domów i jeden sklep samoobsługowy smaży się w tym środkowo-zachodnim lipcowym skwarze; jest trzydzieści pięć stopni w cieniu, czterdzieści w słońcu, powietrze tak nagrzane, że drga nad ulicą jak nad otwartym paleniskiem.

Ten odcinek ulicy biegnie wzdłuż osi północ-południe, nieparzyste numery po stronie Los Angeles, parzyste po nowojorskiej. Na zachodnim rogu Topolowej i Niedźwiedziej jest numer dwieście pięćdziesiąt jeden. Przed domem stoi Brad Josephson i podlewa węzem rabatki przy ścieżce prowadzącej do frontowych drzwi. Ma czterdzieści sześć lat,

przepysznie czekoladową skórę i wydatne brzuszysko. Ellie Carver uważa, że jest podobny do Billa Cosby'ego... trochę podobny w każdym razie. Brad i Belinda Josephsonowie to jedyni czarni w tym kwartale domów, więc pozostali mieszkańcy są cholernie dumni, że mają ich za sąsiadów. Wyglądają dokładnie tak, jak zdaniem mieszkańców domków na przedmieściu w Ohio powinni wyglądać miejscowi czarni - gdy się ich widzi w dzielnicy, człowiek czuje, że wszystko jest na swoim miejscu. To bardzo mili ludzie. Wszyscy lubią Josephsonów.

Zza rogu wyjeżdża na rowerze Cary Ripton, który w poniedziałkowe popołudnia rozwozi Shoppera, lokalny tygodnik. Rzuca Bradowi zwinięty w rurkę egzemplarz, a Brad łapie go zręcznie tą ręką, która nie trzyma węża. Ani przy tym drgnie. Tylko ręka w górę i ciach, jest.

- Brawo, panie Josephson! - woła Cary i pedałuje dalej w dół wzgórza z płócienną torbą objającą mu się o biodro.

Ma na sobie za dużą sportową koszulkę z napisem "Orlando Magic" i numerem trzydzieści dwa, numerem Shaq'a O'Neilla.

- A co, ma się jeszcze ten dryg - odpowiada Brad i wtyka końcówkę węża pod pachę, żeby otworzyć tygodnik i zobaczyć, co jest na pierwszej stronie.

Na pewno te same pierdoly, co zwykle - przechwałki władz miejskich i ogłoszenia o przydomowych wyprzedazach - ale i tak chce to przeczytać. Człowiek już taki jest - uważa Brad. W domku naprzeciwko, pod dwieście pięćdziesiątym, siedzi na frontowych schodkach Johnny Marinville i gra na gitarze, podśpiewując sobie. Nuci jedną z najgłupszych piosenek świata, ale gra całkiem niezłe i choć nikt go nigdy nie pomyli z Marvinem Gaye'em (albo Perrym Como na przykład), potrafi zagrać piosenkę czysto i w całości. Trochę to zawsze irytuje Brada, gdyż jego zdaniem ktoś, kto jest w czymś dobry, powinien na tym poprzestać i dać sobie spokój z innymi rzeczami.

Cary Ripton, ostrzyżony na rekruta czternastolatek jest rezerwowym na trzeciej bazie w Hawks, baseballowej drużynie sponsorowanej przez kombatantów z American Legion z

Wentworth (dwa mecze przed końcem sezonu mają punktację 14:4). Rzuca teraz kolejny egzemplarz Shoppera na ganek numeru dwieście czterdzieści dziewięć, do Sodersonów. Tak jak Josephsonowie są Miejscowym Murzyńskim Malżeństwem, Sodersonowie - Gary i Marielle - są Miejscową Cyganerią. W skali lokalnej opinii publicznej równoważą się całkiem nieźle. Gary to, ogólnie biorąc, facet bardzo uczynny i lubiany przez sąsiadów, mimo że jest praktycznie przez cały czas pod muchą. Marielle jednakże... no cóż, jak to powiedziała kiedyś Kirstie Carver "na określenie takich kobiet jak Marielle istnieje pewne słowo; rymuje się ono z nazwą pewnego robaka".

Cary zalicza znakomite trafienie z odbicia, Shopper rykoszetuje o drzwi Sodersonów i ląduje na wycieraczkę; nikt jednak nie wychodzi po gazetę. Marielle jest na górze, pod prysznicem (już drugim dzisiaj; nienawidzi takiej lepkiej pogody), Gary zaś na podwórku za domem, nieobecny myślami, nakłada węgiel do grilla, aż brykietów jest tyle, że można by usmażyć bawołu. Ma na sobie fartuszek z napisem: **MOŻESZ POCAŁOWAĆ KUCHARZA**. Na steki jest jeszcze za wcześnie, ale nie za wcześnie na przygotowania. Pośrodku podwórka Sodersonów stoi ogrodowy stół z parasolem, a na nim przenośny barek Gary'ego: butelka oliwek, butelka dżinu, butelka wermutu. Butelka wermutu jest nie otwarta. Przed nią stoi podwójne martini. Gary przerywa zasypywanie grilla, podchodzi do stołu i wychyla to, co zostało w szklance. Jest zdecydowanym zwolennikiem martini, zwykle koło szesnastej już nieźle podciętym, jeśli tylko nie ma potem lekcji. Dziś nie inaczej.

- No dobra - mówi Gary. - Następny proszę.

I przyrządza sobie kolejne Martini Sodersona. Robi to tak: a) nalewa trzy czwarte szklaneczki bombajskiego dżinu; b) wrzuca oliwkę amati; c) stuka brzegiem szklanki o nie otwartą butelkę martini; na szczęście.

Smakuje drinka, przymyka powieki; smakuje jeszcze raz. Jego oczy, dobrze już przekrwione, otwierają się. Gary się uśmiecha.

- Tak jest, panie i panowie - zwraca się do rozprężonego upałem podwórka - mamy już zwycięzcę!

Z oddali dociera do niego, poprzez inne odgłosy lata - dzieciaki, kosiarki, spryskiwacze, brzęczenie owadów w spalonej słońcem trawie - dźwięk gitary pisarza, słodki i łagodny. Gary rozpoznaje utwór niemal natychmiast i tańcząc wokół kręgu cienia rzucanego przez parasol, ze szklaneczką w ręce, podśpiewuje: "Pocałuj mnie i uśmiechnij się... Powiedz, że będziesz na mnie czekać... Przytul mnie, bym nie mógł już uciekać..."

Fajny kawalek, jeszcze z czasów, nim ktokolwiek pomyślał o istnieniu bliźniaków Reedów (dwa domy dalej), nie mówiąc już o ich urodzeniu. Przez moment uderza go poczucie realności przemijania, tak absolutnie nieodwołalnego. Kłuje bezlitośnie w uszy wraz z melodią piosenki. Gary pociąga kolejny spory łyk martini i zastanawia się, co robić dalej, skoro grill już gotowy do rozpalenia. Wśród innych odgłosów słyszy również prysznic na górze i wyobraża sobie pod nim nagą Marielle, która jest zdziwiona, jakiej świat nie widział, ale ciało utrzymuje w dobrej formie. Widzi, jak namydla sobie piersi, może nawet pieści kolistymi ruchami palców sutki, aż stają się twarde. Ona oczywiście nic takiego, psiakrew, nie robi, ale takie wyobrażenia mają to do siebie, że nie chcą zniknąć, dopóki się ich jakoś nie skasuje. Gary postanawia zostać dwudziestowiecznym wcieleniem świętego Jerzego: zamiast zarżnąć smoka, po prostu go zerżnie. Odstawia szklaneczkę na stolik i rusza ku domowi.

A co tam, jest lato, lato, la-la-lato i na Topolowej życie sobie płynie. Jak w Summertime Gershwina.

Cary Ripton sprawdza w lusterku, czy nic nie jedzie, ale nie, więc skręca na drugą stronę ulicy do domu Carverów. Pana Marinville'a pomija, ponieważ na samym początku lata pan Marinville dał mu pięć dolarów, żeby nie dostarczał mu Shoppera.

"Błagam, Cary - powiedział, utkwivszy w nim poważne spojrzenie. - Nie jestem w stanie czytać o otwarciu kolejnego supermarketu albo o konkursie dla klientów. To mnie zabija".

Cary nie pojmuje zachowania pana Marinville'a ani odrobinę, ale to miły człowiek. Poza tym pięć dolców, to pięć dolców.

Drzwi pod dwieście czterdziestym ósmym otwiera pani Carver i gdy Cary rzuca gazetę, macha do niego ręką. Próbuje złapać Shoppera w powietrzu, chyba fatalnie i wybucha śmiechem. Cary jej wtóruje. Pani Carver nie ma może refleksu czy chwytu Brada Josephsona, ale jest ładna, a także bardzo fajna. Jej mąż ubrany w klapki i kąpielówki myje za domem samochód. Kącikiem oka spostrzega Cary'ego, odwraca się i celuje w niego palcem. Cary odpowiada tym samym i udają, że strzelają do siebie. Pan Carver stara się na swój niezdatny sposób też być fajnym gościem, a Cary to szanuje. David Carver pracuje na poczcie, teraz chyba ma urlop. Chłopiec przysięga sobie w duchu: jeżeli będzie musiał pójść do etatowej pracy, kiedy dorośnie (wie, że niektórym to się przytrafia, podobnie jak cukrzyca i niewydolność nerek), nigdy nie będzie spędzał wakacji w domu, myjąc przed garażem samochód.

Zresztą nie będę miał samochodu - myśli. - Tylko motocykl. I nie japoński. W grę wchodzi wyłącznie stalowy, amerykański rumak jak ten harley davidson, którego trzyma w garażu pan Marinville.

Chłopak zerka znów w lusterko i spostrzega za domem Josephsonów, na Niedźwiedziej, coś jaskrawoczerwonego - wygląda to na furgonetkę zaparkowaną tuż za zachodnim rogiem ulicy - a potem znów przejeżdża na drugą stronę. Tym razem pod dwieście czterdzieści siedem, dom Wylerów.

Spośród zamieszkanym domów przy Topolowej (dwieście czterdzieści dwa, niegdyś dom Hobartów, stoi pusty), tylko ten należący do Wylerów nosi ślady podniszczenia. To mały domek w stylu ranczerskim, któremu przydałoby się malowanie, a jego podjazdowi nowa nawierzchnia. Na trawniku kręci się spryskiwacz, widać jednak, że trawa ucierpiała tu od upału i suszy w stopniu większym niż przed innymi domami (łącznie, mówiąc szczerze, z domem Hobartów). Pożółkłe placki są na razie nieduże, lecz wciąż się powiększają.

Ona nie rozumie, że sama woda nie wystarczy - myśli Cary, sięgając do torby po kolejny egzemplarz zwiniętego ciasno Shoppera. - Jej mąż by rozumiał, ale...

Nagle uzmysławia sobie, że pani Wyler (domyśla się, że do wdów należy się nadal zwracać per pani, nie panna) stoi za siatkowymi drzwiami i coś w widoku jej ledwie dostrzegalnej sylwetki uderza go z wielką siłą. Rower chyboce się chwilę i kiedy Cary rzuca gazetę, jego celna zwykle ręka pudłuje zdecydowanie. Shopper ląduje w koronie jednego z krzewów przy schodkach. Chłopak nienawidzi czegoś takiego, po prostu nienawidzi, to całkiem jak w jakimś kretyńskim serialu, w którym gazeciarsz zawsze wrzuca swojego "Gońca Codziennego" na dach albo trafia w szybę - ha ha ha, gazeciarsz celny jak dziad kościelny, ale numer. Innym razem (lub w innym domu) Cary próbowałby naprawić błąd... może nawet podniósłby gazetę i podał kobiecie, i ukłon, i uśmiech, i życzę miłego dnia. Ale nie dziś. Nie podoba mu się tutaj. Może to coś w jej postawie, w tym, jak stoi nieruchomo za drzwiami: ramiona obwisłe, ręce opuszczone, niczym zabawka bez baterii. Ale nie tylko dlatego coś nie gra. Nie widać jej stąd za dobrze, ale Cary ma wrażenie, że pani Wyler jest od pasa w górę naga, że stoi tam ubrana tylko w szorty. Stoi i wgapia się w niego.

Wcale go to nie podnieca. Raczej przyprawia o dreszcz.

A ten dzieciak, co u niej mieszka, jej siostrzeniec, taki szczerowaty, też jest jakiś dziwny. Nazywa się Seth Garland, czy Garin czy jakoś tak. Nigdy nic nie mówi, nawet jeśli go o coś zapytać. "Hej, się masz, podoba ci się u nas? Myślisz, że Indians wejdą znów do finału?" - a ten tylko patrzy tymi swoimi oczami koloru błota. Patrzy tak właśnie, jak pani Wyler, zwykle taka miła, patrzy teraz na niego. Cary to czuje. "Chodź do mnie muszko, powiem ci coś na uszko - rzecze pajak". Coś w tym stylu. Jej mąż zmarł w zeszłym roku (gdzieś tak w tym samym czasie, gdy zaczęły się problemy Hobartów i musieli się wyprowadzić - uzmysławia sobie chłopiec), a ludzie gadali, że to nie był wypadek. Ludzie gadali, że Herb Wyler, który zbierał minerały i podarował kiedyś Cary'emu wiatrówkę, popełnił samobójstwo.

Ciarki - w taki gorący dzień jakoś podwójnie napędzające stracha - przebiegają mu po plecach i gazeciarz, zerknąwszy jeszcze raz w lusterko, wraca na parzystą stronę ulicy. Czerwona furgonetka nadal stoi na rogu Topolowej i Niedźwiedziej (fajny wózek - myśli Cary), lecz teraz ulicą jedzie jeszcze coś: niebieska honda acura, którą Cary rozpoznaje z daleka. To pan Jackson, kolejny nauczyciel z ich ulicy. Profesor Jackson albo może tylko docent. Wykłada na uniwersytecie stanowym Ohio, kasztanie jeden1. Jacksonowie mieszkają pod dwieście czterdziestym czwartym, numer dalej niż kiedyś Hobartowie. Mają najładniejszy dom na całej ulicy, przestronny, w stylu nadmorskim, z żywopłotem od dołu zbrocza i wysokim płotem z cedrowych sztachet od góry, od strony posesji starego weterynarza.

- Te, Cary! - woła Peter Jackson, zatrzymując się koło niego. Ma wyblakłe dżinsy i koszulkę z wielką, żółtą uśmiechniętą buźką. MIŁEGO DNIA! - mówi uśmiechnięta buźka. - Jak tam leci, chuliganie? - pyta pan Jackson z hondy.

- Świetnie - odpowiada Cary z uśmiechem. Zastanawia się, czy nie dodać: "Poza tym, że pani Wyler stoi w drzwiach bez koszuli", ale nie dodaje. - Wszystko super.

- A jak mecze?

- Na razie tylko dwa, ale nie ma sprawy. Wczoraj miałem parę wejść, dziś też mnie pewnie wpuszczą kilka razy. Na więcej zresztą nie liczyłem. Ale wie pan, Frank Albertini gra ostatni sezon. - Cary podaje mu zwinięty egzemplarz tygodnika.

- Zgadza się - Peter bierze od niego gazetę. - A za rok przyjdzie kolej, żeby monsieur Cary Ripton dał gościom popalić na trzeciej bazie.

Chłopiec parska śmiechem, ubawiony dosłownym wyobrażeniem siebie stojącego na trzeciej bazie w kostiumie legionu i częstującego zawodników przeciwnika papierosami.

- Uczy pan znów w tym roku na letnich kursach? - pyta.

- Jasne. Dwie grupy. Dramaty historyczne Szekspira oraz James Dickey i nowy realizm Południa. Interesuje cię?

- Chyba sobie odpuszczę.

- Opuść, opuść - kiwa poważnie głową Peter - to nie będziesz już w ogóle musiał chodzić na letnie kursy. - Klepie się po uśmiechniętej buźce na koszulce. - Gdzieś tak od czerwca pozwalają luźniej się ubierać, ale i tak te letnie szkółki to udreka. Zawsze tak było. - Rzuca Shoppera na siedzenie obok i przestawia dźwignię automatycznej skrzyni acury na DRIVE. - Tylko nie dostań zawału, jak tak posuwasz po dzielnicy z tymi gazetami.

- Nie ma strachu. Później chyba będzie padać. Cały czas słyszę grzmoty.

- No, mówili w tele... Uważaj!!!

Tuż obok nich przelatuje w pogoni za czerwonym frisby wielka futrzana kula. Cary traci równowagę i opiera się razem z rowerem o auto Jacksona. Hannibal, owczarek niemiecki, muska go tylko ogonem i pędzi dalej za latającym krążkiem.

- Jego by trzeba ostrzec przed zawałem - stwierdza Cary.

- Może i racja - mówi Peter i powoli odjeżdża.

Cary przygląda się Hannibalowi, który dopada frisby na chodniku po drugiej stronie i odwraca się, trzymając je w zębach. Na szyi ma zawiązaną zabawnie kowbojską bandanę i wygląda tak, jakby szczyrzył pysk w uśmiechu.

- Przynieś, Hannibal! - woła Jim Reed.

- No już, Hannibal - dołącza się jego bliźniak, Dave. - Nie bądź świnią! Przynieś! Daj to! Hannibal stoi sobie przed dwieście czterdziestym szóstym, naprzeciwko Wylerów z frisby w pysku i macha powoli ogonem. Uśmiech ma coraz szerszy.

Bliźniaki Reedów mieszkają pod dwieście czterdziestym piątym, dom za panią Wyler.

Stoją na brzegu swojego trawnika (jeden blondyn, drugi ciemny, obaj wysocy i zgrabni, w kuszach koszulkach i identycznych szortach od Eddiego Bauera) i wpatrują się w Hannibala. Za nimi stoją dwie dziewczyny. Jedna z nich to Susi Geller, sąsiadka. Ładna, ale nie laska, rozumiesz. Druga natomiast, rudawa, o długich nogach, to inna historia. Jej zdjęcie mogłoby ilustrować w encyklopedii hasło "laska". Cary jej nie zna, ale chciałby

znać - jej nadzieje, marzenia, plany i fantazje. Szczególnie to ostatnie. Nie w tym życiu - myśli sobie. - Cipeńka jest prawie dorosła. Ma z siedemnaście lat jak nie więcej.

- Oj, kotuś! - mówi Jim Reed, po czym zwraca się do swego ciemnowłosego brata. - Teraz ty przynosisz.

- Nigdy w życiu, na pewno całe zaślinił - oznajmia Dave Reed. - Hannibal, bądź grzecznym psem i przynieś to zaraz!

Pies stoi nadal na chodniku przed domem Doktora i szczyrzy zęby. Niach-niach - mówi, nie odzywając się wcale; jego uśmiech i poruszający się z królewskim spokojem ogon wyrażają wszystko. Niach-niach, wy macie dziewczyny i szorty od Bauera, a ja mam wasze frisby, całe już mokre od psiej śliny, co leci mi z pyska, i moim zdaniem to ja tutaj jestem Królem Puszczy.

Cary sięga do kieszeni i wyciąga torebkę słonecznika - jak się siedzi na ławce rezerwowych - odkrył niedawno - słonecznik bardzo pomaga zabić czas. Zyskał już całkiem niezłą wprawę w rozłupywaniu słonecznika zębami i przeżuwaniu smakowitych ziarenek jednocześnie z pluciem łuskami na splekaną podłogę wiaty dla rezerwowych z szybkością karabinu maszynowego, prawie jak pierwszoligowiec.

- Kryję go! - woła Cary do bliźniaków, w nadziei, że jego bohaterstwo w poskramianiu zwierząt zrobi wrażenie na rudowłosej, choć wie, że to idiotyczne marzenie - jak przystało zresztą na chłopaka po pierwszej klasie liceum.

Ale ona w tych białych szortach z mankietami wygląda tak cudownie, że zmiłuj się panie Boże, a zresztą co to szkodzi sobie pomarzyć.

Opuszcza torebkę słonecznika na poziom psiego pyska i szeleści celofanem. Hannibal podchodzi natychmiast, wciąż trzymając w wyszczerzonych zębach czerwony krążek frisby. Cary wysypuje na dłoń parę ziarenek.

- Dobry Hannibal - mówi. - Dobre nasionka. Oto słonecznik, uwielbiany przez psy na całym świecie. Spróbuj, a kupisz na pewno.

Hannibal przygląda się ziarenkom jeszcze przez chwilę, z drgającymi nieznacznie nozdrzami, po czym upuszcza frisby na jezdnię i pochłania słonecznik z dłoni Cary'ego. Chłopiec, szybki jak okamgnienie, pochyla się, łapie frisby (trochę oślinione na brzegach) i rzuca je w stronę Jima Reeda. To piękny, płynny rzut, Jim może złapać krążek nie robiąc kroku. I oto, o Boże, o Jezu, rudowłosa bije brawo, podskakując radośnie wraz z Susi, a jej cycuszki (małe, ale jakże smakowite) pod wiązaniem bolek podskakują razem z nią. O dzięki ci Panie, dzięki wielkie, mamy teraz w naszej bazie danych materiał na co najmniej tydzień koniobójstwa.

Uśmiechnięty szeroko, nie mając pojęcia, że umrze jako prawiczek i rezerwowy zarazem, Cary ciska Shoppera na werandę Toma Billingsleya (z za domu dochodzi warkot kosiarki Doktora) i wraca przez ulicę ku trawnikowi Reedów. Dave odrzuca frisby do Susi Geller i łapie gazetę w locie.

- Dzięki za odzyskanie frisby - mówi.

- Nie ma sprawy. Kto to? - Cary wskazuje głową rudowłosą.

- Nieważne, maleńki - śmieje się Dave bez złośliwości. - Nawet nie pytaj.

Cary rozważa, czyby jeszcze nie nacisnąć, lecz decyduje się dać spokój, póki jeszcze jest górą - w końcu to on odzyskał frisby i jemu biła brawo, a na widok tych jej podskoków zeszywniałby chyba nawet gotowany makaron. Jak na takie gorące popołudnie w środku lata to aż za wiele.

W górze ulicy, za ich plecami, czerwona furgonetka powoli rusza.

- Przyjdiesz dzisiaj na mecz? - pyta Cary Dave'a. - Gramy z Columbus Rebels. Powinno być niezłe.

- A ty zagrasz?

- Na pewno wejść kilka razy na bazę i może z raz na uderzającego.

- To chyba nie przyjdę - mówi Dave i ryczy ze śmiechu, aż Cary się krzywi.

Bracia Reed wyglądają może w tych swoich koszulkach i szortach niczym młodzi bogowie - myśli - ale jak już otworzą gębę, zaczynają podejrzanie przypominać "Strasznych Bliźniaków" z telewizji.

Cary zerka ku domowi na rogu Topolowej i Hiacyntowej, naprzeciwko sklepu. Ostatni dom po lewej, całkiem jak w horrorze pod takim właśnie tytułem. Na podjeździe nie ma auta, ale to nic nie znaczy; może stać w garażu.

- On jest? - pyta Dave'a wysuwając brodę w stronę numeru dwieście czterdzieści.

- A bo to wiesz? - mówi Jim, podchodząc do nich. - Nigdy nie wiadomo, nie? Dlatego właśnie jest taki dziwny. Co drugi raz zostawia samochód w garażu i zasuwa do Hiacyntowej przez lasek. Pewnie jedzie autobusem tam, dokąd jedzie.

- Boisz się go? - pyta Dave Cary'ego. Jeszcze nie kpiąco, ale prawie.

- Co ty, kurde - opowiada wyluzowany Cary, patrząc na rudowłosą i wyobrażając sobie, jak by to było, gdyby trzymał takie stworzenie w ramionach, gładkie i jędrne, jakby mu stanął, jakby mu wsunęła języczek... Nie w tym życiu, pimpsuś - upomina się znów w myśli.

Macha jej ręką na do widzenia, na zewnątrz obojętny, w środku przepelniony radością, bo ona odmachuje, i odjeżdża skosem w stronę Topolowej dwieście czterdzieści. Zaraz ciśnie Shoppera na ganek, jak wszędzie, a potem - jeżeli tylko ten szurnięty byłby glina nie wyskoczy przed dom z pianą na pysku i spojrzeniem jak po LSD, może nawet wymachując pistoletem albo maczetą, albo Bóg wie czym - skoczy sobie naprzeciwko do E-Z Stop na jakieś picie, by uczcić kolejne szczęśliwe ukończenie trasy: Anderson Avenue do Columbus Broad, Columbus Broad do Niedźwiedziej, Niedźwiedzią do Topolowej. A potem do domu, przebrać się w strój i haje na wojny baseballowe. Najpierw jednak trzeba zaliczyć dwieścieczterdziestkę, dom byłego policjanta, który podobno stracił pracę za pobicie kilku niewinnych chłopaków z North Side. Myślał, że zgwałcili dziewczynkę. Cary nie ma pojęcia, czy ta historia jest prawdziwa - w gazetach nigdy nic o tym nie wyczytał - ale widział jego oczy; było w nich coś takiego, czego nie

widział w zadnych innych, jakaś taka pustka, że ma się ochotę jak najszybciej (ale nie tak, żeby wyjść na palanta) odwrócić głowę.

W górze ulicy czerwona furgonetka - jeżeli to furgonetka; taka jest odpicowana i nietypowa, że właściwie nie wiadomo - skręca w Topolową. Zaczyna nabierać szybkości. Odgłos jej silnika brzmi jak miarowy, jedwabisty szept. A na dachu, jak rany, ma jakiś chromowany gadżet!

Johnny Marinville przerywa grę i patrzy na przejeżdżający samochód. Wnętrza nie widać, bo ma odblaskowe szyby, ale to coś na dachu wygląda jak chromowana czasza radaru, niech to szlag, jeśli nie. Czy to CIA zawitało na Topolową? Po drugiej stronie Johnny widzi Brada Josephsona, który wciąż stoi na trawniku z wężem pod pachą i gazetą w ręce. Brad także ze zdumieniem i zaciekawieniem gapi się na furgonetkę (ale czy to furgonetka? czy coś innego?).

Czerwień lakieru i chromy spod ciemnych okien auta rzucają igielki słonecznego blasku, tak ostre, że Johnny aż mruży oczy.

Po sąsiedzku David Carver nadal myje samochód. Z wielkim entuzjazmem, trzeba mu to przyznać. Ten jego chevrolet aż tonie w kłębach piany.

Czerwona furgonetka mija go, skrząc się w słońcu i pomrukując cichutko.

Bliźniaki Reedów przerywają zabawę i wraz ze swymi przyjaciółkami obserwują toczący się powoli pojazd. Młodzież tworzy czworokąt, w środku siedzi Hannibal i sapie uszczęśliwiony, czekając na kolejną szansę chapnięcia frisby.

Teraz wszystko dzieje się bardzo szybko, choć nikt na Topolowej jeszcze nie zdaje sobie z tego sprawy.

W oddali słychać grzmot.

Cary Ripton już prawie nie widzi furgonetki w lusterku. Nie zauważa też żółtej ciężarówki z firmy transportowej Ryder, która skręca z Hiacyntowej w Topolową i zatrzymuje się na parkingu E-Z Stop, gdzie dzieciaki Carverów stoją nadal przy Busterze i spierają się, czy Ellie pociągnie w nim Ralpa w górę ulicy, czy nie. Ralph w końcu zgodził się pójść na

piechotę i nie wygadać o pisemku z Bradem Pittem na okładce, ale tylko pod warunkiem, że jego ukochana siostra Małgocha-Gliździocha odda mu cały baton, a nie pół.

Dzieci przerywają klótnię na widok obłoku białej pary uchodzącej spod maski ciężarówkiczym oddech smoka; Cary Ripton jednak zupełnie nie zważa na problemy rydera. Jego uwagę pochłania jedna, jedyna rzecz: żeby już dostarczyć Shoppera stukniętemu eksgliniarzowi i oddalić się bez szwanku. Policjant nazywa się Collier Entragian i tylko na jego trawniku stoi tabliczka WSTĘP WZBRONIONY. Niewielka, dyskretna, ale jednak. Skoro zabił tych chłopaków, to czemu nie siedzi w więzieniu? - zastanawia się Cary, nie po raz pierwszy zresztą. I decyduje się mieć to w nosie. W końcu to nie jego sprawa. Jego sprawą tego parnego popołudnia jest dotrzeć do końca trasy.

Nic dziwnego, że mając głowę zaprzątniętą tymi rozmyślaniami, nie dostrzega ciężarówkiz dymiącą chłodnicą ani dwójki dzieci, które natychmiast zaprzestały swych skomplikowanych negocjacji na temat czasopisma, batonu "Trzej muszkietierowie" i czerwonego samochodziku, ani jadącej z góry furgonetki. Koncentruje się wyłącznie na tym, by nie zostać następną ofiarą gliniarza-psychola. Ironia losu polega jednak na tym, że los ów jest coraz bliżej za jego plecami.

Jedno z bocznych okien furgonetki zaczyna się opuszczać.

Wysuwa się stamtąd dubeltówka. Ma dziwny kolor, ni to srebrny, ni to szary. Układające się w symbol nieskończoności wyloty luf są czarne.

Gdzieś w oddali pod rozprężonym niebem znów dudni grzmot.

Artykuł w Columbus Dispatch z 31 lipca 1994 roku:

ROZDZIAŁ 2

1

Steve Ames stał się świadkiem strzelaniny dzięki dwójce dzieci klóących się przed sklepem o czerwony samochodzik. Dziewczynka wyglądała na porządnie wkurzoną na chłopca i przez moment Steve był pewien, że mu przyłoży... mógł się potknąć o swój wózek i wpaść pod ciężarówkę. Przejechanie w środkowym Ohio szczeniaka w koszulce z Bartem Simpsonem stanowiłoby z pewnością znakomite uwieńczenie i tak już spieprzonego dnia.

Gdy zahamował dobry kawałek przed nimi - lepiej dmuchać na zimne - spostrzegł, że przenieśli swe zainteresowanie z klótni nie wiadomo o co na dymiącą chłodnicę jego ciężarówki. Nieco dalej stała na ulicy czerwona furgonetka, najczerwieńsza, jaką Steve widział w życiu. Jednak to nie robota lakiernika przykuła jego uwagę, lecz błyszczący chromem dziwny wichajster na dachu auta. Wyglądał jak czasza radaru z filmu science fiction. Obracał się po ciasnym łuku w tę i z powrotem, dokładnie tak jak robią to radary. Przeciwną stroną jezdni jechał na rowerze jakiś chłopak. Furgonetka zbliżyła się do niego, jak gdyby kierowca (czy ktoś inny w jej wnętrzu) miał zamiar porozmawiać. Chłopiec w ogóle tego nie zauważył; wyciągnął zwiniętą w rurkę gazetę z przewieszzonej przez ramię płóciennej torby i zamachnął się do rzutu.

Steve wyłączył silnik półciężarówki, odruchowo przekręcając kluczyk w stacyjce. Nie docierał już do niego syk chłodnicy ani widok pary dzieciaków przy czerwonym samochodziku, nie myślał też o tym, co powie, gdy zadzwoni pod darmowy numer pogotowia technicznego firmy Ryder. Raz czy dwa w życiu przydarzył mu się przebłysk intuicji - jakieś przeczucie, psychiczny kuksaniec - teraz jednak pochwyciło go już nie

przecucie, lecz coś potężniejszego: pewność, że za chwilę coś się wydarzy. I że nie będzie to nic wesołego.

Steve nie widział ze swego miejsca sterczącej z okna furgonetki podwójnej lufy. Usłyszał jednak huk wystrzału i rozpoznał go momentalnie. Wychował się w Teksasie i nigdy nie zdarzyło mu się pomylić odgłosu strzelby z piorunem.

Gazeciarz wyleciał z siodelka roweru z wykręconymi ramionami i podkurczonymi nogami; czapeczka spadła mu z głowy. Tył jego koszulki rozerwał się na strzępy, a Steve ujrzał więcej, niż by chciał: czerwień krwi i czerń wyrwanego mięsa. Z uniesionej do rzutu ręki, przyciśniętej teraz do ucha, wypadła gazeta, po czym poleciała do suchego rynsztoka. Chłopiec runął na trawnik przed narożnym domkiem, tocząc się jak pozbawiona kości i wdzięku kukła.

Furgonetka przystanąła na środku jezdni tuż za skrzyżowaniem Topolowej i Hiacyntowej. Jej silnik pracował na wolnych obrotach.

Steve Ames siedział za kierownicą wynajętej ciężarówki z otwartymi szeroko ustami. Po prawej stronie czerwonego pojazdu jak elektrycznie opuszczana szyba w cadillacu czy lincolnie otwarło się z tyłu małe okienko.

Nie wiedziałem, że furgonetki mają coś takiego - pomyślał Steve. - Co to jest właściwie za samochód?

Uzmysłowił sobie, że ktoś wyszedł ze sklepu; dziewczyna w niebieskim fartuchu kasjerki. Jedną rękę przyłożyła do czoła, osłaniając przed słońcem oczy. Widział dziewczynę, lecz ciało gazeciarza na razie zniknęło, zasłoniła je furgonetka. Dotarło do niego, że z otwartego przed chwilą okienka wystaje teraz lufa dubeltówki.

I wreszcie, co nie mniej istotne, zdał sobie sprawę z obecności pary maluchów z czerwonym samochodzikiem. Stały na otwartej przestrzeni widoczne jak na dłoni i spoglądały w stronę, skąd padły pierwsze strzały.

2

Uwagę wilczura Hannibala przykuła jedna jedyna rzecz: zwinięta w rurkę gazeta, która wypadła z ręki Cary'emu Riptonowi, gdy impet strzału wyrwał go z siodełka roweru i z życia. Pies rzucił się do ataku, poszczekując radośnie.

- Hannibal, nie! - krzyknął Jim Reed.

Nie zorientował się, co się naprawdę dzieje (nie dorastał w Teksasie i wziął dwa pierwsze strzały za huk grzmotu; nie dlatego, że to podobne odgłosy, lecz dlatego, że nie był w stanie skojarzyć ich z czymś innym; nie na Topolowej w letnie popołudnie), ale i tak mu się to nie podobało. Nie zastanawiając się nawet, co robi - i czemu - posłał frisby w kierunku sklepu, mając nadzieję odwrócić tym uwagę Hannibala od jego obecnego kursu. Nie udało się. Pies zignorował krążek i pędził dalej jak strzała ze wzrokiem utkwionym w Shoppera leżącego tuż obok stojącej na luzie furgonetki.

3

Cynthia Smith również od razu rozpoznała odgłos wystrzałów - jej ojciec, pastor, co sobotę strzelał do rzutków, gdy była jeszcze małą dziewczynką, i często zabierał ją ze sobą na strzelnicę.

Tym razem jednak nie było okrzyku "rzuć!".

Odłożyła tanie romansidło, które właśnie czytała, okrążyła ladę i wybiegła na schodki sklepu. Oślepiło ją słońce i podniosła rękę, by osłonić oczy.

Ujrzała stojący na środku jezdni samochód i wystającą z tylnego okienka strzelbę wycelowaną w małych Carverów. Na ich twarzach malowało się zdziwienie, lecz jeszcze nie strach.

O Boże - pomyślała. - O Boże, on chce je zabić.

Przez moment stała jak wryta. Mózg kazał nogom się poruszyć, lecz nic takiego nie nastąpiło.

Ruszaj się! Już! - wrzasnęła na siebie i połączenia nerwowe zaczęły znów kontaktować. Poszła chwiejnie naprzód, czując, że zamiast nóg ma szczudła. Omal nie spadła ze schodków. Wyciągnęła ręce, by pochwycić dziewczynkę i chłopca. Ujrzała przed sobą dwa wielkie, ziejące czernią otwory luf i zorientowała się, że już nie zdąży. Ten pierwszy moment bezruchu okazał się fatalny. Jedyne, co osiągnęła, to całkowita pewność, że gdy człowiek w furgonetce pociągnie za spust, zabije nie tylko pewną dwudziestoletnią łaskę, lecz także dwoje niewinnych dzieci.

4

David Carver wrzucił gąbkę do wiadra z mydlinami przy prawym przednim kole swego chevroleta caprice i wolnym krokiem wyszedł przez podjazd na ulicę, by zobaczyć, co się dzieje. W następnym domku po prawej to samo zrobił Johnny Marinville. W ręku niósł gitarę. Po drugiej stronie, rzuciwszy na ziemię tryskającego wodą węża, kroczył przez trawnik Brad Josephson. W lewej ręce wciąż trzymał Shoppera.

- Gaźnik komuś strzela czy co? - rzucił głośno Johnny, chociaż tak nie uważał.

Jeszcze w czasach przed "Kotem-Detektywem", kiedy myślał o sobie jako o "poważnym pisarzu" (co w jego dzisiejszym języku brzmiało równie pikantnie jak "luksusowa dziwka"), wybrał się do Wietnamu, żeby zobaczyć piekło wojny z bliska, i ten odgłos skojarzył mu się raczej z tym, co słyszał podczas ofensywy Tet. Ze strzałami w dżungli. Takimi, od których giną ludzie.

David pokręcił głową i rozłożył ręce na znak, że naprawdę nie wie. Za jego plecami trzasnęły drzwi kremowo-zielonego domku w stylu ranczerskim; ktoś wybiegł na bosaka

na chodnik. To była Słodyczek Carver, w dżinsach i zapiętej krzywo bluzce. Mokre włosy przylegały do jej głowy jak helm. Jeszcze pachniała kąpielą.

- Gaźnik komuś nawalił? Boże, Dave, to brzmiało jak...

- Jak strzały z karabinu - rzekł Johnny, po czym dodał z wahaniem. - Tak mi się przynajmniej wydaje.

Kirsten Carver - Kirstie dla przyjaciół, a Słodyczek dla męża, z jemu tylko wiadomych powodów - spojrzała w dół ulicy. Jej rysy zmieniały się powoli, wyglądała tak, jakby przerażenie rozszerzyło jej nie tylko źrenice, lecz całą twarz. David podążył wzrokiem za jej spojrzeniem. Zobaczył stojącą na wolnym biegu furgonetkę i sterzącą z jej tylnego okienka lufę strzelby.

- Ellie! Ralph! - wrzasnęła Słodyczek. Był to przeszywający, wwiercający się w mózg krzyk i za domem Soderonów ręka Gary'ego trzymająca szklaneczkę zastygła w połowie drogi do ust. - O Boże, Ellie i Ralph!

Kirsten ruszyła pędem w dół wzgórza, ku furgonetce.

- Kirsten, nie, nie rób tego! - zawołał Brad Josephson.

Rzucił się jej śladem, wbiegając na jezdnię, by przeciąć drogę sąsiadce albo wyprzedzić ją gdzieś między Jacksonami i Gellerami. Jak na swoją posturę biegł zadziwiająco prędko.

Lecz już po kilkunastu krokach zrozumiał, że jej nie dogoni.

David też popędził za żoną; jego wydatne brzuszysko podskakiwało nad śmiesznie małymi kąpielówkami, klapki stukaly o chodnik niczym pistolet na kapiszony. Podążał za nim jego cień; długi i tak chudy, jak urzędnik pocztowy David Carver nie był nigdy w życiu.

Umarłam - pomyślała Cynthia, przyklękając na jedno kolano pomiędzy dziećmi i wyciągając ręce, by je objąć i pociągnąć ku sobie. Jakby to mogło coś pomóc. - Umarłam, umarłam, jestem trupem. Lecz wciąż nie mogła oderwać wzroku od luf dubeltówki, od ich wylotów, czarnych jak oczy, w których nie ma litości.

Nagle otworzyły się drzwiczki żółtej półciężarówki po stronie pasażera i wychylił się z nich kościsty mężczyzna w dżinsowych ogrodniczkach i rockowej koszulce, facet o szpakowatych włosach do ramion i ogorzalej twarzy.

- Tutaj, tutaj! - krzyknął. - Szybko!

Popchnęła dzieci w stronę ciężarówki, pewna, że i tak już za późno. A potem, podczas gdy nadal oczekiwała na uderzenie kuli lub wiązki śrutu (jakby na coś tak wstrętne w ogóle można było oczekiwać), stercząca z okna strzelba przesunęła się w prawo, ustawiła wzdłuż czerwonej burty furgonetki i wystrzeliła. Huk eksplozji poniósł się poprzez skwar jak hurkot kuli do kręgli toczącej się kamiennym rynsztokiem. Cynthia ujrzała na końcu lufy błysk ognia. Psa Reedów, który już, już dopadał gazety, odrzuciło gwałtownie w prawo i cały jego wdzięk wyparował w jednej chwili jak przedtem z Cary'ego Riptona.

- Hannibal! - krzyknęli unisono Jim i Dave.

Cynthia pomyślała o "Miętowych bliźniakach" z reklamy gumy do żucia.

Pchnęła małych Carverów ku otwartym drzwiom półciężarówki tak mocno, że Gnojkwaty Braciszek się przewrócił. Natychmiast zaczął wyć. Dziewczynka - Ellie, w żadnym razie nie Margaret, przypomniało się Cynthii - obejrzała się za siebie z wyrazem chwytającego za serce zdumienia na twarzy. A potem długowłosego kierowca chwycił ją za ramię i wciągnął do szoferki.

- Na podłogę, mała, na podłogę! - krzyknął do niej, pochylając się, by złapać ryczącego chłopczyka.

Niechący naciśnięty klakson beknął krótko; kierowca zahaczył się jedną stopą w tenisówce o kierownicę, żeby nie wypaść na ziemię głową w dół. Cynthia kopnęła na bok czerwony wózek, złapała smarkacza za gumkę spodenek i rzuciła wprost w ramiona

kierowcy. Z głębi ulicy nadbiegała kobieta, a za nią mężczyzna; wykrzykiwali imiona dzieci. Mama i tata - uznała Cynthia; pchają się, by zginąć na środku ulicy jak ten gazeciarz i pies.

- Wskakuj! - wrzasnął na nią kierowca.

Wdrapała się do zatłoczonej szoferki, nim zdążył powtórzyć.

6

Gary Soderson wyszedł zdecydowanym (choć nie całkiem pewnym) krokiem ze szklaneczką martini w dłoni zza rogu swego domu. Potężny huk rozległ się po raz drugi i Gary'emu przyszło do głowy, że może to wybuchnął gazowy grill Gellerów. Ujrzał Marinville'a, który w latach osiemdziesiątych zarobił sporo na książkach dla dzieci o dziwacznej, wymyślonej postaci imieniem Pat, Kot-Detektyw. Pisarz teraz stał na środku ulicy, osłaniając oczy i spoglądając w dół wzgórza.

- Mój biały brat wiedzieć, co się stało? - spytał Gary.

- Zdaje się, że ktoś z tej furgonetki właśnie zastrzelił Cary'ego Riptona, a potem psa Reedów - odparł Johnny dziwnym, bezbarwnym głosem.

- Co takiego? Dlaczego? Po co?

- Nie mam pojęcia.

Gary spostrzegł parę - to Carverowie, był prawie pewien - biegnącą w kierunku sklepu. Tuż za nimi cwałował afroamerykański jegomość, którym mógł być tylko jedyny w swoim rodzaju Brad Josephson.

- Ale syf - Marinville odwrócił się ku Gary'emu. - Dzwonię po gliny. Tymczasem, radzę ci zejść z ulicy. I to już.

Marinville pospieszył ku swemu domowi. Gary zlekceważył jego radę i został na miejscu. Nie wypuszczając szklaneczki, obserwował furgonetkę stojącą na jezdni naprzeciwko

domu Entragiana, pożałowawszy raptem (co jak na niego było wyjątkowo dziwnym odczuciem), iż jest aż tak pijany.

7

Nagle otworzyły się z trzaskiem drzwi pod dwieście czterdziestym i wypadł z nich Collie Entragian, jakby żywcem wyjęty z koszmarów Cary'ego Riptona: z pistoletem w ręce. Poza tym jednak wyglądał całkiem normalnie; ani pijany na ustach, ani nabiegłych krwią oczu. Wysoki, pewnie z metr dziewięćdziesiąt wzrostu mężczyzna, z lekko już zarysowującym się brzuszkiem, lecz wciąż barczysty i muskularny niczym środkowy obrońca. Był w spodniach khaki, bez koszuli. Na lewym policzku miał resztki kremu do golenia, na ramieniu ręcznik. Jego broń stanowiła trzydziestkaósemka, najpewniej ten właśnie służbowy pistolet, który tak często wyobrażał sobie Cary, gdy dostarczał gazetę do domu na rogu.

Collie rzucił okiem na martwego chłopca leżącego na trawniku twarzą do ziemi. Jego ubranie nasiąkło już wodą ze spryskiwacza, wysypane z torby gazety zmieniły się w rozmokłą szarą masę. Następnie spojrzął na furgonetkę. Podniósł pistolet, chwycił się lewą dłonią za prawy przegub i w tym momencie furgonetka powoli ruszyła. Zamierzał strzelić do niej mimo wszystko; jednak nie strzelił. W Columbus nie brakowało takich, a były wśród nich ważne figury, których zachwyciłaby informacja, że Collier Entragian użył broni w spokojnej dzielnicy Wentworth... broni, którą zgodnie z prawem powinien był zwrócić.

Nie wykręcaj się, tak nie wolno - pomyślał, odwracając się za jadącym samochodem i wciąż trzymając go na muszce. - Strzelajże! Strzelaj, do cholery!

Ale nie strzelił, a gdy furgonetka skręcała w lewo, w Hiacyntową, spostrzegł, że nie ma numeru rejestracyjnego, a na jej dachu... A cóż to za dziwo? Co to może być, na Boga?

Po drugiej stronie ulicy państwo Carverowie wbiegali właśnie na parking E-Z Stop, a za nimi Josephson. Murzyn spojrział w lewo, zobaczył, że czerwona furgonetka odjeżdża - właśnie znikła za pasem zieleni, który ocieniał Hiacyntową na wschód od Topolowej - pochylił się, oparł ręce na kolanach i dyszał ciężko.

Collie przeszedł przez ulicę, po czym zatknawszy pistolet z tyłu za spodnie położył Josephsonowi rękę na ramieniu.

- W porządku? - zapytał.

- Może - odparł tamten, uśmiechając się z wysiłkiem.

Po twarzy ściekał mu pot.

Enragian podszedł do żółtej ciężarówki. Spozrzegł obok niej czerwony samochodzik na pedały. Wewnątrz leżały dwie nie otwarte puszki pepsi, a przy tylnym kółku, na ziemi, balonik "Trzej muszkietierowie". Rozdeptany.

Posłyszał za plecami krzyki. Odwrócił się i ujrzał bliźniaków Reedów. Ponad zwłokami swego psa wpatrywali się z pobladłymi pod letnią opalenizną twarzami w leżącego na trawniku chłopca. Blondyn - chyba Jim - zaczął płakać. Drugi z bliźniaków cofnął się o krok, skrzywił i zwymiotował na własne stopy.

Pani Carver, głośno łkając, wyciągnęła syna z szoferki ciężarówki. Chłopiec, również wyjąc na cały regulator, zarzucił jej ręce na szyję, a potem natychmiast wczepił się w matkę jak pijawka.

- No już - powiedziała kobieta w dżinsach i krzywo zapiętej bluzce. - Już, kochanie, już po wszystkim. Zły pan sobie poszedł.

David Carver wziął córkę z ramion długowłosego, leżącego w niewygodnej pozycji na siedzeniach szoferki, i przytulił ją.

- Tatusiu, cała jestem w mydle! - zaprotestowała dziewczynka.

- Nie szkodzi - odrzekł Carver, całując ją w czoło. - Nic ci się nie stało?

- Nie - odparła. - Co to było?

Chciała popatrzeć na ulicę, lecz ojciec zasłonił jej oczy.

- Nic mu nie jest, pani Carver? - zwrócił się Collie do kobiety.

Spojrzała na niego nieprzytomnym wzrokiem i zaraz odwróciła się znów do wrzeszczącego dzieciaka. Gładziła go po włosach i niemal pożerała oczami.

- Chyba nie - wykrztusiła wreszcie. - Nic ci się nie stało, Ralphie? Powiedz mamusi.

Chłopiec zaczerpnął głęboko powietrza i ryknął:

- Małgocha miała mnie pociągnąć w Busterze! Obiecała!

To przekonało Entragiana, że smarkacz jest cały i zdrowy. Odwrócił się więc i spojrzał na miejsce zbrodni. Zobaczył psa leżącego w coraz większej kałuży krwi i blond bliźniaka, zbliżającego się niepewnie ku nieszczęsnemu gazeciarzowi.

- Nie podchodź! - krzyknął przez ulicę.

- Może on jeszcze żyje? - Jim Reed spojrzał pytająco.

- No i co z tego? Masz w kieszeni czarodziejski proszek uzdrawiający? Nie? To się odsuń.

Chłopak postąpił krok w stronę brata.

- O rany, Davey - skrzywił się z obrzydzeniem. - Zobacz na swoje nogi! - zawołał, po czym odwrócił się i też wymiotował.

Collie Entragian poczuł się tak, jakby znów znalazł się w robocie, którą, jak sądził, porzucił na dobre w październiku, kiedy wywalili go z pracy w komendzie policji w Columbus. Test antynarkotykowy wykazał w jego organizmie heroinę i kokainę. Niezła sztuczka, szczególnie biorąc pod uwagę, że nigdy w życiu nie próbował narkotyków. Pierwsza zasada: chronić obywateli. Druga zasada: udzielić pomocy rannym. Trzecia zasada: zabezpieczyć miejsce przestępstwa. Czwarta...

A tam, czwartą zacznie się przejmować, jak już się upora z pierwszą, drugą i trzecią.

Nowa kasjerka ze sklepu - chuda dziewczyna o dwukolorowych włosach, które aż klęły Colliego w oczy - wysliznęła się z szoferki i zaczęła wyglądać strasznie pomięty fartuch.

Za nią wysiadł kierowca.

- Pan jest policjantem? - zapytał.

- Tak - odparł Collie, bo nie chciało mu się nic wyjaśniać. Carverowie oczywiście wiedzieli, ale byli zajęci dziećmi, a zgięty w pół Brad Josephson nadal usiłował uspokoić oddech. - Wejdźcie wszyscy do sklepu. Wszyscy. Brad! Chłopcy! - polecił, podnosząc głos przy ostatnim słowie, żeby Reedowie wiedzieli, że to o nich chodzi.

- Nie, nie, ja lepiej pójdę do domu - rzekł Brad. Wyprostował się, spojrzął ponad ulicą na ciało Cary'ego, a potem na Entragianą. Jego twarz wyrażała skruchę, ale i determinację. Dobrze, że choć złapał wreszcie oddech; Collie już zaczął sobie przypominać zasady reanimacji. - Belinda jest sama i...

- Rozumiem, ale na razie niech pan lepiej wejdzie do sklepu, panie Josephson. Ta furgonetka może wrócić.

- Wrócić? Po co? - zapytał David Carver.

Wciąż trzymał w ramionach córeczkę i patrzył na Entragianą ponad jej głową.

- Nie wiem - wzruszył ramionami Collie. - Tak samo jak nie wiem, dlaczego przyjechała. Ale tak będzie bezpieczniej. Wejdźcie do środka, ludzie.

- Ma pan prawo wydawać nam polecenia? - spytał Brad.

Jego ton, choć nie prowokacyjny, sugerował jednak, że nie. Collie zaplótł ręce na swej nagiej piersi. Depresja, która go gnębiła, odkąd odszedł ze służby, ostatnio nieco zelżała, a teraz poczuł, że dopada go na nowo. Pokręcił głową. Nie. Nie ma prawa. Nie dzisiaj.

- No to wracam do żony - rzekł Josephson. - Proszę się nie obrażać, panie Entragian. Collie uśmiechnął się półgębkiem, słysząc ostrożny ton tamtego. Ty zostaw mnie w spokoju, a ja zostawię ciebie - oznajmiał.

- Ależ skąd - odparł.

Bliźniacy popatrzyli niepewnie najpierw na siebie, potem na Colliego. Zrozumiał, o co im chodzi, i rzekł z westchnieniem:

- Dobra, ale idźcie z panem Josephsonem. I jak dojdziecie do domu, zaraz wchodźcie do środka, koleżanki też. Okay?

Blondyn skinął głową.

- Jim... ty jesteś Jim, prawda? - zapytał Entragian. Chłopak potwierdził, ocierając z zakłopotaniem zaczerwienione oczy. - Wasza mama jest w domu? Albo ojciec?

- Mama. Tata jeszcze w pracy.

- Dobra, chłopcy. Idźcie. Pospieszcie się. Ty też, Brad.

- Postaram się - odparł Brad. - Chociaż coś mi się zdaje, że normę już na dziś wyrobilem.

Cała trójka ruszyła w górę ulicy jej zachodnią, nieparzystą stroną.

- Ja też bym wolala zabrać dzieci do domu, panie Entragian - powiedziała Kirsten Carver.

Skinął z westchnieniem głową. Jasne, psiakrew, zabieraj je, dokąd chcesz. Choćby na

Alaskę. Chciało mu się palić, ale papierosy zostawił w domu. Nie palił przez dziesięć lat,

dopóki te sukinsyny ze śródmieścia nie kazały mu zamknąć drzwi z tamtej strony. Wrócił

do nalogu przerażająco szybko. Teraz miał chęć na papierosa, ponieważ się

zdenerwował. Nie był roztrzęsiony z powodu leżącego na trawniku chłopca, co można

by zrozumieć, ale po prostu zdenerwowany. Zdenerwowany jak wszyscy diabli - jak

powiedzialaby jego matka. Ale czym?

Tym, że na tej ulicy jest zbyt wielu ludzi - odpowiedział sobie - właśnie tym.

O, naprawdę? A co to właściwie znaczy?

Nie wiadomo.

Co z tobą? Tęsknisz za pracą? Zaczyna ci odbijać? To cię gryzie, matolku?

Nie. To ten srebrny dinks na dachu furgonetki. To mnie gryzie, koziółku.

Ojej, poważnie?

No, może nie tak do końca. Ale na początek wystarczy. Albo na odczepkę. W końcu

przeczenie to przeczenie i albo wierzysz w swoje przeczenia i kierujesz się nimi, albo nie.

Collie Entragian zawsze wierzył, więc takie drobiazgi jak wywalenie z pracy nie

zmniejszały mocy, z jaką przeczenia na niego działały.

David Carver postawił córkę na nogi, po czym wziął beczącego wciąż syna z objęć żony.

- Pociągnę cię w Busterze - powiedział do niego. - Aż do samego domu. Co ty na to?

- Małgocha-Gliździocha Brada Pitta kocha - wyjawiał mu tajemnicę syn.

- Naprawdę? Możliwe, ale nie powinieneś tak na nią mówić - rzekł David.

Mówił nieobecny tonem człowieka, który skłonny jest wybaczyć dziecku - jednemu ze swoich dzieci w każdym razie - niemal wszystko. Jego żona patrzyła w chłopca prawie jak w święty obraz albo proroka. Tylko Collie Entragian spostrzegł posępną urazę w oczach dziewczynki, gdy jej tak hołubionego brata sadowiono w samochodziku. Miał wiele innych spraw na głowie, mnóstwo spraw, lecz jej spojrzenie było tak intensywne i smutne, że nie mógł go nie zauważyć. Ech.

Przeniósł wzrok z Ellie Carver na dziewczynę o wariackich włosach i podstarzałego hipisa z ciężarówki.

- Może chociaż was uda mi się namówić, żebyście poczekali w sklepie, dopóki nie przyjedzie policja? - zapytał.

- No jasne - odparła dziewczyna. Spoglądała na niego ostrożnie. - Pan jest z policji, prawda?

Carverowie już odchodzili, z Ralphem siedzącym w Busterze po turecku, byli jednak jeszcze dość blisko, by usłyszeć, co powie... poza tym, co miał zrobić? Skłamać? Jak raz wejdiesz w ten kanał - tłumaczył sobie - skończysz w domu wariatów. Były glina z kolekcją nagród w piwnicy, całkiem jak Elvis, i jeszcze paroma odznakami w portfelu dla szpanu. Powiedz, że jesteś prywatny detektyw, chociaż jeszcześ się nawet nie przymierzył do załatwienia licencji. Za dziesięć, piętnaście lat dalej będziesz wciskał kit i usiłował nie wypaść z obiegu, niczym trzydziestolatka, która zakłada mini i chodzi bez biustonosza, żeby przekonać ludzi (z których większość i tak ma to gdzieś), że jeszcze nie jest "z tyłu liceum..."

- Byłem - odpowiedział. Kasjerka skinęła głową. Długowłosy przyglądał mu się z ciekawością, choć nie bez pewnego respektu. - Świetnie wam poszło z tymi dzieciakami. Collie mówił do obojga, lecz patrzył tylko na nią.

- To zasługa psa - Cynthia po chwili zastanowienia pokręciła głową i ruszyła w stronę sklepu. Collie i starszawy hipis poszli za nią. - Ten w furgonetce, ten ze strzelbą, chciał wygarnąć do dzieci. Widział pan to? - zwróciła się do długowłosego. - Mam rację? Mężczyzna skinął głową.

- Nie mielibyśmy szans go powstrzymać - powiedział. Mówił zbyt nosowo, by mógł pochodzić z głębokiego Południa. Teksas, pomyślał Collie. Teksas albo Oklahoma. - I wtedy ten pies odwrócił jego uwagę... tak było, prawda? Zastrzelił psa zamiast dzieci.

- No właśnie - dodała Cynthia. - Gdyby nie pies... no... chyba wszyscy byśmy już nie żyli. Tak jak on.

Wskazała podbródkiem Cary'ego Riptona, martwego i nadal nasiąkającego wodą na trawniku Entragiana. Po czym otworzyła drzwi sklepu i weszła do środka.

Z książki "Filmy w telewizji" pod redakcją Stephena H. Schuera:

ROZDZIAŁ 3

1

Ulica Topolowa/15.58/15 lipca 1996

Parę sekund po wejściu Entragiana, Cynthii i długowłosego kierowcy do sklepu, na południowo-zachodnim rogu Topolowej i Hiacyntowej, naprzeciwko E-Z Stop, zatrzymuje się furgonetka. Niebieski metalik z ciemnymi szybami ze szkła

polaryzacyjnego. Na dachu nie widać chromowanego gadżetu, za to jej boki mają kloszowate wybrzuszenia i wklęsnięcia. Mniej przypomina samochód, a bardziej wehikuł zwiadowczy z filmu science fiction. Opony ma zupełnie bez bieżnika, gładkie i czarne jak świeżo starta tablica. W środku, za przyciemnionymi szybami, rytmicznie pomrugują przyćmione kolorowe lampki, jak wskaźniki na desce rozdzielczej.

Dudni burza, teraz już silniej i bliżej. Niebo zaczyna tracić swą letnią jasność. Groźne, purpurowoczarne chmury piętrzą się od zachodu. Dosięgają lipcowego słońca i gaszą je. Temperatura opada w mgnieniu oka.

Błękitna furgonetka pomrukuje cicho. W górze ulicy, na skrzyżowaniu Niedźwiedziej i Topolowej zatrzymuje się jeszcze jedna - tym razem jaskrawożółta, jak plastikowy banan. Ona też staje z mrużącym na luzie silnikiem.

Rozlega się pierwszy naprawdę silny grzmot, a po chwili niebo przecina błyskawica.

Zamglone prawe oko psa Hannibala zapala się na chwilę w jej blasku jak spirytusowa lampka.

2

Gary Soderstrom stał wciąż jeszcze na ulicy, gdy podeszła do niego żona.

- Cholera, co ty robisz, Gary? - spytała. - Wpadłeś w jakiś trans czy co?

- Nie słyszałaś tego?

- Czego? - rzuciła ze złością. Gary był mężem tej kobiety od dziewięciu lat i wiedział, że złość to dominująca cecha jej charakteru. - Byłam pod prysznicem, jak mogłam cokolwiek słyszeć? Słyszałam młodych Reedów z tym ich frisby, szczekanie ich zakichanego psa i grzmot. Co jeszcze byś chciał? Chór z katedry Świętego Patryka?

Wskazał ręką w dół ulicy, najpierw na psa (przynajmniej nie będzie się już na niego skarżyła), a potem na zwłoki zwinięte w kłębek na trawniku posesji numer dwieście czterdzieści.

- Nie jestem do końca pewien, ale zdaje się, że ktoś właśnie zastrzelił chłopaka, który rozwozi Shoppera.

Powiodła wzrokiem za jego dłonią i zmrużyła oczy, przysłaniając je ręką, choć słońce już zniknęło. Gary miał wrażenie, że temperatura nagle opadła o dobre dziesięć stopni. Po chodniku zbliżał się do nich ciężkim krokiem Brad Josephson. Peter Jackson wyszedł przed dom i spoglądał zaintrygowany w dół wzgórza. Podobnie Tom Billingsley, którego większość mieszkańców nazywała Starym Doktorem. Rodzina Carverów przechodziła przez ulicę na stronę, na której stał ich dom; dziewczynka szła obok matki, trzymając ją za rękę. Dave Carver (w tych swoich kąpielówkach wygląda jak ugotowany homar - pomyślał Gary - namydłony gotowany homar, ściślej mówiąc) ciągnął w czerwonym wózku syna. Chłopiec siedział po turecku i rzucał wokół wzdargliwe, władcze spojrzenia młodego baszy. Na dziesięciopunktowej skali gnojkowatości Gary przyznawał mu zawsze co najmniej dziewięć i pół punkta.

- Hej, Dave! - zawołał Peter Jackson. - Co się dzieje?

Nim Carver zdążył odpowiedzieć, Marielle rąbnęła Gary'ego nasadą dłoni w ramię na tyle mocno, że wylał sobie resztkę martini na stare, znoszone tenisówki Converse. Może zresztą i dobrze. Może wyświadczy przysługę swej wątrobie i da jej dziś wolny wieczór.

- Głuchy jesteś Gary, czy tylko głupi? - spytało słońce jego życia

- Pewnie jedno i drugie - odparł, postanawiając, że pierwszą rzeczą, jaką zrobi, jeżeli kiedyś wytrzeźwieje, będzie złożenie pozwu o rozwód. Albo chociaż przecięcie małżonce strun głosowych. - A co mówiłaś?

- Pytałam, dlaczego na Boga ktoś miałby zabijać gazeciarza?

- Może w zeszłym tygodniu nie dostarczył komuś wkładki telewizyjnej - odrzekł Gary.

Trzasnął piorun - nadal od zachodu, lecz już bliżej. Przebił się przez gęstwinę chmur jak harpun.

3

Johnny Marinville, który za powieść o obsesji seksualnej, zatytułowaną "Rozkosz", otrzymał kiedyś tytuł pisarza roku, a który teraz pisywał książeczki dla dzieci o kocie-detektywie imieniem Pat Kitty-Cat, stał w salonie i spoglądał na swój telefon, czując w sercu lęk. Działo się coś dziwnego. Usiłował nie popaść w paranoję, ale działo się coś naprawdę niesamowitego.

- Być może - powiedział cicho.

No dobrze. Być może. Jednak ten telefon...

Wszedł przed chwilą do domu, postawił gitarę w kącie i wybrał numer dziewięćset jedenaście. Po wyjątkowo długiej pauzie, tak długiej, że zamierzał już przerwać połączenie (jakie połączenie, ha ha?) i spróbować jeszcze raz, usłyszał w słuchawce głos, jakby dziecięcy. Ton tego głosu, zarazem wesoły i bezosobowy, zaskoczył Johnny'ego i zdrowo przeraził - nie próbował się nawet oszukiwać, że to tylko odruch zdziwienia.

- Brzydki jesteś mój Kubusiu - zanucił głos. - Gryzłeś mamę po cycusiu. Gryźć to bardzo jest nieładnie. Cycuś z buzi ci wypadnie.

Potem coś kliknęło i włączyła się wolna linia. Johnny zmarszczył brwi i wystukał numer jeszcze raz. Znowu długa cisza, potem trzask i w końcu dźwięk, który wydał mu się znajomy: szum inhalatora. Może to jakiś dzieciak z katarem - pomyślał. Zresztą nieważne.

Ważne było to, że gdzieś jest przebicie i zamiast rozmawiać już z policją...

- Kto mówi? - rzucił ostro do słuchawki.

Brak odpowiedzi. Tylko ten inhalator. Czy to naprawdę taki znajomy odgłos? Przecież to śmieszne. Jakże, na rany Chrystusa, świszczący oddech w słuchawce może wydawać się znajomy? Nie może, to jasne, ale mimo to...

- Hej tam, po drugiej stronie, wyłącz się w cholere i to już! - zażądał Johnny. - Muszę zadzwonić na policję.

Oddech umilkł. Marinville już wyciągał rękę do widełek, kiedy głos powrócił. Tym razem pobrzmiwał najwyraźniej kpina:

- Mój Kubusiu, jesteś brzydki, wsadzasz mamie coś do pitki. Wsadzać w pitkę jest nieładnie, zaraz kutas ci odpadnie. - Ton głosu stał się teraz przeraźliwie bezbarwny: - Nigdy już tutaj nie dzwoń, ty stary durniu. Tak!

Znowu kliknęło i połączenie zostało przerwane. Ale tym razem nie było sygnału, tylko martwa cisza.

Johnny postukał palcem w widełki. Nic. Linia pozostała głucha. Znow huknął grzmot, coraz bliższy. Pisarz aż podskoczył.

Odłożył słuchawkę i przeszedł do kuchni. Spostrzegł, jak błyskawicznie ciemnieje niebo, i przypomniał sobie, że trzeba zamknąć okna na górze, jeżeli zacznie padać... kiedy zacznie padać, sądząc z obrotu spraw.

W kuchni telefon wisiał na ścianie. Gdy zadzwonił podczas posiłku, wystarczyło się odchylić na krześle, by go dosięgnąć. Niezbyt często się to zdarzało; czasem dzwoniła jego była żona i to wszystko. Ci z Nowego Jorku wiedzieli dobrze, że maszynkę do robienia pieniędzy najlepiej zostawić w spokoju.

Zdjął telefon z uchwytu i przyłożył do ucha. Znow odpowiedziała mu cisza. Ani sygnału, ani wyładowań elektrycznych, kiedy błyskawica rozświetliła błękitem kuchenne okno, ani pii-pii oznaczającego uszkodzenie linii. Po prostu nic. Mimo wszystko wystukał dziewięćset jedenaście, lecz kiedy wybierał cyfry, nie odezwały się nawet klawisze telefonu. Odwiesił aparat i spoglądał nań w półmroku kuchni.

- "Brzydki jesteś mój Kubusiu" - mruknął i nagle zatelepało nim w sposób, który można by uznać za teatralny, gdyby nie brak publiczności.

Co za wstrętna rymowanka - pomyślał. - Nigdy jej przedtem nie słyszałem...

Kichać zresztą na rymowankę. Ale co z tym głosem? Głos jest jakiś znajomy, nie?

- Nie - odpowiedział sobie głośno. - W każdym razie... nie wiem.

No tak. A ten oddech...?

- W mordę jeża, przecież nie da się rozpoznać nikogo po oddechu! - zawołał do pustej kuchni. - Chyba że własnego dziadka z rozedmą.

Opuścił kuchnię i ruszył do drzwi wyjściowych. Nagle zapragnął znów zobaczyć, co się dzieje na ulicy.

4

- Co się tam stało? - zwrócił się Peter Jackson do Davida, gdy rodzina Carverów przeszła na chodnik po wschodniej stronie. Pochylił ku sąsiadowi głowę i zniżył głos, żeby dzieci nie słyszały. - Czy to trup tam leży?

- Tak - odparł David półgłosem. - To chyba ten Cary Ripton - spojrzał na żonę, niepewny, czy dobrze pamięta nazwisko. Kirsten kiwnęła głową. - Chłopak, który rozwoził w poniedziałki Shoppera.

- Zastrzelił Cary'ego?

Carver potwierdził skinieniem głowy, lecz Peterowi nadal wydawało się niemożliwe, żeby ktoś, z kim przed chwilą rozmawiał, właśnie został zabity.

- O jasna dupa!

- Jasna dupa to chyba odpowiednie określenie - zgodził się David.

- Szybko, tatusiu-usiu - przynaglił go Ralph z wózka.

David obejrzał się na niego, posłał mu uśmiech i zwrócił się znów do Petera. Mówił teraz już prawie szeptem.

- Dzieci akurat były w sklepie, poszły po picie. Nie jestem pewien, ale coś mi się widzi, że ten facet do nich też chciał strzelić. Wtedy przyleciał pies Reedów i on strzelił do niego zamiast do nich.

- O Jezu! - Sama myśl o tym, że ktoś zabił Hannibala, genialnego lowcę frisby z zabawną chustką na szyi, sprawiła, że nagle nie mógł już dłużej zaprzeczać faktom. Nie wiedział dlaczego, ale tak to czuł. - Jezusie przenajświętszy!

- To prawda - pokiwał głową David. - Gdyby na tym świecie było więcej Jezusa, takie historie wydarzałyby się znacznie rzadziej.

Peter pomyślał o tych milionach, które w dziejach ludzkości zaszlachtowano w imię Jezusa, lecz odegnał tę myśl i też skinął głową. Nie był to chyba odpowiedni moment na teologiczną dysputę z sąsiadem.

- Chciałabym, żeby dzieci już były w domu, Dave - mruknęła Kirsten. - Zabierzmy je z ulicy, co?

David przytaknął i ruszył pod górę, lecz minawszy Petera, przystanął i obejrzał się.

- A gdzie Mary? - zapytał.

- W pracy - odrzekł Peter. - Zostawiła kartkę, że wstąpi jeszcze na zakupy do Crossroads Mall. Ale powinna się niedługo zjawić, w poniedziałki kończy o drugiej. A co?

- Nic, tylko przypilnuj, żeby od razu weszła do domu. Facet prawdopodobnie dawno zniknął z horyzontu, ale nigdy nic nie wiadomo, no nie? Ktoś, kto był w stanie zastrzelić gazeciarza...

Peter tylko kiwał głową. Nad nimi znów potężnie grzmotnęło. Ellie przywarła do matki, lecz Ralph w swoim wózku tylko się roześmiał.

- Chodźże już. Tylko mi się znów nie zatrzymaj się przy Doktorze.

Kirsten szarpnęła męża za ramię i wskazała podbródkiem na Billingsleya, stojącego przy krawężniku z rękami w kieszeniach. Spoglądał w dół ulicy, zmrużywszy oczy, aż zmieniły się w błękitne smużki, polyskujące niczym egzotyczne ryby uwięzione w sieci ciała.

David ruszył i pociągnął wózek.

- Jak tam, Ralphie? - rzucił w stronę syna.

Zauważył nazwę BUSTER wypisaną białą farbą na bocznej ścianie samochodziku.

Ralphie znów wystawił język i prychnął, dmuchając tak mocno, że policzki wydeło mu nie gorzej niż Dizzy'emu Gillespiemu.

- Jakie to słodkie - rzekł Peter. - Dziewczyny będą na to leciały, jak dorośniesz. Mówię ci.

- Koziolatek Matolek! - wrzasnął mały wstręciuch z wózka i jedną ręką pokazał Peterowi całkiem dorosłego wała.

- No, dość już tego, panie bracie - rzucił David pobłażliwie, nie odwracając się nawet.

Jego pośladki podskakiwały rytmicznie w kusych kąpielówkach. Kojarzyły się Peterowi z oblepionymi ciastem tłokami.

- Co się stało? - spytał burkliwym głosem Tom, gdy go mijali.

Peter nie słuchał odpowiedzi Carvera (który pomny przestrogi żony odpowiedział Doktorowi, nie zatrzymując się) i spojrzał w stronę skrzyżowania, sprawdzając, czy nie nadjeżdża hondą lumina jego żona. Ale nic nie jechało, tylko na Niedźwiedziej, po tej stronie co dom Abelsonów, stała jakaś furgonetka. Jaskrawa żółć jej lakieru aż krzyczała. Przypuszczał, że tę jaskrawość auto zawdzięcza częściowo zmieniającemu się przed burzą światłu, ale i tak oczy go bolały od samego patrzenia. Pewnie jacyś smarkacze - pomyślał.

- Któż inny chciałby jeździć czymś w takim kolorze. Bardziej zresztą przypominała pojazd rodem ze "Star Trek" niż normalną furgonetkę albo...

Uderzyła go pewna myśl. Niezbyt przyjemna.

- Dave? - zawołał. Carver obejrzał się. Nad kąpielówkami wisiał mu spieczony słońcem brzuch, oblepiony zaschniętą pianą z mydlin. - Czym przyjechał ten facet, co zabił Cary'ego?

- Czerwoną furgonetką.

- Prawda - wtrącił się Ralph. - Czerwona była, jak Strzała Szlaku.

Peter już prawie go nie słuchał. Słowo "furgonetka" drażyło mu mózg, a żołądek miał tak ściśnięty, jakby go ktoś skręcił korbą.

- Najczerwieńsza na świecie - dodała Kirsten. - Też ją widziałam. Patrzyłam akurat przez okno i widziałam, jak jedzie. David, idziesz wreszcie?

- Jasne - odrzekł jej mąż i pociągnął samochodzik dalej.

Kiedy David się odwrócił, Peter (któremu minęła chwilowa słabość) nagle pokazał Ralphiemu język. Twarz zaskoczonego chłopca wyglądała komicznie.

W stronę Jacksona sunął z rękami w kieszeniach Stary Doktor. W górze przetoczył się grzmot. Podnieśli obaj głowy i ujrzeli zalegające na niebie nad Topolową warstwy ciemnych chmur. Nad śródmieściem Columbus już się ostro błyskało.

- Deszcz będzie jak diabli - rzekł weterynarz. Włosy miał białe, cienkie, rzadkie jak u niemowlaka. - Mam nadzieję, że zdążą porządnie przykryć ciało, zanim się rozpada. - Przerwał, wyjął jedną rękę z kieszeni i przesunął nią ponad brwią, jakby chciał odpędzić początki bólu głowy. - Straszna historia. To był świetny chłopak. Grał w baseball.

- Wiem.

Peter przypomniał sobie śmiech Cary'ego, gdy mu przepowiedział, że w przyszłym roku da popalić na trzeciej bazie. Poczul nagły ból w żołądku, który to organ (nie zaś serce, jak twierdzą poeci) najsilniej reaguje na ludzkie emocje. Nagle rzeczywistość dotarła do niego w pełni. Cary Ripton nie zadebiutuje w przyszłym roku na trzeciej bazie w Wentworth Hawks; Cary Ripton nie wpadnie wieczorem przez kuchenne drzwi, pytając, co jest na kolację; Cary Ripton odleciał do Krainy Nigdy-Nigdy, pozostawiwszy za sobą cień. Stał się teraz jednym z Zaginionych Chłopców.

Kolejny piorun trzasnął tak blisko i głośnie, że Peter aż zadrzał.

- Słuchaj - zwrócił się do Toma. - Mam w garażu kawał folii, prawie wielkości plandeki na samochód. Jeżeli go przyniosę, pójdiesz tam ze mną i pomożesz mi go przykryć?

- Sierżantowi Entragianowi może się to nie spodobać - rzekł starszy pan.
- Pieprzyć sierżanta Entragiana, taki sam z niego gliniarz jak ze mnie - odparł Peter. - Wywalili go w zeszłym roku na zbity pysk za łapówki.
- A policja, jak przyjedzie?
- Ich też mam gdzieś - oznajmił Peter. Nie rozplakał się jeszcze, lecz głos mu dziwnie zgrubiał i zaczął lekko drżeć. - To był fajny chłopak, naprawdę kochany dzieciak, a jakiś bandzior zestrzelił go z roweru jak Indianina z konia w westernie Johna Forda. Zacznie padać i zmoknie. Chciałbym móc powiedzieć jego matce, że chociaż tyle dla niego zrobiłem. Więc pomożesz mi czy nie?
- No cóż, skoro tak stawiasz sprawę... - odparł Tom i klepnął Petera w ramię. - Chodź, belferku, do roboty.
- Dobry z ciebie człowiek.

5

Kim Geller przespała całą akcję. Wciąż jeszcze drzemała na zaścielonym łóżku, kiedy Susi wraz z Debbie Ross - ową rudowłosą, która tak zauroczyła Cary'ego Riptona - wpadły nagle do pokoju i ją obudziły. Usiadła, półprzytomna, prawie jakby miała kaca (spanie w dzień podczas takiego upału niemal zawsze stanowi błąd, ale czasem nie można się powstrzymać), i usiłowała zrozumieć, o czym mówią dziewczyny, lecz niemal natychmiast zgubiła wątek. Chyba chodziło o to, że ktoś został zabity, zabity na ulicy Topolowej, co oczywiście było absolutną bajką.

Kiedy jednak zaciągnęły ją do okna, musiała przyznać, że coś się chyba stało. Bliźniacy Reedów stali na podjeździe swego domu razem z matką, Cammie. Opój i Dziwka, w bardziej tolerancyjnych kołach znani jako Sodersonowie, tkwili na środku ulicy tuż przed skrzyżowaniem... chociaż Marielle już ciągnęła Gary'ego do domu, a on jej chyba na to

pozwalal. Za nimi stali na chodniku Josephsonowie. Po drugiej stronie ujrzała Petera Jacksona i starego Billingsleya wynoszących z garażu Jacksonów wielką płachtę niebieskiej folii, falującej na wietrze.

Cale towarzystwo na ulicy. W każdym razie wszyscy, którzy byli w domu. Ale z tego miejsca nie dało się zobaczyć, na co się tak gapią. Dom zasłaniał część ulicy aż do rogu. Kimberly Geller odwróciła się do dziewcząt, z wysiłkiem odgarniając zasnuwające umysł pajęczyny. Dziewczyny przestępowały z nogi na nogę, jakby musiały zaraz iść do toalety. Debbie otwierała i zaciskała pięści. Kombinacja bladości i podniecenia na twarzach nastolatek nie bardzo się Kim podobała. A ten pomysł, że ktoś został zabity... chyba coś im się pokręciło. Chyba.

- A teraz mówcie, co tam się stało - powiedziała. - Tylko bez wymysłów.

- Ktoś zabił Cary'ego Riptona, mówiliśmy ci przecież! - zawołała niecierpliwie Susi, jakby jej matka była najgłupszą osobą na świecie... którą zresztą w tej akurat chwili Kim się właściwie czuła. - Chodź, mamó! Popatrzymy, jak policja przyjeżdża!

- Chcę go zobaczyć jeszcze raz, zanim ktoś go przykryje - oznajmiła nagle Debbie. Odwróciła się i zbiegła ze schodów. Susi wahała się przez chwilę - prawie chora z powodu wątpliwości, jak się zachować - i popędziła za przyjaciółką.

- Mamó, chodź! - krzyknęła jeszcze przez ramię Wiosenna Królowa Róż ze szkolnego balu, zbiegając teraz po schodach z wdziękiem bawołu, aż drżały szyby i żyrandole.

Kim podeszła powoli do łóżka i wsunęła bose stopy w sandały. Czuła się ospała, otepiała i skolowana.

6

- I biegleś tam przez całą ulicę? - spytała po raz trzeci Belinda Josephson. Tego fragmentu opowieści męża nie mogła pojąć. - Taki grubas jak ty?

- Cholera, babo, nie jestem gruby - odparł Brad. - Mam po prostu taki rozmiar.

- Jak będziesz dalej uprawiał takie stumetrowe sprinty, to na świadectwie zgonu właśnie ci tak napiszą - rzekła Belinda. - "Ofiara zmarła z powodu swoich wyjątkowych rozmiarów".

Jej słowa były kąśliwe, ale ton głosu nie. Mówiąc, głaskała go po karku, czując pod dłonią chłodny pot.

- Zobacz - Brad wskazał na ulicę. - Pete Jackson i Stary Doktor.

- Co robią?

- Chyba chcą zakryć chłopaka - odparł, ruszając w tamtą stronę.

Belinda natychmiast przytrzymała go za kołnierz.

- Nic z tego, proszę pana. Nie tym razem. Pański limit wycieczek na dziś już wyczerpany. Rzucił jej spojrzenie, które miało chyba oznaczać "nie wnerwiaj mnie, babo" - całkiem niezłe jak na czarnego z Bostonu, który życie w murzyńskim getcie znalazł tylko z telewizji - ale nie opierał się, może dlatego, że w tym momencie wyszedł z domu naprzeciwko Johnny Marinville. Zagrzmiało. Wiatr wiał teraz bez przerwy. Belindzie wydał się zimny. Jak zimny prysznic. Nad ich głowami sunął wał burzowych chmur, czerwonawy, brzydki, ale nie wzbudzający lęku. Lęk wzbudzało raczej żółte niebo w oddali, na południowym zachodzie. Belinda modliła się w duchu, żeby przed zapadnięciem zmroku nie pojawił się na horyzoncie lej tornada - byłoby to ukoronowaniem tego dnia - najgorszego chyba za jej pamięci.

Spodziewała się, że gdy zacznie padać, deszcz zapędzi ludzi do domów, ale na razie wylegli na ulicę chyba wszyscy przy niej mieszkający i gapili się w stronę domu

Entragiana. Zobaczyła, że z domu pod numerem dwieście czterdzieści trzy wychodzi

Kim Geller, rozgląda się i przechodzi do sąsiedniej posesji, by się przyłączyć do siedzącej na ganku Cammie Reed. Bliźniacy Reedów (materiał na marzenia niewinnych gospodyń domowych, skromnym zdaniem Belindy Josephson) stali na trawniku wraz z Susi Geller i

jakaś rudą lalą, której nie znała. Davey Reed przyklęknął i chyba, Bóg wie czemu, wycierał sobie buty koszulą.

Oczywiście dobrze wiesz dlaczego - pomyślała. - Tam leży trup, autentyczny trup, i Davey Reed zwymiotował na jego widok. I troszkę się ubrudził, nieszczęsny chłopak. Teraz widziała już ludzi przed wszystkimi domami, czy też ze wszystkich domów, z wyjątkiem byłego domu Hobartów i posesji dwieście czterdzieści siedem, trzeciej po tej stronie ulicy. Domu Wylerów. Nieszczęśliwej rodziny, jeśli to w ogóle była rodzina. Ani Audrey, ani tego biednego sieroty, którego wychowywała (o ile takiego chłopca jak Seth w ogóle dało się wychowywać; zdaniem Belindy to była udręka), nie było na zewnątrz. Wyjechali na cały dzień? Może, chociaż była pewna, że jeszcze koło południa widziała Audrey rozlazłym gestem ustawiającą na trawniku spryskiwacz. Zastanowiła się nad tym chwilę i uznała, że czas ustaliła prawidłowo. Przypomniało jej się, że pomyślała, iż Audrey się zaniedbuje - jej bluzka i szorty wyglądały nieświeżo; trudno też było pojąć, po co ta kobieta ufarbowała takie ładne, kasztanowe włosy na rudoczerwono. Jeśli miało ją to odmłodzić, okazało się żalonym niewypałem. Poza tym włosy domagały się mycia, były pozlepiane w strąki.

Jako nastolatka Belinda żalowała czasem, że nie jest biała - białe dziewczynki zawsze były takie rozbawione i wyluzowane - ale dziś, będąc już coraz bliżej pięćdziesiątki i klimakterium, cieszyła się, że jest czarna. Białe kobiety musiały w miarę starzenia się walczyć z rozpadem swych ciał o wiele usilniej niż czarne. Może były ulepione ze słabszej gliny.

- Próbowałem zadzwonić na policję - powiedział do Josephsonów Johnny Marinville.

Wyszedł na jezdnię, jakby chciał przejść przez ulicę na ich stronę, ale zatrzymał się. - Mój telefon... - Johnny umilkł, jakby nie wiedział, co mówić dalej.

Belindzie wydało się to wyjątkowo dziwne. Zawsze sądziła, że taki ktoś będzie miał ozorem jeszcze na łożu śmierci i Pan Bóg będzie zmuszony zabrać go w końcu za złote wrota, żeby się tylko zamknął.

- Co twój telefon? - zapytał Brad.

Marinville milczał jeszcze chwilę, najwyraźniej rozważając, jaką wybrać odpowiedź.

Wybrał zwięźłą:

- Nie działa. Spróbujesz ze swojego?

- Mogę - odparł Brad. - Ale podejrzewam, że Entragian już zadzwonił do nich ze sklepu.

Zajął się wszystkim.

- Naprawdę? Zajął się?

Johnny w zamyśleniu patrzył w dół ulicy. Jeżeli nawet spostrzegł mężczyzn targających szarpaną wiatrem folię i pojął, co chcą zrobić, nic nie powiedział. Wyglądało, że zatonał we własnych rozmyślaniach.

Uwagę Belindy przyciągnął jakiś ruch. Spojrzała ku Niedźwiedziej i zobaczyła dojeżdżającą do skrzyżowania oliwkowoszarą luminę. Auto Mary Jackson minęło stojącą na rogu żółtą furgonetkę, po czym zwolniło.

Udało ci się zdążyć przed deszczem, brawo - pomyślała Belinda. Choć trudno by je nazwać przyjaciółkami od serca, lubiła Mary Jackson nie mniej niż innych sąsiadów. Mary była dowcipna i rzeczowa, nosiła się szykownie, chociaż... ostatnio wyglądała na nieustannie zabieganą. Jednak nie wpłynęło to na jej wygląd tak jak w wypadku Audrey Wyler. Przeciwnie, Mary wydawała się rozkwitać niczym wyschnięty klomb po deszczu.

7

Automat telefoniczny wisiał obok stojaka z prasą, pustego, jeśli nie liczyć jednego egzemplarza USA Today i kilku numerów Shoppera z zeszłego tygodnia. Collie Entragian poczuł się nieswojo, uświadomiwszy sobie, że chłopiec, który miał za chwilę zapelnąć półkę świeżym wydaniem, leży teraz martwy na jego trawniku. A tymczasem ten zakichany sklepowy automat.

Rzucił słuchawkę na widelki, po czym podszedł do lady, ścierając z twarzy ręcznikiem resztki kremu do golenia. Cizia o dwukolorowych włosach i podstarzały hipis z półciężarówki Rydera przyglądali mu się bacznie, więc był boleśnie świadom tego, że jest bez koszuli. Czuł się wylanym gliną bardziej niż kiedykolwiek.

- Ten cholerny automat nie działa - zwrócił się do dziewczyny. Zauważył plakietkę z imieniem przypiętą do fartucha. - Nie mogłaś powiesić karteczki "zepsuty", Cynthia?
- Mogłam, ale o pierwszej jeszcze działał. Facet z piekarni dzwonił do swojej dziewczyny.
- Przewróciła oczami i dodała coś, co w tych okolicznościach wydało mu się niemal surrealistyczne: - Połknął panu monetę?

Tak było, ale nie miało to przecież znaczenia. Collie spojrzal przez sklepowe drzwi i zobaczył, że Peter Jackson i emerytowany weterynarz spod dwieście czterdziestego szóstego wchodzi na jego trawnik z plachtą niebieskiej folii. Było jasne, że zamierzają przykryć ciało. Ruszył ku drzwiom, chcąc im polecić, by trzymali się z daleka od miejsca przestępstwa - mogli przecież pozacierać ślady - lecz rozległ się kolejny grzmot, tak głośny, że zaskoczona Cynthia aż krzyknęła.

A, pieprzyć to - pomyślał. - Niech idą. I tak będzie padać.

Może tak właśnie będzie najlepiej. Gliny pewnie nie zdołają przed deszczem (nawet syren jeszcze nie słyhać), ewentualne ślady nadające się do zbadania przez biegłych i tak diabli wezmą, więc lepiej to przykryć... Wciąż jednak prześladowało go uczucie, że wydarzenia wymykają mu się spod kontroli. Nawet to zresztą było złudzeniem. Zdał sobie sprawę, że nie panował nad niczym od samego początku. Był po prostu jednym z wielu mieszkańców ulicy Topolowej. Miało to swoje plusy: gdyby schrzanił coś w procedurze, nie pójdzie to już do jego akt, bo ich nie ma.

Otworzył drzwi, wyszedł przed sklep, a potem zwinął dłonie w trąbkę, by przekrzyczeć wzmagający się wiatr.

- Peter! Panie Jackson! - zawołał.

Jackson odwrócił się ze ściągniętą twarzą; wiedział, że zaraz mu polecą przestać robić to, co robi.

- Nie dotykajcie ciała! - krzyknął Entragian. - Nie dotykajcie ciała! Rozciągnijcie to tylko nad nim, jak prześcieradło! Rozumiecie?

- Tak! - odkrzyknął Peter.

Doktor kiwał głową.

- W moim garażu jest kilka pustaków, tam z tyłu! - wołał dalej Collie. - Drzwi są otwarte. Przyciśnijcie nimi folię, żeby jej wiatr nie porwał!

Teraz obaj kiwali głowami i poczuł się nieco lepiej.

- Jak to rozciągniemy, to i rower by można przykryć! - krzyknął starszy pan. - Zrobić tak?

- Dobra! - odpowiedział Collie i przyszło mu do głowy jeszcze coś. - Ja też mam kawałek folii; leży w rogu! Można by zakryć psa, gdyby wam się chciało przynieść więcej pustaków!

Jackson pokazał mu uniesionym kciukiem, że w porządku, a potem obaj mężczyźni, zostawiwszy folię na ziemi, ruszyli do garażu. Collie miał nadzieję, że zdążą wrócić, by umocować plachtę, nim wiatr ją zwieje. Wrócił do sklepu, by zapytać Cynthię, czy mają służbowy telefon - oczywiście, że muszą mieć - i ujrzał, że już postawiła aparat na ladzie. Dobra z niej dziewczyna.

- Dzięki.

Podniósł słuchawkę, wystukał pierwsze cztery cyfry, po czym przerwał i pokręcił głową, śmiejąc się do siebie.

- Coś nie gra? - zapytał hipisowaty.

- Nie, nie.

Gdyby mu powiedział, że właśnie zaczął wykręcać numer swego byłego komisariatu - jak stary koń wracający odruchowo do stajni - tamten by nie zrozumiał. Rozłączył się więc i wybrał dziewięćset jedenaście.

W słuchawce rozległ się dźwięczny sygnał... sygnał, jakby telefonował do prywatnego mieszkania. Collie zmarszczył brwi. Gdy się dzwoniło na dziewięćset jednaście - chyba że zmienili to od czasu, gdy odbieranie zgłoszeń stanowiło część jego pracy - słyszało się wysoki, bezbarwny pisk.

No, po prostu zmienili i tyle - pomyślał. - Żeby umilić interesantom życie.

Po drugim sygnale ktoś odebrał. Lecz zamiast automatu, wyjaśniającego, jaki numer wewnętrzny z czym łączy, usłyszał ciche, nosowe sapanie. Co za cholera?

- Halo? - rzucił.

- Fant albo żart - oparł głos. Młody i jakiś niesamowity. Entragianowi aż dreszcz przebiegł po plecach. - Powąchaj moje nogi, daj mi coś zjeść, mój drogi. Jeśli nie dasz mi śniadania, dam ci gacie do wążania.

A potem rozległ się wysoki, chrapliwy chichot.

- Kto to?

- Nie dzwoń tu więcej, partnerze - rzekł głos. - Tak!

Trzask odkładanej słuchawki był tak ogłuszający, że usłyszała go nawet dziewczyna. I krzyknęła. To nie telefon - pomyślał policjant - to grzmot. Krzyknęła, bo usłyszała grzmot. Tymczasem długowłosego kierowcę pędził już do drzwi, jakby mu ktoś soli na ogon nasypał. Telefon w dłoni Entragiana milczał, całkiem jak tamten automat, nawet po wrzuceniu monety. A kiedy rozległ się kolejny trzask, Collie już wiedział, co to jest: nie grzmot, lecz strzały.

I też pobiegł do wyjścia.

8

Mary Jackson wyszła z biura rachunkowego, w którym pracowała, nie o drugiej, lecz o jedenastej. Nie pojechała jednak do centrum handlowego Crossroads Mall. Pojechała do

hotelu Columbus. Spotkała się tam z mężczyzną nazwiskiem Gene Martin i przez następne trzy godziny robiła z nim wszystko, co kobieta może robić z mężczyzną, z wyjątkiem obcinania paznokci u nóg. Zresztą to też by zrobiła, gdyby ją poprosił. A teraz była już prawie w domu i wyglądała (przynajmniej z tego, co widziała w lusterku auta) na całkiem już pozbieraną... chociaż zamierzała znaleźć się pod prysznicem jak najszybciej, zanim Peter zdąży się jej przyjrzeć zbyt dokładnie. Aha - przypomniała sobie - trzeba też wziąć parę majtek z szuflady i wrzucić je do kosza na brudy razem z bluzką i spódnicą. Te, które miała na sobie rano - to, co z nich zostało - znajdowały się aktualnie pod łóżkiem w pokoju dwieście trzy. Gene Martin, istna kwintesencja wilka w skórze księgowego, po prostu je z niej zdarł. Och ty brutalu - rzekła rusalka.

Pytanie tylko, co ona właściwie robi? I co zamierza? Kochała Petera przez dziewięć lat ich małżeństwa; po tym jak poroniła, nawet bardziej niż przed poronieniem, jeśli to możliwe, i nie przestała go kochać do dziś. To jednak nie zmieniało faktu, że już znowu pragnęła być z Gene'em i robić z nim rzeczy, których robienie z Peterem nawet by jej do głowy nie przyszło. Połowę jej duszy skulo lodem poczucie winy, drugą rozgrzała do czerwoności żądza. W środku zaś, w stale kurczącej się szarej strefie, była rozsądną, pogodną, racjonalnie myślącą kobietą, za jaką się zawsze uważała. Miała romans, i to w dodatku, cholera, z mężczyzną obarczonym rodziną jak ona. Wracala oto do domu, do dobrego męża, który niczego nie podejrzewał (była pewna, że nie; modliła się, żeby nie; oczywiście, że nie, no bo skąd), bez majtek pod spódnicą, wciąż jeszcze rozedrgana po wyczynach w hotelu, nie wiedząc nawet, jak to się właściwie wszystko zaczęło ani dlaczego ma ochotę ciągnąć coś tak głupiego i plugawego. Przeklęty Gene Martin. Chyba mu się we łbie poprzestawiało, tyle że oczywiście to nie jego łeb był obiektem jej zainteresowania. Łeb obchodził ją tyle co zeszłoroczny śnieg. I co teraz? Nie miała pojęcia. Jednego tylko była pewna: uczucia znanego narkomanom, którymi postanowiła nie pogardzać już nigdy w życiu. I co teraz? "Po prostu powiedz nie?" Mamo, ratuj.

Takie to chaotyczne myśli krążyły jej po głowie, kiedy jechała przez podmiejskie uliczki, przesuwał się za oknami niczym pejzaż ze snu. Miała nikłą nadzieję, że może Petera nie będzie w domu, że może poszedł po lody do "Milly na placu" (albo pojechał na parę tygodni do matki w Santa Fe; to by było super, to by jej dało szansę zwalczania tej okropnej gorączki). Nie spostrzegła, jak szybko się ściemnia tego popołudnia ani jak wiele aut mijających ją na drodze numer dwieście dziewięćdziesiąt ma włączone światła. Nie słyszała grzmotów, nie widziała błyskawic. I nie zauważyła także żółtej furgonetki, którą właśnie minęła na rogu Topolowej i Niedźwiedziej.

Wytrącił ją tej zadumy dopiero widok Brada i Belindy Josephsonów stojących przed domem. Był z nimi Johnny Marinville. Dalej w głębi ulicy ujrzała innych: na dróżce prowadzącej przez trawnik Davida Carvera z rękami na tłustych biodrach, w kąpielówkach tak kusych, że aż nieprzyzwoitych... bliźniaków Reedów... Cammie, ich matkę... Susie Geller z przyjaciółką na ich trawniku, a za nimi Kim Geller...

Uderzyła ją szalona myśl: oni wiedzą. Oni wszyscy wiedzą. Czekali na nią, a teraz pomogą Peterowi powiesić ją na dzikiej jabłonce albo ukamienować, jak tę kobietę w miasteczku z opowiadania Shirley Jackson, które czytała w szkole.

Czyś ty zgłupiała? - skomentowała to ta część jej świadomości, nad którą jeszcze panowała. Przerażliwie niewielka część, ale wciąż jeszcze istniejąca. - To nie o ciebie chodzi, Mary. Choćbyś wdepnęła nie wiem w jakie gówno, cały świat nie kręci się wyłącznie wokół twojej osoby, więc może rozchmurz się odrobinę, co? Pewnie nie wpadłabyś w taką paranoję, gdybyś nie była bez...

O cholera. Czy to Peter, tam na końcu ulicy? Nie miała jeszcze pewności, ale tak jej się zdawało. Peter i Stary Doktor, ich sąsiad. Coś przykrywali na trawniku naprzeciwko sklepu.

Piorun uderzył tym razem tak mocno, że aż podskoczyła i odebrało jej dech. Na przedniej szybie rozprysnęły się z metalicznym piaskiem pierwsze krople deszczu.

Uzmysłowiła sobie, że siedzi w aucie stojącym na rogu już od... nie wiedziała jak długo,

ale w każdym razie od dobrej chwili. Josephsonowie i Johnny Marinville pomyśleli pewnie, że jej odbiło. Tylko że świat rzeczywiście nie obracał się wokół niej. Skręciwszy za róg, skonstatowała, że tamci zupełnie nie zwracają na nią uwagi. Belinda ledwie na nią zerknęła i dalej, jak pozostali, patrzyła w dół ulicy na to, co robili mąż Mary z Doktorem. Na to, co przykrywali.

Chcąc też to zobaczyć, sięgnęła do włącznika wycieraczek, bo szybę zalewały kolejne - wielkie - krople deszczu. Nie zorientowała się przy tym, że żółta, "kosmiczna" furgonetka wjechała za hondą w Topolową i ustawiła się dokładnie za nią.

Fragment artykułu Johna P. Müllera "Patenty '94", z: "Do zabawy. Międzynarodowy magazyn handlowy przemysłu zabawkarskiego", styczeń 1994 (T. 94, nr 2), str. 96:

ROZDZIAŁ 4

Ulica Topolowa/16.09/15 lipca 1996

Johnny Marinville widzi wszystko.

Odkąd pamięta, jest to zarazem przekleństwem i błogosławieństwem jego życia.

Rzeczywistość przedstawia mu się - podobnie jak oczom dziecka - z bezstronną oczywistością światła, bez uprzedzeń, rozróżnień i ocen.

Widzi stojącą na rogu luminę Mary i wie, że kobieta usiłuje zrozumieć, co właśnie zobaczyła - zbyt wielu ludzi stojących w sztywnych, czujnych pozach, nie pasujących

zupełnie do tego leniwego, lipcowego popołudnia. Widzi, że kiedy Mary znów rusza, furgonetka, którą mijają lumina, podąża za nią. Słyszy kolejny gniewny huk grzmotu i czuje pierwsze chłodne krople deszczu na swych rozgrzanych przedramionach. Mary jedzie już ulicą, a on widzi, jak żółta furgonetka nagle przyspiesza, i wie, co się za chwilę stanie, choć jeszcze nie chce w to uwierzyć.

Uważaj, stary - przestrzega się w myśli. - Nie zagap się na nią za bardzo, bo cię rozjadą jak wiewiórkę.

Robi krok do tyłu, z powrotem na chodnik przed domem Josephsonów. Głowa nadal zwrócona w lewo, oczy szeroko otwarte. Dostrzega za kierownicą Mary, lecz kobieta nie patrzy na niego, ponieważ patrzy na ulicę. Pewnie już rozpoznała męża - nie dzieli go od niej zbyt duży dystans - i zastanawia się teraz, co on robi. Dlatego nie zauważa Johnny'ego. Nie zauważa też cudacznej żółtej furgonetki o odblaskowych szybach, wylaniającej się za jej plecami.

- Mary, uważaj! - krzyczy Johnny.

Brad i Belinda, wstępujący właśnie na schodki swego domu, obracają się na pięcie. W tej samej chwili wysoki, tępy przód furgonetki najeżdża na tył luminy. Rozpryskują się tylne światła, wygina kłapa bagażnika, pęka zderzak. Johnny widzi, jak głowa Mary leci w tył, a potem w przód, niczym szarpany silnym wiatrem kwiat na długiej lodyżce. Koła hondy piszczą i w prawym przednim pęka z głośnym hukiem opona. Samochód zarzuca w lewo, sflaczała opona wlecze się po ziemi, z felgi spada dekiel i leci ponad jezdnią niczym frisby Reedów.

Marinville widzi wszystko, słyszy wszystko, czuje wszystko; czuje impuls, by uporządkować ten obłądny natłok wydarzeń, jak gdyby były wewnętrznie spójne. Jakby była je w stanie uchwycić logiczna narracja.

Burzowe niebo rozdziera się wreszcie i zaczyna pozbywać swych zapasów zimnej wody. Johnny widzi, jak chodnik pokrywa się ciemnymi plamami, czuje krople bębniące mu po karku w coraz szybszym tempie i słyszy za plecami okrzyk Brada Josephsona:

- Rany boskie!

Furgonetka wciąż dobiera się do tyłka luminy, miażdży go, wgrzyza się w jego kruchą konstrukcję w stylu New Age. Rozlega się potworny metaliczny zgrzyt, z głośnym trzaskiem odskakuje zamek bagażnika i otwiera się kłapa, odsłaniając zapasowe koło, stare gazety i pomarańczową lodówkę turystyczną ze styropianu. Przód luminy wskakuje na krawężnik. Samochód przejeżdża przez chodnik i zatrzymuje się, rąbnawszy zderzakiem w płot pomiędzy posesją Billingsleya a domem Mary.

Błyskawica - blisko, bardzo blisko - zabarwia na moment ulicę trupim fioletem. Po niej jak śmiercionośne działo dudni grzmot. Wiatr przybiera na sile, gwizdże wśród gałęzi, a deszcz zmienia się w wodną kurtynę. Widoczność raptownie słabnie, lecz nie na tyle, by Johnny nie mógł dojrzeć, jak żółty pojazd, nabierając prędkości, znika w strugach deszczu, a w świetle otwierają się drzwiczki po stronie kierowcy. Wysuwa się z nich noga, a za nią cała Mary Jackson. Wygląda tak, jakby kompletnie nie miała pojęcia, gdzie się znajduje.

Brad ściska Johnny'ego za ramię swą wielką, bardzo moką teraz dłonią i pyta, czy to widział, czy on to widział, przecież ta furgonetka specjalnie ją stuknęła! Lecz Johnny prawie go nie słucha, spostrzega bowiem jeszcze jeden dziwny pojazd. Ten z kolei ma barwę błękitną, a na bokach wybrzuszenia i wklęsnięcia jak odcisnięte łyżką. Wylania się z burzy jak ryj prehistorycznej bestii. Deszcz spływa strumieniami po polaryzowanej, pochylej przedniej szybie pozbawionej wycieraczek, a Johnny nagle znów wie, co się za chwilę wydarzy.

- Mary! - wrzeszczy w kierunku oszołomionej kobiety oddalającej się od hondy na szpilkach chwiejnym krokiem, lecz jego głos ginie w kolejnej kanonadzie grzmotów.

Ona nawet nie patrzy w jego stronę. Deszcz spływa po jej twarzy jak nadmiar sztucznych łez w kiczowatym brazylijskim serialu.

- MARY, PADNIJ! - Johnny wyteża swe struny głosowe tak, że chyba mu zaraz popękają. - POD SAMOCHÓD!

I wtedy otwiera się przednia szyba niebieskiej furgonetki. Chowa się właściwie. Sunie w dół i chowa się w masce samochodu jak drzwi szklanej windy. Za nią jest mrok, a w tym mroku upiory. Dwa. Te istoty są nimi z pewnością, tak są szare, tak podobne jasnej mgłę, która okrywa krajobraz, zanim rozproszą ją pierwsze poranne promienie słońca. Ten za kierownicą ma na sobie mundur Armii Konfederackiej - Johnny jest tego niemal pewien - ale nie jest to człowiek. Pod kawaleryjskim kapeluszem widnieje baniaste czoło i dziwaczne, migdałowo wykrojone oczy; drgają usta wystające z twarzy niczym mięsisty róg. Jego towarzysz, choć też jest cały jasną, ulotną szarością, przynajmniej przypomina ludzką istotę. Ma koszulę z jeleniej skóry i biegnącą przez pierś taśmę ładowniczą. Twarz porasta mu coś przypominającego tygodniową brodę. Na tle nienaturalnie srebrzystej skóry ta szczecina wydaje się bardzo ciemna. Traper stoi, a w rękach trzyma ciężką, dwulufową strzelbę. Na oczach Johnny'ego unosi ją, wychyla się w stronę spływającego wodą i pełnego barw świata, który nie jest ani odrobinę jego światem, i szczyrzy zęby w uśmiechu. Spoza jego warg wylania się garnitur zębów, które z pewnością nigdy w życiu nie oglądały dentysty. Ta postać jak z sennych majaków kojarzy się z jakimś skretyniałym stworem zamieszkującym niedostępne bagna w kiepskim horrorze.

Nie, nie - myśli Johnny. - Kojarzy się faktycznie z filmem, ale nie tego rodzaju.

- MARY! - woła znów pisarz, a Brad obok niego też się wydziera: - MARY, UWAGA, ZA TOBĄ!

Ale Mary niczego nie dostrzega. Tymczasem osobnik w skórzanej koszuli otwiera ogień. Oddaje trzy strzały, repetuje po każdym i ponownie przystawia broń do ramienia.

Pierwsza kula, z tego co widzi Johnny, idzie w powietrze. Druga ścina antenę radiową luminy. Trzecia odłupuje Mary Jackson lewą połowę głowy. Kobieta robi mimo to kilka chwiejnych kroków w stronę domu Doktora, po szyi spływa jej krew, zalewając bluzkę, zmoknięte włosy palą się przez moment (Johnny to widzi; widzi wszystko), a potem odwraca się ku pisarzowi i patrzy na niego jednym, pozostałym jej okiem. Błyskawica rozplomienia to oko na chwilę, więc Mary wygląda, jakby w ostatniej sekundzie życia

wypełniała ją tylko elektryczność. A potem jej stopa wyskakuje z buta i kobieta pada do tyłu. Łabędzim lotem nurkuje w huk gromu, płomyki na jej włosach dogasają, głowa dymi niczym wciśnięty byle jak w popielniczkę niedopalek. Leży teraz na trawniku Billingsleya obok ceramicznego owczarka niemieckiego z nazwiskiem właściciela i numerem posesji, a gdy jej szeroko rozrzucone nogi nieruchomieją, Johnny spostrzega rzecz straszną, smutną i niewytłumaczalną jednocześnie: ciemne miejsce, które może oznaczać tylko jedno. Jak na ironię przez głowę, na podobieństwo neonu przesuwają się końcówka starego kawału: "Ten pan z bródką poderżnął sobie gardło!" Johnny parska śmiechem w deszcz. Oto żona Petera Jacksona, księgowa, zginęła właśnie z ręki upiora, który zastrzelił ją z furgonetki prowadzonej przez inną zjawę (kosmitę w konfederackim mundurze), i okazuje się, że nieszczęsna niewiasta umarła z gołym tyłkiem. To wszystko zupełnie nie jest śmieszne, ale chce mu się śmiać. Może dzięki temu powstrzymuje się od krzyku. Boi się, że jeśli zacznie krzyczeć, to nie będzie w stanie przestać.

Teraz polyskujący szaro typ za kierownicą błękitnej furgonetki odwraca się ku niemu i przez mgnienie Johnny chwytając jego wzrok, badawcze spojrzenie wielkich migdałowych oczu. Ma wrażenie, że gdzieś, kiedyś widział już tę istotę. To paranoja, oczywiście, tym niemniej uczucie jest bardzo silne. Trwa ledwie sekundę, potem furgonetka go mija. Przyjrzał mi się, nie ma co - myśli Johnny. - Ten stwór w masce (to na pewno maska) przyjrzał mi się i odnotował mnie sobie w pamięci, jak zagina się róg w książce, żeby potem wrócić do tego miejsca.

Strzelba wypala jeszcze dwukrotnie, ale Johnny początkowo nie widzi do czego, ponieważ zasłania mu furgonetka - zdaje mu się, że przez ryk burzy dobiega brzęk szkła, ale nic więcej. Lecz kiedy błękitny pojazd umyka w siekającą ulewę, Marinville spostrzega leżącego na podjeździe własnego domu, wśród odłamków szkła z rozbitego frontowego okna (nazywanego na przedmieściach widokowym), martwego Davida Carvera. Na środku jego brzucha rozlewa się spora czerwona kałuża, otoczona strzępkami białego mięsa, wyglądającymi jak skrawki łożu, i Johnny konstatuje, że czas Carvera jako urzędnika

pocztowego - nie wspominając już o jego czasie w charakterze podmiejskiego czyściciela samochodu - dobiegł kresu.

Niebieska furgonetka toczy się szybko do skrzyżowania. Gdy tam dojeżdża i skręca w prawo, w ulicę Niedźwiedzią, zaczyna wydawać się Johnny'emu fatamorgana, którą zgodnie z wszelką logiką powinna być.

- Jezu, patrzcie na niego! - krzyczy, wybiegając na ulicę Brad.

- Bradley, nie! - Belinda chce go złapać, ale jest już za późno.

Z dołu ulicy ruszają ku nim pod ostrym kątem bliźniacy Reedów.

Johnny wychodzi na jezdnię na zdrętwiałych, niepewnych nogach. Unosi rękę, widzi, że opuszki palców zbieleły mu już i pomarszczyły się od deszczu jak suszone śliwki (widzi wszystko, naprawdę wszystko; jakim cudem ten gość w masce z "Bliskich spotkań trzeciego stopnia" mógł mu się wydać znajomy?), odgarnia z oczu ociekające wodą włosy.

Błyskawica przecina niebo jak jasna rysa na ciemnym lustrze; ściga ją grzmot. Stopy chlupoczą Johnny'emu w tenisówkach i czuje zapach mokrego dymu ze strzelby. Za dziesięć czy piętnaście sekund dym zniknie, to pewne, opadnie nad ziemię i zmyje go zacinający deszcz, ale na razie wciąż tu jest, jakby chciał go odwieść od próby wyobrażenia sobie, że to wszystko mogło być przywidzeniem... czymś, co jego była żona Terry nazywała "skurczem mózgu".

No i widzi przecież cipkę Mary Jackson, tę cieszącą się największym wzięciem część damskiej anatomii, znaną w odległych, szkolnych latach jako "brodata małża". Nie chce tych myśli - nie chce widzieć tego, co widzi, jakby się kto pytał - ale nie on tu rządzi.

Wszelkie bariery w jego umyśle pękają, podobnie jak się to działo w czasie pisania (to stanowiło jeden z powodów, dla których przestał pisywać powieści; nie jedyny, ale istotny), upływ czasu powolnieje, podczas gdy percepcja się poszerza, aż wszystko zaczyna przypominać filmy Sergia Leone'a, w których ludzie umierają, jakby wpływali pod wodą na kule.

"Brzydki jesteś, mój Kubusiu - wraca myślą do głosu w telefonie. - Gryzłeś mamę po cycusiu". Dlaczego ten głos kojarzy mu się z postacią w dziwnym przebraniu i jeszcze dziwniejszej masce o migdałowych oczach?

- Co się tu wyrabia, na Jezusia Chrystusia pana naszego? - pyta jakiś głos za jego plecami. Inni zbiegli się wokół Davida Carvera, ale Gary Soderon przyszedł tutaj, na trawnik Starego Doktora. Ze swą bladą twarzą i kościstym ciałem wygląda jak chory na cholere w zaawansowanym stadium.

- Ale jaja, Johnny! Jada goście, jada, z góry i pod górę, lubię takie dziewczę, co ma dużą...

- Zamknij dziób, pijany dupku - mówi Johnny.

Zerka w lewo i widzi młodych Reedów z matką, Kim Geller z córką i rudą dziewczynę, której nie zna. Zgromadzili się wokół ciała Davida Carvera jak zawodnicy na boisku wokół sfaulowanego kolegi. Jest z nimi ta jędra, żona Gary'ego, ale przecież szpiegowała męża, znosi ją więc w stronę chez Billingsleya. Przystaje jednak, zafascynowana, gdyż oto otwierają się z hukiem drzwi Carverów i wypada z nich w ulewę Kirstie, niczym guwernantka ze starej powieści gotyckiej, wykrzykując przy wtórze grzmotów i błyskawic imię męża.

- Jak ty mnie nazwałeś? - powoli, jak niedorozwinięte dziecko wywołane do tablicy, pyta Gary.

Nie patrzy jednak na Johnny'ego ani nawet na tłumek zgromadzony na trawniku Carverów; patrzy na to, co odsłoniła zadarta spódnica zabitej Mary i konotuje w pamięci na przyszłość (może jako temat do rozmowy). Johnny czuje nieodpartą chęć walnięcia gościa w zęby.

- Nieważne - mówi. - Po prostu zamknij dziób i tyle.

Patrzy w prawo, w dół ulicy i widzi biegnącego w ich stronę Colliego Entragiana. Chyba ma na nogach różowe klapki łazienkowe. Za nim biegnie długowłosego faceta, którego Johnny widzi pierwszy raz w życiu, oraz nowa sprzedawczyni z samu. Cynthia, tak ma chyba na imię.

A jeszcze za tą grupką, pozostawiając szybko w tyle starego Toma Billingsleya i doganiając Cynthię, pędzi z obłędem w oczach dzielnicowy ekspert od Jamesa Dickeya i nowego realizmu Południa.

- Tatusiu! - przeszywający, rozpaczliwy krzyk dziewczynki.

Ellen Carver.

- Zabierzcie stąd te dzieciaki! - ostry, rozkazujący ton.

Brad Josephson.

Chwała mu za to, lecz Johnny nawet nie patrzy na Brada. Zbliża się Peter Jackson, który może nawet bardziej niż on z Garym Soderonem nie powinien oglądać tego, co tu widać, choć z pewnością, w przeciwieństwie do nich, widywał to już przedtem.

Łamigłówka logiczna z angielskiego jak znalazł - myśli Johnny. Przemyka mu przez głowę następne głupawe powiedzonko: "Mów pan głośniej, bo mi się błotnik telepie!" Nawet, kurwa, nie pamięta, z jakiego to kawału. Rozgląda się, chce mieć pewność, czy nikt poza Garym Soderonem nie zwraca uwagi na Mary. Nikt. To istny cud, który nie potrwa długo. Pochyla się, przekręca Mary na bok - Chryste, ależ się zrobiła ciężka po śmierci - i jej nogi się łączą. Białe udo ocieka wodą jak moknący na deszczu nagrobek. Marinville chwyta rąbek jej spódnicy, odwraca się specjalnie plecami, żeby biegnący z dołu nie widzieli, co robi. Słyszy już krzyki Petera: "Mary! Mary?" Na pewno zobaczył samochód, no jasne, zobaczył luminę z nosem w płocie.

- Dlaczego... - zaczyna Gary, lecz Johnny zamyka mu usta wściekłym spojrzeniem.

- Tylko coś powiedz, a rozwalę ci łeb - mówi. - Nie żartuję.

Gary patrzy nań tępawo, wręcz głupkowato, lecz po chwili jego twarz obleka się w wyraz lubieżnego zrozumienia, które przechodzi w udawaną powagę. Robi jednak gest zamykania ust na klódkę; to dobrze. Na dłuższą metę Gary i tak nie utrzyma tego w tajemnicy, lecz Johnny'ego Marinville'a owa dłuższa meta jeszcze nigdy w życiu nie obchodziła mniej niż w tej chwili.

Odwraca się ku posesji Carverów i widzi, że David Reed niesie na rękach ich córeczkę - wrzeszczącą i wierzgającą - w kierunku domu. Słodyczek Carver padła na kolana i zawodzi jak te kobiety, które słyszał dawno temu w wietnamskich wioskach (tyle że gdy w powietrzu jeszcze czuć dym wystrzałów, wcale się to nie wydaje tak dawno); oplotła szyję męża rękami i jego głowa zwisa do tyłu, dyndając ohydnie. Jeszcze straszniejszy jest jednak widok tego chłopczyka, Ralphiego, który stoi obok matki. W normalnych okolicznościach dzieciak jest niezmordowanym źródłem nieustannego jazgotu, kwintesencją obrzydliwego szczeniaka z gilami pod nosem, w tej chwili jednak wygląda jak figura woskowa; gapi się na swego martwego ojca z twarzą jakby rozpuszczoną w deszczu. Nikt go nie odciąga, ponieważ dla odmiany drze się teraz jego siostra. Ktoś jednak powinien to zrobić.

- Jim - zwraca się Johnny do drugiego z bliźniaków, podchodząc do auta Mary, żeby być słyszany bez podnoszenia głosu.

Chłopak przenosi na niego wzrok znad lamentującej kobiety i jej martwego męża. Jest oszolomiony.

- Zabierz Ralphiego do środka, Jim. Nie powinien tu stać.

Jim kiwa głową, bierze chłopca na ręce i rusza truchtem w stronę domu. Johnny czeka na krzyki protestu - Ralphie Carver, choć ma dopiero sześć lat, wie, że jego przeznaczeniem jest rządzić kiedyś światem - ale dzieciak zwisa w ramionach wysokiego nastolatka niczym szmaciana lalka o otwartych, nieruchomych oczach. Johnny jest zdania, że teza o wpływie traumatycznych wydarzeń z dzieciństwa na życie dorosłych ludzi została rozdęta ponad miarę przez pokolenie, które w okresie swego formowania się słuchało zbyt często płyt The Moody Blues; jednak ta sytuacja to co innego. Dużo czasu upłynie - myśli - nim głównym wyznacznikiem zachowań Ralphiego przestanie być widok martwego ojca leżącego na trawie i klęczącej przy nim w deszczu matki, podtrzymującej jego głowę i zawodzącej jego imię, jakby to go mogło wskrzesić.

Zastanawia się, czy nie odciągnąć Kirsten od zwłok - i tak trzeba to będzie później zrobić - lecz nim udaje mu się cokolwiek uczynić, pod dom Billingsleya dociera Collie Entragian z deptającą mu po piętach dziewczyną z E-Z Stop. Daleko za Cynthią sunie długowłosa, oddychając ciężko. Facet nie jest jednak tak młody, jak sugerowała to z daleka jego fryzura. Największe wrażenie wywierają na Johnnym Josephsonowie. Stoją na końcu podjazdu Carverów, trzymając się za ręce i wyglądają w tym deszczu jak Jaś i Małgosia z filmu wyreżyserowanego przez Spike'a Lee². Johnny'ego mija Marielle Soderon i przyłącza się do męża. Pisarz dochodzi do wniosku, że skoro Brad i Belinda mogą w pierwszym filmie dla dzieci Spike'a grać Jasia i Małgosię, to Marielle mogłaby zagrać czarownicę.

Całkiem jak w ostatnim rozdziale u Agathy Christie - myśli - kiedy to panna Marple albo Herkules Poirot wyjaśniają zagadkę, łącznie z tym, jak morderca po dokonaniu swego czynu wy dostał się z zamkniętej na klucz kabiny. Zeszliśmy się tu wszyscy z wyjątkiem Franka Gellera i Charliego Reeda, którzy jeszcze są w pracy. Impreza na całą ulicę. Uzmysławia sobie jednak, że nie jest to do końca prawda. Nie ma Audrey Wyler i jej siostrzeńca. W głowie majaczy mu cień jakiejś myśli. W przeblysku pamięci pojawia się kaszel przeziębionego dziecka, tak mu się wtedy zdawało - lecz zanim udaje mu się to uchwycić, zbadać, czy się z czymś wiąże (czuje, że tak, Bóg wie czemu), do auta Mary podchodzi Collie Entragian i mokrą od deszczu ręką chwyta Johnny'ego za ramię. Uścisk jest bolesny. Collie kieruje wzrok za niego, na posesję Carverów.

- Co... dwoje?... jak... Boże!

- Panie Entragian... Collie. - Johnny stara się mówić rzeczowo i nie krzywić z bólu. - Złamiesz mi rękę.

- Ojej. Przepraszam, stary. Ale...

Tamten wciąż przeskakuje spojrzeniem z zastrzelonej kobiety na zastrzelonego mężczyznę, Davida Carvera, po którego białych, odętych bokach spływają wijące się

strużki krwi. Entragian najwyraźniej nie może się zdecydować, na kim ma zatrzymać wzrok, toteż wygląda tak, jakby obserwował mecz tenisowy.

- Twoja koszula - mówi Johnny. Ależ beznadziejna zagrywka na początek rozmowy, myśli. - Zapomniałeś włożyć koszulę.

- Golilem się - tłumaczy Collie i przeciąga dłonią po krótkich, zmokniętych włosach. Ten gest - lepiej niż jakikolwiek inny - wyraża stan jego ducha, wykraczający już poza konsternację i przechodzący w totalne niemal rozkojarzenie.

- Panie Marinville, czy ma pan choć odrobinę pojęcia, co się tutaj wyprawia?

Johnny kręci głową. Ludzi się tylko nadzieją, że cokolwiek to było, już minęło.

Teraz zjawia się Peter, patrzy na żonę leżącą przed ceramicznym wilczurem Billingsleya i zaczyna wyć. Na dźwięk jego głosu na mokre ramiona Johnny'ego występuje świeża gęsia skórka. Peter pada na kolana przy zwłokach żony całkiem tak, jak Słodyczek Carver padła przy zwłokach męża i... a niech to, czyżby oto Johna Edwarda Marinville'a dopadł znów Ten Stary Nieuleczalny Kosmiczny Wietnamski Blues, czy co? Jeszcze tylko - myśli - brakuje nam Hendrixa w tle, grającego Purple Haze.

Peter wczepia się w martwą Mary. Johnny spostrzega, że Gary Soderson zastygł zafascynowany i czeka tylko, aż Peter odwróci ciało, żeby wziąć je w ramiona. Johnny czyta w myślach Gary'ego, jakby wyświetlał mu je na czole ruchomy neon: Co on sobie teraz pomyśli? Jak ją odwróci i nogi jej się rozejdą i zobaczy to, co zobaczy, co sobie skojarzy? A może nie ma tu żadnej sprawy, może ona po prostu zawsze tak chodzi po ulicy?

- MARY! - krzyczy Peter.

Nie odwraca jej (dzięki ci, Panie, za twe drobne dary), lecz unosi górną część tułowia do pozycji siedzącej. Znów wydaje okrzyk - nie jej imię tym razem, w ogóle nic rozpoznawalnego, tylko ryk pełnej zdumienia żalości - kiedy spostrzega, w jakim stanie jest jej głowa: brak jednej strony twarzy, połowa włosów spalona.

- Peter... - odzywa się Stary Doktor.

Wtem niebo rozcina długa elektryczna włócznia spływająca poprzez ulewę na ziemię. Johnny okręca się na pięcie, jest oślepiiony, lecz nadal (a jakże, a pewnie, a co) widzi wszystko znakomicie. Piorun rąbie w Topolową szybciej, niż gaśnie błyskawica. Jest tak głośny, że Johnny ma wrażenie, iż go ktoś trzepnął rękami po uszach. Widzi, że piorun uderzył pomiędzy posesje policjanta i Jacksonów, w opuszczony dom Hobartów.

Zdruzgotał ozdobny komin, zainstalowany przez Williama Hobarta w zeszłym roku, nim zaczęły się jego kłopoty i postanowił wystawić dom na sprzedaż. Od pioruna zapala się gontowy dach. Zanim jeszcze grzmot przestaje okładać ich swą pięścią, zanim nozdrza Johnny'ego zdążą wychwycić z powietrza znajomy zapach ozonu, nad opuszczonym domem wykwita korona płomieni. Ogień - prawie złudzenie optyczne - płonie wściekle w zacinającej ulewie.

- O jassna dupa - mówi Jim Reed, stojący wciąż przed drzwiami Carverów z Ralphiem w ramionach.

Dzieciak - zauważa Johnny - przerzucił się teraz na ssanie kciuka. Jest też jedyną poza nim samym osobą, która nie przygląda się już płonącemu domowi. Patrzy w górę ulicy. Johnny widzi, jak jego oczy rozszerzają się ze zdumienia i jak wyjmuje z buzi kciuk.

Zanim zaczyna wrzeszczeć z przerażenia, do uszu pisarza dobiegają dwa wyraźne słowa... i znów to obłądne, niesamowite uczucie, że są mu skądś znajome. Jakby ze snu.

- Senny Wędrowiec - mówi chłopiec.

Po czym, jak gdyby te słowa stanowiły magiczne zaklęcie, ciało Ralphiego traci swą nienaturalną woskową sflaczałość. Malec zaczyna krzyczeć ze strachu i wykręcać się w ramionach Jima Reeda. Chłopak jest zaskoczony, toteż upuszcza dzieciaka, który ląduje na tyłku. To musi boleć jak wszyscy diabli - myśli Johnny, ruszając bez zastanowienia w ich stronę; po małym jednak nie widać bólu, jedynie lęk. Wybaluszając oczy, nadal gapi się w górę ulicy. Jednocześnie zaczyna gorączkowo mlócić stopami o ziemię i odpychając się sunąć na siedzeniu w kierunku drzwi.

Marinville, który stoi już na początku podjazdu Carverów, odwraca się i widzi kolejne dwie furgonetki skręcające z ulicy Niedźwiedziej w Topolową. Ta na czele jest landrynkowo różowa i ma tak opływowe kształty, że kojarzy się Johnny'emu z gigantyczną landrynką o błyszczących oknach. Na dachu ma radar w kształcie walentynkowego serca. W innych okolicznościach można by ją nazwać słodką, teraz jednak robi tylko wrażenie cudacznej. Z obu stron landrynki wystają jakieś zagięte, aerodynamiczne kształty. Przypominają boczne pletwy albo może krótkie, pękate skrzydła.

Za tym pojazdem, który może się i nazywa (a może nie) Sennym Wędrowcem, sunie długi czarny wehikul z brzuchatą, przyciemnioną przednią szybą i muchomorowatą w formie, również czarną, wieżyczką na dachu. Ozdabiają ten hebanowy koszmar chromowane zygzaki kojarzące się natychmiast z niedbale tylko zamaskowanymi insygniami SS.

Pojazdy nabierają szybkości, ich silniki pomrukują niegłośnie, z rytmicznym zacięciem. W lewej burcie różowego samochodu otwierają się spore okienka w formie źrenic. Na dachu czarnej furgonetki, wyglądającej jak karawan usiłujący udawać lokomotywę, rozsuwa się muchomorowa kabina. Ukazują się w niej dwie postacie ze strzelbami. Jedna jest brodatą istotą ludzką. Podobnie jak kosmita z błękitnego pojazdu, ma na sobie zlachmaniony i postrzępiony mundur z wojny secesyjnej. Osobnik siedzący obok ubrany jest w innego rodzaju uniform: czarny, ze stójkowym kołnierzem, ugarnirowany srebrnymi guzikami. Podobnie jak chromy furgonetki, ubiór ten ma w sobie coś nazistowskiego. Co innego jednak przyciąga wzrok Johnny'ego i ścisza go za krtań tak, że więźnie w niej ostrzegawczy okrzyk.

Ponad stójką kołnierza nie ma nic, tylko pustka. On nie ma twarzy - przelatuje Johnny'emu przez głowę na sekundę przed tym, gdy z różowego i czarnego wehikulu zaczynają padać strzały. - On nie ma twarzy; to coś w ogóle nie ma twarzy.

I Johnny'emu Marinville'owi, który widzi wszystko, przychodzi na myśl, że może po prostu umarł. Że może trafił do piekła.

List Audrey Wyler (Wentworth, stan Ohio) do Janice Conroy (Plainview, stan Nowy Jork) datowany 18 sierpnia 1994 roku:

Droga Janice,

dziękuję Ci bardzo za telefon. Oczywiście za przysłanie kondolencji też, nie masz jednak pojęcia, jak dobrze było usłyszeć wczoraj Twój głos - jakbym się napiła chłodnej wody w upalny dzień. Albo raczej usłyszała głos kogoś normalnego, siedząc w domu dla obłąkanych!

Czy to, co mówiłam przez telefon, w ogóle miało dla Ciebie jakiś sens? Nie całkiem pamiętam. Odstawiłam prochy - "pieprzyć ten syf" - jak mówiliśmy w college'u - ale dopiero od paru dni i chociaż Herb bardzo się przykłada do pomocy, moje życie to ostatnio kompletny groch z kapustą. Zaczęło się to wszystko, kiedy zadzwonił kolega Billa, Joe Calabrese, i powiedział, że mój brat, jego żona i dwoje starszych dzieci nie żyją, że zastrzelili ich z samochodu. Ten człowiek, którego nigdy w życiu nie widziałam, płakał tak, że trudno go było zrozumieć, i był tak wstrząśnięty, że nie owijał niczego w bawełnę. Ciągłe powtarzał, jak mu strasznie wstyd, więc w końcu to ja jego musiałam pocieszać, ale przez cały czas myślałam: To musi być jakaś pomyłka, Bill nie mógł zginąć, miał być ze mną tak długo, jak będzie mi potrzebny. Wciąż jeszcze budzę się w nocy z tą myślą: To nie Bill, to jakiś żart, niemożliwe, żeby to był Bill. Z całego mojego życia przypominam sobie tylko jedną równie nienormalną sytuację, kiedy zachorowałam, jak byłam mała, a wszystkich dorosłych też wtedy rozłożyła grypa.

Poleciliśmy z Herbem do San Jose zabrać Setha i wróciliśmy do Toledo tym samym samolotem co ciała. Przewożą je w przedziale bagażowym, wiedziałaś o tym? Ja nie. I nie chciałam wiedzieć.

Pogrzeb okazał się jednym z najokropniejszych doświadczeń mego życia - chyba najokropniejszym. Te cztery trumny - brata, szwagierki, siostrzenicy i siostrzeńca - stojące rzędem, najpierw w kościele, a potem na cmentarzu, gdzie je położyli przy grobach na tych okropnych chromowanych szynach. Chcesz usłyszeć coś kompletnie wariackiego? Przez całą ceremonie na cmentarzu myślałam o moim miesiącu miodowym na Jamajce. Mają tam takie garby w poprzek jezdni, żeby nie jechać za szybko, nazywają to leżącymi policjantami. I nie wiem czemu, ale te trumny mi się z tym skojarzyły, z tymi leżącymi policjantami. No, przecież Ci mówiłam, że jestem stuknięta, prawda? Królowa Valium stanu Ohio 1994 to ja.

Na mszy w kościele były tłumy - Bill i June mieli mnóstwo przyjaciół - i wszyscy głośno lamentowali. Z wyjątkiem biednego małego Setha oczywiście, który nie może mówić. Albo nie chce, kto to wie? Siedział między mną i Herbem z dwiema zabawkami na kolanach - takim różowym samochodzikiem, który nazywa Seny Dłowiec, i ruchomą figurką z tego autka, całkiem seksowną rudą kobietą zwaną Cassandra Styles. To są zabawki wzorowane na takim serialu rysunkowym pod tytułem "MotoGliny 2200", a nazwy tych cholernych furgonetek (o przepraszam. Wozów Mocy, niech im tam), to jedno z nielicznych słów wypowiedzianych przez Setha, które da się zrozumieć. "Pączek mi kupi" to drugie; trzecie to "Seth nocnika", co oznacza, że trzeba pójść z nim - jest nauczony, ale ma bardzo dziwne zwyczaje łazienkowe.

Mam nadzieję, że się nie zorientował, że msza oznacza, iż cała reszta jego rodziny nie żyje, że odeszli na zawsze. Herb jest pewien, że nie ("Dzieciak nie ma nawet pojęcia, gdzie jest" - powiada), ale ja się zastanawiam. To piekło autyzmu, prawda? Nigdy nie masz pewności, oni coś tam nadają, ale Bóg podłączył ich do takiego telefonu z zagłuszarką i na drugim końcu słyszy się tylko belkot.

Jedno Ci powiem - przez ostatnie parę tygodni nabrałam od nowa szacunku dla Herba Wylera. Załatwił dosłownie wszystko łącznie z transportem i nekrologami w Columbus Dispatch i Toledo Blade. No i przyjął Setha do siebie tak jak on, bez słowa skargi - nie dość, że sierotę to jeszcze autystyka - nie wiem, albo on sam jest taki niesamowity, albo robi to dla mnie. Wybieram to pierwsze. I wygląda na to, że ten nieszczęsny chłopczyk naprawdę go obchodzi. Czasami patrzy na niego z takim przejęciem; kto wie, może nawet go kocha, Zaczyna, w każdym razie.

Jest to tym bardziej zadziwiające, tak uważam, kiedy się pomyśli, jak niewiele takie dziecko jak Seth może dać w zamian. Najczęściej przesiaduje w piaskownicy, którą Herb mu zrobił, gdy tylko wróciliśmy z Toledo. Wygląda jak pokurczony rodzynek w kształcie dziecka, a nie da się ubrać w nic innego, tylko w piżamkę w MotoGliny (ma też pudełko śniadaniowe z nimi). Mamrocze pod nosem te swoje bzdurki i bawi się furgonetkami i tymi ruchomymi figurkami, szczególnie tą seksowną rudą w niebieskich szortach. Te zabawki trochę mnie martwią, ponieważ - jeśli jeszcze Cię nie przekonałam, że mi odbiło, to to Cię przekona - ja nie wiem tak naprawdę, skąd on je ma, Jan! Seth z pewnością nie miał tak drogich samochodzików, kiedy ostatnio byłam u Billa i June w Toledo (patrzyłam w "Toys R Us", te rzeczy z MotoGlin są naprawdę BARDZO drogie), tyle Ci mogę powiedzieć Poza tym to nie są zabawki, na które Bill i June by się zgodzili, oni woleli kupować raczej rzeczy w stylu "Ulicy Sezamkowej" niż "Gwiezdných wojen", zresztą ku niezadowoleniu dzieci. Biedny Seth nic mi nie powie, to pewne, zresztą to chyba i tak nieważne. Znam nazwy tych furgonetek i figurek tylko dlatego, że co sobotę rano oglądałam tę bajkę razem z nim. Szef tych złych nazywa się Pusta Twarz, naprawdę jest trés wstrętny.

On jest taki dziwny (to znaczy Seth, nie Pusta Twarz, he, he), Nie wiem, czy Herb też tak bardzo to czuje jak ja, ale wiem, że trochę czuje. Czasem mi się zdarza przyłapać Setha, gdy mi się przygląda (oczy ma tak ciemnobrązowe, że właściwie czarne) i przechodzi mnie taki niesamowity dreszcz - jakby ktoś mi przejechał po kręgosłupie jak po

ksylofonie, No i odkąd Seth z nami zamieszkał, wydarzyło się też parę dziwnych rzeczy. Nie śmieję się, ale kilka razy pojawiły się takie zjawiska jak w historiach o duchach, które czasem pokazują w tych inscenizowanych programach, Herb mówi na to "pokazy psycho". Szkło spada nam z półek, kilka szyb w oknach pękło bez powodu, a w piaskownicy Seta pojawiają się w nocy takie dziwne spirale. Wyglądają jak niesamowite, surrealistyczne obrazy z piasku. Następnym razem przyślę Ci kilka zdjęć z polaroida, jak nie zapomnę. Wierz mi, Jan, nikomu oprócz Ciebie bym o tym nie powiedziała. Dzięki Bogu wiem, że Cię to interesuje i że zachowasz dyskrecję!

Seth przeważnie nie sprawia kłopotu. Najbardziej denerwujące w jego obecności jest to, jak on oddycha. Nabiera powietrza takimi niechlujnymi haustami, zawsze przez usta, które ma wiecznie otwarte. Szczeka mu wisi prawie do pasa i wygląda jak jakiś wioskowy głupek, którym przecież nie jest, chociaż ma takie problemy z sobą. Któregoś dnia wpadł do nas pan Marinville z naprzeciwka, przyniósł ciasto bananowe, które sam upiekł (całkiem przyjemny z niego gość jak na kogoś, kto napisał książkę o człowieku mającym romans z własną córką i jeszcze dał jej tytuł "Rozkosz"), i posiedział: trochę z Sethem, który miał akurat przerwę w piaskownicy, żeby obejrzeć "Bonanzę". Pamiętasz to jeszcze? Na TNT co dzień po południu dają powtórki (nazwali to "Popołudniowe przyjęcie w Ponderosie", czy nie fajnie?); Seth to uwielbia. "Komboj, komboj" - powtarza, kiedy się zaczyna. Pan Marinville, który lubi, żeby nazywać go Johnnym, oglądał z nami film przez sporą chwilę, jedliśmy we trójkę ciasto i popijaliśmy czekoladę jak starzy kumple, a kiedy przeprosiłam za ten oddech Seta (głównie oczywiście dlatego, że ja sama dostaję od tego szału), Marinville się roześmiał i mówi, że to nie wina Seta, tylko jego migdałków. Nie jestem nawet pewna, co to są te migdałki, ale chyba trzeba będzie pójść z Sethem do lekarza. Dzięki Bogu za ubezpieczenia Cross and Shield. Jedną rzecz mnie męczy i dlatego właśnie załączyłam to ksero z widokówki, którą brat mi przysłał z Carson City tuż przed śmiercią. Pisze, że nastąpiła poprawa - niesamowita poprawa, jak on to określił - jeśli chodzi o Seta. Dużymi literami to napisał, z

mnóstwem wykrzykników. Sama zobacz. Byłam ciekawa, rozumiesz, więc go o to spytałam, kiedy potem zadzwonił. To chyba był dwudziesty siódmy czy dwudziesty ósmy lipca; ostatni raz wtedy z nim rozmawiałam. Jego reakcja była bardzo szczególna, bardzo niepodobna do Billa. Najpierw długa cisza, a potem śmiech, ale taki sztuczny, "ha, ha, ha". Tak się to pisze, ale przecież naprawdę nikt się w ten sposób nie śmieje, chyba że na jakichś nudnych przyjęciach. "Wiesz, Aud - mówi - chyba trochę przesadziłem z tą historią".

Nic więcej nie chciał na ten temat powiedzieć, ale gdy go przycisnęłam, twierdził, że Seth wydawał się radośniejszy, bardziej był z nimi od momentu, gdy wjechali do Colorado na tyle, że było już widać Góry Skaliste. "Wiesz, jak on zawsze lubił westerny i występy kowbojskie w telewizji" - mówił Bill, chociaż jeszcze wtedy nie wiedziałam. Ale teraz wiem. Świr na punkcie kowboi, szeryfów i zasadzek w kanionach, to właśnie młody Seth Garin. Bill powiedział, że Seth chyba rozumiał, że nie jest na prawdziwym Dzikim Zachodzie, bo widział samochody i przyczepy kempingowe, ale i tak "ta sceneria bardzo go podnieciła". Tak uważał Bill.

Pewnie bym to tak zostawiła, gdyby nie mówił tak niepewnie, tak jakoś śmiesznie, jak nie on. Zna się przecież swoich krewnych, prawda? Przynajmniej tak się człowiekowi zdaje. Bill zawsze albo kipiał życiem i był wylewny, albo zamykał się w sobie i dąsał. Nie było niczego pośrodku, a podczas tej rozmowy cały był jakby pośrodku. Więc cisnęłam go dalej, czego normalnie bym nie robiła. Powiedziałam, że NIESAMOWITA POPRAWA sugeruje jakieś pojedyncze wydarzenie. A on na to, że faktycznie, coś się wydarzyło w pobliżu Ely, jednego z niewielu większych miast na północ od Las Vegas, Minęli właśnie drogowskaz do miasteczka o nazwie: Desperation (jakaż to urocza nazwa dla miejscowości: Rozpacz; aż się chce tam pojechać, co?), gdy Seth "zaczął się wyglupiać". Tak to określił Bill. Jechali szosą numer pięćdziesiąt, to zwykła droga, nie autostrada, a po lewej, na południe od szosy, biegła jakaś olbrzymia hałda ziemi czy coś takiego.

Bill pomyślał, że to może być ciekawe, ale nic poza tym. Natomiast Seth - kiedy się odwrócił w tamtą stronę i to zobaczył - dostał szału. Wymachiwał rękami i bleblał coś w tym swoim języku. Mnie to się zawsze kojarzy z taśmą puszczoną od tyłu.

Bill, June i dwoje starszych dzieci nie sprzeciwiali mu się. Zawsze tak robią - robili - kiedy się podniecał i próbował mówić, co się zdarzało rzadko, tym niemniej się zdarzało.

Rozumiesz, takie: "Tak, tak, Seth; jasne, Seth, masz rację; to naprawdę niesamowite, Seth" itd. I przez cały czas, kiedy to mówią, ten nasyp czy skarpa zostaje coraz bardziej z tyłu.

No i w końcu Seth - uważaj tylko - zaczyna mówić, nie belkocze, tylko mówi po angielsku. Naprawdę "Stań tato, wróć - mówi. - Seth chce zobaczyć górę, zobaczyć Hossa i Małego Joe". Hoss i Mały Joe, - w razie gdybyś zapomniała, to są dwaj z głównych bohaterów "Bonanzy",

Bill stwierdził, że Seth powiedział wtedy więcej normalnych słów niż przez całe swoje życie. Też już z nim jestem jakiś czas i wiem, że to naprawdę niezwykle dla niego, wypowiedzieć wyraźnie tyle słów naraz. Ale żeby zaraz "wspaniały przelom"? Nie chcę być złośliwa ani nic takiego, ale Mowa Gettysburska to przecież nie była, prawda? Nie klapowało mi to wtedy i nie klapuje do dziś. Bill na tej kartce jest taki nabuzowany. Jakby mu odbiło, a przez telefon brzmiał jak jakiś człowiek-kokon z "Inwazji pożeraczy ciał". No i jeszcze jedno. Napisał na kartce "reszta później", jakby me mógł się doczekać, żeby to z siebie wyrzucić, ale kiedy zadzwonił, musiałam wszystko z mego wyciągać. Dziwy! Bill powiedział, że to, co się stało, przypomniało mu stary kawał o małżeństwie, które myślało, że ich syn jest niemową. I któregoś dnia ten syn - ma już jakieś sześć lat - odzywa się nagle przy obiedzie; "Mamo, mogę dostać jeszcze jedną kukurydżę?" Rodzice przyskakują do niego i pytają, czemu do tej pory nigdy nic nie mówił. A on na to: "Bo nie miałem nic do powiedzenia". Opowiedział mi ten kawał (ma taką brodę jak stąd do równika) i znów się roześmiał tym sztywniackim śmiechem z przyjęcia u cici: ha, ha, ha. Jakby to zamykało temat raz na zawsze. Ale ja nie dałam za wygraną.

"I co, spytałeś go, Bill?" - pytam.

"O co?" - on na to.

"No, dlaczego nie mówił".

"Ale on przecież mówił".

"Nie tak jak tym razem. Tak jeszcze nigdy nie mówił, dlatego taki byłeś podekscytowany, jak pisałeś tę kartkę, prawda czy nie?" - Już zaczynałam być na niego wściekła. Nie wiem dlaczego, ale tak było. - "Więc spytałeś go, czemu nigdy dotąd nie sklecił poprawnie dziesięciu czy piętnastu słów po angielsku, czy go nie spytałeś?"

"No nie - mówi Bill. - Nie spytałem".

"A zawróciłeś? Zabrałeś go do Desperation, żeby sobie obejrzał ranczo w Ponderosie, czy co tam chciał?"

"Nie mogliśmy, Aud" - odpowiedział po kolejnej chwili milczenia.

To przypominało grę w szachy z komputerem, kiedy się czeka na odpowiedź na naprawdę mocne posunięcie. Nie podoba mi się, że w ten sposób mówię o moim bracie, którego kochałam i którego będzie mi brakowało do końca życia, ale chcę po prostu, żebyś zrozumiała, jaka dziwna była ta nasza ostatnia rozmowa. Prawda jest taka, że w ogóle nie miałam wrażenia, że rozmawiam z bratem. Chciałabym móc to jakoś wytłumaczyć, ale nie wiem jak.

"Co to znaczy: nie mogliście?" - zapytałam jeszcze.

"To znaczy, że nie mogliśmy" - on na to. Chyba trochę był na mnie wkurzony, ale nie przejmowałam się; przynajmniej mówił trochę bardziej jak on. - "Chciałem zdążyć do Carson City przed zmrokiem; gdybym zawrócił i pojechał do tego miasteczka, którym Seth się tak ekscytował, tobym nie zdążył. Wszyscy mi powtarzali, że ta szosa numer pięćdziesiąt potrafi być bardzo zdradliwa po zmierzchu, me chciałem narazić rodziny na niebezpieczeństwo" .

Całkiem jakby jechał przez pustynię Gobi, a nie przez środkową Nevadę.

No i to już wszystko. Jeszcze trochę rozmawialiśmy j w końcu Bill mówi: "Trzymaj się, kotuś", tak jak zawsze. I to były jego ostatnie słowa do mnie... w każdym razie na tym

świecie. "Trzymaj się", tak zwyczajnie. A potem wyparował, bo jakiś palant zastrzelił go z samochodu. Cała rodzinę zastrzelił z wyjątkiem Setna. Policja nawet jeszcze nie potrafiła ustalić kalibru broni, z której strzelano, mówiłam Ci o tym? W życiu nigdy nie ma zakończeń jak w filmach i książkach. Jest takie pokielbaszone.

Jednak ta ostatnia rozmowa nie daje mi spokoju. A najbardziej ten idiotyczny sztuczny śmiech. Bill - mój Bill - nigdy w życiu się tak nie śmiał.

Nie tylko ja zresztą zauważyłam, że coś z nim jest nie tak. Jego przyjaciel Joe, ten, do którego pojechali, powiedział, że cała rodzina była jakaś niepozbita, z wyjątkiem Setha. Rozmawiałam z Joem w biurze pogrzebowym, kiedy Herb załatwiał transport. Joe powiedział, że myślał, że może mają gripę albo się czymś zarazili. "Tylko nie ten mały - powiedział. - Temu nigdy nie brakowało wigoru, ciągle siedział w piaskownicy z zabawkami".

No, już dość się napisałam -- pewnie aż za wiele. Ale przemyśl to wszystko, co? Rusz tą swoją zmyślną mózgowicą, bo ta sprawa NAPRAWDĘ MNIE GRYZIE! Z Herbem nie ma co gadać, mówi, że to zagłuszanie smutku. Myślałam, czyby nie porozmawiać z Johnnym Marinville'em z naprzeciwka - jest miły i wygląda na spostrzegawczego - ale za mało go znam. Więc pozostałaś mi tylko Ty. Rozumiesz mnie, prawda?

Kocham Cię, Jan, i tęsknię. I czasami, szczególnie ostatnio żałuję, że nie jesteśmy znów młodzi, a wszystkie znaczone karty, które ma dla nas życie, nie są jeszcze schowane głęboko w talii. Pamiętasz, jak to w college'u człowiekowi się zdawało, że będzie żył wiecznie, a jedyne, co go zaskakiwało, to to, że znów ma ten kretyński okres?

Muszę kończyć, bo się rozplaczę.

Całusów sto tysięcy (albo i więcej)

Aud

ROZDZIAŁ 5

1

Tego popołudnia, zanim jeszcze świat wpadł do piekła jak urwane z łańcucha wiadro do studni, Collie Entragian, stojąc z gołym torsem przed lustrem w łazience, powziął trzy poważne postanowienia. Pierwsze, że zacznie się codziennie golić. Drugie, że przestanie codziennie pić, przynajmniej dopóki nie stanie znów na nogi - upijał się stanowczo za często, potem był niespokojny i to się musi skończyć. Po trzecie, że musi przestać się oציagać ze znalezieniem nowej pracy. W Columbus i okolicy działały trzy firmy ochroniarskie, w dwóch z nich pracowali jego znajomi i czas, by wreszcie ruszyć sprawę

do przodu. W końcu przecież jeszcze nie umarł. Trzeba przestać skamleć i zacząć znowu żyć.

A teraz, kiedy dom Hobartów smażył się przepięknie, a ulicą nadjeżdżały dwa dziwaczne pojazdy, jedyną jego myślą było, żeby się w ogóle przy życiu utrzymać. Szczególnie czarna furgonetka, sunąca za różową, elektryzowała wszystkie jego instynkty pragnieniem natychmiastowej zmiany miejsca pobytu, najlepiej na Mongolię Zewnętrzną. Uchwycił tylko rozmazany deszczem zarys postaci w czarnej wieżyczce, ale już sam wehikuł mu wystarczył. Wygląda jak karawan z filmu science fiction - pomyślał.

- Do środka! - usłyszał swój krzyk; jakaś jego część nadal najwyraźniej chciała wydawać rozkazy. - Wszyscy do środka, ale już!

Nie miał w tym momencie na myśli grupki otaczającej nieboszczyka pocztowca i jego lamentującą głośno żonę - Josephsonów, pani Geller, Susi, jej przyjaciółki i pani Reed; jakby stracił ich z oczu. Marinville, ten pisarz, był nieco bliżej, lecz Collie i jego nie dostrzegali. Swą uwagę zogniskował na drugiej grupie, stojącej przed domkiem Starego Doktora. Byli to: Peter Jackson, Sodersonowie, sprzedawczyni, długowłosa z ciężarówką, no i sam Doktor, weterynarz, który rok wcześniej przeszedł na emeryturę, nie mając zielonego pojęcia, że czeka go w życiu coś takiego.

- No już! - wrzasnął Collie na Gary'ego, gapiącego się nań z półprzytomną, moką twarzą. Miał w tej chwili ochotę zabić tego człowieka, po prostu odciągnąć go i zatłuc, spalić albo cokolwiek.

- Właż, kurwa, do domu!

Usłyszał, że Marinville za jego plecami wykrzykuje to samo, choć pewnie miał raczej na myśli dom Carverów.

- Co... - zaczęła Marielle, stając u boku męża.

A potem spojrzała poza niego i jej oczy zaczęły się rozszerzać. Uniosła ku twarzy rozczapierzone dłonie, otworzyła usta i przez sekundę Collie miał wrażenie, że kobieta zaraz padnie na kolana i zacznie odstawiać Ala Jolsona śpiewającego Mammy. Zamiast

tego zaczęła krzyczeć. Wtedy napastnicy - zupełnie jakby czekali tylko na ten sygnał - otworzyli ogień. Tych zgrzytliwych, zwartych eksplozji nikt już nie mógł pomylić z piorunami.

Długowłosey chwycił Petera Jacksona za prawy nadgarstek i usiłował go odciągnąć od żony. Ale Peter nie chciał jej puścić. Wciąż zawodził, był chyba zupełnie nieświadom tego, co się wokół niego dzieje. Rozległo się ogłuszające pach!, a po nim brzęk rozbijanego szkła. Potem bum! - jeszcze głośniejsze i okrzyk, bólu lub trwogi. Collie stawał tym razem na trwogę. Trzecia eksplozja i ceramiczny wilczur Billingsleya zniknął od łap w górę. Wewnętrzne drzwi domu Starego Doktora - za siatkowymi, ozdobionymi pośrodku kunsztownym "B" - były otwarte. Ten ciemny, prostokątny otwór wydawał się teraz odległy o całe kilometry, jak wejście prowadzące do bezpiecznej jaskini.

Collie podbiegł najpierw do Petera, nie myśląc wcale, że robi coś odważnego; po prostu skierował się najpierw tam. Kolejny huk. Entragian odruchowo napiął plecy i pośladki w oczekiwaniu śmiertelnego być może ciosu, podczas gdy umysł już go informował, że - tym razem przynajmniej - był to grzmot. Ale tylko tym razem. Rozległo się następne pach!, jak smagnięcie bicia i coś przeorało powietrze tuż przy jego prawym uchu.

Pierwszy raz do mnie strzelają - pomyślał. - Dziewięć lat w policji, dopóki mnie nie naszli i nie zniszczyli wszystkiego (czterech krawężników, czterech w cywilu i jeden z wywiadu), i nigdy do mnie nikt nie strzelał, dopiero dziś.

Znowu eksplozja. Jedno z okien salonu Billingsleya wpadło do środka, białe zasłony zatrzepotały niczym ramiona ducha. Teraz strzelby za plecami Entragiana grzmiały już jak artyleria, bam-bam-bam-bam, kolejna kula śmignęła tuż obok jego lewej dłoni, zrobiła w okładzinie pod wybitym oknem otwór, który Colliemu skojarzył się z wielkim, wystraszonym okiem. Następny pocisk przeleciał mu koło biodra. Nie mógł uwierzyć, że jeszcze go nie zabili. Czuł swąd palącej się cedrowej okładziny domu i zdążyło mu się jeszcze przypomnieć, jak pachniały tłące się sterty liści, które w październikowe popołudnia palił wraz z ojcem na podwórku.

Biegł już, cholera, całe godziny; czuł się, cholera, jak gliniana kaczka na strzelnicy, i nawet jeszcze nie dotarł do Jacksona. Co się tu, kurwa, wyprawia?

Strzelanina wybuchła jakieś pięć sekund temu - poinformowała go chłodniejsza część jego umysłu. - Może tylko trzy.

Hipisowaty wciąż szarpał Petera za rękę. Dołączyła do niego dziewczyna, Cynthia, lecz Peter opierał się im bardzo skutecznie. Chciał zostać przy żonie, która wykoncypowała sobie moment powrotu do domu tak źle, że gorzej już nie można.

Wciąż nabierając szybkości (potrafił całkiem nieźle posuwać, kiedy naprawdę chciał), Collie pochylił się i w biegu uchwycił klęczącego mężczyznę pod lewą pachą. Jedzie pociąg z daleka - pomyślał. Ale Peter szarpnął się do tyłu i cała trójka nadal nie mogła go odciągnąć od żony. Ręka Colliego zaczęła się wyślizgiwać. O kurwa - pomyślał. - A kij nam wszystkim w oko. I kawałek szkła.

Za jego plecami, u Carverów, znów rozległ się krzyk. Kątem oka Collie spostrzegł różową furgonetkę, która już ich minęła i przyspieszała, podążając w dół, ku Hiacyntowej.

- Mary! - wrzasnął Peter. - Ona jest ranna!

- Biorę się za nią, Peter, nic się nie martw, już jestem! - zakrzyknął radośnie Stary Doktor.

Choć tak naprawdę nie zrobił niczego - przebiegał po prostu obok rozpostartego na ziemi ciała Mary, ledwie na nią spojrzawszy - Peter skinął głową. Wyraźnie mu to ulżyło.

Ton głosu zadziałał - pomyślał Entragian. - Ten idiotycznie wesoly ton głosu Doktora.

Hipisowaty zaczął się teraz naprawdę przydawać. Przede wszystkim złapał Petera w pasie i był to lepszy pomysł niż z nadgarstkiem.

- Puść, gościu - zwrócił się do Jacksona. - Chociaż troszkę.

Peter zignorował go. Spoglądał na Colliego wielkimi, szklistymi oczami.

- On się nią zajmie, tak? Stary Doktor jej pomoże, prawda?

- Jasne, że tak! - zawołał Collie. Próbował naśladować pokrzepiający ton lekarzy, używany podczas szpitalnych obchodów, ale słyszał tylko strach. Różowy pojazd już odjechał, lecz

czarny wciąż tu był. Toczył się powoli, prawie stanął. Dwie jasne, niemal fosforyzujące postacie nadal widniały w wieżycze. - Billingsley...

Z lewej wpadła na niego Marielle Soderson. Omal nie zwała go z nóg, gdy pędziła do drzwi domu Doktora. Z prawej przemknął Gary, trąc ramieniem dziewczynę ze sklepu, aż opadła na jedno kolano i krzyknęła z bólu, wykrzywiwszy usta.

Prawdopodobnie skręciła sobie kostkę. Gary nawet na nią nie spojrzął, interesowała go wyłącznie główna nagroda. Dziewczyna podniosła się w mgnieniu oka. Nadal krzywiła twarz z bólu, lecz dzielnie trzymała rękę Petera, nadal starała się być pomocna.

Dwukolorowa czy nie, Collie zaczął czuć dla niej podziw.

Sodersonowie pędzili naprzód. Sekundę czy dwie to trwało, nim pojęli w czym rzecz, lecz wreszcie zaskoczyli.

Rozległ się kolejny huk. Długowłose złapał się za prawą nogę, krzyknąwszy ze zdumienia i bólu. Collie ujrzał przeciekającą mu przez palce krew, zadziwiająco wyraźną w szarym półmroku burzy. Dziewczyna patrzyła na niego z szeroko otwartymi oczami i ustami.

- Nic mi nie jest - oznajmił hipis, odzyskując równowagę. - To tylko zadraśnięcie.

Ruszajmy się!

Peter zaczął wreszcie stawać na nogi, tak dosłownie, jak w przenośni.

- Co tu się, kurwa... wyprawia? - zapytał Colliego.

Mówił jak narkoman.

Zanim Entragian zdążył cokolwiek odpowiedzieć, z czarnej furgonetki padł ostatni strzał i rozległ się gwizd - gotów był przysiąc - artyleryjskiego pocisku. Marielle Soderson, która dotarła już do werandy (Gary zdążył zniknąć w środku, taki z niego dżentelmen), krzyknęła i zarzuciła ją w bok, na drzwi. Jej lewe ramię skoczyło w górę, jakby pozbawione kości. Krew trysnęła na aluminiową okładzinę ściany i zaczęła spływać z potokami wody. Collie usłyszał krzyk sprzedawczyni i poczuł, że sam zaraz wrzaśnie. Kula trafiła Marielle w ramię i niemal całkowicie oderwała jej lewą rękę. Ramię obwisło i dyndało niepewnie na lśniącem skrawku ciała naznaczonym myszką. Myszka - skaza,

którą być może Gary zwykł całować z miłością w swych młodszych, mniej zapitych latach - czyniła to wszystko bardziej rzeczywistym. Marielle stała w wejściu zawodząc, z ręką wiszącą u boku jak drzwi nie do końca wyrwane z zawiasów. Czarna furgonetka za jej plecami teraz też przyspieszyła, zamykając po drodze połówkę wieżyczki. Zniknęła w deszczu i dymie, snującym się od pustego domu Hobartów, gdzie dach dzielił się teraz swym płomiennym podarunkiem ze ścianami.

2

Miała dokąd pójść.

Czasem uznawała to za uśmiech losu, czasem (ponieważ wszystko trwało przez to dłużej, diabelska gra mogła się toczyć dalej) za przekleństwo. Tak czy inaczej, tylko dzięki temu nadal pozostawała sobą, przynajmniej częściowo. Tylko dzięki temu nie została wyzarta od środka na żywo. Tak jak Herb. Choć Herbowi na końcu udało się ostatni raz przyjść do siebie. Udało mu się przyjść do siebie na tyle, żeby zejść do garażu i strzelić sobie w głowę.

Chciała w to wierzyć.

Czasem jednak nie była na tyle głupia. Rozmyślała wtedy o tych nie kończących się wieczorach przed strzałem w garażu, patrząc na Seta siedzącego na swoim krzeselku, które ozdobili z Herbem nalepkami jeźdźców na koniach, gdy się zorientowali, jak bardzo chłopiec uwielbia "komboi". Seth siedział sobie, ignorując telewizor (chyba że dawali akurat western albo coś kosmicznego) i wpatrywał się w Herba tymi swoimi okropnymi, błotnistobrunatnymi oczami, oczami stworzenia, które spędziło całe życie w bagnie. Siedział na krześle, udekorowanym przez kochającą ciocię i wujka w dawnych czasach, czasach sprzed koszmaru. W każdym razie zanim się zorientowali, że to koszmar. Siedział i wpatrywał się w Herba. Na nią prawie nie patrzył, przynajmniej nie wtedy. Patrzył na

niego. Myślał, że na niego. Wysysał go do cna, jak wampir w filmowym horrorze. Ten stwór we wnętrzu Setha to przecież wampir, prawda? A film to ich życie tutaj, na ulicy Topolowej. Na Topolowej, Bożesz Ty mój, gdzie każdy miał chyba w domu choć jedną płytę z balladami The Carpenters. Gdzie są tacy mili sąsiedzi, którzy rzucają wszystko, kiedy słyszą przez radio, że potrzebna jest krew grupy zero, i nie mają pojęcia, że Audrey Wyler, spokojna wdowa mieszkająca między Sodersonami i Reedami, ma teraz własny horror, w którym gra główną rolę.

W lepsze dni zdawało jej się, że Herb, którego poczucie humoru stanowiło tyleż zasłone co bodziec do działania dla tego, co wlało w Setha, trzymał się na tyle długo, iż mógłby jeszcze uciec. W gorsze wiedziała, że wszystko to bzdura, że Seth wykorzystał Herba do końca, a kiedy już nic nie zostało, posłał go do garażu z programem samozniszczenia migającym w głowie jak neon w oknie knajpy.

Choć oczywiście to nie był Seth. Nie ten Seth, który czasem (w dawniejszych latach) obejmował ich i obdarzał krótkim pocałunkiem otwartą buzią, co sprawiało wrażenie pękającej na policzku bańki mydlanej. "Jem komboj" - oznajmiał niekiedy, siedząc w swoim specjalnym krzeselku. Słowa wypływały nagle z niezrozumiałego zwykle bełkotu, dając im obojgu poczucie, choć przelotne, że do czegoś jednak dochodzą: "Jestem kowbojem". Tamten Seth był słodki i kochany, nie tyle pomimo swego autyzmu, co częściowo dzięki niemu. Tamten Seth był jednak również medium, podobnie jak zakażona krew, która równocześnie żywi wirusa i go przenosi.

Wirusem natomiast - owym wampirem - był Tak. Niewielka pamiątka z Wielkiej Pustyni. W wersji Billa rodzina Garinów nie zawróciła do Desperation, nie zatrzymała się, by sprawdzić, co jest za nasypem, którego widok tak pobudził Setha, że na krótko porzucił swój zwykły bełkot i przemówił normalną angielszczyzną. "Nie mogliśmy tego zrobić, Aud - mówił Bill. - Chciałem koniecznie dotrzeć do Carson City przed zmrokiem". A jednak Bill kłamał. Wiedziała o tym z listu, który jej przysłał człowiek nazwiskiem Allen Symes.

Symes był inżynierem-geologiem w Kompanii Górniczej "Ziemskie Głębie" i widział rodzinę Garinów dwudziestego czwartego lipca 1994 roku, w dniu, w którym brat Audrey wysłał do niej tę radosną kartkę. Symes zapewniał ją w liście, że nie wydarzyło się nic szczególnego; po prostu zabrał Garinów nad krawędź wielkiego wyrobiska górniczego (zejście na dół stanowiłoby naruszenie przepisów Komisji Bezpieczeństwa Górniczego - napisał) i zapoznał ich nieco z historią tego miejsca, a potem ruszyli w dalszą drogę. Jego relacja była w porządku, tyleż nudna co wiarygodna. W normalnych okolicznościach Audrey nie zakwestionowałaby z niej ani słowa. Wiedziała jednak coś, o czym pan Allen Symes z Desperation w Nevadzie nie miał pojęcia: Bill twierdził, iż się w ogóle nie zatrzymywali. Oświadczył, że po prostu pospieszyli swoją drogą, ponieważ chciał znaleźć się w Carson City przed zmrokiem. A skoro Bill skłamał, czy nie jest możliwe - wręcz prawdopodobne - że skłamał również Symes?

Sklamał, że co? Skłamał, że co?

"Stań tatusiu, wróć. Seth chce zobaczyć górę".

Czemu mnie okłamałeś, Bill?

Na to akurat pytanie miała odpowiedź: Bill skłamał, ponieważ Seth go do tego zmusił. Pomyślała, że Seth musiał stać przy telefonie podczas jej rozmowy z Billem i ten stwór w nim obserwował człowieka, którego nie uważał już za swego ojca. Obserwował go tymi błotnistymi oczami, które powinny raczej wyglądać spod jakiegoś pniaka na mokradłach. Billowi pozwolono powiedzieć tylko to, co chciał Tak. Jak osobie, która mówi z pistoletem przystawionym do głowy. Recytował więc te niezdarne kłamstwa i śmiał się sztucznym śmiechem z imienin u cioci: ha, ha, ha.

To coś we wnętrzu Setha zżarło w końcu Herba żywcem, a teraz usiłowało zjeść i ją. Lecz ona różniła się od Herba w sposób zasadniczy: miała dokąd pójść. Odkryła to chyba przypadkowo, a może z pomocą Setha - prawdziwego Setha - i pozostało jej tylko się modlić, żeby Tak nigdy nie dowiedział się, co ona robi i dokąd się udaje. Żeby potwór nie poszedł za nią do jej sanktuarium.

W maju osiemdziesiątego drugiego roku, kiedy miała dwadzieścia jeden lat i była jeszcze panną Audrey Garin, spędziła cudowny weekend - chyba najwspanialszy weekend swego życia - w hotelu-schronisku na górze Mohonk w stanie Nowy Jork. Pojechała tam z koleżanką z pokoju (i swoją najlepszą przyjaciółką, wtedy i na zawsze), Janice Goodlin. Wycieczka stanowiła prezent od ojca Jan, który otrzymał nagrodę pieniężną od firmy za wyniki sprzedaży i awansował dwa czy trzy szczeble w służbowej hierarchii. Jeżeli było jego intencją podzielenie się z kimś swym szczęściem, to w wypadku obu młodych kobiet powiodło mu się to znakomicie.

W sobotę tego czarodziejskiego weekendu wzięły ze sobą lunch (zapakowany przez kuchnię w cudowny, staroświecki kosz wiklinowy) i maszerowały godzinami, szukając najlepszego miejsca na piknik. Zwykle gdy się tak robi, niczego się nie znajduje. Lecz im się poszczęściło. Była to przepiękna, dzika łąka na wyżynie, pełna jaskrów, stokrotek i dzikiej róży. Rozbrzmiewała brzęczeniem pszczół, a białe motyle tańczyły w ciepłym powietrzu jak zaczarowane konfetti nie opadające nigdy na ziemię. Na jednym krańcu tej łąki odkryły dziwną, kopulastą budowlę. Janice stwierdziła, że zwie się to glorieta albo świątynka dumania i że w okolicy Mohonk jest ich mnóstwo. Miejsce to było zadaszone, żeby dawało cień i schronienie, lecz ze wszystkich stron otwarte, dla widoków i świeżego powietrza.

Dziewczyny najadły się po uszy, nagadały za wszystkie czasy i trzy razy uśmieły się do lez. Audrey chyba już nigdy potem nie śmiała się tak serdecznie i szczerze. Na zawsze zapamiętała długie, pełne światła letnie popołudnie i tańczące białe płatki motyli skrzydeł.

To do tego miejsca powracała, gdy Tak ujawniał się w pełni; gdy w pełni zawiadywał Sethem. To tam się kryła, razem z Janice, wówczas jeszcze Goodlin, nie Conroy, Janice jeszcze młodą. Czasami opowiadała Jan o Secie - jak się pojawił i został u nich, jak ani Herb, ani ona nie spostrzegli i nie podejrzewali (przynajmniej na początku), że coś ukrywa się w jego wnętrzu, owo coś, zachowujące się bardzo cicho, obserwujące ich na

razie i zbierające siły, czekające, by się ujawnić. Czasem wspominała też Jan, jak bardzo brak jej Herba i jak bardzo się boi... jaka się czuje uwięziona, niczym mucha w pajęczynie lub kojot we wnykach.

Tego rodzaju rozmowa wydawała jej się jednak niebezpieczna, toteż starała się trzymać z daleka od takich tematów. Najczęściej odtwarzała więc w wyobraźni słodkie błahostki owego odległego dnia z czasów, gdy nie dobiegła jeszcze końca pierwsza kadencja Reagana, a w sklepach muzycznych można było kupić normalne, winylowe płyty. A więc takie sprawy jak to, czy Ray Soames, aktualny chłopak Jan, okaże się uważającym kochankiem (egoistyczna świnia - poinformowała ją Jan rzeczowo trzy tygodnie później, tuż przed pokazaniem przystojnemu gwałtownikowi drzwi), gdzie która będzie pracować, ile będą mieć dzieci i komu z kręgu ich przyjaciół najlepiej się powiedzie.

A podszyte było to wszystko wielką, choć niewypowiedzianą - być może nie miały odwagi powiedzieć tego głośno, żeby nie zepsuć - radością. Cieszyły się tą chwilą, swym niezbyt wyjątkowym u tak młodych kobiet dobrym zdrowiem i miłością, którą do siebie czuły. To na tych właśnie sprawach, a nie na swych obecnych kłopotach koncentrowała się Audrey, kiedy czuła, że Tak wgryza się w nią swymi niewidzialnymi, lecz boleśnie ostrymi ząbkami, usiłując pasożytować na niej, pożywić się. Chroniła się wówczas w tym pełnym miłości jasnym dniu, który nie zawiódł jej jak dotąd - jako kryjówka i oparcie. Jak dotąd, jeszcze żyła.

A co więcej, jak dotąd nadal była sobą.

Tam na łące pomieszanie i mrok rozpuszczały się. Wszystko było czyste: szare, pooblukiwane kolumnienki podtrzymujące dach gloriety, rzucające wąskie, wyraźne cienie; stół (równie obluczony), przy którym siadywały na przeciwległych drewnianych ławeczkach, poryty inicjałami, najczęściej zakochanych par; koszyk piknikowy stojący na ziemi, otwarty, lecz już całkiem opróżniony, ze sztuczcami i plastikowymi pojemnikami popakowanymi starannie na powrotną drogę do hotelu. Widziała złotawą poświatę na

włosach Jan, widziała zaciągniętą nitkę na lewym rękawie jej bluzki. Słyszała każdy okrzyk każdego ptaka z osobna.

Nie zgadzała się w tym obrazie tylko jedna rzecz. Na stole, w miejscu, gdzie stał w trakcie rozpakowywania koszyk z prowiantem, stał teraz czerwony, plastikowy telefon. Audrey miała dokładnie taki sam jako pięcioletnia dziewczynka. Bawiła się nim, prowadząc długie i obłądnie nonsensowne rozmowy ze swoją niewidzialną przyjaciółką nazwiskiem Melissa Sweetheart.

Podczas niektórych wizyt w świątynce na słuchawce telefonu wytłoczone było słowo PLAYSKOOL - nazwa firmy produkującej zabawki edukacyjne. W inne dni z kolei (zwykle w te najbardziej straszne, a takich bywało ostatnio sporo) widniało na niej słowo krótsze i o wiele bardziej złowieszcze: imię samego wampira.

Był to więc takofon, który - jak dotąd przynajmniej - nigdy nie zadzwonił. Audrey umyśliła sobie, że jeśli kiedyś telefon się odezwie, będzie to oznaczało, że Tak odkrył jej tajemne, bezpieczne schronienie. Była pewna, że jeśli tak się stanie, to będzie jej koniec. Jeszcze przez jakiś czas będzie mogła oddychać i jeść, tak jak Herb, ale koniec tak czy inaczej nastąpi.

Od czasu do czasu próbowała zmusić takofon, żeby zniknął. Przyszło jej do głowy, że jeśli się pozbędzie tego cholerstwa, wówczas stwór czyhający na nią po nieparzystej stronie ulicy Topolowej wyniesie się z jej życia na dobre. Jednak pomimo wszelkich usiłowań nie była w stanie pozbawić telefonu realności. Czasem nawet sam zniknął, ale nigdy wówczas, gdy nań patrzyła lub o nim myślała. Spoglądała na przykład w roześmianą twarz Jan (przyjaciółka opowiadała, jaką czasem miała straszną ochotę rzucić się Rayowi Soamesowi w ramiona i obcałowywać jego twarz, a kiedy indziej znów - szczególnie gdy przyłapała go, jak ukradkiem dłubie w nosie - pragnęła, by poczołgał się w kąt i tam szczel) i gdy zerknęła znowu na stół, widziała, że blat jest pusty, że czerwony telefonik zniknął. A to oznaczało, że Tak również zniknął, przynajmniej na pewien czas, że śpi (albo chociaż drzemie) lub się wycofał. Często wówczas wracała na Topolową i

znajdowała Seta usadowionego na sedesie i wpatrującego się w nią dziwnie nieprzytomnym, lecz przynajmniej rozpoznawalnym jako ludzki wzrokiem. Najwyraźniej Tak nie lubił przebywać w pobliżu swego gospodarza, gdy ten miał w brzuchu rewolucję. Dziwne, nieomal ziemskie grymaszenie - uważała Audrey - jak na tak bezlitosnego i okrutnego stwora.

Teraz właśnie zerknęła na stół i telefonu nie było.

Wstała więc i Jan - młoda Jan, mająca jeszcze obie piersi - przerwała natychmiast swoją paplaninę, po czym utkwiała w przyjaciółce smutne spojrzenie:

- Tak wcześniej?

- Przepraszam - oparła Audrey, choć nie miała pojęcia, czy jest wcześniej, czy później.

Dowie się, gdy wróci i spojrzy na zegar. Kiedy przebywała tutaj, samo pojęcie zegara wydawało się śmieszne. Łąka położona na zboczach góry Mohonk była w maju osiemdziesiątego drugiego roku błogosławioną strefą bezzegarową; nic tu nie tykało.

- Może któregoś dnia uda ci się usunąć ten przeklęty telefon i zostać - rzekła Jan.

- Może. Przyjemnie by było.

Czy naprawdę przyjemnie? Nie wiedziała tego. Musiała zresztą opiekować się małym chłopcem. No i jeszcze coś: nie zamierzała na razie się poddawać, a przeniesienie się na stałe do maja osiemdziesiątego drugiego oznaczałoby właśnie rezygnację z walki. Poza tym kto wie, jak by się czuła na tej górskiej łące, wiedząc, że musi tu zostać na zawsze? W tych okolicznościach jej niebo mogłoby się okazać piekłem.

Sytuacja jednak wciąż się zmieniała, i to nie na lepsze. Po pierwsze Tak z upływem czasu wcale nie słabł, na co głupio liczyła. Jeśli już, to raczej rósł w siłę. Telewizor grał bez przerwy, nadając w kółko te same programy i stare seriale ("Bonanza", "Człowiek z karabinem"... no i "MotoGliny 2200", a jakże). Postacie z tych filmów zaczęły robić na niej wrażenie jakichś obłąkanych demagogów, zagrzewających niespokojny motłoch do ohydnych czynów. Coś się miało zmienić, i to niedługo. Była tego niemal pewna. Tak coś planował... jeżeli w ogóle można uznać, że on planuje, że myśli. Określenie "zmienić"

wydawało się tu zbyt łagodne. Oczekiwała raczej, że wszystko wywróci się zaraz do góry nogami i przekreśli na lewą stronę. Oczekiwała czegoś w rodzaju trzęsienia ziemi. A jeśli tak się stanie, gdy tak się stanie...

- Ucieknij - powiedziała z błyskiem w oku Jan. - Przestań myśleć i po prostu to zrób, Aud. Otwórz drzwi, jak Seth będzie spał albo srał, i spieprzaj stamtąd w cholerę. Wynieś się z tego domu. Wypierdalaj jak najdalej od tego stwora!

Pierwszy raz się zdarzyło, że Janice uznała za stosowne coś jej radzić, i zszokowało to Audrey. Nie wiedziała, co odpowiedzieć.

- Ja... pomyślę o tym - odparła.

- Tylko nie myśl za długo, mała. Coś mi się zdaje, że kończy ci się czas.

- Muszę już iść.

Audrey, poruszona, zerknęła jeszcze raz na blat stołu, by się upewnić, że telefonu nadal tam nie ma. Nie było.

- No tak. W porządku, Aud, bywaj - głos Jan zdawał się teraz dobiegać z oddali, jej postać rozplywała się jak duch.

Kiedy traciła barwy, zaczynała bardziej kojarzyć się z realną kobietą, oczekującą, iż Audrey do niej dołączy. Kobieta z amputowaną piersią i wąskim, często małostkowym spojrzeniem na wiele spraw.

- Wróc niedługo. Mogłybyśmy sobie pogadać o "Sierżancie Pepperze", o Beatlesach...

- Dobrze.

Audrey wyszła z altanki i obserwując piruety motyli, spojrziała w dół zbocza, w stronę skalnej ściany porośniętej dziką różą. Przez przymglone niebo przeleciał pomruk grzmotu. Bóg zsyłał znad gór Catskills ulewę z piorunami. Nic dziwnego; czemuś tak doskonałemu jak to ich popołudnie nie pozwolono by trwać zbyt długo. "Wszystko złoto musi odejść"... który poeta to powiedział? Nieważne. Janice Goodlin-Conroy nauczyła się już, że zwrot ten ma w sobie tyleż prawdy, co poezji. Audrey Garin, po czasie, także.

Odwróciła się, by spojrzeć na chmury, lecz zamiast czola wiosennej burzy nad Catskill Mountains, ujrzała własny salon, obskurny i domagający się sprzątnięcia. Pod wszystkimi meblami zalegał kurz, wszystkie szklane powierzchnie popaćkane były odciskami palców, masłem czy rozlaną oranżadą, a może wszystkim tym naraz. W powietrzu unosił się zaduch upału i potu, przede wszystkim jednak spaghetti z puszki i odsmażanych hamburgerów. Jej niesamowity stołownik żywił się bowiem wyłącznie hamburgerami ze spaghetti lub makaronem Franco-American z puszki, tym w kształcie literek i zwierzątek. Wróciła.

I było jej zimno. Przyjrzała się sobie i stwierdziła, że jest ubrana tylko w szorty i tenisówki. Niebieskie szorty oczywiście, ponieważ takie właśnie nosiła najczęściej Cassandra Styles, a Cassie była ulubioną postacią Setha wśród MotoGlin. Ręce, przeguby, kostki, łydki miała brudne. Biała gładka bluzka bez rękawów, którą włożyła rano (nim jeszcze nad nią zapanował; od tego momentu wracała i odchodziła, ale częściej to Tak przejmował nad nią władzę, kierował nią niczym swoją własną kolejką elektryczną), leżała teraz rzucona niedbale na kanapę. Sutki Audrey pulsowały.

Znów mnie zmusił, żebym się szczypała - pomyślała, podchodząc do kanapy i wkładając bluzkę. - Dlaczego? Dlatego, że Cary Ripton, ten chłopak rozwożący Shoppera, widział ją półnagą? Możliwe. Prawdopodobnie dlatego. Pamiętała to mgliście, jak zwykle, lecz była niemal pewna, że tak właśnie było. Tak był na nią zły... zaczął wymierzać karę... i wtedy odeszła, usunęła się w bajeczny świat dawnych, szczęśliwych dni. Kiedy tylko on wrócił do swojej nory, czyli oddzielonej arkadą wnęki, w której stał telewizor. I do oglądania tych przeklętych filmów.

To szczypanie przejmowało ją lękiem. Ból był nie większy niż przy innych okazjach, nie wspominając o pomniejszych, wstrętnych upokorzeniach - w tej dziedzinie Tak był prawdziwym artystą - jednak szczypanie sutków miało wyraźny podtekst erotyczny. No i to, jak była ubrana... czy raczej rozebrana. Gdy się na nią rozgniewał albo zwyczajnie się nudził, coraz częściej zmuszał ją do rozbierania się. Jak gdyby (on, czy Seth, czy obaj)

widział w niej swoją własną, powiększoną wersję silnej i twardej, lecz nieodmiennie hożej Cassie Styles. Hej, chłopaki, chcecie sobie pomacać po cyckach waszą faworytę z MotoGlin?

Nie miała prawie rozeznania w stosunkach łączących pasożyta z jego żywicielem; to jeszcze pogarszało sytuację. Sądziła, że Setha bardziej interesują kowboje niż kobiece piersi, w końcu miał zaledwie osiem lat. Ale ile lat miało to coś w jego wnętrzu? I czego pragnęło? Można się było domyślać rzeczy znacznie poważniejszych niż szczypanie. Wolą ich nawet nie dopuszczać do świadomości. Chociaż niedługo przed śmiercią Herba...

Nie. Nie będzie o tym myślała.

Zapinając guziki bluzki, spojrzała na kominkowy zegar. Dopiero szesnasta piętnaście; Janice miała rację, dziwiąc się, że "tak wcześnie". Pogoda jednak faktycznie się zmieniła, Catskill Mountains czy nie. Pioruny były, błyskawice błyskały, a deszcz siekł o szybę frontowego okna z taką siłą, że wyglądał jak dym.

W norze grał telewizor. Oczywiście znów ten film. Okropny film; nienawidziła go. "Regulatorzy", już czwarta kopia. Pierwszy raz kupił go w Video Clipie w centrum handlowym Herb na miesiąc przed swoim samobójstwem. Ten stary film okazał się, sama nie rozumiała dlaczego, ostatnim kawałkiem w układance, ostatnią cyfrą w kombinacji.

Uwolnił w pewnym sensie Taka, czy też zogniskował go, podobnie jak szkło powiększające może zogniskować światło i przekształcić je w płomień. Skąd jednak Herb miał wiedzieć, że tak się stanie? Skąd oboje mieli wiedzieć? Wtedy dopiero zaczęli podejrzewać istnienie Taka. Działał już wówczas na Herba - teraz już to rozumiała - ale czynił to bezgłośnie, podobny pijawce, która wczepia się w człowieka pod wodą.

- Chce mnie pan wypróbować, szeryfie? - chrząkał Rory Calhoun.

- Jeszcze możemy się z tego wycofać. Dać sobie czas na zastanowienie - mruknęła machinalnie pod nosem Audrey.

- Jeszcze możemy się z tego wycofać - powiedział John Payne z telewizora. W łączącej oba pomieszczenia arkadzie migotała poświata ekranu. - Dać sobie czas na zastanowienie. Podeszła na palcach do wejścia, wpychając bluzkę pod pasek niebieskich szortów (jednej z kilkunastu par, samych ciemnoniebieskich z białą lamówką na bocznych szwach; czego jak czego, ale niebieskich szortów w Casa Wyler nie brakowało), i zajrzała do środka. Seth siedział na kanapie, miał na sobie brudną piżamkę w MotoGliny. Ściany, wyłożone przez Herba boazerią sosnową w najlepszym gatunku, podziurawione były gwoździami, które Seth znalazł w garażu. Niektóre deski popękały wzdłuż. Na wbite byle jak gwoździe Seth ponadziewał wycięte z różnych czasopism ilustracje. Przedstawiały najczęściej kowboi, kosmonautów, no i oczywiście MotoGliny. Pomiędzy nimi przyczepił trochę własnych, rysunków, głównie pejzaży malowanych czarnym flamastrem. Stolik przed kanapą zastawiony był szklankami z resztkami mleka czekoladowego Hershey, stanowiącego jedyny napój Seta/Taka. Na szklankach leżały w stosach talerze z nie dokończonym jedzeniem. Były to wyłącznie ulubione posiłki Seta: spaghetti z hamburgerem Chef Boyardee z puszki, makaron z hamburgerem Chef Boyardee z puszki i zupa pomidorowa. Też z puszki. Z wystającymi nad powierzchnię zastygającego płynu kawałkami hamburgerów przypominała atole na Pacyfiku spalone kolejnymi próbami nuklearnymi.

Seth miał oczy otwarte, lecz nieobecne - obaj z Takiem dokądś się wynieśli, i dobrze. Może zmieniali baterie albo spali z otwartymi oczyma jak jaszczurka na nagrzanym kamieniu, a może po prostu przyswajali ten cholerny film na jakimś głębszym, bardziej podstawowym poziomie, do którego Audrey nigdy nie zdoła dotrzeć myślą. Ani nie zapragnie. Prawda była po prostu taka, że gównu ją obchodziło, gdzie on (czy to) - przebywał. Puszczani po raz stumilionowy w Casa Wyler "Regulatorzy" mieli jeszcze lecieć przez około dwadzieścia minut i Audrey pomyślała sobie, że przynajmniej na tyle spokoju może liczyć. Zdąży zjeść kanapkę i napisać parę linijek w dzienniku, za którego prowadzenie Tak pewnie mógłby ją nawet zabić - to znaczy, gdyby o tym wiedział.

Ucieknij. Przestań już o tym myśleć i zrób to, Aud.

Zatrzymała się w połowie drogi przez salon, zapominając na razie o salami i sałacie w lodówce. Usłyszała ten głos tak wyraźnie, że przez chwilę miała wrażenie, że zabrzmiał nie tylko w jej głowie. Przez tę krótką chwilę czuła, że Janice wróciła razem z nią z roku osiemdziesiątego drugiego i jest teraz w pokoju. Kiedy się jednak odwróciła otwierając szeroko oczy ze zdumienia, nie zobaczyła nikogo. Głosy dobiegały jedynie z telewizora. Rory Calhoun odpowiadał Johnowi Payne'owi, że czas rozmów się skończył, a John Payne na to: "No dobra, skoro sam tego chcesz". Zaraz wbiegnie pomiędzy nich Karen Steele, krzycząc, żeby przestali, natychmiast przestali. Zostanie zabita kulą z rewolweru Calhouna, kulą przeznaczoną dla Payne'a, i rozpocznie się ostatnia strzelanina filmu. Pach i bum aż do samego końca.

Nie ma nikogo, tylko ona i ci martwi kolesie z telewizora.

Otwórz po prostu drzwi i zwiewaj stamtąd w diabły.

Ile to już razy o tym myślała? Ale przecież był Seth. On też stał się zakładnikiem, może nawet bardziej niż ona. Jego autyzm nie zmieniał faktu, że jest istotą ludzką. Nie chciała nawet myśleć o tym, co Tak mógłby z nim zrobić, gdyby postawiła na chłopcu krzyżyk.

Seth nadal istniał, w całości, była tego świadoma. Pasożyty żywią się swymi gospodarzami, ale ich nie zabijają... chyba że muszą. Bo się wkurzyły, na przykład.

Zresztą i o sobie też musiała pomyśleć. Janice mogła ją namawiać do ucieczki, do otwarcia po prostu drzwi i zwiania w diabły, ale Janice nie rozumiała być może, że jeżeli Tak ją przyłapie na próbie ucieczki, prawie na pewno ją zabije. A gdyby nawet wydostała się z domu, jak daleko będzie musiała uciekać, żeby być bezpieczna? Na drugą stronę ulicy? Do najbliższego rogu? Do Massachusetts? Na Seszele? Podejrzewała, że nie zdołałaby się ukryć nawet na Seszelach. Ponieważ istniał pomiędzy nimi związek mentalny. Mały czerwony telefon-zabawka, Takofon, był tego dowodem.

Pragnęła się wydostać. O tak, bardzo tego chciała. Lecz czasem diabeł, którego już znasz, jest lepszy niż ten nieznany.

Ruszyła do kuchni, lecz znów się zatrzymała, spojrzawszy tym razem przez wielkie okno frontowe na ulicę. Sądziła przedtem, że deszcz zacina tak mocno, iż wygląda na szybie jak dym, lecz pierwszy impet burzy już osłabł. To, co widziała, nie tylko wyglądało jak dym; to nim było.

Podbiegła do okna, spojrziała wzdłuż ulicy i zobaczyła płonący w deszczu dom Hobartów, posyłający białe obłoki w szarość nieba. Nie było tam pojazdów ani ludzi (dym przesłaniał jej też zabitego chłopca i psa), zwróciła więc wzrok ku ulicy Niedźwiedziej. Gdzie są wozy policyjne? Gdzie strażacy? Nie spostrzegła ich, lecz zobaczyła dość, by zapłakać cicho w złożone przy ustach dłonie, które, sama nie wiedziała jak, nagle się tam spotkały.

Samochód Mary Jackson, była tego pewna, stał na trawniku pomiędzy domami Starego Doktora i Jacksonów, wbity maską w płot oddzielający obie posesje. Kłapa bagażnika była otwarta, tył auta też wyglądał na strzaskany. To nie lumina Mary była jednak przyczyną jej płaczu. Na trawniku Doktora, niczym przewrócony posąg, leżało ciało kobiety. Umysł Audrey usiłował przez moment przekonać ją, że to coś innego - może manekin sklepowy, rzucony nie wiedzieć czemu przed dom Billingsleya - ale dał sobie spokój. To były zwłoki i tyle. To była Mary Jackson, martwa jak... no cóż, martwa jak własny nieboszczyk mąż Audrey Wyler.

To sprawka Taka. Czyżby wyszedł z domu?

Wiedziałaś, że on się do czegoś szykuje - skonstatowała chłodno. - Wiedziałaś. Czulaś, jak gromadzi siły, przesiadując w piaskownicy z tymi swoimi zakichanymi furgonetkami albo przed telewizorem, żrąc hamburgery, pijąc mleko czekoladowe i obserwując, obserwując, obserwując. Czulaś, jak to się zbiera, niczym burza w upalne popołudnie... Przed domem Carverów leżały kolejne dwa ciała. David Carver, który w czwartki wieczorem grywał w pokera z Herbem i jego kolegami, rozciągnięty był na ścieżce do swego domu jak wyrzucony na brzeg wieloryb. W jego brzuchu, ponad kąpielówkami, które wkładał zawsze do mycia samochodu, widniała olbrzymia dziura. Na werandzie

Carverów natomiast leżała twarzą do ziemi kobieta w białych szortach. Jej długie rude włosy rozsypały się wokół głowy kędzierzawą koroną. Na nagich plecach polyskiwał deszcz.

To nie kobieta - pomyślała Audrey. Czowała zimno na całym ciele, jakby ją ktoś energicznie nacierał kostką lodu. - To ledwie dziewczyna, nastolatka. Ta, co przyjechała dziś do Reedów, zanim wymknęłam się na trochę w tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty drugi. Koleżanka Susi Geller.

Audrey spojrzała na drugi koniec ulicy, przekonana nagle, że stworzyła to wszystko jej wyobraźnia, że kiedy tylko ujrzy nietknięty dom Hobartów, rzeczywistość wskoczy na swoje miejsce jak puszczona gumka. Ale budynek płonął nadal, posyłając w niebo wciąż nowe kłęby cedrowego dymu, a kiedy odwróciła głowę z powrotem, ciała też nadal tam leżały. Ciała jej sąsiadów.

- Zaczęło się - szepnęła, a z nory za jej plecami, niczym okropna, prorocza klątwa, rozległ się wrzask Rory'ego Calhouna: - Wymażemy to miasto z mapy!

Uciekaj! - krzyknęła na to Janice, głosem nie z telewizji, tylko z umysłu Audrey, lecz równie natarczywym. - Twój czas się nie kończy, już nie, już go po prostu wcale nie masz! Uciekaj, Aud! Uciekaj! W nogi!

Dobra. Przystanie się martwić o Seta i zwieje. Potem może będzie ją to gnębiło - jeżeli będzie jakieś potem - ale teraz...

Ruszyła ku drzwiom i sięgała już ręką do klamki, gdy usłyszała za plecami głos. Brzmiał jak głos dziecka, lecz tylko dlatego, że dobiegał do niej poprzez dziecięce struny głosowe. Jego ton był jednak martwy, wyprany z uczucia, odrażający.

A najgorsze, że nie był przy tym pozbawiony pewnego poczucia humoru.

- Stój no, paniusiu - mówił Tak głosem Seta naśladującym głos Johna Payne'a. - Jeszcze możemy się z tego wycofać. Dać sobie czas do namysłu.

Chciała zaryzykować mimo to - zaszła już za daleko, by się wycofywać. Wyskoczy po prostu w ulewę i pobiegnie. Dokąd? Dokądkolwiek.

Zamiast jednak nacisnąć klamkę, jej ręka zwisała bezwładnie, kolysząc się jak zamierające wahadło. A potem odwróciła się; walczyła całą siłą woli, lecz odwróciła się, by stanąć twarzą w twarz z tym czymś, patrzącym na nią poprzez arkadę z nory... Wziąwszy pod uwagę, co za istota spędza tam całe dnie - zdążyła jeszcze pomyśleć Audrey - słowo "nora" doskonale określa, czym stała się jej wnęka telewizyjna.

Wróciła więc oto ze swego schronienia.

Boże, ratuj, wróciła z tego bezpiecznego miejsca i demon, kryjący się w ciele autystycznego synka jej zmarłego brata, przylapał ją na próbie ucieczki.

Poczuła, jak Tak wpelza do jej głowy, przejmuje nad nią władzę. I chociaż to czuła, chociaż widziała wszystko, nie była w stanie nawet krzyknąć.

3

Johnny rzucił się naprzód, przeskakując przez ciało rudowłosej rozciągnięte na ziemi twarzą w dół. W głowie mu dzwoniło od kuli, która ryknęła tuż koło jego lewego ucha... naprawdę przypominało to ryk. Serce skakało mu w piersi niczym królik. Przemieścił się na tyle daleko w kierunku domu Carverów, że w chwili gdy obie furgonetki otworzyły ogień, znalazł się jakby pomiędzy liniami frontu i wiedział, iż ma niesamowite szczęście, że jeszcze żyje. Na sekundę zamarł w bezruchu, niczym zwierzę pochwycone przez światła samochodu. A potem pocisk - rozmiarów chyba kamienia nagrobnego - przeleciał mu koło ucha i Johnny rzucił się ku otwartym drzwiom domu, wciskając głowę w ramiona. Życie stało się zadziwiająco proste. Zapomniał o Soderonie i jego pijackim, lubieżnie porozumiewawczym spojrzeniu. Zapomniał, jak się przejmował, czy Jackson nie spostrzeże, iż jego zmarła właśnie małżonka wracała najwyraźniej do domu z przerwy na coś, o czym śpiewa się często w piosenkach country. Zapomniał o Entragianie, Billingsleyu, o wszystkich. Myślał wyłącznie o tym, że zginie zaraz na tej ziemi niczyjej

po między dwiema posesjami, zastrzelony przez psychopatów noszących maski i dziwaczne przebrania, i świecących niczym duchy.

Teraz znalazł się już w ciemnym holu, zadowolony, że się przynajmniej nie zsikał w spodnie. Gdzieś za jego plecami krzyczeli ludzie. Na ścianach wyeksponowano tu pełny zestaw porcelanowych figurek Hummla poustawianych na małych półeczkach. W gruncie rzeczy - pomyślał Johnny - ci Carverowie to całkiem normalni ludzie. Zaczął chichotać i przykrył zaraz usta wierzchem dłoni, żeby stłumić dźwięk. Nie było tu z pewnością nic do śmiechu. Skóra dłoni miała dziwny posmak, posmak jego potu, to jasne, ale przez moment smakowała też trochę jakby cipką. Johnny pochylił się, pewien, że zaraz zwymiotuje. Uzmysłowił sobie, że jeśli to zrobi, to na pewno zemdleje, i ta myśl pomogła mu opanować odruch. Odsunął dłoń od ust i to też pomogło. Zresztą przeszła mu już ochota do śmiechu, na szczęście.

- Mój tatuś! - wyła gdzieś za nim Ellen Carver. Johnny usiłował sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek, choćby w Wietnamie, słyszał tak przenikliwy, tak żalospny lament wydobywający się z tak młodego gardła, ale nie mógł. - Mój TATUŚ!

- Cichutko, kochanie - to głos świeżo owdowiałej Kirsten.

Słodyczek, jak ją zawsze nazywał David. Sama jeszcze szlochała, lecz próbowała pocieszyć córkę. Johnny zamknął oczy, usiłując uciec od tego widoku, lecz pamięć przypomniła mu natychmiast inny, jeszcze okropniejszy - mijanego przezeń, a właściwie przeskakiwanego ciała rudowłosej dziewczyny, wyjętej jakby żywcem z "Fistaszków". Koleżanki Susi Geller.

Nie można jej tak zostawić. Wyglądała na martwą, jak Mary i nieszczęsny Dave, lecz Johnny przeskakiwał nad nią w pędzie, w uchu mu dzwoniło od kuli, jądra miał podciągnięte i twarde jak pestki brzoskwini - nie był to stan, w jakim można stawiać wiarygodną diagnozę.

Otworzył oczy. Pasterka Hummla, w czepku i z kijkiem w ręce, zastygła w zapraszającym, porcelanowym geście. Hej, żeglarzu, chcesz mi pomóc czesać wełnę? Johnny wsparł się o

ścianę przedramionami. Inna z figurek spadła z półeczki i leżała u jego stóp rozbita.

Podejrzewał, że to on ją strącił, gdy powstrzymywał rzyganie i tę ohydną frazę - "Ten pan z bródką poderżnął sobie gardło!" - cisnącą mu się wciąż do głowy.

Z wolna odwrócił głowę w lewo, czując, jak trzeszczaniu ścięła w karku, i ujrzał, że drzwi Carverów wciąż są otwarte, a siatkowe uchylone. Blokowała je ręka rudowłosej, biała i nieruchoma jak wyrzucona na piasek rozgwiazda. Powietrze było szare od deszczu. Padał z równomiernym posykiwaniem, jak z największego na świecie żelazka ze spryskiwaczem. Zapach mokrej trawy przypominał słodkie perfumy przyprawione odrobiną cedrowego dymu. Dzięki Ci, Boże, za te błyskawice - pomyślał. - Płonący dom zaalarmuje policję i straż pożarną. Lecz tymczasem...

Dziewczyna. Rudowłosa dziewczyna, podobna do tej, za którą tak szalał Charlie Brown. Marinville przeskoczył ją gnany ślepy impuls ratowania własnego tyłka. W gorączce tamtej chwili było to zrozumiałe, ale nie można tego tak zostawić, jeżeli chce się potem mieć spokojne sny.

Ruszył do drzwi. Ktoś złapał go za ramię. Odwrócił się i ujrzał napiętą, przerażoną twarz Dave'a Reeda, tego ciemnowłosego bliźniaka.

- Nie - wychrypiał Dave konspiracyjnym szeptem. Jabłko Adama wędrowało w górę i w dół jego szyi jak dźwignia. - Nie, panie Marinville, oni mogą tam jeszcze być. Ściągnie pan na nas ogień.

Johnny popatrzył na dłoń na swym ramieniu, przykrył ją własną i odepchnął łagodnie, lecz stanowczo. Za Dave'em stał Brad Josephson i patrzył na niego, obejmując ramieniem okazałą talię swojej żony. Belinda wyglądała tak, jakby cała się trzęsła. A miała czym trząść. Po jej policzkach spływały łzy, pozostawiając lśniąco, kawowe smużki.

- Brad - zwrócił się do Murzyna Johnny. - Pozbieraj wszystkich w kuchni. To chyba miejsce najdalsze do ulicy. Niech usiądą na podłodze, dobrze?

Pchnął lekko młodego Reeda w tamtą stronę. Dave ruszył, lecz powoli, nierównym krokiem. Przypominał Johnny'emu nakręcaną zabawkę, której zardzewiały tryby.

- Brad?

- W porządku. Tylko nie daj sobie teraz odstrzelić głowy. Starczy już tego.

- Nie dam. Jestem do niej bardzo przywiązany.

- No to pilnuj, żeby i ona była przywiązana do ciebie.

Johnny patrzył, jak Brad, Belinda i Dave Reed idą korytarzem ku pozostałym osobom - w półmroku wyglądającym jak grupka cieni - i odwrócił się do siatkowych drzwi. W górnej połówce miały dziurę wielkości pięści, na jej krawędziach zwinęły się strzepy siatki.

Przeleciało tędy coś, czego nawet nie chciał sobie wyobrazić (coś rozmiarów kamienia nagrobnego) i jakimś cudem nie trafiło zbitych w stadko sąsiadów... taką miał nadzieję. W każdym razie żadne z nich nie krzyczało z bólu. Ale z czego, na Boga, te typy w furgonetkach strzelają? Jakiż to pocisk może mieć takie rozmiary?

Opadł na kolana i posuwał się pod prąd zimnego, wilgotnego strumienia powietrza wpadającego przez drzwi. Ku temu przyjemnemu zapachowi trawy i deszczu. Kiedy podszedł najbliżej jak się dało, dotykając niemal nosem siatki, rozejrzał się. Po prawej w porządku, widział ulicę aż do rogu, choć sama Niedźwiedzia ginęła w deszczowej mgielce. Nie było tu ani furgonetek, ani kosmitów, ani świrów przebranych za dezertersów z oddziałów "Stonewalla" Jacksona, niczego. Spojrzał na najbliższy dom, swój własny, przypomniał sobie, jak grał na gitarze i oddawał się fantazjom z folkowych piosenek. Oto tramp Jack Marinville, wiecznie goniący horyzont w tych swoich wołających jeść butach z cholewami, wypatrujący kolorów brzasku. Nagle odezwała się w nim tęsknota za gitarą, równie przejmująca co bezsensowna.

Widok z lewej był dużo gorszy, w gruncie rzeczy parszywy. Drewniany płot i rozbita lumina Mary ograniczały widoczność w dół ulicy. Ktoś - na przykład snajper w konfederackich szarościach - mógł się tam czaić, wyczekując kolejnego celu. Lekko przechodzony pisarz z głową pełną fantazji rodem z przydrożnego baru nadawałby się znakomicie. Raczej nikogo tam nie było - wiedzieli przecież, że gliny i straż będą tu lada

moment, i z pewnością już się wynieśli - lecz w tych okolicznościach raczej to trochę za mało. Ponieważ owe okoliczności zupełnie nie trzymały się kupy.

- Panienko? - rzucił w stronę płataniny rudych włosów rozrzuconych na ziemi po drugiej stronie drzwi. - Hej, panienko, słyszysz mnie? - Przelknął ślinę i usłyszał w gardle głośnie pstryk. W uchu przestało mu dzwonić, lecz głębiej czuł ciągły szum. Przyszło mu do głowy, że przez jakiś czas będzie musiał z tym żyć. - Jeżeli nie możesz mówić, poruszaj palcami.

Dziewczyna nie odezwała się, jej ręka pozostała nieruchoma. Chyba jednak nie oddychała. Po białej skórze rudowłosej, pomiędzy wiązaniem bolerka i paskiem szortów, ściekały strużki deszczu. Poza tym nie poruszało się nic. Tylko jej włosy zdawały się żyć; bujne, mieniające się, o dwa odcienie tylko ciemniejsze od pomarańczy. Krople wody połyskiwały na nich jak perelki.

Grzmotnęło, już mniej groźnie, gdzieś dalej. Sięgnął do siatkowych drzwi, gdy rozległ się huk o wiele silniejszy. W uszach Johnny'ego zabrzmiało to jak wystrzał ze strzelby małego kalibru. Przypadł do ziemi.

- To chyba tylko deska w okładzinie - usłyszał tuż za sobą szept i aż krzyknął z zaskoczenia.

Odwrócił się i zobaczył Brada Josephsona. Brad też był na czworakach, a białka oczu w jego ciemnej twarzy połyskiwały bardzo jasno.

- A co ty tutaj, kurwa, robisz? - zapytał Johnny.

- Straż Kontroli Białasów - odparł Brad. - Ktoś musi pilnować, żebyście się za bardzo nie rozfiglowali, bo jeszcze który dostanie zawału.

- Zdawało mi się, że miałeś zapędzić wszystkich do kuchni.

- No i są tam, siedzą grzecznie szeregiem na podłodze - rzekł Brad. - Cammie Reed próbowała dzwonić. Telefon milczy jak twój. Chyba przez tę burzę.

- No, chyba tak.

- Ją też zabili, prawda? - Brad wskazał oczami masę rudych włosów na ganku Carverów.

- Nie wiem. Tak sędę, ale... chcę otworzyć szerzej te siatkowe drzwi, upewnić się. Masz coś przeciwko?

Właściwie to żywił nadzieję, iż Brad zawoła, że tak do diabła, ma coś przeciwko, ma całą księgę sprzeciwów, lecz Brad pokręcił tylko głową.

- Lepiej się nie podnoś, jak będę to robił - powiedział zatem Johnny. - Z prawej nic nam nie grozi, ale po lewej mam widok tylko do auta Mary.

- Rozplaszczę się lepiej niż zaskroniec w wyżymacze - oznajmił Josephson.

- Mam nadzieję, że nie zaczniesz chodzić na moje seminaria z poezji - rzekł Johnny. - I nie pokalecz sobie rąk na tej stłuczonej porcelanie.

- Ruszaj się - popędził go Brad. - Masz to zrobić, to rób.

Johnny pchnął siatkowe drzwi. Zawahał się, niepewny, jak teraz postąpić, po czym ujął dłoń dziewczyny i poszukał pulsu. Przez chwilę nie czuł nic, lecz potem...

- Ona chyba żyje! - szepnął do Brada schrypniętym z emocji głosem. - Chyba czuję tętno! Zapominając, że w deszczu wciąż mogą się czaić ludzie ze strzelbami, otworzył drzwi na oścież, chwycił garść rudych włosów dziewczyny i uniósł jej głowę. Brad wcisnął się teraz w wejście obok niego. Johnny słyszał jego podniecony oddech, czuł zapach jego potu i płynu po goleniu.

Ukazała się twarz dziewczyny; tylko że nie całkiem, właściwie wcale, ponieważ twarzy nie było. Ujrzeli tylko poharataną czerwoną masę i czarny otwór w miejscu ust. Pod spodem widniały drobiny czegoś, co w pierwszej chwili uznał za ryż. Zaraz jednak zrozumiał, że to zęby, a raczej to, co z nich pozostało. Obaj wrzasnęli. Głos Brada przeszył szumiące ucho Johnny'ego niczym pika. Ból przeniknął głęboko do jego wnętrza.

- Co znowu? - zawołała zza wahadłowych drzwi kuchni Cammie Reed. - Boże, co się tam znowu dzieje?

- Nic - odpowiedzieli, znowu chórem, i popatrzyli na siebie.

Twarz Brada nabrała dziwnie popielatego odcienia.

- Tylko nie podchodźcie! - zawołał Johnny. Chciał krzyknąć głośniejsze, ale nie potrafił włożyć w swój głos siły. - Zostańcie w kuchni!

Spostrzegł, że nadal trzyma martwą dziewczynę za włosy. Było to dziwne uczucie, jakby trzymał rozprostowany kłęb pakul...

Nie, nie - pomyślał zimno. - Nie tak. Raczej jakbym trzymał skalp. Ludzki skalp.

Skrzywił się na tę myśl i otworzył dłoń. Głowa rudowłosej opadła na beton werandy z mokrym plaśnięciem, bez którego mógłby spokojnie się obejść. Brad jęknął, lecz zaraz stłumił dźwięk, przyciskając do ust przedramię.

Johnny wycofał rękę. Gdy zamykały się siatkowe drzwi, wydało mu się, że widzi po drugiej stronie ulicy jakiś ruch. W domu Wylerów. Jakaś postać poruszyła się w salonie, za frontowym, widokowym oknem. Uznał, że nie jest w stanie przejmować się teraz tymi ludźmi. Był tak ogłupiał, że nie był w stanie przejmować się nikim, łącznie z sobą.

Jedyną rzeczą na świecie, jakiej teraz pragnął, był śpiew policyjnych i strażackich syren. Tymczasem słyszał jedynie grzmoty, trzask płomieni z domu Hobartów i syk ulewy.

- Zostaw... - zaczął Brad, lecz wydusił z gardła tylko coś pomiędzy beknięciem a przelknięciem. Dławienie po chwili mu przeszło i spróbował jeszcze raz: - Zostaw ją. Jasne. Cóż jeszcze, przynajmniej na razie, można było począć?

Zaczęli wycofywać się na czworakach w głąb korytarza. Johnny posuwał się najpierw tyłem, a potem okręcił się na kolanach, roztrzając mokasynami odłamki rozbitej porcelany. Brad dotarł już do jadalni Carverów i był w połowie drogi do kuchni, gdzie oczekiwała go żona, też na czworakach. Pokażny zad Brada kołysał się przed Johnnym w sposób, który pisarz w innych okolicznościach uznałby za komiczny.

Coś przyciągnęło jego uwagę i zatrzymał się. W jadalni Carverów, w której David Carver nie zasiadł już nigdy do wigilijnej gęsi ani indyka na Święto Dziękczynienia, stał przy samym wejściu dekoracyjny stolik. Zastawiony był, o kurczę, ale niespodzianka, kilkunastoma porcelanowymi figurkami. Stolik nie stał prosto, lecz przechylał się ku ścianie na prawo od drzwi, jak oparty o latarnię pijak. Miał bowiem oderwaną jedną nogę.

Pasterki, dojarki i parobkowie z porcelany przewrócili się w większości na twarz lub na wznak, pod stolikiem zaś leżały odłamki jednej czy kilku rozbitych figurek. Pomędzy malowanymi kawałkami ceramiki znajdowało się coś jeszcze, coś czarnego. Johnny'emu wydało się najpierw w półmroku, że to może odwłok jakiegoś wielkiego, nieżywego owada. Kolejny krok na czworakach odarł go z tego złudzenia.

Obejrzał się przez ramię na dziurę wielkości pięści w górnej połowie siatkowych drzwi. Jeżeli zrobił ją pocisk na ostatnim, opadającym odcinku swej trajektorii...

Odtworzył tor takiego hipotetycznego pocisku i stwierdził, że tak, mógł on ściąć stołową nogę, przechylając stolik do pozycji krzywo stojącego pijaka. A kiedy zużył już swą energię i znieruchomiał?

Johnny sięgnął pomiędzy odłamki porcelany, mając nadzieję, że się nie pokaleczy (ręka strasznie mu drżała i nie potrafił się skoncentrować na jej uspokojeniu), i podniósł czarny przedmiot.

- Co tam masz? - spytał, podpełzając doń Brad.

- Brad, wracaj natychmiast! - upomniała go ostrym szeptem Belinda.

- Cicho, cicho - odpowiedział jej mąż. - No co tam masz?

- Nie wiem - rzekł Johnny i podniósł przedmiot.

Sądził jednak, że wie. Że wiedział już od chwili, gdy się zorientował, iż to nie szczątka nieznanego letniego chrabąszcza. Chociaż żadnego ze znanych mu naboju też nie przypominało. To nie ta kula pozbawiła życia dziewczynę, to wydawało się pewne; byłaby wtedy splaszczona i odkształcona. Natomiast ta dziwna rzecz nie miała na sobie nawet śladu zadrapania, mimo że została wystrzelona, przeszła przez siatkowe drzwi i strzaskała nogę stolika.

- Pokaż mi to - poprosił Brad.

Podpełzła do niego żona i zaglądała przez ramię.

Marinville położył na jego bladej dłoni czarny stożek długości około siedemnastu centymetrów od czubka, tak ostrego, że mógłby przeciąć skórę, do kolistej podstawy.

Oceniał, że w najszerszym miejscu ma on około pięciu centymetrów średnicy. Wykonano go z lanego, czarnego metalu bez żadnych oznakowań. Pod spodem nie miał wybitych koncentrycznych pierścieni, Johnny nie mógł się też doszukać śladów jaśniejszej szczyrby zrobionej przez iglicę broni ani nazwy producenta czy oznakowania kalibru.

- Ki diabeł? - spytał Brad, spoglądając na Johnny'ego równie zdumiony co on.

- Dajcie obejrzeć - rzekła cicho Belinda. - Ojciec zabierał mnie na strzelnicę, jak byłam mała; pomagałam mu przeladowywać. Pokażcie to.

Brad podał jej pocisk. Pokręciła metalowym stożkiem w palcach, uniosła go do oczu.

Huknął piorun, najgłośniejszy od dobrych kilku minut i cała trójka aż podskoczyła.

- Gdzie to znalazłeś? - zapytała Belinda.

Johnny wskazał na porcelanowe skorupy pod przekrzywionym stolikiem.

- Taak? - Belinda była sceptyczna. - A dlaczego nie rąbnął w ścianę?

Teraz, kiedy podniosła tę kwestię, Johnny zdał sobie sprawę, jakie to mądre pytanie.

Pocisk przeszedł przez drzwi i kruchą nogę stołową; czemu więc nie doleciał do ściany i nie wybił w niej dziury?

- W życiu nie widziałam takiego naboju - rzekła Belinda. - Nie znam wszystkich, jakie istnieją, fakt, ale mogę wam powiedzieć, że to nie jest kula ani z pistoletu, ani z karabinu, ani ze strzelby.

- Ale oni właśnie mieli strzelby - zaproponował Johnny. - Dwururki. Jesteś pewna, że nie...

- Nawet nie wiadomo, jak to wystrzelili - przerwała mu. - Nie ma wklęśnięcia pod spodem, to pewne. I jest jakiś taki toporny. Tak mogłoby sobie wyobrażać pocisk dziecko.

Wahadłowe drzwi prowadzące do kuchni otworzyły się i huknęły o ścianę. Przestraszyły ich bardziej niż grzmot. Ukazała się Susi Geller. Miała strasznie białą twarz. Wygląda - pomyślał Johnny - najwyżej na jedenaście lat, a nie siedemnaście.

- W tym domu obok, u Billingsleya, ktoś krzyczy - oznajmiła. - Chyba kobieta, ale nie wiem. Dzieci się przestraszyły.

- W porządku, kochanie - odparła Belinda z absolutnym spokojem, który wprowadził Johnny'ego w podziw. - Wracaj teraz do kuchni. Zaraz też tam przyjdziemy.

- Gdzie jest Debbie? - zapytała Susi. Widok na ganek przesłaniały jej miłosiernie potężne ciała Josephsonów. - Poszła do tamtego domu? Zdawało mi się, że biegnie tuż za mną. - Przerwała nagle. - A może to ona tak krzyczy, jak myślicie?

- Nie, nie, na pewno nie ona - zapewnił ją Johnny i z przerażeniem odkrył, że znów jest o włos od parsknięcia śmiechem. - Idź już, Suze.

Dziewczyna wróciła do kuchni, zamykając za sobą drzwi. Trójka dorosłych popatrzyła przez chwilę po sobie rozgorączkowanym wzrokiem konspiratorów. Nikt nic nie powiedział. Belinda oddała niezgrabny czarny stożek Johnny'emu i przykucnięta poczłapała do kuchennych drzwi niczym kaczka. Za nią na czworakach pospieszył Brad. Johnny przyglądał się jeszcze chwilę nabojewi, myśląc o porównaniu do dziecięcego wyobrażenia pocisku, jakiego użyła kobieta. Miała rację. Odkąd zaczął spisywać przygody Pata Kota-Detektywa, zdążył odbyć mnóstwo spotkań z dziećmi w szkołach podstawowych i obejrzeć sporo rysunków. Były na nich wielkie, wyszczerzone w uśmiechu mamusie i tatusiowie, stojący pod żółtymi kredkowymi słoneczkami, wśród dziwnych zielonych krajobrazów udekorowanych drzewami o równych pniach. Ten przedmiot wyglądał właśnie tak, jakby wypadł z takiego rysunku, cały i nienaruszony, przeniesiony jakoś w rzeczywistość.

Brzydki jesteś, mój Kubusiu - odezwał się nagle głos w jego głowie. Kiedy jednak próbował pójść za tym głosem, pochwycić go i zapytać, czy faktycznie coś wie, czy tylko trzaska po próźnicy dziobem, głos umknął.

Johnny włożył pocisk do prawej kieszeni spodni, razem z kluczami do samochodu i ruszył za Josephsonami do kuchni.

Steven Jay Ames, zawodnik skreślony już jakiś czas temu z listy startowej wielkiego ogólnoamerykańskiego biegu z przeszkodami, miał życiową dewizę, która brzmiała: NIE MA PROBLEMU, STARY.

Pierwszy semestr na Massachusetts Institute of Technology zaliczył na słabe trójki i to pomimo że w teście zdolności zawodowych nabierał punktów jak stąd do księżycy - ale, słuchajcie:

NIE MA PROBLEMU, STARY.

Przeniósł się z inżynierii elektrycznej na inżynierię ogólną, a kiedy jego oceny nadal nie chciały przekroczyć magicznej granicy dwóch punktów, spakował manatki i udał się parę ulic dalej, na Uniwersytet Bostoński, postanawiając zamienić sterylne wnętrza nauk ścisłych na zielone pola Fil. ang. Coleridge, Keats, Hardy, trochę T. S. Eliota. "Niechbym był parą wystrzępionych szponów, co szarpią wszechświata podłogi"; "więc okrażajmy kaktus nasz"³; frustracje dwudziestego wieku, te sprawy, stary. Na uniwerku szło mu początkowo nieźle, ale na drugim roku oblał wszystko, stając się ofiarą tyleż nocnych sesji brydżowych co piwka i marychy gatunku Panama Red. Ale

NIE MA PROBLEMU, STARY.

Pokręcił się trochę po Cambridge, bywając tu i ówdzie, grając na gitarze i sypiając z panienkami. Gitarzysta był z niego taki sobie, z panienkami szło mu dużo lepiej, ale NIE MA PROBLEMU, STARY,

naprawdę. Schował zwyczajnie gitarę do futerału i złapał stopa do Nowego Jorku.

Od tamtej pory szarpał już parą swych wystrzępionych szponów robotę w sklepie, okrażał kaktus nasz jako disc jockey w padłej wkrótce heavymetalowej stacji radiowej w Fishkill w stanie Nowy Jork, zaczął się jako mechanik w innej stacji, był organizatorem koncertów rockowych (sześć dobrych imprez, a potem ten koszmarne odwrót z Providence w środku nocy - do dziś jest tam winien paru ostrym koleśiom koło sześćdziesięciu tysięcy, ale

W SUMIE NIE MA PROBLEMU, STARY),

był guru chiromancji na deptaku w Wildwood w stanie New Jersey i na koniec technikiem od gitar. To mu jakoś najbardziej podeszło i stał się człowiekiem do wynajęcia na pograniczu Nowego Jorku i Pensylwanii. Lubił stroić i naprawiać gitary, to zajęcie koilo nerwy. Poza tym naprawianie szło mu dużo lepiej niż gra. W tym okresie niemal zupełnie zarzucił skрэty i brydża, dzięki czemu życie stało się jeszcze prostsze. Dwa lata temu, gdy mieszkał w Albany, zaprzyjaźnił się z Deke'em Albesonem, właścicielem "Club Smile", niezłego baru przy autostradzie, gdzie niemal co noc można się było nasłuchać bluesa do upojenia. Najpierw zgłosił się do Smile jako wolny strzelec znający się na gitarach, lecz niedługo awansował, gdy facet od konsoly dostał lekkiego zawału. Na początku był to problem, może pierwszy poważny problem w dorosłym życiu Steve'a, ale z jakichś powodów trzymał się tej roboty, pomimo strachu, że coś się przytrafi i zostanie zlinchowany przez pijanych koleśków z gangów motocyklowych. Jednym z tych powodów był sam Deke, który nie przypominał żadnego ze znanych Steve'owi właścicieli klubów: nie kradł, nie był lubieżny i nie opierał poczucia własnej wartości wyłącznie na poniżaniu i straszaniu innych. No i rzeczywiście lubił rock and rolla, podczas gdy większość ze znanych Steve'owi właścicieli nienawidziła go - w samochodzie puszczała wyłącznie Yanniego albo Zanfira z ich fletniami Pana. Deke był takim facetem, jakich Steve - który może raz w życiu nie zapomniiał wypełnić formularza podatkowego - naprawdę lubił: po prostu

ZERO PROBLEMÓW

z tym człowiekiem. Miał bardzo fajną żonę, niekłótniwą, łagodną, o sennych oczach, świetnym poczuciu humoru, pięknych piersiach i totalnym, na ile Steve mógł to ocenić, braku zakłamania. Sandy też była świeżo wyleczoną brydżomanką. Nieraz oddawali się razem głębokim rozważaniom na temat nieodpartego pociągu do przelicytowywania, szczególnie przy grze na pieniądze.

W maju tego roku Deke kupił nowy klub w San Francisco, duży lokal na poziomie House of Blues. Trzy tygodnie temu opuścili razem z Sandy Wschodnie Wybrzeże na dobre. Deke obiecał Steve'owi dobrą robotę, jeżeli spakuje cały ich bajzel (głównie płyty, ponad dwa tysiące płyt, a wśród nich mnóstwo takich staroci jak Hot Tuna, Quicksilver Messenger Service czy Canned Heat), wynajmie ciężarówkę i przywiezie to wszystko do San Francisco. Odpowiedź Steve'a?

NIE MA PROBLEMU, DEKE.

Kurczę, nie był na Zachodnim Wybrzeżu już ponad siedem lat i czuł, że ta odmiana dobrze mu posłuży. Czas podładować stare akumulatory.

Zabrało mu to trochę więcej czasu, niż przypuszczał. Musiał pozbierać swój własny majdan w Albany, wynająć półciężarówkę, załadować ją i ruszyć wreszcie w drogę. Deke dzwonił kilka razy, ostatnio już lekko wkurzony, a kiedy Steve mu to wypomniał, tamten odpowiedział, że no cóż, każdy by się wkurzył, śpiąc trzy tygodnie w śpiworze i chodząc na zmianę w pięciu koszulkach, więc czy Steve ma zamiar wreszcie przyjechać, czy nie? "Już jadę, już jadę - odpowiedział Steve - wyluzuj się, stary". No i pojechał. Właściwie wyjechał, już trzy dni temu. Na początku było super. Ale dzisiejszego popołudnia pękł chyba wąż chłodnicy albo coś, pojechał więc zjazdem na Wentworth, szukając Wielkich Ogólnoamerykańskich Warsztatów Obsługi Samochodów, gdy wtem - o ja cię kręcę - pod maską coś potężnie huknęło i wskaźniki na desce rozdzielczej zaczęły pokazywać same złe rzeczy. Miał jeszcze nadzieję, że to uszczelka, ale odgłos sugerował raczej tłok. Tak czy inaczej ciężarówka Rydera, przy wyjeździe z Nowego Jorku piękna, zamieniła się nagle w bestię. Ale to wciąż

ŻADEN PROBLEM;

trzeba tylko znaleźć Pana Majsterklepkę i on już zrobi swoje.

Niestety, Steve skręcił nie tam, gdzie trzeba, oddalił się od terenów handlowych przy rogatkach i wjechał w okolice podmiejskie. Pan Majsterklepka raczej nie byłby skłonny przebywać tu podczas godzin urzędowania. Obchodził się więc z ciężarówką jak z

jajkiem, para walila z atrapy, ciśnienie oleju spadało, temperatura rosła, z wentylacji ciągnął nieprzyjemny zapach smażenia, ale to wciąż jeszcze

NIE BYŁ PROBLEM, STARY.

No... może

malutki problem

dla ludzi z Rydera, fakt, ale Steve był przekonany, że jakoś to przeżyją. Wtem - o, pięknie, kotuś - ujrzał osiedlowy sklep z niebieskim symbolem automatu telefonicznego nad drzwiami. A numer pomocy drogowej Rydera miał przed nosem, na osłonie przeciwsłonecznej.

ABSOLUTNIE NIE MA PROBLEMU,

oto historia jego życia.

Tylko że teraz problem już był. W porównaniu z nim rozeznanie się w konsolecie "Klubu Uśmiech" to małe piwo.

Steve Ames znajdował się w małym, pachnącym tytoniem fajkowym domku, w saloniku o ścianach obwieszonych zdjęciami zwierząt w ramkach - wyjątkowych zwierząt, jak głosiły podpisy, w saloniku, gdzie jedynie wielki, bezkształtny fotel przed telewizorem wyglądał tak, jakby ktoś go faktycznie używał. Steve właśnie obwiązał sobie bandaną nogę, bołącą z powodu rany od kuli, lekkiej, lecz bez wątplenia autentycznej rany od kuli. Ludzie wokół krzyczeli, krzyczeli ze strachu, ta chuda kobieta w bluzce bez rękawów też była ranna (i to z pewnością nie lekko), a przed domem leżeli zabici i jeśli to wszystko nie stanowiło problemu, to samo słowo "problem" w ogóle przestawało cokolwiek dla Steve'a znaczyć.

Ktoś chwycił go boleśnie za rękę nad przegubem. Właściwie nie chwycił, tylko wpił mu się w rękę. Zobaczył dziewczynę w niebieskim sklepowym fartuchu, tę z jajcarskimi włosami.

- Tylko mi tu nie świruj - upomniała go na wszelki wypadek. - Tej kobiecie trzeba pomóc, bo umrze, więc nie próbuj świrować.

- Nie ma problemu, "mała" - odparł i sam dźwięk własnego głosu podziałał nań krzepiąco.

- Nie mów na mnie "mała", bo cię będę nazywać "małym" - oświadczyła z powagą cienkim, afektowanym głosikiem.

Steve parsknął śmiechem. Śmiech nie był w tym pokoju za bardzo na miejscu, ale miał to gdzieś. Ona chyba też. Patrzyła na niego z cieniem uśmiechu w kącikach ust.

- Dobra - zgodził się. - Ja cię nie będę nazywać "małą", ty mnie "małym" i oboje nie będziemy svirować, umowa stoi?

- Jasne. Jak tam noga?

- W porządku. Wygląda raczej jak zadrapanie niż rana od kuli.

- Miałeś szczęście.

- No. Może się będzie trochę paprać, ale w porównaniu z nią...

- Gary! - wrzasnął przedmiot tego porównania.

Steve zauważył, że ręka kobiety już ledwo się trzyma tułowia, wisiała tylko na wąskim pasku mięsa. Jej mąż, też chudy (lecz z formującym się już bandzioszkiem typowego właściciela podmiejskiego domku), wykonał wokół niej coś w rodzaju tańca paniki i bezradności. Przypominał Steve'owi tubylców skaczących wokół posępnego kamiennego bożka w starych filmach przygodowych.

- Gary! - wrzasnęła ponownie kobieta. Krew wypływała z jej poszarpanego ramienia ciągłym strumieniem, zmieniając róż bluzeczki w mętny pomarańcz. Błada jak papier twarz ociekała potem; włosy oblepiły czaszkę mokrymi strąkami. - Gary, przestań się kręcić jak pies przed sikaniem i pomóż mi...

Oparła się plecami o ścianę między salonem i kuchenką, dysząc ciężko. Steve był pewien, że ugną się pod nią nogi, ale się nie ugięły. Chwyliła zamiast tego prawą ręką swój lewy nadgarstek i ostrożnie uniosła ranne ramię ku Cynthii i Steve'owi. Polyskująca krwią chrząstka, łącząca jeszcze rękę z jej właścicielką, wydała mlaśnięcie, jak wyżymana ścierka do naczyń. Steve chciał powiedzieć kobiecie, by tego nie robiła, żeby przestała się

wyduńnięć, nim do reszty sobie oderwie to cholerstwo jak skrzydelko od pieczonego kurczaka.

Teraz Gary wykonał swój taniec plemienny przed Steve'em, skacząc jak na sprężynach, z plamami wypieków na bladej twarzy. Dołóżcie trochę basów - pomyślał długowłosey.

- Pomóżcie jej! - krzyczał Gary. - Pomóżcie mojej żonie! Wykrwawia się na śmierć!

- Nie mogę... - zaczął Steve.

Gary złapał go za przód koszulki. "Gdy w piekle zabraknie miejsca - głosił napis na tym produkcie przemysłu tekstylnego - martwi wyjdą na ziemię". Przysunął rozgorączkowaną, wąską twarz do jego twarzy. Oczy mu błyszczwały z przepicia i przerażenia.

- Jesteś z nimi, co? Jesteś jednym z nich?

- Nie mam...

- Jesteś z tymi, co strzelali? Mów prawdę!

Rozzłoszczony tak, że aż go to samego zdziwiło (gniew w ogóle był mu czymś obcym), Steve strącił ręce tamtego ze swej starej, ukochanej koszulki i odepchnął go. Gary zatoczył się do tyłu. Oczy najpierw mu się rozszerzyły, a potem znów zmieniły w szparki.

- Dobrze - oznajmił. - Bardzo dobrze. Sam się o to prosileś. Chciałeś, to będziesz miał. -

Ruszył do przodu.

Między nimi stanęła nagle Cynthia, zerknąwszy najpierw na Steve'a - jakby sprawdzała, czy już przestawił się na atak - a potem wściekłym wzrokiem na Gary'ego.

- Co ci, kurwa, odbiło? - rzuciła ostro.

- On nie jest stąd, no nie? - uśmiechnął się krzywo Gary.

- Jezu, ja też nie jestem! Jestem z Bakersfield w Kalifornii, czy przez to mam też być jedną z nich?

- Gary! - zabrzmiało to jak wrzaskliwe szczeknięcie psa, który biegł długo pylistą drogą i wyszczał się już do cna. - Przestań pierdolić głupoty i mi pomóż! Ręka...

Kobieta wciąż trzymała ją w górze i Steve'owi przypominał się teraz - nic na to nie mógł poradzić - sklep mięsny Mucciego w Newton. Facet w białej koszuli, białej czapce i

pochłapanym krwią fartuchu, podający jego matce oskórowany kawał udźca. "Najlepiej niech pani poda lekko niedopieczony, pani Ames, z odrobiną mięty. Nie będą już chcieli spojrzeć na kurczaka z różną. Gwarantuję to pani".

- Gary!

Chudzielec o przesyconym ginem oddechu postąpił krok w jej stronę i znów się obejrzał na Cynthię i Steve'a. Zawzięty, wszystkowiedzący uśmiezek zniknął. Gary teraz wyglądał już tylko na chorego.

- Nie wiem, co mam z nią zrobić - oznajmił.

- Gary, ty zepsuty kurzy mózdzku - powiedziała Marielle niskim, zrezygnowanym głosem.

- Ty beznadziejny matole. - Twarz jej pobraźla jeszcze bardziej.

Stała się kredowobiała. Pod jej oczami rozpostarły się jak para skrzydeł brązowe cienie, a lewa tenisówka zmieniła barwę z białej na czerwoną.

Jeżeli ktoś jej zaraz nie udzieli pomocy, to umrze - pomyślał Steve. Zadziwiła go ta myśl, poczuł się jakiś ogłupiały. Miał chyba na myśli fachową pomoc - tak sądził. Facetów z pogotowia, w zielonych fartuchach, mówiących rzeczy w rodzaju "dziesięć em-el glukozy, dożylnie". Lecz nikogo takiego w pobliżu nie było i raczej nie miał się pojawić. Wciąż nie było słycać syren, jedynie oddalające się na wschód odgłosy burzy.

Na ścianie po lewej wisiało oprawione w ramkę zdjęcie niewielkiego brązowego psa o niesamowicie inteligentnym spojrzeniu. Pod zdjęciem widniał staranny podpis drukowanymi literami: DAISY, PEMBROKE CORGI, 9 LAT. POTRAFI LICZYĆ. WYKAZAŁA BEZSPRZECZNIE UMIEJĘTNOŚĆ DODAWANIA MAŁYCH LICZB. Na lewo od zbryzganego teraz krwią Marielle portretu Daisy wisiał wizerunek owczarka collie, który najwyraźniej uśmiechał się do zdjęcia. Drukowany opis poniżej głosił: CHARLOTTE, COLLIE, LAT 6. POTRAFI SEGREGOWAĆ FOTOGRAFIE I WYBIERAĆ ZDJĘCIA LUDZI, KTÓRYCH ZNA.

Na lewo od collie znajdowało się zdjęcie papugi, palącej camela.

- To wszystko w ogóle się nie dzieje - rzekł Steve konwersacyjnym, niemal jowialnym tonem. Nie wiedział, czy mówi do Cynthii, czy do siebie. - Wiem, jestem w jakimś szpitalu. Miałem czołowe z ciężarówką na autostradzie, tak, tak, na pewno. To tylko "Alicja w krainie czarów", tyle że w wersji hardrockowej.

Cynthia otworzyła usta, żeby coś odpowiedzieć, ale w tym momencie wszedł do pokoju starszy gość - najpewniej ten, co to widział, jak pembroke corgi Daisy dodaje sześć do dwóch i wychodzi jej osiem -

BEZ NAJMNIEJSZEGO PROBLEMU,

niosąc czarną podniszczoną torbę. Za nim kroczył glina (czy on ma faktycznie na imię Collie - zastanawiał się Steve - czy to tylko jakieś rojenia, wywołane widokiem zdjęć zwierząt na ścianie?), wyciągający ze spodni pasek. Na końcu, lekko oszołomiony, zataczając się, szedł Peter Jak-mu-tam, mąż tej kobiety, co leży martwa na trawniku przed domem.

- Pomóżcie jej! - wrzasnął Gary, zapominając na razie o swej spiskowej teorii na temat Steve'a. - Zrób pan coś z nią, doktorze, bo krwawi jak zarzynana świnia!

- Przecież wiesz, Gary, że nie jestem prawdziwym doktorem, tylko starym lekarzem od koni...

- Nie nazywaj mnie świnia - przerwała mu Marielle. Jej głos był już ledwie słyszalny, ale w utkwionych w mężu oczach jarzyła się groźba. Próbowwała się wyprostować, lecz nie dała rady i osunęła się jeszcze niżej po ścianie. - Nie mów... tak na mnie.

Lekarz od koni odwrócił się ku policjantowi, który stanął w drzwiach prowadzących do kuchni, półnagi, z rozciągniętym w rękach paskiem. Wyglądał jak bramkarz ze skórzanego baru, w którym Steve obsługiwał kiedyś aparaturę zespołu o nazwie Wielkie Chromowane Dziury.

- Muszę? - spytał półnagi glina.

Sam był mocno pobladły, Steve uznał jednak, że prezentuje się dziarsko, przynajmniej na razie.

Billingsley skinął głową i postawił torbę na siedzeniu wielkiego klubowego fotela, królującego przed telewizorem. Otworzył ją i zaczął szperać w środku.

- I pospiesz się - ponaglił. - Im więcej krwi traci, tym marniejsze ma szanse. - W jednej sękatą dłoń Doktor trzymał teraz szpulkę nici chirurgicznych, w drugiej chirurgiczne nożyczki o zagiętych ostrzach. - Mnie to też zbytnio nie cieszy. Ostatni mój pacjent w podobnym stanie to był pony, którego ktoś wziął przez pomyłkę za sarnę i postrzelił w nogę. Załóż to najwyżej jak możesz, sprzączką od strony piersi, i mocno zaciągnij.

- Gdzie jest Mary? - dopytywał się Peter. - Gdzie jest Mary? Gdzie jest Mary? Gdzie jest Mary?

Z każdym powtórzeniem jego głos brzmiał coraz żałośniej. Za czwartym razem niemal jak piskliwy falset. Raptem ukrył twarz w dłoniach i odwrócił się do wszystkich plecami, opierając czoło o ścianę pomiędzy ARONEM, labradorem, który potrafił ułożyć swoje imię z klocków, i DIRTYFACE, posępną kozą, która podobno umiała zagrać parę prostych melodii na organkach. Steve doszedł do wniosku, że jeśli kiedykolwiek usłyszał, jak koza gra na harmonijce ustnej The Yellow Rose of Texas, chyba by się, kurwa, pochlastał.

Marielle Soderson wpatrywała się tymczasem w Billingsleya wzrokiem wampira, który zobaczył, że ktoś się zaciął przy goleniu.

- Boli - zaskrzeczała. - Daj mi coś przeciwbólowego.

- Zaraz - rzekł Stary Doktor. - Najpierw musimy założyć ucisk.

Skinął niecierpliwie na policjanta. Ten postąpił do przodu. Przewlókł już koniec paska przez sprzączkę, tworząc pętlę. Wyciągnął ją żywo ku chudej Marielle, której jasne włosy ściemniały już od potu o dwa odcienie. Kobieta wyciągnęła zdrowe ramię i pchnęła go z zadziwiającą siłą. Gliniarz w ogóle się tego nie spodziewał, toteż cofnął się dwa kroki, potknął o poręcz wielkiego fotela i opadł na jego siedzenie. Wyglądał jak komik z niemego filmu, który właśnie klapnął na tylek.

Chuda kobieta nawet na niego nie spojrzała. Cała jej uwaga skupiła się na starszym gościu i jego czarnej torbie.

- No już! - warknęła; zabrzmiało to jak autentyczne psie warknięcie. - Dawaj mi coś w tej chwili, ty pierdolony znachorze, to mnie zabija!

Gliniarz wygramolił się z fotela i pochwycił spojrzenie Steve'a. Steve od razu pojął, w czym rzecz, skinął głową i począł zbliżać się do kobiety imieniem Marielle, zachodząc ją od prawej flanki. Uważaj - ostrzegł się w myśli - ona ześwirowała, może ugryźć, może podrapać albo jeszcze cholera wie co, więc się pilnuj.

Marielle odepchnęła się od ściany, zachwiała się, a potem stanęła prosto i ruszyła ku doktorowi. Znowu prezentowała przed sobą ranne ramię, niczym "dowód rzeczowy numer jeden" na rozprawie sądowej.

- Dawaj morfinę, gnido! - krzyknęła. Jej warczący głos słabł coraz bardziej. - Dawaj, bo tak cię walnę, że się zesrasz na rzadko! Ja...

Gliniarz ponownie skinął na Steve'a i rzucił się w lewo. Steve przyskoczył do kobiety i otoczył jej szyję ramieniem. Nie chciał jej przydusić, ale bał się trzymać za plecy, żeby przypadkiem jeszcze bardziej nie urazić rannej ręki.

- Nie ruszaj się! - wrzasnął.

Nie zamierzał krzyżeć, chciał to po prostu powiedzieć, ale jakoś tak wyszło. W tej samej chwili gliniarz założył jej pętlę z paska na lewą rękę i przesunął w górę.

- Trzymaj ją, chłopie! - krzyknął Collie. - Nie daj jej się ruszyć!

Przez sekundę czy dwie Steve'owi się to udawało, potem jednak ciepła i gryząca kropla potu spłynęła mu do oka i na moment połuźnił uścisk, akurat gdy Entragian zaciągał prowizoryczną opaskę uciskową. Marielle szarpnęła się w prawo, ze swym jastrzębim, rozognionym spojrzeniem wciąż utkwionym w Doktorze, i jej lewe ramię zostało w dłoniach półnagiego gliniarza. Steve'owi rzucił się w oczy jej zegarek marki Indiglo, którego sekundowa wskazówka stała na zawsze pomiędzy czwartą a piątą. Pasek utrzymał się na jej ramieniu jeszcze przez chwilę, a potem pusta pętla spadła na podłogę.

Dziewczyna ze sklepu wybałuszyła na oderwaną rękę oczy i wrzasnęła. Policjant spoglądał na ramię Marielle z otwartymi szeroko ustami.

- Zostawcie to! - ryknął Gary. - Zostawcie to w tej chwili! Natych...

Nagle dotarło do niego, co się naprawdę stało. Co trzyma w rękach Entragian. Otworzył usta, przekręcił dziwacznie głowę i z wymiotował na zdjęcie papugi palącej papierosa.

Marielle niczego nie zauważyła. Zatoczyła się w stronę najwyraźniej przerażonego weterynarza z wyciągniętą przed siebie drugą ręką.

- Dawaj zastrzyk i to już! - skrzeknęła. - Słyszysz, ty stara babo? Dawaj ten pierdolony zzz... - Upadła na kolana. Głowa jej opadła, zwisła. Potem z najwyższym wysiłkiem uniosła ją znowu. Jej świdrujący wzrok napotkał na moment spojrzenie Steve'a. - Coś ty, kurwa, za jeden? - zapytała wyraźnym, doskonale zrozumiałym głosem, po czym padła na twarz.

Jej głowa znieruchomiała tuż koło butów Petera; mężczyzny, który stracił żonę. Jacksona - przypomniało się nagle Steve'owi. On się nazywa Jackson. Peter Jackson z twarzą ukrytą w dłoniach wciąż odwrócony był do ściany. Jeżeli zrobi krok w tył - pomyślał Steve - potknie się o nią.

- O ja cię pierdołę - oznajmił gliniarz niskim, zdziwionym głosem.

Potem spojrział w dół i uświadomił sobie, że wciąż trzyma oderwaną rękę Marielle.

Uniósłszy ją przed siebie, ruszył sztywnym krokiem do kuchni. Szum ulewy wydał się nagle Steve'owi bardzo głośny.

- Chodź. - Stary człowiek wyrwał się z odrętwienia. - Jeszcze nie skończyliśmy. Załóż jej ten pasek, synu. Sprzączką do przodu. Trzymasz się jakoś?

- Chyba tak - odrzekł Steve.

Poczuł jednak ogromną ulgę, ujrzawszy, że ekspedientka Cynthia podnosi pasek z podłogi i kłękła z nim obok nieprzytomnej kobiety.

"MotoGliny 2200", odcinek55 - "Korytarz Mocy"; fragment oryginalnego scenariusza
Allena Smithee:4

AKT 2

ROZJAŚNIENIE:

CIĘCIE: CENTRUM KRYZYSOWE, KWAT. GŁ. MOTOGLIN.

Prawie całe pomieszczenie wypełnia jak zwykle olbrzymi ekran sytuacyjny - Ekranysyt. Przed nim stoi na latającym podeście PUŁKOWNIK HENRY, z poważną miną. Wokół Pulpitu Kryzysowego w kształcie podkowy siedzi reszta eskadry MotoGlin: TROPICIEL WĘŻY, BOUNTY, MAJOR PIKE, ROBOT ROOTY I CASSIE. Na Ekranysycie widzimy OBRAZ KOSMOSU. W oddali Ziemia. Z tej odległości wygląda jak niebiesko-zielona moneta. Wydaje się spokojna.

TROPICIEL WĘŻY (z typową dla niego wzgardą):

Co to znowu za historia? Nie widzę niczego, co by... A to co??!

Nagle pojawia się na Ekranysycie KORYTARZ ENERGII, wypełnia go niemal całkowicie i zasłania gwiazdy z obu stron. Zupełnie jakby przybywał swym krążownikiem Darth Vader na początku pierwszej części "Gwiezdnych wojen". Jednym słowem groza! KORYTARZ stanowią dwie nieskończenie długie metalowe ściany z dużymi kwadratowymi płytami wystającymi z nich w pewnych odstępach.

KORYTARZ BUCZY ZŁOWIESZCZO, pomiędzy płytami przeskakują z trzaskiem BŁĘKITNE OGNIKI. Przerażona CASSIE STYLES wpatruje się w Ekranysyt z zapartym tchem. PUŁKOWNIK HENRY wciska guzik na pulpicie kontrolnym i ekran

przechodzi w TRYB ZATRZYMANIA. Nadal widać Ziemię, lecz z korytarzem po obu stronach. Wygląda jak pochwycona w śmiertelnościaną ELEKTRYCZNĄ SIEĆ!

PULKOWNIK HENRY (do TROPICIELA WĘŻY):

Teraz już wiesz, co to za historia! Korytarz Energii, stworzony przez nieistniejącą już od dawna obcą rasę! Siejący zniszczenie... i skierowany wprost ku Ziemi!

CASSIE (z przerażeniem):

O rany!

PULKOWNIK HENRY:

Spokojnie, Cassie, on się na razie znajduje ponad sto pięćdziesiąt tysięcy lat świetlnych stąd. To obraz nałożony.

MAJOR PIKE:

No dobrze, ale z jaką prędkością się porusza?

PULKOWNIK HENRY:

W tym cały problem. Niech nam wystarczy stwierdzenie, że jeśli nie poradzimy sobie z tym kryzysem w ciągu następnych siedemdziesięciu dwóch godzin, możecie sobie podarować planowanie weekendu.

ROOTY:

Bum-ta-ra-ra!

TROPICIEL WĘŻY:

Zamknij się, Rooty.

(zwraca się do PUŁKOWNIKA):

(Jaki wobec tego mamy plan?)

PUŁKOWNIK HENRY podjeżdża na podeście nieco w górę, by móc użyć podświetlacza, który skupia krąg światła na kilku płytach po wewnętrznych stronach korytarza.

PUŁKOWNIK HENRY:

Dzięki zdalnej telemetrii wiemy, że Korytarz Energii ma ponad trzysta tysięcy kilometrów długości i osiemdziesiąt tysięcy kilometrów szerokości; to przedsiónek śmierci, w którego wnętrzu nic nie jest w stanie przeżyć. Może mieć jednak pewną słabą stronę! Sądzę, że te wystające kwadraty to generatory jego zasilania. Gdyby nam się udało je uszkodzić...

BOUNTY:

Ma pan na myśli szturm przy użyciu Wozów Mocy, szefie?

Zbliżenie posępnej twarzy PUŁKOWNIKA HENRY'EGO.

PUŁKOWNIK HENRY:

To dla Ziemi jedyna szansa.

CIĘCIE: PULPIT KRYZYSOWY, MOTOGLINY.

TROPICIEL WĘŻY:

Atak Wozami Mocy w głębokiej przestrzeni? Możemy się szybko znaleźć na kosmicznym Boot Hill5!

ROOTY:

Bum-ta-ra-ra!

WSZYSCY:

Zamknij się, Rooty!

CIĘCIE: KORYTARZ CENTRUM KRYZYSOWEGO.

PULKOWNIK HENRY i CASSIE STYLES idą przodem, reszta MotoGlin za nimi.

ROOTY, jak zwykle, wlecze się na końcu.

PULKOWNIK HENRY:

Wyglądasz na zmartwioną, mała.

CASSIE:

Pewnie, że wyglądam! Tropiciel Węży ma rację! Wozy Mocy nie są przystosowane do trudów szturmów w głębokiej przestrzeni!

PULKOWNIK HENRY:

Chyba nie tylko to cię martwi.

CASSIE:

Czasami nienawidzę tej twojej telepatii, Hank.

PULKOWNIK HENRY:

Daj spokój... po prostu powiedz.

CASSIE:

Niepokoi mnie coś w tych kwadratowych wypustkach w Korytarzu Energii. A jeśli się okaże, że to nie są generatory zasilania?

PULKOWNIK HENRY:

A cóż by to mogło być innego?

Dotarli do rozsuwanych drzwi prowadzących do Zagrody Wozów Mocy. PULKOWNIK HENRY przykłada rękę do czujnika w kształcie dłoni i drzwi podnoszą się.

CASSIE:

Nie wiem, ale...

CIĘCIE: ZAGRODA WOZÓW MOCY Z MOTOGLINAMI.

CASSIE raptownie łapie powietrze, zaszokowana, oczy rozszerzają się jej ze zdumienia! PULKOWNIK HENRY z zawziętą miną, otacza ją ramieniem. Reszta członków eskadry zbiera się wokół nich.

ROOTY:

Bum-ta-ra-ra!

TROPICIEL WĘŻY:

Jasne, Rooty, trudno się nie zgodzić!

Spogląda spode łba na:

CIĘCIE: ZAGRODA WOZÓW MOCY, PARKING MOTOGLIN.

Wśród zaparkowanych tu Wozów Mocy, pomiędzy "Strzałą Szlaku" TROPICIELA WĘŻY i "Bumtara-ra" ROOTY'EGO, unosi się w powietrzu z cichym warkotem złowrogo wyglądający przybysz: "Mięsowóz".

CIĘCIE: PONOWNIE ESKADRA MOTOGLIN.

PULKOWNIK HENRY:

MotoGliny, przygotować się do walki!

TROPICIEL WĘŻY (z wyciągniętym już laserowym paralizatorem):

Ubiegłem cię, szefie.

Pozostali wyciągają broń.

CIĘCIE: PONOWNIE MIĘSOWÓZ.

Wieżyczka Zagłady rozsuwa się, ukazując PUSTĄ TWARZ; postać w czarnym uniformie, o złowieszczym jak zawsze wyglądzie. Za nim, przy sterach siedzi HRABINA LILI, wyglądająca typowo dla siebie: seksownie, lecz wyniośle. Na szyi ma HIPNO-KLEJNOT, migocący całą gamą barw.

PUSTA TWARZ:

Podest, Hrabino. Już!

HRABINA LILI:

Tak jest, Wasza Świątyność.

HRABINA pociąga za dźwignię. Pojawia się latający podest. PUSTA TWARZ wstępuje na podest i zostaje opuszczony na posadzkę Zagrody. Jest nie uzbrojony, więc PUŁKOWNIK HENRY, podchodząc ku niemu, chowa własny paralizator do kabury.

PUŁKOWNIK HENRY:

Nie oddaliłeś się za daleko od domu, Pusta Twarzo?

PUSTA TWARZ:

Mój dom, gdzie moje serce, drogi Hanku.

BOUNTY:

To nie czas na takie gierki.

PUSTA TWARZ:

Tak się składa, że nie mogę się z tobą nie zgodzić. Nadciąga Korytarz Energii. Pułkownik Henry, planuje pan atak Wozami Mocy...

MAJOR PIKE:

Skąd o tym wiesz?

PUSTA TWARZ (lodowatym tonem):

Ponieważ ja bym właśnie tak zrobił, ty durniu!

(do PUŁKOWNIKA HENRY'EGO):

Szturm Wozami Mocy to niesamowite ryzyko, lecz być może jest to jedyna szansa dla Ziemi. Będzie panu potrzebna każda pomoc, a nie ma pan pod swym dowództwem pojazdu równie potężnego co Mięśowóz.

TROPICIEL WĘŻY:

To rzecz do dyskusji, ty bęcwale. Moja Strzała Szlaku...

PULKOWNIK HENRY:

Dość tych pogaduszek!

(do PUSTEJ TWARZY):

Co proponujesz?

PUSTA TWARZ:

Współpracę na czas kryzysu. Stare właśnie na bok, przynajmniej na razie. Szturm na Korytarz Energii wspólnymi siłami.

Wyciąga rękę w czarnej rękawicy. PULKOWNIK HENRY zamierza się zrewanżować tym samym, lecz powstrzymuje go MAJOR PIKE. Jego migdałowo wykrojone oczy są szeroko otwarte, ryjowate usta drżą z niepokoju.

MAJOR PIKE:

Nie rób tego, Hank! Nie wierz mu! To podstęp!

PUSTA TWARZ:

Rozumiem, co pan czuje, Majorze... oboje rozumiemy, nieprawdaż, Hrabino?

HRABINA LILI:

Tak jest, Wasza Świątyność.

PUSTA TWARZ:

Tym razem to nie podstęp, nie ukrywam kart w rękawie.

PULKOWNIK HENRY (do MAJORA PIKE'A):

A my nie mamy wyboru.

PUSTA TWARZ:

Istotnie, nie mamy. Czas ucieka.

PULKOWNIK HENRY wyciąga rękę i ujmuje dłoń PUSTEJ TWARZY.

PUSTA TWARZ:

Współpraca?

PULKOWNIK HENRY:

Na razie tak.

ROOTY:

Bum-ta-ra-ra!

Ściemnienie do czerni. Koniec AKTU 2.

ROZDZIAŁ 6

- Coś mi na to wygląda, paniusiu, że zamierzasz się wymknąć chyłkiem - powiedział Tak, używając tym razem głosu Bena Cartwrighta, ojca z "Bonanzy".

- Nie... - usłyszała własny głos, lecz jakiś słaby i odległy, jak transmisja radiowa z Zachodniego Wybrzeża w deszczowy wieczór. - Nie, nie, chciałam tylko pójść do sklepu. Kończy nam się... - Co się kończy? Co takiego mogło się kończyć, na czym by zależało temu monstrum, w co by uwierzyło? Dzięki Bogu przyszło jej coś takiego do głowy. - Kończy nam się mleko czekoladowe! Hersheya!

Ruszył ku niej od wejścia do nory. Seth Garin w spodenkach w MotoGliny, ale mający teraz w sobie coś niesamowitego i wstrętnego: bose stopy chłopca sunęły tylko po dywanie salonu, a cała postać płynęła w powietrzu niczym balon w kształcie dziecka. Ciało, rozczulająco umorusane przy przegubach i kostkach, należało do Setha, lecz w oczach nie było z Setha ani odrobiny. Tylko to coś wyglądające jak bagienny upiór.

- Mówi, że chciała tylko podreptać do sklepiku - stwierdził głos Bena Cartwrighta.

Niezależnie od swej prawdziwej natury, Tak diabelnie dobrze potrafił naśladować głosy. To trzeba mu było przyznać. - Co o tym sądzisz, Adamie?

- Sądzę, że ona kłamie, tatusiu - odpowiedział mu głos Pernella Robertsa, odtwórcy roli Adama Cartwrighta.

Roberts zdążył przez lata wyłysieć, ale i tak najlepiej mu się powiodło; aktorzy grający jego braci i ojca poumierali w czasie, gdy powtórki "Bonanzy" rozpoczęły swój triumfalny pochód przez kablówki.

- A ty, Hoss, jak myślisz? No powiedz coś, chłopcze.

Stwór zbliżył się już do niej na tyle, że poczuła kwaśny zapach potu i zastarzałą słodką woń szamponu dla dzieci No More Tears.

- Kłamczucha, tatku - odparł głos Dana Blockera... i przez sekundę frunące niemal w powietrzu dziecko rzeczywiście wyglądało jak Blocker.

- Mały Joe?

- Kłamię, tatusiu.

- Bum-ta-ra-ra!

- Zamknij się, Rooty - odezwał się tym razem Tropiciel Węży.

Zupełnie jakby odgrywała dla niej przedstawienie niewidzialna trupa z zakładu dla obłąkanych. Gdy stwór przemówił ponownie, Tropiciel Węży zniknął, wrócił zaś Ben Cartwright, ten surowy patriarcha rodu z Ponderosy w górach Sierra Nevada.

- My tu w Ponderosie nie przepadamy za kłamcami, paniusiu. Za wymykającymi się chyłkiem tym bardziej. No i jak pani sądzi, co powinniśmy teraz z panią zrobić?

Nie róbcie mi krzywdy - chciała krzyknąć, ale z jej ust nie wydobył się głos, nawet szept.

Usiłowała się przestawić na swego rodzaju wewnętrzną linię, wizualizując czerwony telefonik, z wytłoczonym teraz na plastikowej słuchawce imieniem SETH. Bała się zwrócić bezpośrednio do Setha, lecz jeszcze nigdy nie znalazła się w takim potrzasku.

Jeśli stwór uzna, że woli ją martwą...

Telefon pojawił się w jej umyśle i ujrzała siebie mówiącą do słuchawki. Miała do powiedzenia boleśnie prostą rzecz: Nie pozwól mu zrobić mi krzywdy, Seth. Miała nad nim władzę na początku, wiem, że tak. Może niewielką, ale jednak. Jeśli cokolwiek z tego zostało - jeżeli masz na niego jeszcze jakiś wpływ - proszę, nie daj mu mnie skrzywdzić, nie pozwól, żeby mnie zabił. Jestem żalosna, beznadziejna, wiem, ale nie na tyle, by pragnąć śmierci. Jeszcze nie.

Spojrzała w oczy unoszącego się nad ziemią stwora, by odnaleźć w nich choć cień człowieczeństwa, chociaż najmniejszy ślad Setha. Lecz zobaczyła jedynie nicłość.

Raptem jej lewa ręka wyskoczyła w górę, po czym opadła, policzkując ją z trzaskiem łamanego na podpałkę drewnianka. Poczula na twarzy palący ból, zupełnie jakby ktoś przystawił do niej kwarcówkę. Lewe oko zaczęło łzawić.

Teraz podniosła się prawa ręka Audrey, niczym wąż hinduskiego zaklinacza powstający z koszyka. Zawisła na moment w powietrzu, po czym powoli zwinęła się w pięść.

Nie - próbowała powiedzieć - proszę nie, Seth, nie pozwól! Lecz i tym razem nie dobyła głosu i pięść o bielejących w półmroku pokoju knykciach spadła na nos, który eksplodował w obłoku białych punkcików. Zawirowały szaleńczo przed jej oczami jak motyle, podczas gdy krew, ciepła i rzadka, zaczęła ściekać po ustach i brodzie. Audrey zatoczyła się do tyłu.

- Ta kobieta to obraza wymiaru sprawiedliwości dwudziestego trzeciego stulecia! - zagrział srogi głos Pułkownika Henry'ego. Głos, który przy każdym kolejnym odcinku tego kurewskiego serialu wydawał jej się bardziej nienawistny i obłudny. - Trzeba jej uzmysłwić, jak bardzo pobiła.

Hoss:

- Racja, Pułkowniku! Pokażemy tej suce, kto tu rządzi!

- Bum-ta-ra-ra!

Cassie Styles:

- Zgadza się z Rootym! Dobrze by było na początek trochę ją dosłodzić!

Audrey szła - a właściwie dawała się prowadzić. Salon przesuwał się przed jej oczami jak umykający za oknem pociągu krajobraz. Policzek pulsował rwąco. Nos palił. Na języku czuła krew. Wyobraziła sobie teraz telefon z MotoGlin, taki, który pozwalał widzieć rozmówcę na małym ekranie; wyobraziła sobie, że rozmawia przez niego z Sethem twarzą w twarz: Seth, błagam, tu twoja ciocia Audrey, na pewno mnie poznajesz, chociaż tak okropnie przefarbowałam włosy! Tak mnie do tego zmusił, że bym była podobna do Cassie, a kiedy wychodzę, muszę wkładać niebieską opaskę tak jak ona, ale to nadal ja, twoja ciocia Audrey, ta, która cię wzięła do siebie, która się tobą opiekowała, próbowała w każdym razie się opiekować i teraz ty musisz się zaopiekować mną. Nie pozwól, żeby on mnie bił, Seth, proszę, nie pozwól.

Światło było zgaszone; kuchnia przypominała jaskinię wypełnioną mrowiem ponurych cieni. Kiedy tak wleczono Audrey po żółtym linoleum (czyste wyglądało wesoło, ale uświnione jak teraz kojarzyło się raczej z żóltaczką), przyszła jej do głowy pewna myśl, okrutnie logiczna: Czemu właściwie Seth miałby jej pomagać? Nawet zakładając, że dotarła do niego i że był w stanie pomóc, nie miał powodu, by to robić. Ucieczka od Taka oznaczała pozostawienie Seta swemu losowi, a przecież właśnie to próbowała uczynić. Jeżeli chłopiec wciąż tam był, musiał to zrozumieć równie dobrze jak Tak. Z jej gardła wypłynął szloch, tak słaby jak oddech ciężko chorego. Palcami prawej, zaplamionej krwią ręki namacała wyłącznik światła przy kuchence i przekręciła go.

- Dosłodzić ją, Tatku! - zawył Mały Joe Cartwright. - Dosłodzić ją, panie!

Głos przeszedł w falset, zmieniając się w piskliwy śmiech Robota Rooty'ego. Audrey nagle zapragnęła popaść w obłąd. Wszystko byłoby lepsze niż to tutaj, prawda? Pewnie, że tak.

Zamiast tego musiała patrzeć, bezradna pasażerka swego własnego ciała, jak Tak odwraca ją, prowadzi do półeczki na przyprawy i używa jej ręki do otwarcia wiszącej powyżej szafki. Druga ręka strąciła żółtą plastikową puszkę, która upadła na podłogę. Makaron rozsypał się na wszystkie strony. Następna poleciała mąka; wylądowała przy jej stopach, okrywając je białym obłokiem. Ręka zanurkowała w powstałą na półce lukę i pochwyciła plastikowego niedźwiadka na miód. Druga dłoń odkręciła pokrywkę i rzuciła ją na bok. Po sekundzie niedźwiadek wisiał już do góry nogami nad otwartymi w oczekiwaniu ustami Audrey.

Ręka obejmująca pękaty brzuszek miśka zaczęła naciskać go rytmicznie; dawno temu mała Aud naciskała tak gruszkę klaksonu przy dzieciennym rowerku. Krew z nosa sphywała jej do gardła. Potem zaczął je wypełniać miód, niczym gęsty, słodki knebel.

- Polykaj to! - wrzasnął Tak, tym razem swoim własnym głosem. - Polykaj, suko!

Przelknęła. Jeden łyk, drugi, trzeci. Przy trzecim jej przelyk skurczył się i zamknął. Nie mogła nabrać powietrza. Tchawicę zatykał koszmarny, słodki klej. Padła na kolana i

zaczęła pelzać po kuchennej podłodze z rudymi włosami opadającymi na twarz, wykrztuszając wielkie, krwawomiodowe gluty. Maź dostała się też do nosa, zatkała go i skapywała przez dziurki.

Jeszcze przez parę chwil nie bardzo była w stanie złapać tchu, a białe płatki przed jej oczyma zmieniły się w czarne. Utopię się - pomyślała. - Utopię się w miodzie.

Wreszcie tchawica odzyskała drożność, w każdym razie choć trochę, i Audrey zaczęła chwytać łapczywie powietrze. Wciągała je do płuc poprzez gładko wysmarowane gardło, łkając z przerażenia i bólu.

- Nie próbuj nigdy więcej ode mnie uciekać! - wrzeszczał Tak prosto w jej twarz, klęcząc na pokrytych strupami kolanach Setha Garina. - Nigdy więcej! Nigdy więcej! Rozumiesz? Kiwnij tą swoją durną pałą, głupia krowo, pokaż, że zrozumiałaś!

Ręce stwora - te niewidzialne, istniejące tylko w jej umyśle - pochwyciły Audrey i oto już kiwała głową w górę i w dół, waląc raz po raz czołem o podłogę przy akompaniamencie śmiechu Taka. On się śmiał. Pomyślała, że będzie tak rąbał jej czołem, aż ona zemdleje i padnie na linoleum w cały ten bajzel, którego sama narobiła.

Wtem, tak samo nagle jak zaczął, przestał to robić. Ręce zniknęły. Zniknęło też poczucie połączenia z jego umysłem. Podniosła ostrożnie głowę i rozejrzała się, ocierając czubek nosa dłonią, wciąż ciężko dysząc w skurczach połączonych z wymiotami. Czula, jak pulsujące krwią czoło zaczyna puchnąć.

Chłopiec przyglądał się jej. I miała wrażenie, że jest to rzeczywiście chłopiec. Nie była do końca pewna, ale...

- Seth?

Przez moment trwał przykucnięty nieruchomo; nie pokiwał głową ani nią nie pokręcił. A potem wyciągnął brudną rączkę i palcami - ich dotyku prawie nie poczuła - starł miód z jej brody.

- Seth, dokąd on poszedł? Gdzie jest Tak?

Zmagał się z czymś. Widziała, że walczy, być może z lękiem, choć nie była pewna, czy on odczuwa lęk. Zresztą, nawet jeśli odczuwał, w tej chwili zmagał się raczej ze swym szwankującym systemem porozumiewania się ze światem. Wydobył z siebie gulgot jak zapowietrzona rura w łazience. Audrey pomyślała, że dzieciak pewnie nic więcej nie zdoła wykrztusić. Wtem, gdy miała już spróbować dźwignąć się na nogi, dobiegły ją dwa zduszone słowa.

- Nie ma. Budowa.

Spojrzała na niego, oddychając wciąż przez warstwę miodu, lecz w tej chwili nawet tego nie czuła. Na słowo "nie ma" jej serce zaczęło bić nieco szybciej. Powinna być ostrożna, szczególnie po tym, co się stało, ale...

- Jest w jakimś budynku, tak, kochanie? Na budowie? To chciałeś powiedzieć? Co to za budynek?

- Budowa - powtórzył Seth. Wyteżał się nadal, trzęsąc głową na boki. I wreszcie: - Robi. Budowa, zgadza się. Ale nie chodzi o miejsce, tylko o czynność. Tak coś budował. Coś stwarzał. Cóż on mógł stwarzać... poza problemami?

- On - powiedział Seth. - On. On, on!

Chłopiec uderzył się pięścią po udzie, zdenerwowany jak nigdy przedtem. Ujęła jego pięść i łagodnie ją rozprostowała.

- Nie, Seth. - Przepona Audrey znów wykonała skurcz, próbując zmusić ją do wymiotów, bo miód zalegał w żołądku ciężką kulą, lecz opanowała odruch. - Nie, nie. Odpreż się. Jeżeli możesz, to mi powiedz. Jeśli nie, to też dobrze.

Kłamała, lecz jeśli Seth stanie się jeszcze bardziej spięty, nigdy tego nie wydusi. Gorzej, może w ogóle odlecieć. Odlecieć, pozostawiając pusty, ciepły pokoik dziecięcego ciała, w którym z taką swobodą kwaterował Tak.

- On!

Seth sięgnął do jej głowy i dotknął uszu. Potem przyłożył dłonie za własnymi uszami i pchnął je do przodu. Spostrzegła, że ręce też ma brudne od długich zabaw w

piaskownicy - umazane brudem - i do oczu nabiegły jej łzy. Lecz Seth wpatrywał się w nią z napięciem. Skinęła głową - tak, zrozumiała. Gdy Seth się bardzo postarał, potrafił być niezły.

On cię słucha - komunikował jej chłopiec. - Tak słucha cię moimi uszami. Oczywiście, że to robił. Robiło - to coś, Tak Wspaniały, stwór o tysiącu głosów (z których większość zaciągała z teksańska) - i jednej parze uszu.

To Tak przypadł do niej, gdy klęczała, lecz to Seth, zwyczajny szczupły chłopczyk w uświnionych spodenkach, wstał teraz i ruszył do drzwi. Zawrócił jednak. Audrey wciąż jeszcze była na kolanach, rozważając, czy sięgnie stąd do blatu, czy musi najpierw podpełznąć bliżej szafki.

Ujrzawszy, że chłopiec wraca, skurczyła się w pierwszej chwili ze strachu, że to wrócił. Tak, że dostrzeża w oczach Setha ostry poblask jego inteligencji. Gdy podszedł bliżej, przekonała się, iż popełniła zrozumiały błąd. Seth płakał. Nigdy przedtem nie widziała go płaczącego, nawet gdy przychodził z zadrapanym kolanem czy guzem na głowie. Aż do tego momentu nie była całkiem pewna, czy on potrafi płakać.

Otoczył ramionami jej szyję i przycisnął czoło do jej czoła. Bolało, ale nie odpychała go. Przez sekundę mignął przed jej oczami zamazany, lecz wymowny obraz czerwonego telefonu, tym razem powiększonego do olbrzymich rozmiarów. Potem zniknął i usłyszała we własnej głowie głos Setha. Już wcześniej przy różnych okazjach miała wrażenie, że go słyszy, że chłopiec próbuje kontaktu telepatycznego. Wrażenie to powracało szczególnie tuż przed zaśnięciem albo zaraz przed obudzeniem. Głos był stłumiony, jakby docierał poprzez warstwy mgły. Teraz jednak rozlegał się zaskakująco blisko. Był głosem dziecka bystrego, w żadnej mierze nie zapóźnionego w rozwoju.

Nie potępiam cię za to, że chciałaś uciec - powiedział. Mówił pospiesznie i jakby ukradkiem. Jak uczeń przekazujący koledze niezwykle istotną klasową ploteczkę, gdy nauczyciel odwrócił się na chwilę do tablicy. - Idź do nich, do tych po drugiej stronie ulicy. Musisz poczekać, ale niezbyt długo. Dlatego, że on...

Teraz popłynęły już nie słowa, lecz kolejny mglisty obraz, który wypełnił całkowicie jej głowę, odsuwając na razie wszelkie myśli. To był Seth. Ubrany w strój błazna i czapkę z dzwoneczkami. Żonglował. Ale nie kulami, tylko lalkami. Laleczkami z porcelany. Figurkami Hummla. Dopiero jednak gdy upuścił jedną, która się rozbiła i Audrey ujrzała strzaskaną twarz Mary Jackson - leżącą tuż przy nodze błazna, obutej w pantofel kalifa, biało-czerwony, o podwiniętym nosku - zdała sobie sprawę, że są to jej sąsiedzi. Przypuszczała, że część tego wyobrażenia pochodzi od niej samej - chyba z tysiąc razy widziała figurki zbierane przez Kirstie Carver (uciążliwe hobby, zdaniem Audrey, jeśli w ogóle hobby) - rozumiała jednak, że cokolwiek mogłaby dodać od siebie, nie miało to wpływu na treść informacji, jaką usiłował jej przekazać Seth. Czymkolwiek się Tak w tej chwili zajmował - tym swoim budowaniem czy robieniem - sprawiało to, że był bardzo zajęty.

Nie na tyle, żeby nie spostrzec, że rzuciłam się do drzwi parę minut temu - pomyślała. - Nie na tyle, by mnie nie powstrzymać. I nie na tyle, by mnie nie ukarać. Następnym razem może mi wepchnąć do gardła solankę zamiast miodu.

Albo płyn do mycia naczyń.

Powiem ci, kiedy - głos dziecka powrócił. - Słuchaj mnie uważnie, ciciu Audrey. Po tym, jak wróca Wozy Mocy. Czekaj, aż się odezwę. To ważne, żeby udało ci się uciec. Dlatego że...

Tym razem przemknęło jej przez głowę więcej obrazów. Część z nich zbyt szybko, aby zdążyła coś zobaczyć, niektóre jednak rozpoznała: stara pocięta puszka po hamburgerach z makaronem leżąca wśród śmieci; pęknięta muszla klozetowa na śmietniku, samochód postawiony na kolkach, bez kół i szyb w oknach. Rzeczy zniszczone. Rzeczy zużyte.

Ostatnim przedmiotem, jaki jej pokazał, nim przerwał kontakt, był jej własny, artystycznie wykonany portret, stojący na stole w holu wejściowym. Portret nie miał oczu - zostały wydłubane.

Seth uwolnił ją z uścisku i odsunął się, patrząc, jak chwyta krawędź blatu i usiłuje stanąć na nogi. Brzuch, ciężki od miodu, którym nafaszerował ją Tak, działał jak przeciwwaga. Seth był już z powrotem sobą - odległy, bez kontaktu - emocji mniej więcej tyle co w kamieniu. Pod oczami miał jednak jaśniejsze smugi. Były tam, bez wątpienia.

- A-eś - rzekł swym bezbarwnym tonem - domyślali się z Herbem, że mogło to oznaczać "Audrey, cześć" - po czym wyszedł z kuchni. Z powrotem do nory, gdzie wciąż trwała finałowa strzelanina. Jak to możliwe? Nic prostszego, pewnie przewinęli do tyłu i puścili od nowa.

A jednak mówił do mnie - pomyślała. - Normalnym głosem, w mojej głowie. Przez swoją własną odmianę telefonu-zabawki. Ten jego jest taki wielki.

Wyjęła ze spizami szczotkę i zaczęła zmiatać z podłogi rozsypany makaron i mąkę. W norze rozległ się ryk Rory'ego Calhouna:

- Nigdzie stąd nie pójdziesz, ty jankeski wieprzu!

- To się nie musi tak skończyć, Jeb - mruknęła Audrey znad miotły.

- To się nie musi tak skończyć, Jeb - rzekł Ty Hardin, w filmie szeryf Laine, po czym zły pułkownik Murdock go zastrzelił.

Jego ostatnia zbrodnia, za trzydzieści sekund sam zginie.

Audrey znowu poczuła skurcz przepony. Silny. Podeszła do zlewu, ciągnąc za sobą szczotkę i pochyliła się. Napięła gardło, ale nic nie poleciało. Sekundę później skurcz zelzał. Odkręciła zimną wodę, napiła się prosto z kranu i obficie zmoczyła pulsujące czoło. O jak dobrze. Cudownie.

Zakręciła kran, wróciła do spizarni i wzięła śmietniczkę. "Tak buduje" - powiedział Seth. Tak coś tworzy. Ale co? Przyklękając niezgrabnie przy górcie śmieci, ze szczotką w jednej ręce i szufelką w drugiej, zadała sobie jeszcze jedno, bardziej dręczące pytanie: jeżeli ona ucieknie, co stwór zrobi z jej siostrzeńcem? Co się stanie z Sethem?

Belinda Josephson przytrzymała mężowi drzwi, po czym wyprostowała się i rozejrzała po kuchni. Górne światło było zgaszone, lecz w pomieszczeniu zrobiło się mimo to nieco jaśniej. Burza wyraźnie słabła i za godzinę czy dwie znów pewnie będzie jasno i upalnie. Spojrzała na ścienny zegar nad stołem i poczuła się trochę jak we śnie. Szesnasta zero trzy? Czy to możliwe, żeby upłynęło tak niewiele czasu? Przyjrzała się bliżej zegarowi i spostrzegła, że wskazówka sekundowa się nie porusza. Sięgnęła do wyłącznika przy drzwiach, gdy Johnny wpelził do kuchni na czworakach, po czym wstał.

- Daj sobie spokój - odezwał się Jim Reed.

Siedział na podłodze pomiędzy lodówką i kuchenką, z Ralphiem Carverem na kolanach. Ralphie wciąż trzymał w buzi kciuk. Oczy miał szkliste, apatyczne. Belinda nigdy za nim nie przepadała, na całej ulicy nie знаła nikogo, kto by przepadał (poza jego własnymi mamusią i tatusiem, jak przypuszczała), lecz mimo to poczuła w sercu ucisk.

- Dać sobie spokój z czym? - zapytał Johnny.

- Ze światłem. Prądu nie ma - odparł Jim.

Belinda uwierzyła, lecz mimo to pstryknęła parę razy wyłącznikiem. Nic.

W pomieszczeniu znajdowało się sporo osób - naliczyła jedenaście, łącznie z sobą - ale panująca tu martwa cisza sprawiała, że nie czuło się ich obecności. Ellie Carver jeszcze pochlipywała, lecz twarz wtuliła w pierś matki i Belinda pomyślała, że może nawet zasnęła. David Reed obejmował ramieniem Susi Geller; z drugiej strony obejmowała ją matka (szczęśliwa dziewczyna - pomyślała Belinda - ma ją kto pocieszać). Cammie Reed, matka bliźniaków, siedziała oparta o drzwi z kiczowatą tabliczką w stylu retro: "SPIŻARNIA". Belinda uznała, że Cammie nie straciła rezonu jak pozostali; miała chłodne, rozsądne spojrzenie.

- Mówiłaś, że ktoś krzyczał - zwrócił się Johnny do Susi. - Ja niczego nie słyszałem.

- Już nie krzyczy - odparła głucho dziewczyna. - To chyba była pani Soderson.

- Jasne, to ona - powiedział Jim Reed. Poprawił sobie Ralphiego na kolanach, krzywiąc się lekko. - Poznałem po głosie. Przez całe życie dość się nasłuchaliśmy jej wrzasków na Gary'ego. Prawda, Dave?

- Miałem ochotę ją zamordować - pokiwał głową Dave. - Poważnie.

- Bo też nie jesteś potulny, mój chłopcze, tak jak Gary - rzekł Johnny swym najlepszym głosem Humphreya Bogarta.

Zdjął kuchenny telefon z widełek, posłuchał, stuknął kilka razy w zero i odwiesił go z powrotem.

- Debbie nie żyje, prawda? - zapytała Susi Belindę.

- Cii, kochanie, przestań - uciszyła ją Kim Geller z niepokojem w głosie.

- Nie poszła wcale do tamtego domu. Prawda? I nie okłamujcie mnie.

Belinda właśnie taki miała zamiar, lecz zdecydowała, że to jednak niedobra metoda. Z jej doświadczenia wynikało, że nawet kłamstwa w dobrej wierze tylko pogarszają sytuację. I zwiększają zamieszanie. A zamieszanie na Topolowej osiągnęło już poziom oblędu.

- Prawda, kochanie - odpowiedziała więc, nie mogąc się nadziwić, jak to jej akcent robi się zawsze bardziej południowy, gdy ma komuś przekazać złe wieści. Może należało to przypisać bagażowi murzyńskiego doświadczenia, choć o tym jeszcze nie uczono w żadnej szkole. W jej przypadku było to o tyle interesujące, że nigdy w życiu nie dotarła na Południe dalej niż do linii Mason-Dixon⁶. - Prawda, kochanie. Obawiam się, że nie żyje. Susi schowała twarz w dłoniach i zaczęła płakać. Dave Reed przyciągnął ją do siebie i Susi wtuliła twarz w jego ramię. Kiedy Kim próbowała ją odciągnąć, dziewczyna zeszywniała i nie pozwoliła jej na to.

Kim spojrziała ze wstrętem na Dave'a, ale chłopak nawet tego nie zauważył. Zwróciła więc rozgniewaną twarz ku Belindzie.

- Dlaczego jej powiedziałaś?

- Ta dziewczyna leży na ganku; z takimi rudymi włosami ciężko by było jej nie zauważyć.

- Cicho już - nakazał jej Brad. Chwycił ją za przegub i pociągnął w stronę zlewu. - Nie denerwuj jej.

Za późno, mój drogi, pomyślała Belinda - lecz roztropnie zamilkła.

Za zlewem było okno przesłonięte siatką. Wyjrząwszy przez nie na prawo, widziała płot z drewnianych sztachet, oddzielający posesje Carverów i Starego Doktora. Widać też było zielony dach domku Billingsleya. Chmury ponad nim już zaczynały się rozpierzchać. Odwróciła się i podsunęła wyżej, przysiadając bokiem na krawędzi zlewu. Pochyliła głowę ku oknu, czując woń metalu i przesączające się przez oczka siatki zapachy mokrego lata. Ta mieszanina wywołała w niej natychmiast tęsknotę za dzieciństwem; uczucie zarazem wspaniałe i bolesne. To dziwne - pomyślała - że zapachy przypominające przeszłość są zawsze takie nie do zniesienia.

- Halooo! - zawołała, otaczając usta dłońmi. Brad chwycił ją za ramię, najwyraźniej chcąc ją powstrzymać, ale strząsnęła stanowczo jego rękę. - Halooo, Billingsley!

- Nie rób tego, Bee - skarciła ją Cammie Reed. - To nierozsądne.

A co by było rozsądne w tej sytuacji? - zastanowiła się Belinda. - Siedzieć na podłodze w kuchni i czekać na kawalerię Stanów Zjednoczonych?

- A diabła tam, wołaj dalej - rzekł Johnny. - Co nam to zaszkodzi? Jeżeli ci, co strzelali, jeszcze są w pobliżu, podejrzewam, że miejsce naszego pobytu i tak nie stanowi dla nich tajemnicy. - Raptem przyszło mu coś do głowy i przykucnął przed żoną nieboszczyka pocztowca.

- Kirsten, czy David miał broń? Może strzelbę myśliwską albo...

- W jego biurku jest pistolet - odparła. - Druga szuflada po lewej. Jest zamknięta, ale klucz znajdziesz w środkowej szufladzie. Taki na zielonej tasiemce.

- A biurko? Gdzie stoi?

- Och. W jego gabinecie. Na górze, w końcu korytarza. - Mówiła to wszystko, kontemplując własne kolana, po czym podniosła na niego zrozpaczone, rozbiegane

spojrzenie. - On tam leży na deszczu, Johnny. Koleżanka Susi też. Nie powinniśmy ich zostawiać na deszczu.

- Już przestaje padać - odparł Johnny. Widać było po nim, iż wie, jak idiotycznie to zabrzmiało. Jednak odpowiedź wydawała się satysfakcjonować Kirsten, przynajmniej na razie. Belinda uznała, że to się w sumie liczy najbardziej. Może sprawił to ton Johnny'ego. Słowa mogły być głupie, lecz jeszcze nigdy nie słyszała, by przemawiał tak łagodnie. - Zajmij się tylko dziećmi, Kirstie, i nie przejmuj się na razie niczym innym.

Marinville wstał i ruszył ku wahadłowym drzwiom, pochylony jak podczas bitwy.

- Panie Marinville - zawołał za nim Jim Reed. - Mogę pójść z panem? - Chłopak chciał posadzić Ralpa z boku, lecz w oczach dziecka pojawiła się panika. Kciuk wyskoczył mu z ust z głośnym cmoknięciem i Ralph uczepił się Jima jak rzep.

- Nie, Jim, nie, Jim - powtarzał cichym głosem, aż Belindzie ciarki przeszły po plecach. Wyobraziła sobie, że w taki sposób mówią pewnie do siebie obłąkani, kiedy zostają w celi sami na noc.

- Zostań na miejscu, Jim - powiedział Johnny. - Brad? Co byś powiedział na mały wypad w górne partie? Przewietrzyłbyś się trochę?

- Jasne. - Brad popatrzył na żonę z owym wyrazem miłości i rozdrażnienia, właściwym jedynie ludziom, którzy przeżyli razem ponad dziesięć lat. - Naprawdę sądzisz, że to w porządku, żeby ta moja kobieta tak się wydzierała?

- Mogę tylko powtórzyć: a co nam to zaszkodzi?

- Uważaj na siebie - rzekła do męża Belinda, muskając ręką jego pierś. - Trzymaj głowę nisko. Obiecuj mi.

- Obiecuję trzymać głowę nisko.

- Teraz ty - spojrzała na Johnny'ego.

- He? Aha. - Johnny uśmiechnął się czarująco i Belindę tknęło nagle przecucie: tak oto pan John Edward Marinville uśmiecha się zawsze, gdy składa obietnice kobietom. -

Obiecuję trzymać nisko głowę.

Wyszli z kuchni, przykucnąwszy z pewnym zażenowaniem w momencie przekraczania drzwi do holu Carverów. Belinda z powrotem nachyliła się do okiennej siatki. Oprócz zapachu deszczu i mokrej trawy docierał do niej swąd płonącego domu Hobartów. Uświadomiła sobie, że pożar - trzask i poszum płomieni - również słyhać, nie tylko widać i czuć. Dzięki ulewie ogień się prawdopodobnie nie rozniesie, ale gdzie jest straż pożarna, na rany Chrystusa? Na co idą nasze podatki?

- Halooo, Billingsley! - zawołała znowu. - Jest tam kto?

Po chwili odpowiedział jej nieznajomy męski głos:

- Jest nas siódemka! Ta para z góry...

To pewnie Sodersonowie - pomyślała Belinda.

- ...poza tym gliniarz i mąż tej zabitej kobiety. Jest też pan Billingsley i Cynthia, ta ze sklepu!

- Kim pan jest? - chciała wiedzieć Belinda.

- Steve Ames! Z Nowego Jorku! Zepsuła mi się ciężarówka, zjechałem z międzystanowej i zablądziłem. Zatrzymałem się przy waszym sklepie, żeby zadzwonić!

- Ale miał fart - powiedział Dave Reed. - To jak wygrać wycieczkę do piekła.

- Co się dzieje? - zawołał głos z tamtej strony płotu. - Macie jakieś pojęcie?

- Nie! - odkrzyknęła Belinda.

Wyteżala umysł z całych sił. Powinno się jeszcze coś powiedzieć, zadać jakieś pytania, ale nic nie przychodziło jej do głowy.

- Sprawdzaliście w górę ulicy? Jest czysto? - wołał Ames.

Belinda otworzyła już usta, by mu odpowiedzieć, lecz jej uwagę odwróciła pajęczyna za oknem. Okap ochronił ją przed nawałnicą, lecz na pajęczych niciach wisiały krople deszczu podobne malutkim, drżącym diamentom. Właściciel i zarządca sieci siedział na środku. Nie ruszał się. Może zdechl.

- Proszę pani?! Pytałem...

- Nie wiem! - odskrzyknęła. - Johnny Marinville z moim mężem sprawdzali, ale teraz poszli na piętro, żeby... - Wolą jednak nie wspominać o broni. Może to i głupie, asekuranckie, ale nie zmieniało to faktu, że tak wolą. - ...żeby mieć lepszy widok! A jak u was?

- Niezłe zamieszanie, proszę pani! Ta kobieta z naprzeciwka... - Ames urwał w pół zdania. - Czy wasz telefon działa?

- Nie! - krzyknęła Belinda. - Ani telefonu, ani prądu!

Znów chwila milczenia. Potem, ledwie słyszalne poprzez słabnący szum deszczu, dobiegło ją ciche "cholera jasna". Teraz włączył się inny głos; знаła go, lecz nie mogła zrazu rozpoznać.

- Belinda, to ty?

- Tak! - rzuciła i odwróciła się do pozostałych z pytaniem w oczach.

- To pan Jackson - odpowiedział Jim Reed ponad ramieniem Ralphiego.

Chłopcy nie udało się jeszcze schronić śladem siostry w objęcia snu, lecz widać było, że stanie się to niebawem; kciuk już powoli wysuwał mu się z ust.

- Byłem przy drzwiach wejściowych! - wołał Peter. - Ulica w dół jest pusta aż do skrzyżowania! Kompletnie pusta! Ani zbiegowiska, ani pół gapia choćby z Hiacyntowej czy z następnego kwartału Topolowej. Rozumiesz coś z tego?

Belinda zastanawiała się, marszcząc brwi. Spojrzała po obecnych. Ujrzała jedynie zaskoczone spojrzenia i opuszczone głowy. Odwróciła się z powrotem do okna.

- Nie! - zawołała.

Peter się roześmiał. Ten dźwięk przejął ją drżeniem, podobnie jak przedtem niezborne mamrotanie Ralphiego.

- To witaj w klubie, Bee! Ja też nic nie rozumiem!

- A kto by miał przyjść się gapić? - wtrąciła drwiąco Kim Geller. - Kto o zdrowych zmysłach? Słyszac strzelaninę, wrzaski ludzi i w ogóle?

Belinda nie potrafiła na to odpowiedzieć. Brzmiało logicznie, a jednak nie całkiem trzymało się kupy... ponieważ kiedy wybucha zamieszanie, ludzie nie zachowują się logicznie. Przybiegają i gapią się. Zwykle z odległości, którą uważają za bezpieczną, ale jednak.

- Jesteś pewien, że poniżej skrzyżowania też nikogo nie ma? - zapytała.

Tym razem przerwa trwała tak długo, że zamierzała już powtórzyć pytanie, gdy nagle pojawił się trzeci głos. Tym razem bez kłopotu rozpoznała Starego Doktora.

- Nikt z nas nikogo nie widzi, ale z chodnika już się podniosła mgła! Póki się nie rozejdzie, nie mamy pewności!

- Ale syren nie słyhać! - to znów Peter. - A od północy nic do was nie dociera?

- Nie! - odkrzyknęła. - To pewnie przez burzę!

- Nie sędzę - powiedziała Cammie Reed. Mówiła za siebie i do siebie, nie do wszystkich.

Gdyby nie to, że zlew umieszczono tak blisko "SPIŻARNI", Belinda by jej nie usłyszała.

- Nic podobnego, żadne tam przez burzę.

- Wychodzę po żonę! - zawołał Peter Jackson.

Podniosły się głosy protestu wobec tego pomysłu. Belinda nie rozróżniała słów, lecz podniecony ton mówił sam za siebie.

Raptem pajak - ten, którego wzięła za zdechłego - czmychnął ze środka sieci i wspiał się po jedwabnym splocie do samej góry, znikając za okapem. Czyli nie zdechł - pomyślała Belinda. - Tylko się przyczaił.

Teraz nagle pochyliła się nad nią do okna Kirsten Carver, trącając ją przy tym ramieniem tak mocno, że byłaby wpadła tyłkiem do zlewu, gdyby się nie złapała szafki nad głową.

Słodyczek miała pergaminowe bladą twarz i oczy rozognione przerażeniem.

- Nie wychodź! - wrzasnęła. - Wróć i cię zastrzelą! Wróć i nas wszystkich zastrzelą!

Przez chwilę z drugiego domu nie było odpowiedzi, a potem odezwał się Collie

Entragian, przepraszaający i skolowany zarazem:

- To na nic, proszę pani! Już poszedł!

- Trzeba było go powstrzymać! - wrzasnęła Kirsten. Belinda objęła ją ramieniem i przeraziła się, gdyż poczuła, że tamta nie przestaje się trząść. Jakby miała za chwilę eksplodować. - Co z pana za policjant!

- Już nim nie jest - rzekła Kim Geller, tonem a-czegoś-się-cholera-spodziewała. - Wywalili go z policji. Handlował kradzionymi samochodami.

- Ja w to nie wierzę - podniosła głowę Susi.

- A co dziewczynka w twoim wieku może wiedzieć na ten temat? - zapytała matka.

Belinda miała już zeskoczyć ze zlewu, kiedy spostrzegła na trawniku za domem coś, co ją zmroziło. Przy słupku dziecięcej huśtawki, udekorowane kroplami deszczu jak pajęczyna na oknie.

- Cammie?

- Co?

- Podejdź tu.

Jeśli ktoś miałby się na tym znać, to Cammie; miała ogródek za domem, a w mieszkaniu istną dżunglę roślin doniczkowych i całą bibliotekę książek o wszystkim, co rośnie.

Cammie oderwała się od drzwi do spiżarni i podeszła do okna. Przyłączyły się do niej Susi z matką, a za nimi podszedł również Dave Reed.

- No co? - spytała Słodyczek Carver, zwracając ku Belindzie oszołomione spojrzenie.

Ellie Carver oplotła nogę matki jak pień drzewa ramionami i nadal wtulała twarz w jej dżinsowe szorty. - Co tam jest?

Belinda zignorowała ją i zwróciła się do Cammie:

- Popatrz. Przy huśtawce. Widzisz?

Cammie już miała powiedzieć, że nie, lecz Belinda pokazała jej palcem i zobaczyła. Na wschodzie zadudnił grzmot, zerwał się podmuch wiatru. Pajęczyna za oknem zadrżała i strząsnęła z siebie kropelki deszczu. To coś, co dostrzegła Belinda, oderwało się od huśtawki i potoczyło przez podwórko Carverów w stronę plotu.

- To niemożliwe - powiedziała głucho Cammie. - Rosyjski oset nie rośnie w Ohio. A nawet gdyby... jest lato. On w lecie się ukorzenia.

- Co to jest rosyjski oset, mamó? - spytał Dave Reed. Obejmował Susi Geller w tali. - Nigdy o tym nie słyszałem.

- Biegacz stepowy? - odparła Cammie tym samym głuchym tonem. - Rosyjski oset to biegacz stepowy.

3

Brad wsunął głowę przez drzwi gabinetu Davida Carvera akurat w chwili, gdy Johnny wyciągał z szuflady biurka zielono-białe pudełko z nabojami. W drugiej ręce pisarz trzymał rewolwer Davida. Obrócił bębenkiem, by się upewnić, że komory są puste; były, lecz mimo to trzymał broń w niewygodnej pozycji, starając się żadnym palcem nie dotykać spustu. Przypominał Bradowi jednego z tych facetów, którzy wciskają ludziom różne podejrzane towary w ramach telesprzedaży w kablówkach: "Oczywiście, kochani, że to cacuszko wypłoszy z waszego domu każdego nocnego intruza na tyle niemądrego, by się włamywać akurat do was! Ale - uwaga, uwaga - to jeszcze nie wszystko! Ta maszynka kroi! Szatkuj! Czy uwielbiacie ziemniaki z patelni, tylko nigdy nie macie czasu przyrządzić ich w domu?"

- Johnny.

Pisarz podniósł głowę i po raz pierwszy Brad zauważył, jak ten człowiek się boi. Poczul do niego więcej sympatii. Nie miał pojęcia, dlaczego tak było, ale było.

- Jakiś idiota jest na trawniku Doktora - oznajmił Brad. - Chyba Jackson.

- Cholera. Za mądry to on nie jest, co?

- No. Nie postrzel się przypadkiem - Brad ruszył do wyjścia, ale przystanął w drzwiach. - Czy myśmy powariowali? Bo ja mam takie wrażenie.

Johnny rozłożył ręce dłońmi do góry, szeroko, na znak, że nie ma pojęcia.

4

Zajrzał jeszcze raz do komór rewolweru - jak gdyby w czasie, kiedy nie patrzył, mógł w nich wyrosnąć nabój - i zatrzasnął bębenek. Wsunął broń za pasek, a paczkę naboji do kieszeni koszuli.

Zabawki Ralpa Carvera zamieniły cały przedpokój w pole minowe. Dzieciak najwyraźniej nie został jeszcze zaznajomiony przez swych zaślepionych rodziców z pojęciem sprzątanania po sobie. Brad wszedł teraz do następnego pokoju, zapewne sypialni dziewczynki. Johnny za nim. Murzyn wskazał na okno.

Marinville wyjrzał. Tak jest, to Peter Jackson. Klęczał na trawniku Doktora przy żonie. Znów dźwignął ją do pozycji siedzącej. Jedną ręką podtrzymywał jej plecy, drugą wsuwał pod uniesione kolana. Spódnica podsunęła się jej już do pól uda i Johnny'emu przypomniało się, że Mary jest bez majątek. Ale właściwie co z tego? Co z tego, do kurwy nędzy? Widział, jak plecy Petera drżą, wstrząsane szlochem.

U góry tego obrazka pojawiło się jakieś srebrzyste światło.

Johnny podniósł głowę i zobaczył coś przypominającego starą przyczepę mieszkalną typu "Airstream" - albo bar na kółkach - skręcającego w lewo w Topolową z Hiacyntowej.

Zaraz za tym jechała czerwona furgonetka, która załatwiła gazeciarza i psa, a za nią ta lakierowana na niebieski metalik. Spojrzał w drugą stronę, ku Niedźwiedziej i ujrzał kiczowato różową furgonetkę z radarem w kształcie serca walentynkowego, żółtą, która stuknęła auto Mary i zepchnęła je z ulicy, a potem czarną, z wieżyczką na dachu.

Było ich sześć. Sześć w dwóch rzędach po trzy. Dawno temu w Wietnamie widywał amerykańskie transportery opancerzone w tej samej formacji.

Ustawiały się w korytarz ogniowy.

Przez chwilę nie mógł się poruszyć. Ręce zwisały mu po bokach jak betonowe kolki. Nie macie prawa - przemknęła mu przez głowę chora myśl, wściekła i pełna niedowierzania. - Nie macie prawa tak wracać, gnoje jedne, nie macie prawa tyle razy wracać.

Brad jeszcze ich nie widział, przyglądał się Peterowi na trawniku, zaaferowany jego próbami, by wstać z martwą żoną ciężącą mu w ramionach. A Peter...

Johnny zdołał poruszyć prawą ręką. Chciał, by skoczyła, lecz ona ledwie popłynęła do kolby rewolweru. Chwycił go i wyciągnął zza paska. Ale nie mógł strzelać bez naboju w komorze. Nie mógł go też naładować, w swym obecnym stanie. Złapał więc za lufę i rozbił kolbą okno sypialni Ellen Carver.

- Do środka! - krzyknął do Petera, lecz nawet we własnych uszach jego głos brzmiał cicho i bezsilnie. Bożesz ty mój, co to za koszmarny sen? I jakim sposobem się w nim znaleźli? - Do środka! Oni wracają! Wrócili! Uciekaj stamtąd!

Poskładany rysunek znaleziony w notatniku bez tytułu, stanowiącym najwyraźniej dziennik Audrey Wyler. Choć nie podpisany, jest niemal na pewno dziełem Setha Garina. Gdyby założyć, że miejsce, w którym go wsunięto w dziennik, ma związek z datą jego powstania, to został wykonany latem 1995 roku, po śmierci Herba Wylera i nagłym opuszczeniu ulicy Topolowej przez rodzinę Hobartów (Wyd.)

ROZDZIAŁ 7

Ulica Topolowa/16.44/15 lipca 1996

Wylaniają się ze wstającej nad ulicą mgły niczym materializujące się nagle metalowe dinozaury. Szyby w oknach opuszczone; przysłony iluminatorów w burcie różowego Sennego Wędrowca znów otwarte; przednia szyba niebieskiej Wolności Bounty'ego cofa się w gładki mrok, w którym jeżą się szarawo trzy lufy strzelb.

Przetacza się grzmot, gdzieś w oddali skrzeczy ptak. A po sekundzie ciszy wybucha kanonada.

Zupełnie jakby powróciła burza z piorunami, tylko że gorsza, bo tym razem skierowana przeciwko ludziom. Huk broni też jest głośniejszy niż przedtem; Collie Entragian, leżący twarzą do ziemi w drzwiach z kuchni do salonu Billingsleya, zauważa to pierwszy, pozostali niewiele później. Każdy strzał brzmi niemal jak wybuch granatu; po każdym następuje niski jęklivy odgłos, coś pomiędzy gwizdem i buczeniem.

Czerwona Strzała Szlaku strzela dwukrotnie i po kominie Entragiana nie zostaje nic poza chmurą brązowego pyłu w powietrzu i toczącymi się po dachu odłamkami cegieł.

Kolejny strzał - plastikowa płachta nad ciałem Cary'ego Riptona wzbija się w górę jak spadochron. Inny odrywa od jego roweru tylne koło. Przed Strzałą jedzie srebrna furgonetka, ta podobna do staromodnego baru na kółkach. Fragment jej dachu odchyła się ukośnie i wylania się spod niego srebrzysta postać (wygląda na robota) w mundurze piechoty konfederackiej. Posyła trzy strzały ekspresem poleconym w płonący dom Hobartów. Huk jest tak głośny jak wybuch dynamitu.

W dół ulicy jadą od Niedźwiedziej Senny Wędrowiec i Wóz Sprawiedliwości, zasypując ogniem posesje dwieście pięćdziesiąt jeden i dwieście czterdzieści dziewięć - Josephsonów i Soderonów. Okna wpadają do wewnątrz. Rozpryskują się drzwi. Kula wydająca taki odgłos, jakby ją wystrzelono z działka przeciwlotniczego, trafia w tył starego saaba Gary'ego Soderona. Tył załamuje się do środka, fruwają czerwone odłamki tylnych lamp; słychać głośne łups! eksplodującego baku i niewielkie auto zmienia się w dymno-pomarańczową kulę ognia. Nalepki - "Może nie jestem szybki, ale i tak jadę przed tobą"

na tylnej szybie oraz "Samochód służbowy mafii" na zderzaku - drgają w gorącym powietrzu jak miraż. Trójka furgonetek zderzających na południe i trójka jadąca na północ spotykają się, mijają i ustawiają na wprost drewnianych płotów oddzielających posesję Billingsleya od Carverów powyżej niej i Jacksonów poniżej.

Audrey Wyler, która w chwili wybuchu kanonady jadła właśnie w kuchni kanapkę, popijając ją piwem z puszki, stoi teraz w salonie, patrzy na ulicę szeroko otwartymi oczami, nieświadoma nawet, że wciąż trzyma w ręce salami z sałatą na kawałku ryżowego chleba. Ogień strzelb zlewa się w nieustanny, rozrywający uszy huk trzeciej wojny światowej, lecz Audrey niebezpieczeństwo nie grozi; cała ta nawałnica skupia się obecnie na dwóch domach po drugiej stronie ulicy.

Widzi, jak czerwone autko Ralphiego - Buster - wylatuje w powietrze z jednym bokiem skręconym w metalowy kwiat, robi gwiazdę ponad namokniętym ciałem Davida Carvera i ląduje kręcącymi się kołami do góry. Następne trafienie zgina wózek wpół i posyła w kwietnik na lewo od ścieżki. Kolejny strzał wyrывa z zawiasów siatkowe drzwi Carverów i ciska je w głąb holu; jeszcze dwa z Wolności Bounty'ego zmieniają w pył dumę Kirstie - porcelanowe figurki.

W zgniecionym tyle luminy Mary Jackson pojawiają się dziury i to auto również eksploduje; buchające płomienie pożerają je od tyłu ku przodowi. Kule zrywają z okna Starego Doktora dwie okiennice, a w skrzynce na listy obok jego drzwi pojawia się otwór wielkości piłki baseballowej. Skrzynka upada, dymiąc, na wycieraczkę. Wewnątrz niej płoną reklamówki z "Kmartu" i list ze Stowarzyszenia Weterynarzy Stanu Ohio. Kolejne bam! i kołatka w kształcie srebrnej głowy bernardyna znika nieodwołalnie jak moneta w dłoni magika. Niepomny na to wszystko Peter Jackson nadal usiłuje podźwignąć się do pionu z martwą żoną w ramionach. Jego okulary w okrągłych oprawkach połyskują w coraz jaśniejszym świetle mokrymi od deszczu szklami. Na bladej twarzy Petera maluje się nie tylko oszłomienie, jest to twarz człowieka, w którym przepaliły się wszystkie

bezpieczniki. Audrey widzi jednak, że mężczyzna nadal stoi nietknięty; jakimś cudem nietknięty, jakimś cudem...

Ciociu Audrey!

To Seth. Bardzo słabo słyszalny, ale niewątpliwie on.

Ciociu Audrey, słyszysz mnie?

Słyszę! Co się dzieje, Seth?

To nieważne. - W głosie pobrzmiewa teraz nuta paniki. - Masz takie miejsce, do którego się chowasz, prawda? Swoją kryjówkę?

Mohonk? Czy chodzi mu o Mohonk? Jest już pewna, że tak.

Tak, ale...

Idź tam! - krzyczy słabnący głos. - Idź tam natychmiast! Dlatego, że...

Głos nie kończy zdania, zresztą nie musi. Audrey odwróciła się już plecami do obłędnej strzelnicy, odwróciła w stronę nory, gdzie film - FILM - leci znów od początku. Stary zenith gra jakimś sposobem głośniejszy nawet niż na cały regulator. Po ścianie skacze ekstatycznie cień Seta, wydłużony i jakiś straszny; przypomina coś, czego najbardziej bała się w dzieciństwie: rogatego demona z "Nocy na Łysej Górze", fragmentu "Fantazji". To jakby Tak w jego wnętrzu wyginał się, wił i przeciągał, bezlitośnie zmuszając ciało dziecka, by przekraczało naturalne ograniczenia.

Ale dzieje się jeszcze coś. Audrey patrzy ponownie przez okno. Początkowo myśli, że coś jest nie tak z jej oczami - może Tak jakoś je rozpuścił, zniekształcił? - gdy jednak podnosi do nich dłonie, wyglądają normalnie. To z Topolową jest coś nie w porządku.

Perspektywa ulicy odkształca się w trudny do zdefiniowania sposób: zmieniają się kąty, wyrzuszają kandy, rozmazują barwy. Zupełnie jakby rzeczywistość miała zaraz przejść w stan płynny. Audrey przypuszcza, iż wie dlaczego: to Tak zakończył już swój długi okres przygotowań i wzrastania w ukryciu. Tak robi. Tak buduje. Seth kazał jej odejść, choćby na krótko, ale dokąd pójdzie on sam?

Seth! - Audrey koncentruje się z całych sił. - Seth, chodź ze mną!

Nie mogę! Idź już, ciociu Audrey! Teraz!

Jest w tym głosie tyle udręki, że trudno to znieść. Audrey odwraca się z powrotem w stronę arkady prowadzącej do nory, lecz zamiast niej widzi łąkę opadającą ku skalnej ścianie. Rosną tu dzikie róże; czuje ich zapach i zmysłowe, delikatne gorąco wiosny przechodzącej już w lato. Oto już jest przy niej Janice, pyta, która z piosenek Simona i Garfunkela jest jej najulubieńszą, a po chwili pograżają się w dyskusji na temat Homeward Bound i I am a rock, tej ze słowami: "Gdyby nie ta miłość, lez by też mniej było".

Chroniący się w kuchni Carverów leżą na podłodze, zakrywszy głowy rękami i wcisnąwszy twarze w podłogę, a świat wokół nich wydaje się rozpadać na kawałki. Pryska szkło, wywracają się meble, coś wybucha. Kule przebijają ściany z potwornym łomotem.

Słodyczek Carver nagle nie może dłużej znieść wczepionej w nią Ellen. Kocha córkę, pewnie, że tak, lecz teraz chce Ralphiego, musi go mieć przy sobie, tego bystrego łobuziaka, tak podobnego do ojca. Odsuwa Ellen szorstko od siebie, nie zważając na płacz zaskoczonych, przerażonych dziewczynki, i rzuca się ku wnęce pomiędzy kuchenką i lodówką, gdzie nad rozszalałym, wrzeszczącym Ralphem pochyla się Jim Reed, jedną dłonią obejmujący tył jego głowy jak czapeczką.

- Mamuusiuuu! - Ika Ellie i natychmiast chce pobiec za matką.

Cammie Reed przyskakuje spod drzwi spiżarni, chwytając dziewczynkę w pasie, ale opuszcza ją natychmiast z powrotem na ziemię, kiedy coś podobnego do monstrialnej szarańczy przelatuje z buczeniem przez kuchnię i uderza w kran, który wlatuje w górę niczym buława dyrygenta na paradzie, a potem wylatuje niemal cały przez okno, rwąc siatkę i pajęczynę. Z tego, co pozostało, leci fontanna wody, sięgająca początkowo niemal sufitu.

- Daj mi go! - krzyczy Słodyczek. - Oddaj mojego syna! Oddawaj...

Nadlatuje kolejny metalowy owad, któremu oprócz buczenia towarzyszy teraz głośny, tępy brzdęk, gdy pocisk zamienia jeden z wiszących nad kuchenką miedzianych garnków w poskręcaną skorupę rozerwaną jak szrapnel. Krzyk Kirsten nie zawiera już słów, jest czystym wrzaskiem. Kobieta przyciska dłonie do twarzy, spomiędzy jej palców wypływa krew i ścieka na szyję. Gors krzywo zapiętej bluzki pokrywa się skrawkami miedzi. Tkwią one również w jej włosach, a jeden spory odłamek wystaje niczym rzucony nóż ze środka czoła.

- Nic nie widzę! - wyje Kirsten przenikliwie i opuszcza ręce. Oczywiście, że nie widzi, ponieważ nie ma oczu. Większej części twarzy także nie ma. Z policzków, ust i podbródka sterczą strzępy miedzianego garnka. - Ratujcie mnie, nic nie widzę! David, ratuj mnie! Gdzie jesteś?!

Piętro wyżej Johnny, leżący obok Brada w pokoju Ellen twarzą do podłogi, słyszy te wrzaski i wie, że zdarzyło się coś strasznego. Powietrze nad nimi przeszywają pociski. Na przeciwległej ścianie wisi zdjęcie Freddiego Mercury'ego; akurat gdy Johnny zaczyna pelznąć do drzwi, w piersi Freddiego wykwita dziura od kuli. Inna kula trafia w lustro dziecinnej toaletki Ellen i rozbija je w drobiazgi. Gdzieś na ulicy, dołączając do piekielnego wycia Kirsten na dole, rozlega się ryk alarmu samochodowego. A strzelanina nie milknie.

Wpełzając do zarzuconego zabawkami przedpokoju, Johnny słyszy za sobą chrapliwy oddech Brada. Jak na kogoś z takim brzuchem chłop się dziś nagimnastykował jak diabli - myśli... lecz raptem owa myśl, wydzierająca się na dole kobieta i huk pocisków wymiecione zostają z jego głowy. Przez chwilę ma takie uczucie, jakby się nadział na prawego prostego Mike'a Tysona.

- To ten sam facet - szepcze. - Boże święty, kurwa mać, to ten sam.

- Padnij, idioto! - szarpie go za ramię Brad.

Johnny leci do przodu niczym samochód ześlizgujący się ze źle umieszczonego lewarka i dopiero gdy rozciąga się na podłodze, uzmysławia sobie, że wstał na czworaki. Nad jego

głową śmigają niewidoczne kule. Rozpada się szyba portretu ślubnego wiszącego u szczytu schodów; zdjęcie z głuchym łoskotem pada licem w dół na dywan. Sekundę potem przestaje istnieć drewniana kula wieńcząca słupek na końcu poręczy; rozpryskują się śmiercionośne drzazgi. Brad kurczy się, chroniąc twarz, lecz Johnny, nie zważając na nic, nadal wpatruje się w coś na podłodze.

- Odbiło ci czy co? - pyta go Brad. - Życie ci niemile?

- To on, Brad - odpowiada Johnny. Wczepia sobie palce we włosy i pociąga mocno, jakby chciał się upewnić, że to wszystko nie jest złudzeniem. - Ten... - Kolejny pocisk nad ich głowami jęczy zjadliwie jak szarpnięta struna gitary i sypie się na nich szkło z rozbitej lampy. - Ten, co kierował niebieską furgonetką - kończy. - Zastrzelił ją inny, bardziej podobny do człowieka, ale prowadził ten tutaj.

Marinville podnosi z podłogi - zasypanej teraz oprócz zabawek szkłem i drzazgami - jedną z ruchomych figurek Ralphiego Carvera. Jest to kosmita o wypukłym czole, migdałowo wykrojonych, wielkich ciemnych oczach i czymś w rodzaju miękkiego dzioba zamiast ust. Ma na sobie zielony, opalizujący mundur. Jest łysy, nie licząc sztywnego blond czuba, który wygląda jak pióropusz na hełmie rzymskiego centuriona. Gdzie twój kapelusz? - myśli Johnny wśród gwizdzących nad głową kul, które rozrywają tapety i druzgoczą drewniane łaty pod spodem. Figurka przypomina trochę E.T. Spielberga. Gdzie twój spięty szpilą kawaleryjki kapelusz, brachu?

- Co ty wygadujesz? - pyta Brad, wyciągnięty na całą długość na brzuchu.

Bierze z rąk Johnny'ego figurkę, mniej więcej piętnastocentymetrowej wysokości i przygląda się jej. Na jednym z pulchnych policzków Brada widnieje skaleczenie. Szkło z lampy - domyśla się Johnny. Wrzeszcząca na parterze kobieta nagle milknie. Brad spogląda na kosmitę, a potem na Johnny'ego oczyma niemal komicznie rozszerzonymi ze zdumienia.

- Pieprzysz jak potłuczony - mówi.

- Nie - sprzeciwia się pisarz. - Nie pieprzę. Bóg mi świadkiem, że nie. Nigdy nie zapominam twarzy.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Że oni wszyscy noszą maski, żeby ci, co przeżyją, nie mogli ich rozpoznać?

Johnny'emu to akurat wyjaśnienie nie przyszło dotąd do głowy, ale jest całkiem niezłe.

- Podejrzewam, że właśnie tak - godzi się z Bradem. - Ale...

- Ale co?

- To nie wyglądało jak maska. Po prostu. Nie wyglądało jak maska.

Brad przygląda mu się jeszcze chwilę, potem odkłada figurkę na bok i sunie w stronę schodów. Johnny podnosi zabawkę, by jeszcze na nią popatrzeć. Krzywi się, gdy jedna z kul wpada przez okno na końcu przedpokoju - to wychodzące na ulicę - i furczy tuż nad jego głową. Wpycha figurkę do kieszeni, nie tej, w której ma już wielki pocisk z parteru, i pelźnie w ślad za Bradem.

Peter Jackson ze zwłokami żony na rękach wciąż stoi na trawniku. W samym środku ogniowej nawałnicy pozostaje nietknięty. Widzi furgonetki o przyciemnianych szybach i futurystycznych kształtach, widzi lufy dubeltówek, plujące ogniem spod muszek, a pomiędzy srebrzystą i czerwoną furgonetką widzi także saaba Gary'ego, tego starego rzecha płonącego teraz na podjeździe Soderonów. Wszystko to nie robi na nim najmniejszego wrażenia. Przypomina sobie, jak wrócił z pracy do domu. Nie wiedzieć czemu, akurat to wydaje mu się najważniejsze. Myśli o tym, jak będzie rozpoczynał każdą opowieść o tych wydarzeniach (nie przychodzi mu do głowy, że może w ogóle nie przeżyć tego straszliwego popołudnia, na razie jeszcze nie) zdaniem - "Wróciłem właśnie z pracy do domu". Zdanie to już zapadło w jego umysł jak jakaś magiczna konstrukcja; jak most prowadzący z powrotem do normalnego, uporządkowanego świata, do którego, jak sądził jeszcze godzinę temu, ma przyrodzone prawo, dziś, jutro i zawsze. "Właśnie wróciłem z pracy do domu".

Peter myśli też o ojcu Mary, wykładowcy w Szkole Dentystycznej Mermont na Brooklynie. Najczęściej bał się Henry'ego Kaepnera, bał się jego budzącej lęk prawości; czuł w głębi serca, że Henry uważa go za niegodnego swej córki (i w głębi serca Peter Jackson zawsze zgadzał się z tą opinią). A teraz stoi oto w centrum strzelaniny, ze stopami w mokrej trawie i zastanawia się, jak będzie kiedykolwiek w stanie oznajmić panu Kaepnerowi, że najgorszy, niewypowiedziany koszmar teścia stał się rzeczywistością: z winy jego nic niewartego zięcia zabito mu jedyne dziecko.

Ale to przecież nie moja wina - myśli Peter. - Może uda mi się go przekonać, jeśli zacznę od tego, iż właśnie wróciłem z pracy...

Jackson.

Głos rozprasza jego troski, sprawia, że Peter chwieje się na nogach i chce mu się krzyżeć. Ma wrażenie, że w jego mózgu, wrywając weń dziurę, otworzyły się cudze usta. Mary osuwa mu się w ramionach, próbując wysliznąć się z ich uścisku, więc przyciska ją mocniej do siebie, nie zważając na bolące ręce. Jednocześnie odzyskuje w pewnej drobnej części kontakt z rzeczywistością. Większość furgonetek jest już w ruchu, lecz jadą powolutku, ciągle strzelając. Różowa i żółta zasypują teraz pociskami domostwa Reedów i Gellerów, rozbijając sadzawki dla ptaków, zrywając kurki zewnętrznych kranów, tłukąc okna od piwnic, roznosząc na strzępy kwiaty i krzewy i tnąc po rynnach, które spadają ukosem na trawniki.

Jeden pojazd stoi jednak bez ruchu. Ten czarny. Parkuje po drugiej stronie ulicy, zasłaniając niemal całkiem dom Wylerów. W rozsuniętej wieżyczce pojawia się teraz, niczym zjawa w oknie nawiedzonego domu, lśniąca postać, cała w jasnych szarościach i matowej czerni. Peter dostrzega, że zjawa jednak na czymś stoi. Przypomina to latającą poduszkę i chyba cicho buczy.

Czy to człowiek? Trudno powiedzieć. Ma na sobie mundur podobny do hitlerowskiego, z czarnej, polyskującej tkaniny lamowanej srebrem, lecz ponad stójkowym kołnierzykiem nie widać ludzkiej twarzy. W gruncie rzeczy żadnej innej twarzy też nie.

Tylko mrok.

Jackson! Podejź no tutaj, stary.

Peter próbuje się opierać, nie ustępować, lecz kiedy głos powraca, nie jest już ustami, ale haczykiem na ryby, rzucającym się po jego umyśle i rozrywającym myśli. Teraz już wie, jak się czuje złapany na wędkę pstrąg.

Rusz no się, koleś!

Peter przekracza zmyte deszczem pozostałości kratki do gry w klasy (narysowała ją tego ranka Ellen Carver ze swą koleżanką Mindy z sąsiedniego kwartału) i daje krok do rynsztoka. Pędząca woda wlewa mu się do buta, lecz on nawet tego nie czuje. W jego głowie rozlega się teraz coś dziwnego, jakby podkład muzyczny, grany na brzękliwej gitarze, przypominający utwory Johnny'ego Casha. Zna tę melodię, lecz nie może jej rozpoznać. To finalny akord tego oblędu.

Jasna postać opuszcza się na latającej poduszce do poziomu ulicy. Zbliżając się do niej, Peter spodziewa się ujrzeć czarną tkaninę zakrywającą twarz mężczyzny (nylon, może jedwab) i nadającą mu tak upiornie nieobecny wygląd. Nie widzi jej jednak i w momencie gdy wylatuje w powietrze szyba wystawowa E-Z Stop w dole ulicy, uświadamia sobie straszną rzecz: nie widzi jej, ponieważ jej tam nie ma. Człowiek z czarnego wozu rzeczywiście nie ma twarzy.

- O Boże - jęczy Peter głosem ledwie słyszalnym dla samego siebie. - O mój Boże, nie.

Z wieżyczki wyglądają jeszcze dwie postacie. Jedna to brodacz w zlachmanionym mundurze, chyba z wojny secesyjnej. Drugą jest kobieta o czarnych, ulizanych włosach i pięknych, acz okrutnych rysach. Jest blada niczym wampir z komiksu. Ma na sobie, podobnie jak człowiek bez twarzy, czarno-srebrny mundur kojarzący się z gestapowskim. Na jej szyi wisi na łańcuchu jakieś świecidelko, błyskające psychodelicznie jak pamiątka z czasów hipisowskich.

Wygląda jak z filmu rysunkowego - myśli Peter. - Jak nieśmiała fantazja seksualna jakiegoś niedorostka.

Podchodząc coraz bliżej do człowieka bez twarzy, uświadamia sobie coś jeszcze gorszego: jego tam w ogóle nie ma. Ani pozostałej dwójki, ani czarnej furgonetki. Przypomina mu się sobotni poranek w kinie - miał wtedy z sześć, siedem lat - kiedy podszedł tuż pod ekran, popatrzył na niego z bardzo bliska i zdał sobie po raz pierwszy w życiu sprawę z tego, jaka to ordynarna sztuczka. Z odległości pół metra obraz zamieniał się w barwną mgielkę; rzeczywista była tylko połyskliwa powierzchnia ekranu, samego w sobie pustego i gładkiego jak przysypane śniegiem pole. Musiał taki być, żeby mogła powstać iluzja. Tu jest identycznie i Peter czuje się tak samo głupio zaskoczony jak wówczas. Widzę dom Herbiego Wylera - uzmysławia sobie. - Widzę go poprzez tę furgonetkę.

JACKSON!

To jednak jest rzeczywiste, ten głos; tak jak prawdziwa była kula, która pozbawiła życia Mary. Peter krzyczy z wykrzywioną bólem twarzą, na moment przyciska Mary mocniej do piersi, a potem nieświadom nawet tego, co robi, wypuszcza ją z rąk i zwłoki koziolkując spadają na ziemię. Zupełnie jakby ktoś przystawił mu do ucha megafon, nastawił głośność do oporu i wyrzyczał jego nazwisko. Z nosa cieknie mu krew, zaczyna się również sączyć z kącików oczu.

- TAM MASZ IŚĆ, KOLEŚ! - Czarno-srebrzysta postać, niesubstancjalna teraz, lecz nie mniej przez to groźna, wskazuje na dom Wylerów. Realny jest tylko jej głos, lecz Peterowi to w zupełności wystarcza; ten głos wrzyna się w jego mózg jak zęby piły tarczowej. Zarzuca głową w tył, aż przekrzywiają mu się okulary na nosie. - DAMY SE ZARAZ ZDROWO DO WIWATU! TRZA JUŻ ZACZYNAĆ!

Nie tyle idzie ku domowi Wylerów, co jest tam ciągnięty, prowadzony. Gdy chwiejnym krokiem przechodzi przez czarną, pozbawioną twarzy postać, przelatuje mu przez głowę idiotyczny obrazek: spaghetti w nienaturalnie czerwonym sosie - jak to z puszki - z hamburgerem. Wszystko zmieszane razem w białej miseczce, na której krawędzi tańczą postacie z filmów rysunkowych - Królik Bugs, Elmer Fudd i Kaczor Daffy. Na samą

myśl o takim jedzeniu robi mu się zwykle niedobrze, lecz tym razem obraz trwa przez chwilę w jego umyśle. Peter jest strasznie głodny, jakże pożąda teraz tych bladawych pasemek makaronu i tego nienaturalnie czerwonego sosu! Na tę jedną chwilę nawet ból w jego głowie ustępuje.

Przechodzi przez wyświetlony w powietrzu obraz czarnej furgonetki w chwili, gdy ona rusza. Idzie dalej betonową ścieżką ku domowi. Okulary tracą swe chwiejne oparcie i spadają mu z nosa. Nie zauważa tego. Słyszy jeszcze kilka pojedynczych strzałów, padających gdzieś w oddali, w innym świecie. Gitara wciąż brzdąka mu w mózgu, kiedy zaś drzwi domu Wylerów otwierają się same, dołączają do niej trąbki i Peter rozpoznaje motyw. To temat ze starego serialu, z "Bonanzy".

Właśnie wróciłem z pracy do domu - myśli, wkraczając do ciemnego wnętrza, cuchnącego potem i starą smażeniną. - Właśnie wróciłem z pracy do domu i drzwi zatrząskują się za nim. Właśnie wróciłem z pracy do domu i już idzie przez salon w stronę arkady i odgłosów z telewizora. "Po co wciąż nosisz ten mundur? - pyta ktoś. - Wojna skończyła się trzy lata temu, nie słyszałeś o tym?"

Właśnie wróciłem z pracy do domu - myśli Peter, jakby to wyjaśniało wszystko: martwą żonę, strzelaninę, człowieka bez twarzy, zjełczone powietrze tego pokoju. W tym momencie siedząca przed telewizorem istota odwraca się ku niemu i Peter nie myśli już o niczym.

Pojazdy tworzące korytarz ogniowy wzdłuż ulicy dodają gazu; czarna furgonetka dołącza szybko do Sennego Wędrowca i Wozu Sprawiedliwości. Mężczyzna z brodą posyła z wieżyczki ostatni pocisk. Trafia on niebieską skrzynkę pocztową przed sklepem i wrywa w niej dziurę wielkości piłki tenisowej. Potem najeźdźcy skręcają w lewo w Hiacyntową, a potem już ich nie ma. Bumtarara, Wolność i Strzała Szlaku wjeżdżają natomiast w Niedźwiedzią, po czym znikają w mgielce, która najpierw rozmywa ich kontury a potem pochłania całkowicie.

W domu Carverów Ralphie i Ellen krzyczą na widok matki, leżącej w drzwiach do przedpokoju. Kirsten nie straciła przytomności; jej ciało rzuca się konwulsyjnie z boku na bok, jak gdyby przez jej system nerwowy przebiegały nagle wstrząsy. Z potrzaskanej twarzy tryska strumieniami krew, a z głębi krtani wydobywa się skomplikowany odgłos, coś w rodzaju śpiewnego powarkiwania.

- Mamusiu! Mamusiu! - wrzeszczy Ralphie i Jim Reed powoli przegrywa walkę o utrzymanie wijącego się w jego objęciach chłopca, który wyrывa się ku leżącej na progu kuchni kobiecie.

Johnny i Brad zjeżdżają ze schodów na tyłkach - po jednym schodku jak bawiące się dzieci - gdy jednak pisarz dociera na sam dół i widzi, co się stało, co nadal się dzieje, zrywa się na nogi, po czym rzuca się do kuchni, kopiąc po drodze wylamane do wewnątrz siatkowe drzwi i chrzęszcząc skorupami ukochanych porcelanek Kirsten.

- Na dół! - woła Brad, lecz Marinville go nie słucha.

Myśli tylko o jednym, żeby jak najszybciej oddzielić dzieci od ich umierającej matki. Nie ma sensu, by się przyglądały jej cierpieniom do końca.

- Mamusiuuuu! - wyje Ellen, usiłując się wyrwać spod Cammie. Nos dziewczynki krwawi. Wzrok ma dziki, lecz piekielnie przytomny. - Mamuusiuuu!

Kirsten Carver już tego nie słyszy. Dni, gdy zajmowała się mężem i dziećmi, i jej sekretne marzenie, by kiedyś tworzyć samej takie piękne porcelanowe figurki (większość z nich, jak sądziła, byłaby pewnie podobna do jej wspaniałego syna) - to wszystko ma już za sobą. Rzuca się tylko, odmóżdżona, w progu kuchni, wierzgając nogami, wyrzucając w górę ręce, które bębnią o jej podbrzusze i znów wylatują w powietrze jak spłoszone ptaki. Charczy i śpiewa, wyje i śpiewa, wydaje dźwięki brzmiące niemal jak słowa.

- Wynieś ją! - krzyczy Cammie do Johnny'ego. Patrzy na Kirstie z przerażeniem i litością w oczach. - Zabierz ją jak najdalej od dzieci, rany boskie!

Marinville pochyla się, dźwiga ciało, Belinda jest już przy nim i pomaga mu. Przenoszą Kirsten do salonu i umieszczają na kanapie, o której marzyła całymi tygodniami, a z

której teraz wylażą przez ziejącą dziurę gąbka i sprężyny. Brad usuwa im się z drogi, rzucając nerwowe spojrzenia na ulicę, gdzie znowu chyba zrobiło się zupełnie pusto.

- Nie myślcie, że ja to zaszyję - mówi Słodyczek łobuzerskim tonem i wyrzuca z siebie okropny, zduszony śmiech.

- Kirsten - Belinda pochyla się nad nią i ujmuje jej dłoń. - Wszystko będzie dobrze. Wyjdiesz z tego.

- Nie myślcie sobie, że ja to zaszyję - powtarza leżąca na kanapie kobieta, tym razem tonem nauczycielki.

Cała trójka stoi obok i patrzy, jak ciemnieje poduszka pod jej głową, jak krwawa plama rozlewa się coraz szerzej. Johnny'emu kojarzy się to z aureolą, malowaną przez renesansowych artystów wokół głowy Madonny. Po chwili wracają drgawki.

Belinda schyla się i chwytą Kirsten za ręce.

- Pomóżcie mi! - woła rozzłoszczona do obu mężczyzn. Znowu zaczyna płakać. - Durnie, przecież sama nie dam rady, pomóżcie mi!

W sąsiednim domu Tom Billingsley nie ustawał w wysiłkach ratowania życia Marielle nawet w szczytowym momencie ataku, niczym lekarz polowy podczas bitwy. Teraz kobieta jest już pozszywana, krew ledwie się sączy przez warstwy gazy, lecz Stary Doktor, podniósłszy wzrok na Colliego Entragian, kręci głową. Bardziej go właściwie zdenerwowały wrzaski z domu obok niż operacja, którą właśnie przeprowadził. Nigdy jakoś nie miał wielkiego przekonania do Marielle Soderson, ale jest niemal pewny, że to Kirstie Carver tak krzyczy; Kirstie zaś lubi, i to bardzo.

- No to pięknie - wyrzywa mu się. - Pięknie zszyte, chciałem powiedzieć.

Entragian szuka wzrokiem Gary'ego, chcąc mieć pewność, że nie usłyszy, i spostrzega, że buszuje po kuchence Doktora, nie zważając na wrzaski i płacz dzieci w domu obok, nieświadom nawet, że operacja jego żony dobiegła końca. Otwiera i zamyka szafki i szuflady z systematycznością zagorzałego alkoholika polującego na butelczyne.

Sprawdzanie lodówki, czy nie znajdzie się tam piwo lub zmrożona wódka, trwa jednak

tylko chwilę, co zrozumiałe, wzięwszy pod uwagę, iż leży tam również, na drugiej półce, ręka jego żony. Collie sam ją tam umieścił, odsunąwszy zawartość - sos sałatkowy, korniszony, majonez, parę plasterków paczkowanej szynki - by zrobić miejsce. Nie przypuszcza, żeby dało się przytwierdzić rękę na powrót; nawet w tej epoce cudów i dziwów nie robi się jeszcze takich rzeczy. Nie chce jednak wkładać jej do spizarni Doktora. Jest tam za ciepło, mogłaby zwabić muchy.

- Czy ona umrze? - pyta Collie.

- Nie wiem - odpowiada Billingsley. Przez chwilę sam przygląda się w milczeniu Gary'emu i wzdycha, przeciągając dłońmi po swej siwej fryzurze. - Prawdopodobnie tak. A jeśli nie trafi niebawem do szpitala, to na pewno. Musi otrzymać pomoc lekarską, przede wszystkim transfuzję. U sąsiadów też jest ktoś ranny, sądząc po odgłosach. To chyba Kirsten. A może nie tylko ona jedna.

Collie potwierdza skinieniem głowy.

- Panie Entragian - pyta Doktor - jak pan myśli, co to się tutaj dzieje?

- Nie mam najmniejszego pojęcia.

Cynthia bierze do ręki gazetę (to Columbus Dispatch, nie lokalny Shopper), która wleciała do pokoju podczas całej zadymy, zwija w rulon i czołga się z wolna do frontowych drzwi. Za pomocą gazety odmiata na boki szkło - jest go zadziwiająco dużo - ze swojej drogi.

Steve ma zamiar zaprotestować, zapytać ją, czy może chce umrzeć, lecz daje sobie spokój. Czasem nachodzą go różne przeczucia. Całkiem silne, prawdę mówiąc. Razu pewnego, gdy sobie spokojnie wróżył z ręki na deptaku w Wildwood, naszło go coś takiego, że tego samego wieczoru rzucił tę robotę. Była to wizja roześmianej siedemnastoletniej dziewczyny z nowotworem jajników. Złośliwym, zaawansowanym tak, że za miesiąc żadna ludzka siła nie będzie w stanie go zwalczyć. Nie była to wizja, jaką chciałby na temat zielonookiej nastolatki mieć człowiek, którego życiową dewizą jest

NIE MA PROBLEMU.

Teraz Steve znów ma przeczucie, równie mocne jak tamto, lecz nieco bardziej optymistyczne: strzelcy odjechali, przynajmniej na razie. Nie może znikąd o tym wiedzieć, ale jest tego pewien, więc co za różnica.

Zamiast powstrzymać Cynthię, przyłącza się do niej. Drzwi wewnętrzne zostały całkiem wylamane kilkoma strzałami (wątpliwe, by się jeszcze nadawały do użytku, tak są wypaczone) i Steve czuje na spoconej twarzy niebiański - chłodny i słodki - podmuch powietrza wpadającego przez rozerwaną siatkę. Dzieciaki z domu obok wciąż płaczą, lecz krzyki na razie umilkły, a to już ulga.

- Gdzie on się podział? - pyta zaskoczona Cynthia. - Patrz, tam jest jego żona - wskazuje na ciało Mary, leżące teraz na jezdni bliżej zachodniej strony ulicy, tak że pasemka jej włosów unoszą się na powierzchni pędzącej rynsztokiem wody - ale gdzie on, pan Jackson?

- W tamtym domu. No bo gdzie? Widzisz na ścieżce jego okulary? - pokazuje Steve przez rozdartą dolną połowę siatkowych drzwi.

Cynthia mruży oczy i potwierdza skinieniem.

- Kto tam mieszka? - pyta hipis.

- Nie wiem. Jestem tu od niedawna i jeszcze...

- Pani Wyler ze swoim siostrzeńcem - odpowiada zza ich pleców Collie Entragian.

Odwróciwszy się, widzą, że przycupnął na piętach i wygląda na ulicę między ich głowami.

- Chłopiec jest autystykiem czy katatonikiem, czy dyslektykiem... jakimś tam cholernym "ykiem", zawsze mi się to chrzani. Jej mąż zmarł w zeszłym roku, zostali tylko we dwójkę. Jackson... chyba... chyba ma... - Entragian nie urywa nagle, lecz mówi coraz ciszej; głos mu słabnie, aż w końcu zamiera. Kiedy znów się odzywa, nadal mówi bardzo cicho i... z głęboką zadumą. - Co jest, do diabła?

- Co takiego? - pyta niespokojnie Cynthia. - Co?

- Jaja sobie ze mnie robisz? Nie widzisz tego?

- Czego? Widzę kobietę, widzę okulary jej mę... - Teraz i jej głos zamiera w pół zdania.

Steve już ma zapytać, co jest grane, lecz nagle pojmuję - do pewnego stopnia. Sądzi, że spostrzegłby to wcześniej, chociaż jest tutaj obcy, gdyby jego uwagi nie pochłonęły zwłoki, upuszczone okulary i troska o panią Soderson. Wie już, co powinien w tej kwestii uczynić, i przede wszystkim do tego szukał w sobie odwagi przez cały ten czas.

Teraz jednak wygląda po prostu na ulicę, a jego wzrok wędruje z wolna od sklepu E-Z Stop na rogu do następnej posesji, potem poprzez dom, przed którym dzieci bawiły się frisby, gdy skręcił w tę ulicę, i dalej, aż do budynku dokładnie naprzeciwko nich, tego, w którym musiał się skryć Jackson, kiedy kanonada rozszalała się na dobre.

Od momentu przybycia strzelców w furgonetkach coś się tam pozmieniało.

Nie potrafi stwierdzić jak bardzo, ponieważ nie jest stąd i nie zna tej ulicy. Poza tym dym z płonącego domu i unosząca się wciąż z mokrej ziemi mgielka nadają wszystkim budynkom widmowy wygląd, zmieniając je niemal w miraż... Jednak coś się zmieniło. Zamiast odeskowanych ścian dom Wylerów ma teraz ściany z drewnianych bali, a w miejscu frontowego, widokowego okna pojawiło się bardziej typowe - staromodne, można by powiedzieć - okno dzielone na małe szybki. Drzwi z pionowych desek otrzymały wzmocnienie w kształcie litery Z. Sąsiedni dom na lewo...

- Powiedzcie mi jedną rzecz - mówi Collie, spoglądając w to samo miejsce. - Odkąd to, kurwa, Reedowie mieszkają w chatce z belek?

- A odkąd to Gellerowie mieszkają w hacjendzie w stylu adobe? - pyta Cynthia, wpatrzona w następną posesję.

- Wyglupiacie się - mówi Steve. Po czym dodaje ciszej: - Prawda?

Tamci nie odpowiadają. Wyglądają jak zahipnotyzowani.

- Nie wiem, czy ja rzeczywiście to widzę - odzywa się w końcu Collie. W głosie ma nietypowe dla siebie wahanie. - To tak jakoś...

- ...się trzęsie - podpowiada dziewczyna.

- No właśnie - odwraca się do niej Entragian. - Jakby się patrzyło ponad grzejnikiem albo...

- Pomóżcie mojej żonie! - krzyczy do nich spomiędzy cieni w salonie Gary.

Znalazł sobie jakąś butelkę - Steve nie może dostrzec z czym - i stoi przed zdjęciem Hestera, gołębia, który malował palcami. Tak jakby - myśli Steve - gołębie w ogóle miały palce. Gary niepewnie trzyma się na nogach, jego mowa brzmi belkotliwie.

- Niech ktoś się zajmie Maaaielle! Straci cholea ręce!

- Musimy sprowadzić dla niej jakąś pomoc - kiwa głową Collie. - I dla...

- ...siebie też - kończy za niego Steve.

Świadomość, że ktoś oprócz niego zdaje sobie z tego sprawę, przynosi mu ulgę. Może nie będzie musiał iść sam. Chłopiec u sąsiadów przestał płakać, lecz nadal slychać dziewczynkę, jej przeciągły, chlipiący szloch. Małgocha-Gliździocha - przypomina sobie Steve. - Tak ją przezywał brat. "Małgocha-Gliździocha Brada Pitta kocha" - powtarzał. Steve czuje nagły impuls, równie silny co niespodziewany, żeby tam pójść, odszukać dziewczynkę. Uklęknąć przed nią, przytulić mocno i powiedzieć, że może sobie kochać, kogo chce. Brada Pitta czy Newta Gingricha, czy kogokolwiek. Zamiast tego patrzy w dół ulicy. E-Z Stop, przynajmniej na jego oko, jak dotąd się nie zmienił. Nadal jest zbudowany w stylu sklepu całodobowego z końca dwudziestego wieku, stylu znanym czasami jako "pastelowy żużlobeton" albo "martwa natura ze śmietnikami". Niezbyt pięknym, to fakt, ale przynajmniej znajomym, a w tych okolicznościach to już ulga. Przed sklepem nadal stoi ciężarówka Rydera, niebieski znak TELEFON wisi tam, gdzie wisiał, naklejony na drzwiach Marlboro Mań także nie ruszył się z miejsca, a stelaż na rowery...
...a stelaż na rowery zniknął.

To znaczy, nie całkiem. Zmienił się.

W coś, co podejrzenie przypomina poręcz do przywiązywania koni przed saloonem. Z pewnym wysiłkiem Steve przenosi znów wzrok, a potem uwagę na gliniarza, który mówi, że to prawda, wszyscy potrzebują pomocy. I u Carverów, i u Starego Doktora, sądząc po odgłosach.

- Za domami po tej stronie ulicy jest pas zieleni, lasek - mówi Entragian. - Prowadzi tamtędy ścieżka. Głównie biegają tamtędy dzieciaki, ale ja też ją lubię. Za domem Jacksonów się rozgałęzia. Jedna odnoga wiedzie do Hiacyntowej i wychodzi na nią przy przystanku autobusowym. Druga zmierza na wschód, aż do Anderson Avenue. Jeżeli na Andersen też się, przepraszam za wyrażenie, popierdoliło...

- Czemu tak myślisz? - pyta Cynthia. - Nie słyszeliśmy, żeby tam ktoś strzelał.

- I nie widzieliśmy, żeby ktoś stamtąd nam pomógł - odpowiada Collie, patrząc na nią z politowaniem. - A to co się u nas popierdoliło, nie ma z tą całą strzelaniną nic wspólnego, jeśli jeszcze nie zdążyłaś zauważyć.

- Ojej - pokornieje Cynthia.

- Tak czy inaczej, jeżeli Anderson też zwariowała tak jak Topolowa, może nie, ale gdyby, jest tam wiadukt, który leci pod ulicą i chyba dalej. Może nawet do Columbus Broad. Tam już na pewno będą ludzie. - Collie nie wygląda jednak tak, jakby do końca w to wierzył.

- Idę z tobą - oświadcza Steve.

Gliniarz, zaskoczony tą propozycją, rozważa ją przez chwilę.

- Jesteś pewien, że to dobry pomysł?

- Uważam, że tak. Przypuszczam, że źli panowie sobie poszli, przynajmniej na jakiś czas.

- Na jakiej podstawie?

Steve nie ma absolutnie zamiaru chwalić się swą krótkotrwałą karierą deptakowego wróżbity, mówi więc, że to po prostu przeczucie. Widzi, że Collie Entragian przemyśliwa nad tym i wie, że gliniarz się zgodzi, nim jeszcze tamten otworzył usta. To też żadne czary. Na Topolowej zabito tego popołudnia cztery osoby (nie wspominając o Hannibalu, psie, który kradł frisby), jeszcze więcej zostało rannych, po ulicy biegają oszaleli samobójcy, jeden dom prawie się już spalił do cna, a cholernej straży ani widu, ani slychu - facet musiałby być chory na umyśle, żeby przedzierać się samemu przez jakiś lasek aż do następnego kwartału.

- A co z nim? - Cynthia wskazuje kciukiem Gary'ego.

- W tym stanie - krzywi się Collie - nie zabrałbym go nawet do teatru, a co dopiero do lasku, przy całym tym syfie wokół. Ale pan, panie... Ames, tak?... jeśli pan mówi poważnie...

- Jestem Steve. I mówię poważnie.

- Dobra. Sprawdzimy, czy u Doktora w piwnicy nie pałęta się przypadkiem jakaś strzelba albo i dwie. Złożę się, że coś ma.

Ruszają z powrotem przez salon, nisko pochyleni. Cynthia odwraca się, by podążyć za nimi. Wtem przykuwa jej uwagę jakiś ruch. Odwraca się znowu i szczęka jej opada. Czuje, jak krew odpływa jej do stóp, przyciska więc dłoń do ust, by powstrzymać okrzyk zdziwienia. Chce już zawołać mężczyzn, lecz rezygnuje. Co to zmieni?

Z kłębow dymu ponad domem Hobartów wylatuje sęp - chyba sęp, choć nie przypomina niczego, co Cynthia pamięta z książek i filmów - i zatoczywszy kilka kręgów, ląduje na ulicy tuż obok ciała Mary Jackson. Jest wielki i niezgrabny, o ohydnie lysej głowie.

Drepcie wokół zwłok, całkiem jak konsument okrążający bar sałatkowy, nim nałoży coś na talerz, po czym wyrzuca głowę do przodu i wyrwa martwej kobiecie nos.

Cynthia zamyka oczy, próbuje sobie wmówić, że to sen, nic więcej. Dobrze by było, gdyby mogła w to uwierzyć.

Z dziennika Audrey Wyler:

10 czerwca 1995

Dziś w nocy się bałam. Strasznie się bałam. Ostatnio był spokój - to znaczy z Sethem - ale teraz się zmieniło.

Na początku nie wiedzieliśmy, co jest nie tak. Herb był tak samo zdezorientowany jak ja. Poszliśmy na ekstra lody do Milly na placu, niezależnie od tradycyjnej soboty (chodzimy, jeżeli Seth jest "dobry", to znaczy jeżeli jest Sethem) i wszystko było z nim jak trzeba. Ale kiedy skręcaliśmy na podjazd, zaczął to swoje obwąchiwanie - czasami tak podnosi nos i węszy w powietrzu jak pies. Nienawidzę tego widoku, Herb zresztą też. Przypuszczam, że podobnie farmerzy nienawidzą radiowych ostrzeżeń przed tornado. Czytałam, że rodzice epileptyków uczą się rozpoznawać u dzieci objawy przed atakami - uporczywe drapanie się po głowie, pocenie się, nawet dłubanie w nosie. Seth ma to węszenie, ale to nie epilepsja. Wielka szkoda, że nie.

Herb, jak tylko zobaczył, że to robi, zapytał go, co mu jest. Nic, nawet tego jego belkotu. Ja próbowałam i to samo. Ani słowa, ani stęknienia nawet. Tylko dalej węszył. A kiedyś był w domu i zaczął chodzić z kąta w kąt takim sztywnym krokiem, jakby mu się nogi nie zginały. Poszedł do piaskownicy, potem na górę do swojego pokoju, do piwnicy, a wszystko w złowieszczej ciszy. Herb trochę za nim chodził, pytał, co się stało, ale dał sobie spokój. Potem ja opróżniałam akurat zmywarę, a tu Herb wchodzi, wymachuje jakąś broszurką religijną, którą znalazł w skrzynce na mleko przy bocznym wejściu, i woła "Alleluja! Kocham Jezusa!" To kochany człowiek, zawsze próbuje mnie rozweselić, chociaż wiem, że mu też nielekkko. Bardzo zbladł ostatnio i boję się, że tyle stracił na wadze, jakoś tak od stycznia. Co najmniej dziesięć kilogramów jak nie piętnaście, ale gdy go o to pytam, zbywa mnie żartami.

Ta broszurka to były typowe bzdury od baptystów. Na okładce obrazek człowieka w agonii - spocony na twarzy, język wywalony, oczy wywrócone do góry - a nad tym napis: WYOBRAŹ SOBIE, MILION LAT BEZ ŁYKA WODY! A pod spodem: WITAMY W PIEKLE! Sprawdziłam z tyłu, oczywiście: Kościół Baptistyczny Przymierza Syjonu. Ta zgraja z Elder. "Zobacz - mówi Herb - mój tata tak wygląda rano, zanim się uczesze".

Chciałam się roześmiać - wiem, że uwielbia, jak mu się uda mnie rozśmieszyć - ale zwyczajnie nie mogłam. Czułam cały czas Setha w pobliżu, czułam prawie jego oddech na twarzy, wiecie, jak czasem się czuje, że burza idzie.

I w tym momencie właśnie wszedł - wkroczył - z takim okropnym, kosym spojrzeniem, jak zawsze, kiedy dzieje się coś, co mu się nie zgadza z ogólnym poglądem na życie. Tylko że wtedy to nie jest on, naprawdę. Seth jest najśladszym, najmilszym, najbardziej zgodliwym dzieckiem na świecie. Ale ma też tę drugą postać, którą coraz częściej nam prezentuje. Tę o sztywnych nogach. Tę, co węszy w powietrzu jak pies.

Herb zapytał, co się stało, o co mu chodzi, i nagle złapał się za dolną wargę, sam siebie złapał, rozciągnął ją jak markizę i zaczął wykręcać. Aż zaczęła krwawić. Przez cały czas leciały biedakowi łzy z bólu, a oczy aż mu z orbit wychodziły. A Seth tylko gapił się na niego ze zmarszczonymi brwiami, tym wstrętnym spojrzeniem, które mówiło: "Mogę robić, co zechcę, nie powstrzymacie mnie". Może i nie, ale myślę, że - czasami przynajmniej - Seth mógłby sam to powstrzymać.

Krzyknęłam: "Kaź mu przestać to robić! Natychmiast!"

Kiedy ten drugi, ten nie-Seth naprawdę się wścieknie, oczy mu się zmieniają z brązowych w czarne. Popatrzył na mnie tymi oczami, nagle ręka sama mi się podniosła, i uderzyłam się w twarz. Tak mocno, że oko po tej stronie zaczęło mi łzawić.

"Kaź mu przestać, Seth - powiedziałam. - Tak nie można. Jeśli coś się stało, to nie nasza wina. Nawet nie wiemy, o co chodzi".

Najpierw nic się nie działo. Tylko te czarne oczy. Ręka mi się znowu podniosła i wtedy to nienawistne spojrzenie trochę się zmieniło. Niedużo, ale jednak. Ręka opadła, a Seth się odwrócił i zajrzał do otwartej szafki nad zlewem, gdzie trzymamy szklanki. Na górnej półce są te po mamie, z kryształu waterfordzkiego, używamy ich tylko od święta. Stały tam sobie, ale gdy Seth na nie popatrzył, zaczęły pękać, jedna po drugiej, jak gliniane kaczki na strzelnicy. Kiedy zniszczył wszystkie, jedenaście ich jeszcze było, spojrział na mnie takim wstrętnym, maślanym wzrokiem, który mu się czasem robi, gdy go

przeżegnam, a on mnie za to uderzy. Te czarne oczy w dziecięcej twarzy wyglądały jakoś staro.

Zacząłam płakać. Nie mogłam przestać. Powiedziałam mu, że jest niedobrym chłopcem i ma iść do siebie. Uśmiech zniknął, bo Seth nie lubi, jak mu się coś poleca, a szczególnie, żeby sobie poszedł. Pomyślałam, że może znów każe mi się uderzyć, ale wtedy Herb stanął przede mną i powiedział mu to samo: ma się wynosić i wrócić, jak się uspokoi, może wtedy coś poradzimy na jego kłopoty.

Seth wyszedł, a ja, jeszcze nim doszedł do schodów, wiedziałam, że ten drugi też się wyniósł albo właśnie odchodzi. Bo nie miał już tych okropnych, sztywnych nóg (Herb mówi na to "krok robota Rooty'ego"). Potem słyszeliśmy, że płacze w swoim pokoju. Herb pomógł mi posprzątać szkło, beczalam jak głupia przez cały czas. Ale nie próbował mnie tym razem pocieszać ani rozśmieszać. Czasem ma niesamowite wyczucie. Kiedy posprzątailiśmy (żadne się nawet nie zadrasnęło, istny cud), stwierdził oczywistą rzecz, że Seth chyba jest psychiczny. Ja na to: "Co ty nie powiesz, Sherlock, jak na to wpadłeś?" Głupio mi się zrobiło, przytuliłam go, wybąkałam, że przepraszam, nie chciałam być wredna. Herb odparł, że wie o tym, a potem na odwrocie tej durnej broszurki od baptystów napisał: "Co my teraz zrobimy?"

Pokręciłam tylko głową. Nieraz nawet boimy się głośno się odezwać, żeby on nie usłyszał - to znaczy ten nie-Seth. Herbie pogniółł pisemko i wyrzucił je do śmieci, ale mnie to nie wystarczyło. Wyjęłam je i podarłam na kawałeczki. Tylko przedtem spojrzałam na tę spoconą, udręczoną twarz na okładce. WITAMY W PIEKLE. Czy ta twarz to Herb? A może ja? Chciałabym powiedzieć, że nie, ale czasem to naprawdę jest istne piekło. Bardzo często właściwie. Przecież tylko dlatego prowadzę ten dziennik.

11 czerwca 1995

Seth śpi. Może się zmęczyl. Herbie jest na podwórku i szuka, chociaż Seth chyba sam już szukał wszędzie. Już wiemy, co zginęło, chociaż tyle: jego Wóz Mocy, Senny Wędrowiec. Ma komplet tego gówna z MotoGlin - figurki, centrum kryzysowe, zagrodę dla wozów, dwa paralizatory, nawet pościel w latające podesty. Ale najbardziej lubi te Wozy Mocy. To takie furgonetki na baterie, dość duże, jak z filmu science fiction. Większość ma skrzydła, które się wyciąga, naciskając dźwigienkę pod spodem, i anteny radarowe, które naprawdę się obracają na dachu (ta na Sennym Wędrowcu Cassie Styles jest w kształcie serca walentynkowego - po trzydziestu latach gadaniny o równouprawnieniu i kobiecych wzorcach osobowych dla dziewczynek - rzygać się chce), migające światełka, syreny, kosmiczne odgłosy i tak dalej.

Kiedy Seth przyjechał z Kalifornii, miał już wszystkie sześć wozów, które w tej chwili można kupić: czerwony (Strzała Szlaku), żółty (Wóz Sprawiedliwości), niebieski (Wolność), czarny (MięsoWóz, nim jeździ ten zły), srebrny (Bumtarara - pomyśleć tylko, że komuś płacą grubą kasę za wymyślanie takiego gówna) i ten kretyński różowy, którym jeździ Cassie Styles, miłość życia naszego siostrzeńca. To całe zakochanie jest właściwie zabawne i słodkie, ale w tym, co się wyprawia, ostatnio nic śmiesznego nie ma: Senny Wędrowiec zginął, a dzieciak dostał wścieklizny.

Dzisiaj Herbie obudził mnie o szóstej rano i wyciągnął z łóżka. Rękę miał lodowatą. Zapytałam, co się stało, o co chodzi, ale nic nie powiedział. Tylko zaprowadził mnie do okna i zapytał, czy coś widzę. Zrozumiałam, że chodzi mu o to, czy widzę to samo co on. No i widziałam, a jakże. Sennego Wędrowca. On wygląda trochę w stylu art deco, jak ze starych komiksów o Batmanie. Ale to nie była zabawka. Zabawka ma jakieś pół metra długości i trzydzieści centymetrów wysokości. Ta furgonetka za oknem była normalnych rozmiarów, prawie cztery metry długa i ze dwa wysoka. Klapa na dachu została lekko podniesiona, a ten radar w kształcie serca się kręcił, całkiem jak na filmie.

"Jezus Maria - powiedziałam. - A to skąd się tu wzięło?" Jedyne, co mi przyszło do głowy, to że to musiało przylecieć na tych swoich serdelkowatych, wyciąganych

skrzydłach. Zupełnie jakby człowiek wyskoczył z łóżka jeszcze na wpół śpiący i zobaczył, że w ogródku wylądowało UFO. Nie mogłam oddychać, jakby mnie ktoś rąbnął w żołądek!

W pierwszej chwili, gdy Herb stwierdził, że tak naprawdę to tego tam nie ma, nie rozumiałam. Potem słońce podeszło trochę wyżej i uzmysłowiłam sobie, że przez tę furgonetkę widzę osiki pod naszym plotem. Naprawdę jej tam nie było. A jednocześnie była.

Herb powiedział: "On nam pokazuje to, czego nie potrafi powiedzieć".

Zapytałam, czy Seth wstał. Herb odparł, że nie, że był u niego sprawdzić i śpi jak zabity. Przeszedł mnie taki dreszcz, że nie umiem tego nawet opisać. Bo to przecież znaczyło, że stoimy przy oknie naszej sypialni w piżamach i oglądamy sen naszego siostrzeńca. Na naszym własnym podwórku, jak wielką, różową bańkę mydlaną.

Staliśmy tam jakieś dwadzieścia minut i patrzyliśmy na to. Nie wiem, może spodziewaliśmy się, że Cassie Styles wyjdzie ze środka, czy co, ale nic takiego się nie wydarzyło. Różowa furgonetka po prostu tam sobie stała z podniesioną do połowy klapą w dachu i kręcącym się radarem, a potem zaczęła blednąć, aż w końcu ledwo już majaczyła. Gdyby jej nie widzieć wcześniej, człowiek by nie poznał, co to jest. Wtedy usłyszeliśmy, że Seth wstaje i idzie przez przedpokój. Nim zdążył spuścić wodę, furgonetki już nie było.

Przy śniadaniu Herb przysunął się z krzesłem do Seta, zawsze tak robi, kiedy chce z nim porozmawiać. Uważam, iż w pewnym sensie Herb jest o wiele odważniejszy ode mnie. Szczególnie, że to właśnie jemu...

Nie, tego nie napiszę.

W każdym razie Herbie przysuwa twarz do twarzy Seta - tak, by musiał na niego popatrzeć - i mówi cichym, miłym głosem: wiemy, co się stało, dlaczego jest taki zdenerwowany, ale żeby się nie martwił, ponieważ Wóz Mocy Cassie na pewno jest gdzieś w domu albo na podwórku. "Znajdziemy go" - powtarza.

Przez cały ten czas Seth siedział spokojnie. Jadł sobie płatki, twarz mu się nie zmieniała, ale czasem po prostu się wie, że to on i że słucha, a nawet rozumie choćby trochę. Wtedy Herb obiecał: "A jeżeli już naprawdę nie będziemy mogli go znaleźć, kupimy ci nowy". No i zaczęło się piekło.

Miska z płatkami poleciała przez kuchnię, rozbiła się o ścianę, wszystko rozlało się po podłodze. Otworzył się piekarnik w kuchence, a wszystkie rzeczy, które tam trzymam - patelnie, foremki do ciastek, blachy do pieczenia - wyleciały na podłogę. Kran nad zlewem sam się przekręcił. Zmywarka się nie da włączyć, jeśli drzwiczki są otwarte, ale włączyła się i zalala kuchnię. Waza z parapetu okienka nad zlewem przeleciała przez całe pomieszczenie, po czym rąbnęła w ścianę. Najstraszniejszy był opiekacz. Był akurat włączony, chciałam sobie zrobić grzanki, i nagle w środku wszystko się strasznie rozżarzyło, jak piec hutniczy, a nie małe kuchenne urządzenie. Wajcha podskoczyła i grzanka poleciała aż do sufitu. Czarna, spalona, dymiąca. Wyglądała jak po wybuchu atomowym. Spadła do zlewu.

Seth wstał i wyszedł z kuchni. Sztywnym krokiem. Herb i ja popatrzyliśmy tylko na siebie przez chwilę, a potem on mówi: "Grzankę chyba jeszcze da się zjeść, jak posmarujesz grubo masłem orzechowym". Najpierw tylko gapiłam się na niego, ale zaraz zaczęłam się śmiać. On też zaczął. Śmialiśmy się bez końca, pokładając głowy na kuchennym stole. Chyba dlatego, żeby on nas nie usłyszał, chociaż to głupie - Seth nie zawsze musi słyszeć, by wiedzieć. Nie jestem do końca pewna, czy czyta w myślach, ale coś w tym rodzaju. Kiedy się w końcu opanowałam na tyle, by podnieść głowę, Herb wyciągał już spod zmywarki mopa. Wciąż jeszcze chichotał, przecierając oczy. Dzięki Bogu, że go mam. Poszłam, przyniosłam szczotkę i szufelkę, żeby posprzątać kawalki wazy.

Herb powiedział tylko: "On jest chyba jakoś przywiązany do tego starego Sennego Wędrowca". Nic więcej. Zresztą co tu dodawać? To zupełnie wystarcza.

Teraz jest trzecia po południu i "przewróciliśmy cały dom do góry nogami" - jak mawia moja szkolna przyjaciółka Janice. Seth próbował pomagać na swój własny, szczególnie

sposób. Aż mi się serce ścisnęło, kiedy widziałam, jak podnosi poduszki z kanapy, jakby ta furgonetka mogła tam wpaść niczym kawałek brzegu od pizzy. Herb na początku był dobrej myśli, mówił, że to jest zbyt duże i kolorowe, żeby się tak schować. Myślałam, że ma rację. Tak naprawdę to nadal myślę, że ma, tylko dlaczego nie możemy tego znaleźć? Znad kuchennego stołu, gdzie piszę, widzę Herba, jak motyczką przegrzebuje na kolanach żywopłot na końcu podwórka. Poradziłabym mu, by przestał, robi to już trzeci raz - ale nie mam serca.

Na górze jakieś hałasy. Seth obudził się z poobiedniej drzemki, więc muszę kończyć. I schować pamiętnik, nie tylko fizycznie, ale usunąć z mózgu myśl o nim. Powinno się udać. Chyba. Sądzę, że Sethowi łatwiej przychodzi sprawdzanie myśli Herba niż moich. Nie wiem, dlaczego tak myślę, ale czuję to bardzo mocno. A byłam na tyle przezorna, by Herbowi też nie mówić o pamiętniku.

Wiem, co powie każdy, kto to przeczyta - że jesteśmy stuknięci. Jesteśmy stuknięci, bo go jeszcze trzymamy w domu. Coś z nim jest nie w porządku, a my nie wiemy co. Ale wiemy, że to niebezpieczne, więc czemu to robimy? Czemu na to pozwalamy? Szczerze mówiąc, nie wiem. Ponieważ go kochamy? Ponieważ on nami rządzi? Czasami się coś takiego zdarza (Herb wykręca sobie wargę albo ja się tłukę po twarzy), jakby nas potężnie hipnotyzował, ale nie tak znowu często. Przeważnie jest zwyczajnym Sethem, dzieckiem uwięzionym przez własny umysł. No i jest wszystkim, co mi pozostało po moim bracie. Ale oczywiście poza tym (i ponad, i pod tym, i wokół tego) jest też miłość. Wieczorem, kiedy leżymy w łóżku, widzę w oczach mojego męża to, co on chyba widzi w moich - że znów się udało przetrwać kolejny dzień. A skoro udało się dzisiaj, to jutro też się uda. Wieczorem najłatwiej mi przekonać samą siebie, że to po prostu jeden z aspektów autyzmu Setha, w sumie nic takiego.

Kroki na górze. Idzie do łazienki. Kiedy skończy, zejdzie na dół z nadzieją, że znaleźliśmy tę zabawkę. Który z nich wysłucha złych wieści? Seth, który może odrobinę

zapłacze z rozczarowania... czy ten drugi? Ten sztywnonogi, który ciska przedmiotami, gdy nie dostaje tego, co chce?

Myślałam oczywiście, by pójść z nim znów do lekarza. Herb pewnie też... ale nie na poważnie. Nie po tym ostatnim razie. Widzieliśmy to oboje, widzieliśmy, w jaki sposób ukrywa się ten drugi, ten nie-Seth. W jaki sposób Seth mu to umożliwia: autyzm to cholernie dobra tarcza. Ale nie autyzm jest tu najważniejszy, niezależnie od tego, co mogą mówić albo czego mogą nie mówić wszyscy lekarze świata. Kiedy uwalniam umysł ze wszystkich nadziei, ze wszystkich pobożnych życzeń, widzę to bardzo jasno. Chcieliśmy porozmawiać z lekarzem, powiedzieć mu, z czym naprawdę przychodzimy, ale się nie dało. Jeżeli ktoś to w tej chwili czyta, zastanawiam się, czy w ogóle będzie w stanie pojąć, jakie to okropne - czuć coś takiego, jakby człowiekowi zatkano ręką krtań, odgradzono struny głosowe od języka i ust. NIE BYLIŚMY, KURWA, W STANIE NIC POWIEDZIEĆ.

Tak się boję.

Boję się tego sztywniaka, jasne, ale i innych rzeczy też. Niektórych nie potrafię nawet wyrazić, a niektóre potrafię wyrazić aż za dobrze. Ale w tej chwili najbardziej się boję, co się z nami stanie, jeżeli nie znajdziemy Sennego Wędrowca. Tego przekłętego, kretyńskiego, różowego samochodziku. Gdzież to cholerstwo się mogło podziać? Żeby tylko udało się je znaleźć...

ROZDZIAŁ 8

1

Podczas gdy Kirsten Carver umierała, Johnny Marinville myślał o swym agencie literackim, Billu Harrisie. O tym, jak Bill kiedyś określił ulicę Topolową: czysty, nie

zafalszowany horror. Jak na dobrego agenta przystało, przez całą drogę z lotniska udawało mu się utrzymać na twarzy neutralny, choć nieco lukrowany uśmiezek, który zaczął jednak blednąć, gdy wjechali do Wentworth (powitało ich tablicą: MIASTECZKO, KTÓRE NAPAWA OTUCHĄ!), zamarł zaś zupełnie, kiedy jego klient, którego nazwisko wymawiano swego czasu jednym tchem z nazwiskami Johna Steinbecka, Sinclaira Lewisa i (po "Rozkoszy") Vladimira Nabokova, zatrzymał się na podjeździe małego, doskonale anonimowego domku na rogu Topolowej i Niedźwiedziej. Bill spoglądał lekko oszołomiony, lecz niczego nie rozumiejący na spryskiwacz ogrodowy, na aluminiowe drzwi siatkowe z ozdobnym "M" na środku oraz na owo ucieleśnienie podmiejskiego żywota, oproszoną trawą kosiarke stojącą na podjeździe niczym spalinowy bożek oczekujący na hołdy. Następnie przeniósł wzrok na chłopaka jadącego na rolkach przeciwległym chodnikiem, z walkmanem na uszach, z topiącym się lodem od Milly w ręce i bezmyślnym, zadowolonym uśmiechem na przyszczatej twarzy. To było sześć lat temu, latem dziewięćdziesiątego roku, a gdy Bill Harris, wszechmocny agent, znów spojrział na Johnny'ego, w ogóle się nie uśmiechał.

"Chyba nie mówisz poważnie" - rzekł Bill bezbarwnym, pełnym niedowierzania tonem.

"Ależ Bill, chyba jednak mówię" - odpowiedział Johnny i coś w jego głosie musiało uderzyć agenta, przynajmniej na tyle, że kiedy się znów odezwał, niedowierzanie ustąpiło miejsca płaczliwości.

"Ale dlaczego? - zapytał. - Jezusie kochany, dlaczego tutaj? Dopiero przyjechaliśmy, a już czuję, jak mi opada IQ! Czuję neodpartą chęć zaprenumerowania Reader's Digest i słuchania gadanego radia! Więc powiedz mi, dlaczego? Jesteś mi to winien. Najpierw ten kici-mici detektyw, a teraz dzielnica, w której za największy przysmak uważają pewnie koktajl owocowy! Powiedz mi tylko, o co chodzi, dobra?"

A Johnny odpowiedział:

"Dobra, chodzi o to, że między nami koniec".

- Nie, oczywiście, że nie. - To już powiedziała Belinda. Nie Bill Harris, tylko Belinda Josephson. Przed chwilą.

Johnny z wysiłkiem wrócił do teraźniejszości i rozejrzał się. Siedział na podłodze salonu, trzymając rękę Kirsten w swoich dłoniach. Rękę zimną i nieruchomą. Nad Kirstie pochylała się Belinda, ze ścierką do naczyń i prostokątem białego płótna - Johnny uznał, że to serweta na niedzielny stół - przerzuconym przez ramię na modłę kelnerską. Oczy miała suche, lecz wyraz miłości i smutku na jej twarzy wzruszył Johnny'ego do głębi. Belinda wycierała ściereczką krwawą maskę, w jaką zmieniła się twarz Kirsten, odsłaniała to, co pozostało z jej rysów.

- Czy powiedziałaś... - zaczął Johnny.

- Słyszałeś przecież. - Belinda, nie patrząc, przekazała ścierkę Bradowi. Ściągnęła z ramienia serwetę i rozpostarła na twarzy Kirsten. - Panie, miej litość nad jej duszą.

- Też o to proszę - rzekł Johnny. Na białej serwecie kwitły małe czerwone maki; trzy po jednej stronie wypukłego kształtu, który był nosem Kirsten, dwa po drugiej i jeszcze z pół tuzina nad brwiami. Miały w sobie coś hipnotycznego. Johnny otarł dłonią pot z własnego czoła. - Boże, jak mi smutno.

Belinda popatrzyła na niego, potem na męża.

- Wszystkim nam jest smutno. Ale pytanie brzmi, co dalej?

Nim któryś z nich zdołał odpowiedzieć, z kuchni weszła do salonu Cammie Reed. Twarz miała pobladła, lecz opanowana.

- Panie Marinville?

- Johnny - odparł, odwracając się do niej.

Musiała, to trawić przez chwilę - kolejny klasyczny przypadek myślenia spowolnionego przez szok - nim zrozumiała, że on chce, by mu mówić po imieniu. Wreszcie skinęła głową.

- Johnny. Jasne, nie ma sprawy. Znalazłeś pistolet? Jest jakaś amunicja do niego?

- Odpowiadam "tak" na oba pytania.

- Mógłbyś mi to dać? Moi chłopcy chcą sprowadzić pomoc. Przemyślałam to i postanowiłam się zgodzić. To znaczy, jeśli dasz im pistolet Davida.

- Nie mam nic przeciwko oddaniu rewolweru - odparł Johnny, nie do końca pewny, czy mówi całą prawdę - ale wyjście z ukrycia może się okazać wyjątkowo niebezpieczne, nie sądzisz?

Spojrzała na niego spokojnie, bez śladu zniecierpliwienia w oczach, lecz mówiąc pukała palcem w zaschniętą na bluzce kroplę krwi. Pamiątkę krwotoku z nosa nieszczęsnej Ellen Carver.

- Zdaję sobie sprawę z niebezpieczeństwa i gdyby to chodziło o ulicę, powiedziałabym "nie". Ale chłopcy znają ścieżkę przez lasy za domami po tej stronie. Mogą tamtędy dojść do Anderson Avenue. Jest tam opuszczony budynek po magazynach firmy przewozowej...

- Veedon Brothers - dodał Brad, kiwając głową.

- ...a z parkingu za nim biegnie rura kanalizacyjna, która dochodzi aż do strumienia przy Columbus Broad. Jeśli już nic więcej, to przynajmniej znajdą tam czynny telefon i kogoś zawiadomią.

- Cam, czy oni w ogóle potrafią obchodzić się z bronią? - spytał Brad.

Znów to wyniosłe spojrzenie, pytające: "Czemu obrażasz moją inteligencję?"

- Dwa lata temu chodzili z ojcem na kurs bezpiecznego posługiwania się bronią. Głównie chodziło o broń myśliwską, ale krótka też była w programie.

- Skoro Jim i Dave znają tę ścieżkę, ci co do nas strzelali, też mogą znać - zauważył Johnny. - Myślałaś o tym?

- Tak. - Na twarzy Cammie pojawiły się pierwsze, choć nieznaczne oznaki zniecierpliwienia. Johnny podziwiał jej opanowanie. - Ale ci... obląkańcy... nie są stąd. Nie mogą być stąd. Czy widzieliście wcześniej którąś z tych furgonetek?

Ja może i widziałem - pomyślał Johnny. - Jeszcze nie jestem pewien gdzie, ale gdybym tylko mógł chwilę spokojnie pomyśleć...

- Nie, ale uważam... - zaczął Brad.

- Myśmymy się tu sprowadzili w osiemdziesiątym drugim roku, kiedy chłopcy mieli trzy lata - przerwała mu Cammie. - Oni twierdzą, że tę ścieżkę w ogóle mało kto zna oprócz dzieciaków i że ta rura na pewno też tam jest. Ja im wierzę.

Pewnie, że wierzysz - skomentował to w duchu Johnny - ale to rzecz drugorzędna. Tak samo jak nadzieja, że sprowadzą pomoc. Po prostu chcesz ich stąd wydostać, prawda? Pewnie, że tak, i nie potępiam cię za to.

- Johnny - dodała, przypuszczając być może, że jego milczenie oznacza dezaprobatę dla pomysłu - nie tak dawno chłopcy niewiele starsi od nich walczyli w Wietnamie.

- Nawet młodszy - odparł. - Byłem tam. Widziałem ich. - Pisarz wstał i jedną ręką wyciągnął zza pasa domowych spodni rewolwer, a drugą pudełko naboji z kieszeni koszuli. - Chętnie dam to twoim chłopakom, ale... mam zamiar pójść z nimi.

Cammie popatrzyła na brzusek Johnny'ego - nie tak wielki jak Brada, niemniej zauważalny. Nie zapytała go, dlaczego chce iść i dlaczego uważa, że okaże się przydatny. Miała na to zbyt chłodny umysł, przynajmniej na razie. Powiedziała tylko:

- Chłopcy grają jesienią w piłkę, Johnny, wiosną uprawiają biegi. Nadażysz za nimi?

- Na trzy kilometry z przeszkodami pewnie nie - odparł. - Ale na ścieżce przez las i ewentualnie tym kanałem? Raczej tak.

- Żartujesz sobie czy co? - rzuciła Belinda, zwracając się do Cammie, nie do Johnny'ego. - Myślisz, że gdyby w zasięgu słuchu od Topolowej był czynny telefon, siedzielibyśmy jeszcze tutaj z tymi wszystkimi trupami na ulicy i płonącym domem?

Matka bliźniaków spojrzała na nią, dotknęła znów krwawej plamki na bluzce i wróciła spojrzeniem do Johnny'ego. Za jej plecami wyjrzała zza drzwi kuchni Ellie. Dziewczynka miała oczy szeroko otwarte z powodu żalu i szoku, a usta i brodę ubrudzone krwią z nosa.

- Nie mam nic przeciwko temu, jeżeli chłopcom nie zrobi to różnicy - stwierdziła Cammie, nie odpowiadając na pytanie Belindy.

W tej chwili nie była zainteresowana takimi rozważaniami. Może później, ale nie teraz. Teraz interesowało ją tylko jedno: rzucić kośćmi, dopóki jeszcze szansę przechylają się - jak osądziła - zdecydowanie na jej korzyść. Zaryzykować i wyprowadzić stąd synów tylnymi drzwiami.

- Nie robi - odparł Johnny i wręczywszy jej broń wraz z amunicją, ruszył do drzwi kuchni.

Chłopcy są w porządku - pomyślał - i to już dobrze, a w dodatku zostali zaprogramowani tak, by w dziewięciu wypadkach na dziesięć postępować zgodnie z życzeniami rodziców. W obecnej sytuacji to nawet jeszcze lepiej. Po drodze Johnny dotknął schowanego w kieszeni spodni przedmiotu.

- Ale nim wyjdziemy, muszę koniecznie z kimś porozmawiać. To ważne. Bardzo ważne.

- Z kim? - zapytała Cammie.

Johnny podniósł Ellen Carver. Przytulił ją, pocałował w zaplamiony krwią policzek i ucieszył się, kiedy opłotła ramionami jego szyję, a potem uścisnęła mocno. Takich uścisków się nie sprzedaje za byle co.

- Z Ralphem Carverem - odparł i zaniósł siostrę Ralphiego z powrotem do kuchni.

2

Tak się złożyło, że w domu Toma Billingsleya rzeczywiście pałętała się jakaś broń; najpierw jednak Tom znalazł dla Colliego Entragiana koszulę. Nic takiego - starą koszulkę marki Cleveland Browns z krótkimi rękawami, rozprutą pod jedną pachą - ale przynajmniej rozmiar XL, a lepiej jednak przedzierać się przez lasek w takiej koszulce niż bez. Collie używał dość często tej ścieżki, więc pamiętał, że rosną tam jeżyny i inne kłujące chaszczce.

- Dzięki - powiedział, ubierając się, podczas gdy Doktor prowadził ich w odległy koniec piwnicy, za stary stół pingponga.

- Nie ma za co - rzekł Billingsley i pociągnął za sznurek włączający światłówki. - Nawet nie wiem, skąd ją mam. Nigdy nie kibicowałem Brownsom.

W kącie za stołem leżało w nieładzie trochę sprzętu wędkarskiego, kilka pomarańczowych kamizelek myśliwskich oraz łuk bez cięciwy. Stary Doktor przykucnął, krzywiąc się z wysiłku, po czym odsunął kamizelki, spod których wyjrzała zwinięta w rulon i obwiązana sznurkiem patchworkowa koldra. W rulonie znajdowały się cztery karabiny, ale dwa z nich zostały rozłożone na części.

- Powinny się nadać - rzekł Billingsley, dźwigając te poskładane.

Collie wziął karabin kaliber trzydzieści, który w lesie na pewno bardziej się przyda niż jego służbowy pistolet (i w razie gdyby kogoś postrzelił, nie spowoduje tylu pytań).

Amesowi pozostał mniejszy, mossberg.

- Ma komorę tylko na dwudziestkidwójki - rzekł przepaszającym tonem Doktor, wyciągając pudełko z nabojami z szafki obok licznika prądu i kładąc je na stole pingpongowym - ale to świetna broń, naprawdę. Dziewięć kul w magazynku. Co ty na to? Ames wyszczerzył zęby w takim uśmiechu, że Collie nie mógł nie poczuć do niego sympatii.

- Ja na to aj waj, mocna sprawa - rzekł Steve, biorąc broń.

Billingsley parsknął zgrzytliwym śmiechem starego człowieka i poprowadził ich na górę. Cynthia podłożyła Marielle poduszkę pod głowę, ale ranna kobieta nadal leżała na podłodze salonu (pod portretem Daisy, psa ze smykalką do matematyki). Nikt nie miał odwagi jej przenieść; Billingsley obawiał się, że szwy mogłyby puścić. Żyła jeszcze, to był plus; ale pozostawała wciąż nieprzytomna, a to drugi plus, biorąc pod uwagę, co się jej przydarzyło. Oddychała jednak nieregularnie, wielkimi haustami powietrza. Zdaniem Colliego nie wyglądało to najlepiej. Wyglądało tak, jakby każdy oddech mógł być ostatnim.

Jej mąż, uroczy Gary, siedział na krześle kuchennym, które ustawił tak, by móc przynajmniej patrzeć na żonę w trakcie picia. Collie zauważył, że znaleziona przezeń butelka zawierała "Wyborne sherry kuchenne Matki DeLucca" i zrobiło mu się niedobrze.

Gary pochwycił jego spojrzenie (czy może poczuł) i odwzajemnił je. Oczy miał czerwone i podpuchnięte. Podrażnione. Znękane nieszczęściem. Collie poszperał w swym wnętrzu i odnalazł tam odrobinę współczucia dla tego człowieka. Nie za wiele jednak.

- Straciaa ręche, psiakeew - poinformował go Gary stłumionym, konfidencjonalnym głosem. - Ziicie eoo lekarza.

Collie po chwili namysłu przetłumaczył to z pijackiego na angielski jako: "Wezwijcie tego lekarza" albo "Zabijcie tego lekarza".

- Tak, tak - odparł. - Sprowadzimy pomoc.

- Juszsza pinna byś. Straciaa, kuuwa, ręche. Jess kuwaa w lodyfse!

- Wiem.

- Pan jest weterynarzem, prawda, panie Billingsley? - przyłączyła się do nich Cynthia.

Doktor skinął głową.

- Tak myślałam. Może pan tam podejść i spojrzeć na coś za drzwiami wejściowymi?

- Myślisz, że to niczym nie grozi?

- Na razie chyba nie. Jest tam coś... najlepiej jakby pan sam... - zerknęła na pozostałych mężczyzn - ...panowie sami spojrzeli.

Podprowadziła Billingsleya przez pokój do drzwi wychodzących na ulicę. Collie spojrzal na Steve'a, ten wzruszył ramionami. Entragian przypuszczał, że dziewczyna chce pokazać Doktorowi, jak zmieniły się domy po drugiej stronie, nie wiedział jednak, co to miało wspólnego z wiedzą weterynarza. Podeszli obaj do drzwi.

- Ale jaja - zwrócił się zdumiony Collie do Steve'a. - Z powrotem są normalne! Czy po prostu przedtem nam się przywidziało, że się zmieniły?

Patrzył akurat na posesję Gellerów. Dziesięć minut temu, kiedy wraz z hipisem i sklepową wyglądali tymi samymi drzwiami, przysięgliby, że dom Gellerów był w stylu adobe, z suszonej na słońcu gliny, jak na ilustracjach z Nowego Meksyku i Arizony, gdy były jeszcze terytoriami indiańskimi. Teraz znów okazywał się typowym, obłożonym aluminiową okładziną domkiem z Ohio.

- Nie przewidziało nam się i nic nie jest normalne - oznajmił Steve. - W każdym razie niecałkiem. Spójrz na tamten.

Wzrok Colliego powędrował za wyciągniętym palcem hipisa ku domowi Reedów. Belki zniknęły i wróciło nowoczesne wykończenie, dach był znów pokryty równymi, eternitowymi dachówkami zamiast tego, czym go obłożono przedtem (chyba darnią), a nieduży talerz satelitarny wrócił na swoje miejsce nad wiatą garażową. Jednak w miejscu ceglanej podmurówki widniały teraz bale tarcicy, wszystkie zaś okna pozasłaniano okiennicami o wyciętych otworach. Można by pomyśleć, że mieszkańcy tego domu do swych codziennych problemów zaliczali plądrujących okolicę Indian oraz wizyty Świadców Jehowy i wędrownych agentów ubezpieczeniowych. Collie nie był do końca pewien, ale nie wydawało mu się, by domek Reedów miał przedtem okiennice, a co dopiero takie z otworami strzelniczymi.

- Aha. - Billingsley powiedział to jak ktoś, kto się właśnie zorientował, że bierze udział w "Ukrytej kamerze". - Czy to poręcz dla koni, tam przed domem Audrey? Poręcz, prawda? Co to ma być?

- Nieważne - odparła Cynthia.

Ujęła twarz starszego pana w dłonie i przekręciła jego głowę niczym kamerę na statywie, by spojrzeć na zwłoki żony Jacksona.

- O mój Boże - rzekł Collie.

Na obnażonym udzie martwej kobiety usadowił się wielki ptak, zatapiając żółtawe szpony w jej skórze. Wydziobał już większość z tego, co zostało z jej twarzy, i teraz dobierał się do ciała pod brodą. Pamięć podsunęła na chwilę Colliemu nie chciane zupełnie

wspomnienie: jak w kinie samochodowym w Zachodnim Columbus próbował dobierać się do Kellie Eberhart dokładnie w tym samym miejscu, a ona powtarzała, że jeśli jej zrobi znaczki, jej tata na pewno zastrzeli ich oboje.

Zdał sobie sprawę, że podniósł trzydziestkę do strzału dopiero, gdy dłoń Steve'a popchnęła lufę strzelby w dół.

- Nie, stary. Nie radzę. Lepiej może nie róbmy hałasu.

Miał rację, ale... mój Boże, nie chodziło o to, co ten ptak robił, ale jak wyglądał.

- Staaciaa ręche, cholea! - oznajmił z kuchni Gary, jakby się bał, że o tym zapomną. Stary Doktor nie zwrócił na niego uwagi. Idąc przed chwilą przez salon, wyglądał jak człowiek oczekujący, że go mogą w każdej chwili zabić, teraz jednak mordercy, dziwaczne furgonetki i przeobrażające się domy najwyraźniej zupełnie wyleciały mu z głowy.

- O do licha ciężkiego, spójrzcie tylko na to! - wykrzyknął tonem, w którym pobrzmiwała groza. - Muszę to sfotografować. No przecież! Przepraszam... pójde tylko po aparat...

Zaczął się już odwracać, lecz Cynthia złapała go za ramię.

- Aparat może poczekać, panie Billingsley.

- No tak... możliwe... ale... - Doktor odrobinę wrócił do rzeczywistości.

Ptak chyba ich usłyszał, gdyż odwrócił się i oczyma w czerwonych obwódkach spojrzał w stronę domku weterynarza. Różowy leb ptaszyska pokrywała czarna szczecina. Dziób miał zwyczajny, haczykowaty.

- Czy to sęp? - spytała Cynthia. - A może myszołów?

- Sęp? Myszołów? - Stary Doktor wydawał się zaskoczony. - Dobry Boże, nie. Nie widziałem takiego ptaka nigdy w życiu.

- Chciał pan powiedzieć: w Ohio - rzekł Collie, wiedząc, że Billingsley nie to miał na myśli, ale chciał to usłyszeć od niego.

- Mam na myśli: nigdzie.

Hipis przeskakiwał spojrzeniem z ptaka na Billingsleya i z powrotem.

- Co to jest w takim razie? Nowy gatunek? - zapytał.

- Nowy gatunek, niech skonam! Pardon za wyrażenie, młoda damo, ale to jakiś pierdolony mutant! - rzucił Billingsley, urzeczony, gdy tymczasem ptak rozpostarł skrzydła i zamachał nimi, by podsunąć się trochę wyżej na nodze Mary. - Zobaczcie, jaki ma wielki korpus, a jakie krótkie w stosunku do tego skrzydła... Przy tym cholerstwie ostryga wygląda jak cud aerodynamiki! Te jego skrzydła są chyba różnej długości!

- Mnie się też tak zdaje - rzekł Collie.

- Jak to lata? - gorączkował się Doktor. - Jak w ogóle może latać?

- Nie wiem jak, ale może - Cynthia wskazała na kłęby gęstego dymu, które odgrodziły ich teraz całkowicie od reszty świata poniżej Hiacyntowej. - Wyleciał stamtąd. Widziałam.

- Nie przeczę, że widziałas; nie przypuszczam, żeby to był jakiś... ptakolot, w którym ktoś wylądował i go porzucił. Ale jak to może latać, to po prostu... - przerwał, przyglądając się badawczo stworzeniu. - Chociaż rozumiem, skąd ci przyszło do głowy, że to sęp; nim pojawiła się oczywista refleksja... - Collie pomyślał, że w tej chwili Stary Doktor mówi już chyba bardziej do siebie, lecz słuchał mimo to uważnie. - Trochę faktycznie przypomina sępa. Ale jakby narysowanego przez dziecko.

- Hę? - Cynthia nie rozumiała.

- Jakby narysowanego przez dziecko - powtórzył Billingsley. - Dziecko, któremu sęp pomieszał się z orłem bielikiem.

3

Na widok Ralphiego Carvera Johnny'emu ścisnęło się serce. Opuszczony przez Jima Reeda, którego troskliwość osłabła pod wpływem podniecenia zbliżającą się misją, Ralph stał pomiędzy kuchenką a lodówką z kciukiem w buzi i wielką mokrą plamą na przodzie

spodenek. Cała jego dziecięca urwisowatość gdzieś wyparowała. Oczy miał szeroko otwarte, nieruchome, błyszczące. Przypominał Johnny'emu znajomych narkomanów. Marinville zatrzymał się po wejściu do kuchni, po czym postawił Ellie na podłodze. Nie chciała go zostawić, ale przynajmniej udało mu się delikatnie zdjąć z szyi jej rączki. Dziewczynka też była w szoku, lecz w jej spojrzeniu Johnny nie dostrzegł tego żalosego poblasku co w oczach brata. Za nią zobaczył Kim i Susi Geller; siedziały na podłodze, obejmując się ramionami. Mamuśce to pewnie bardzo pasuje - pomyślał Johnny, przypomniawszy sobie zmagania tej kobiety, by nie podzielić się córką z młodym Dave'em Reedem. Chłopak wtedy zwyciężył, lecz teraz miał większą gratkę na oku; wyruszał ku Andersen Avenue i ziemi nieznanej. Co nie zmieniało jednak faktu, że znajdowało się tu dwoje małych dzieci, które po lunchu zostały sierotami.

- Kim? - zaczął Johnny. - Może byś mi trochę pomogła z tym...

- Nie - odpowiedziała.

Tylko tyle. Z pełnym spokojem. Bez wyzwania w spojrzeniu, bez hysterii w głosie... ale i bez współczucia. Objęła ramieniem córkę, córka objęła ją. Ciepło, miło, siedzą sobie dwie białe dziewczuszki i czekają, aż się chmury rozejdą. Można to było do pewnego stopnia zrozumieć, ale Johnny tak czy inaczej był na nią wściekły. Stała się nagle dla niego uosobieniem wszystkich znanych mu osób, które zawsze okazywały znudzenie, gdy rozmowa schodziła na temat AIDS, bezdomnych dzieci albo wycinania puszczy amazońskiej. Stała się kwintesencją tych wszystkich, którzy przechodzili nad śpiącym na chodniku bezdomnym, nie spojrzawszy nawet pod nogi. Co i jemu się czasem zdarzało. Johnny wyobraził sobie, jak chwyta ją za ramiona, podrywa na nogi, odwraca do tyłu i wymierza zdrowego kopa w ten jej środkowo-zachodni, wąski tyłek. Może to by ją otrzeźwiło. A nawet gdyby nie, przynajmniej on sam poczułby się trochę lepiej.

- Nie? - powtórzył, czując, jak skronie pulsują mu z idiotycznej złości.

- Nie - potwierdziła, posyłając mu nikły uśmiezek w stylu "no, nareszcie dotarło".

Po czym odwróciła się do Susi i zaczęła głaskać ją po włosach.

- Chodź, serduszko. - To Belinda pochyliła się ku Ellen otwierając ramiona. - Chodź tu i posiedź trochę z Bee.

Dziewczynka usłuchała bez słowa, z twarzą wykrzywioną grymasem straszliwego smutku, przez co cisza stała się jeszcze bardziej nie do zniesienia. Belinda wzięła Ellen w objęcia. Bliźniacy przyglądali się temu nie widzącym wzrokiem. Stali przy tylnym wyjściu z oczami palającymi podnieceniem. Cammie stanęła przed nimi i obrzuciła ich spojrzeniem, które Johnny zrazu uznał za surowe. Jednak już po chwili zorientował się, że to przerażenie - tak wielkie, iż niemal niemożliwe do ukrycia.

- No dobrze - odezwała się w końcu suchym, rzeczowym tonem. - Który to bierze?
Chłopcy popatrzyli po sobie, a Johnny miał odczucie, iż porozumieli się - szybko, lecz kompleksowo - w sposób dostępny jedynie może bliźniakom. A może - pomyślał zaraz - to tylko tobie pod czaszką kipi, co, John? Nie było to zresztą zbyt dalekie od prawdy; wszyscy tutaj byli w stanie bliskim wrzenia.

Jim wyciągnął rękę. Górna warga jego matki zadrżała, lecz w mig się uspokoiła i Cammie podała synowi rewolwer Davida Carvera. Dave wziął pudełko z nabojami, otworzył je, podczas gdy Jim przekręcił bębenek czterdziestkapiątki, sprawdzając pod światło, czy jest pusty, jak przedtem zrobił to Johnny. Jesteśmy ostrożni - skonstatował w duchu pisarz - ponieważ rozumiemy, jak morderczy potencjał kryje się w broni; ale nie tylko dlatego. Na pewnym poziomie rozumiemy również, że broń to zło. Sprawka diabła. Czują to nawet najzagorzalsi jej wielbiciel i zwolennicy.

Dave podsunął bratu leżące na dłoni naboje. Jim brał je po jednym, aż rewolwer został załadowany.

- Zachowujcie się tak, jakby ojciec był z wami przez cały czas - mówiła tymczasem Cammie. - Jeśli przyjdzie wam do głowy zrobić coś, na co on by się nie zgodził, nie róbcie tego. Zrozumiano?

- Dobrze, mamó.

Jim zatrzasnął bębenek i trzymał broń w wyciągniętej ręce, celując w podłogę i nie dotykając spustu. Polecenia matki wprawiały go w zakłopotanie - przemawiała niczym dowódca ze starych powieści Leona Urisa, wykładający regulamin rekrutom.

Zakłopotanie mieszało się z podnieceniem na myśl o tym, co go czeka za chwilę.

- David? - Cammie zwróciła się do drugiego z bliźniaków.

- Tak, mammo?

- Jeżeli zobaczycie w lasku obcych, od razu wracajcie. To naprawdę ważne. Nie pytajcie o nic, nie odpowiadajcie na pytania, nawet się nie zbliżajcie.

- Ale mammo, jeżeli będą bez broni... - zaczął Jim.

- Nie pytać o nic i nie zbliżać się - powtórzyła.

Nie podniosła nawet głosu, lecz w jej tonie zabrzmiało coś takiego, że chłopcy od razu dali spokój. Koniec dyskusji i już.

- A jeśli to będą gliny, pani Reed? - spytał Brad. - Policja też mogła uznać, że najlepiej podejść tu laskiem.

- Bezpieczniej będzie trzymać się z daleka - wtrącił Johnny. - Gliniarze mogą być lekko... powiedzmy, podenerwowani. A zdarzało się już, że taki nerwowy policjant postrzelił niewinnych ludzi. Niechący??? Oczywiście, ale lepiej uważać. Nie zdawać się na przypadek.

- Idzie pan z nami, panie Marinville? - chciał wiedzieć Jim.

- Idę.

Bliźniacy zamilkli, lecz Johnny dostrzegł w ich spojrzeniach ulgę i ucieszyło go to.

Cammie obdarzyła Johnny'ego karcącym spojrzeniem. "Skończyłeś już? Mogę wrócić do meritum?" - mówiły jej oczy. Potem zaczęła udzielać kolejnych instrukcji.

- Idźcie do Anderson Avenue. Jeżeli tam będzie w porządku... - zawahała się, jakby sobie uzmysłowiła, jak mało jest to prawdopodobne, lecz ciągnęła dalej: - ...poproście kogoś, żeby wam pozwolił zadzwonić i zawiadomcie policję. Ale jeśli na Anderson jest tak jak tutaj, jeżeli cokolwiek wyda wam się choćby odrobinę... no...

- Porąbane - podpowiedział Johnny.

W Wietnamie mieli na określenie tego stanu, o którym mówiła, co najmniej tyle słów, co Indianie nazw różnych odmian pogody. I zabawne, nagle wszystkie one powróciły, rozbliskując w jego pamięci jak neony. Porąbany. Zakręcony. Śmierdzący. Syf. Żółtactwo. Tak, tak, koleżko, wszystko wraca. Niedługo zawiążę sobie bandanę na głowie i poprowadzę całe towarzystwo na podchody.

Cammie nadal wpatrywała się w chłopców. Johnny miał nadzieję, że zaraz skończy. Oni zaś odpowiadali jej pełnymi szacunku (i trochę strachu) spojrzeniami, choć wiadomo było, że wszystko, co mogła mieć jeszcze do powiedzenia, i tak wleci im jednym uchem, a wyleci drugim.

- Jeżeli na Anderson coś będzie nie tak, idźcie tą rura, o której mówiliście. Do Columbus Broad. I stamtąd wezwijcie policję. Opowiedzcie im, co się tu wydarzyło, i niech wam nawet do głowy nie przyjdzie wracać na Topolową!

- Ale mammo... - zaczął Jim.

Cammie zamknęła mu usta dłonią, ściskając palcami wargi. Mocno, choć nie boleśnie. Johnny bez trudu wyobraził sobie, jak robiła to, gdy byli mniejsi, tyle że musiała się wtedy schylać.

- "Ale mammo" zostaw sobie na inną okazję. Tym razem po prostu posłuchaj mamy.

Dotrzyjcie w bezpieczne miejsce, wezwijcie policję i trzymajcie się z daleka, aż ten oblęd się skończy. Jasne?

Skinęli głowami. Cammie też skinęła i puściła usta Jima. Chłopak uśmiechał się z zakłopotaniem ("Widzicie, ludzie, to cała moja mama") i zaczerwienił się aż po koniuszki uszu. Wolął jednak nie zgłaszać pretensji.

- I uważajcie - dodała jeszcze.

Coś pojawiło się w jej spojrzeniu... Może ochota, by ich pocałować - pomyślał Johnny - a może raczej, żeby odwołać wszystko, póki jeszcze czas. Lecz po chwili zniknęło.

- Gotów, panie Marinville? - zapytał Dave.

Spoglądał z zazdrością na rękę brata trzymającą u boku broń. Johnny był pewien, że nie odejdą zbyt daleko, gdy poprosi, by też mógł ją trochę ponieść.

- Jeszcze sekundkę - odparł, przyklękając przed Ralphiem.

Ralphie cofnął się, aż dotknął pupą ściany, po czym spojrzał na niego sponad tkwiącego w buzi kciuka. Tutaj, na wysokości dziecka, smród moczu i przerażenia był aż gęsty.

Marinville wyjął z kieszeni figurkę znaną z przedpokoju na górze - kosmitę o wielkich oczach, ryjowatych ustach i z żółtym czubem włosów na środku łysej głowy.

Przytrzymał ją przed oczami chłopca.

- Ralphie, co to jest?

Wydawało się już, że chłopiec nie odpowie. Potem jednak wyciągnął powoli dłoń nie zakotwiczoną w buzi i wziął zabawkę. Po raz pierwszy od rozpoczęcia się strzelaniny w jego oczach pojawiła się iskierka życia.

- To jest Major Pike - wyjaśnił.

- Co?

- Tak. On jest Canopalijski. - Chłopiec wymówił to słowo z nabożną dumą. - To znaczy, że jest kowsmiutą. Ale dobrym kowsmiutą. Nie tak jak Pusta Twarz. - Przerwał. - I on czasami jeździ Wozem Mocy Bounty'ego. Ale Major Pike nie był z nimi, prawda? Do oczu Ralphiego nabiegły łzy, a Johnny'emu przypomniła się nagle historia znana każdemu dziecku, o skandalu z basebalistami Czarnych Skarpet w tysiąc dziewięćset dziewiętnastym roku. O tym jak to podobno do Joe "Shoeless" Jacksona podszedł mały chłopiec i tonąc we łzach błagał, by gracz zaprzeczył, iż mecz został sprzedany. Żeby powiedział, że to nieprawda. Toteż Johnny, chociaż na własne oczy widział tego dziwoląga - albo kogoś w masce tego dziwoląga - natychmiast pokręcił głową i poklepał Ralphiego uspokajająco po ramieniu.

- Ten Major Pike jest z filmu albo z telewizji, tak? - zapytał jeszcze, chociaż znał już odpowiedź.

Wszystko zaczynało mu się układać, może zresztą powinno się było ułożyć dużo wcześniej. W ciągu ostatnich paru lat odbył mnóstwo spotkań w szkołach, w których dorosły musiał się zdrowo nachylić, żeby się napić wody z kranu, i naczytał się swoich utworów w bibliotekach, gdzie krzesła miały mniej niż metr wysokości. Sporo się też nasłuchiwał dziecięcych rozmów, lecz nie oglądał seriali i nie chodził na filmy rysunkowe do kina. Czuł instynktownie, że zamiast inspiracji stanowiłoby to przeszkodę w jego pracy. Nie wiedział więc teraz wszystkiego, toteż nadal miał mnóstwo pytań, sądził jednak, że cały ten obłęd da się jakoś wytłumaczyć.

- Ralphie?

- Z telewizji - odpowiedział Ralphie z buzią wypełnioną kciukiem. Cały czas trzymał Majora Pike'a przed oczami, jak mu go pokazał Johnny. - On jest MotoGliną.

- A Senny Wędrowiec? Co to takiego, Ralphie?

- Panie Marinville - niecierpliwił się Dave. - Powinniśmy już naprawdę...

- Daj mu jeszcze chwilę, synu - rzekł Brad.

Johnny nie odrywał wzroku od chłopca.

- A Senny Wędrowiec? - powtórzył.

- To Wóz Mocy Cassie - wyjaśnił Ralphie. - Cassie Styles. Ona jest chyba Pułkownika Henry'ego dziewczyną. Jason, mój kolega, mówi, że MotoGliny nie mają dziewczyn, ale ja wiem, że jest. Dlaczego Wozy Mocy przyjechały na naszą ulicę, panie Marinville?

- Nie wiem, Ralphie - odrzekł Johnny, chociaż czuł, że prawie już wie.

- A czemu są takie duże? A jak oni są dobrzy, to dlaczego zastrzelili mojego tatusia i mamusię?

Ralphie rzucił figurkę Majora Pike'a na podłogę, kopnął ją na drugi koniec kuchni, po czym zakrył twarz rękami i zaniósł się płaczem. Ruszyła ku niemu Cammie Reed, lecz Ellen Carver, która wyrwała się z objęć Belindy, była szybsza. Podeszła do Ralphiego i otoczyła go ramieniem.

- Nie martw się. Nie martw się, Ralphie. Ja się tobą zaopiekuję.

- Ale to będzie numer - oznajmił Ralphie przez łyżę, a Johnny zakrył sobie dłonią usta tak gwałtownie, że niemal je rozkrwawił.

Tylko w ten sposób udało mu się powstrzymać wybuch szaleńczego rechotu.

"A jak oni są dobrzy, to dlaczego zastrzelili mojego tatusia i mamusię?"

- Chodźcie, chłopaki - zwrócił się Johnny do bliźniaków, wstając z podłogi. - Ruszajmy na tę wyprawę.

4

Na ulicy Topolowej słońce chyliło się ku zachodowi. Było jeszcze na to zbyt wcześnie, lecz słońce mimo to zachodziło. Jarzyło się nad horyzontem od zachodu jak złowieszcze czerwone oko, rozplamniając kałuże na ulicy, podjazdach i gankach. Przeobrażało zaśmiecające cały teren odłamki szkła w żarzące się węgielki. Zmieniało w purpurowe czeluście oczy fałszywego sępa, który uniósł się właśnie znad ciała Mary Jackson na swych nieprawdopodobnych skrzydłach i przeleciał na drugą stronę ulicy, by wylądować na trawniku Carverów. Tu zaczął się przypatrywać na zmianę zwłokom Davida Carvera i Debbie, koleżanki Susi Geller - najwyraźniej się wahał, od których zacząć. Czasu brak, a żarcia w bród. Zdecydował się wreszcie na ojca Ellen i Ralphiego, po czym zbliżył się do jego ciała seriami niezgrabnych podskoków. Jedna z jego żółtawych nóg zaopatrzona była w pięć pazurów, druga tylko w dwa.

Naprzeciwno zaś, w domu Wylerów - wśród odoru zeschniętej zupy pomidorowej, starych hamburgerów i brudu - wciąż ryczał telewizor. "Regulatorzy", pierwsza scena w saloonie.

- Fajna z ciebie kobitka - mówił Rory Calhoun z tą pełną pożądania pewnością siebie, która oznaczała: "Laluniu, zamierzam cię schrupać na surowo, zanim ten gówniany

westernik się skończy, i wiemy o tym oboje" - Usiadłabyś sobie i napiła się, co? Może przyniesiesz mi szczęście?

- Nie piję z hołotą - odparła chłodno Karen Steele, a cała banda Jeba Murdocka, z wyjątkiem tych, którzy ukrywali się akurat poza miastem, ryknęła śmiechem.

- Patrzcie no, jaka to mała sekutnica - rzekł Rory, spokojny i odprężony, banda w odpowiedzi zarechotała jeszcze głośniej.

- Chcesz trochę chrupek, Pete? - spytał Tak.

Przemawiał teraz głosem Lucasa McCaina, który w repertuarze kablówek znany był głównie z "Człowieka z karabinem".

Peter Jackson, rozparty na kanapie przed telewizorem, nie odpowiedział. Szcherzył zęby w szerokim uśmiechu. Cienie z ekranu igrały na jego twarzy, zmieniając raz po raz ten grymas w niemy krzyk, lecz tak czy inaczej był to uśmiech i już.

- Racja, tатku, powinien trochę zjeść - teraz Tak użył niemal nastoletniego głosu Johnny'ego Crawforda, który grał syna Lucasa. - To te dobre. Crunchipsy. No, Peterku, bo przyjdzie zły wilk i ci wszystko zje!

Brudna ręka chłopca podsunęła Jacksonowi paczkę chrupek pod sam nos, a potem pomachała nią w górę i w dół. Peter nawet nie spojrzał. Gapił się w telewizor - poprzez telewizor - oczami, które wychodziły mu z orbit niczym poddane dekompresji oczy głębinowej ryby, wyciągniętej nagle na powierzchnię. I uśmiechał się.

- Chyba nie chce mu się żreć, tатku.

- Chce mu się żreć, synu. I to jak wszyscy diabli. Zeżarłbyś coś, no nie, Pete? Trzeba mu tylko trochę pomóc i tyle. Bierz te chrupki, do ciężkiej cholery!

W pokoju słychać było buczenie. Na ekranie pojawiły się na moment pasy wyladowań elektrycznych, gdy Rory Calhoun usiłował akurat pocałować Karen Steele. Ona zaś trzasnęła go w twarz i strąciła mu z głowy kapelusz. Pożądliwy, drażniący uśmieszek wreszcie zniknął. Nikt - nawet kobitki - nie strącał bezkarnie kapelusza z głowy Jeba Murdocka.

Peter uniósł z wolna chrupki. Miął swe niezmiennie wyszczerzone w uśmiechu usta i zaczął przyciskać chipsy do nosa, krusząc je tak, że mniejsze kawałki utkwily mu w nozdrzach. Nienaturalnie wytrzeszczonych oczu nie spuszczał z ekranu telewizora.

- Trochę za wysoko, panie Jackson - pouczył go z troską w głosie Hoss Cartwright. Hoss był jednym z ulubieńców Seta, nim zamieszkał w nim Tak. Teraz więc stał się również jednym z ulubieńców Taka. Byli niczym dwa koła jednego wozu. - Może spróbujmy jeszcze raz, co pan na to?

Ręka powędrowała w dół, drżąc lekko jak winda towarowa. Tym razem chrupki trafiły do ust Petera, który zaczął je mechanicznie przeżuwać. Tak uśmiechnął się na ten widok ustami Seta. Stwór miał nadzieję - na swój sposób przeżywał różne emocje, tyle że był to sposób przeżywania odległy od ludzkiego - że Peterowi smakują cheeriosy, ponieważ miał to być ostatni jego posiłek. Zdażył już wyssać z mężczyzny sporą ilość siły życiowej, najpierw uzupełniając energię, którą szafował tego popołudnia, a potem czerpiąc na zapas. Przygotowując się do następnego kroku.

Do tego, co stanie się nocą.

Peter przeżuwał bez końca, okruchy chrupek wypadały z uśmiechniętych ust i spadały na jego koszulkę, tę z uradowaną roześmianą buźką. Oczy wyszły mu z orbit do tego stopnia, iż wydawały się leżeć na policzkach, drgając w takt ruchów szczęki. Lewa gałka oczna rozlupała się niczym ściśnięty grejpfrut w chwili, gdy Tak wdarł się do umysłu Petera i zrabował większą jego część - tę najbardziej użyteczną. Lecz prawym okiem Jackson coś tam jeszcze widział. Dostatecznie dużo, by poradzić sobie w następnym etapie niemal samodzielnie. Kiedy już, ma się rozumieć, jego silnik znów zaskoczy.

- Peter? Mówię do ciebie, Peter. Słyszysz mnie, stary, czy nie? - Teraz Tak przemawiał urywanym z brytyjska tonem Andrew Case'a, kierownika działu Petera.

Jak wszystkie jego naśladownictwa i to było całkiem niezłe. Nie tak świetne może jak podróbki westernów i seriali telewizyjnych (które ćwiczył dużo częściej), ale nie najgorsze.

Okazało się, że głos szefa potrafi działać cuda, nawet w wypadku człowieka krańcowo odmóżdzonego. Na twarzy Petera pojawił się nikły cień życia. Mężczyzna odwrócił się i zamiast Setha Garina w pizamce w MotoGliny udekorowanej czerwonomarańczowymi kleksami sosu Chef Boyardee, ujrzał Andrew Case'a w szykownej marynarce w kurzą stopkę.

- Chciałbym, żebyś przespacerował się teraz na drugą stronę ulicy, stary. Do lasku, tak? Ale nie musisz tupać aż do domku babci. Wystarczy do ścieżki. Znasz tę ścieżkę w lasku? Peter pokręcił głową. Wybaluszone gałki oczne zadrżały nad rozdziawioną jak u kłowna gębą.

- Nieważne, znajdziesz ją. Nie sposób jej nie zauważyć, koleżko. Dojdiesz do rozwidlenia i usiądziesz tam sobie z... przyjacielem.

- Przyjacielem - potwierdził raczej, niż zapytał Peter.

- Zgadza się.

Peter Jackson nigdy nie widział człowieka, którego miał spotkać przy rozwidleniu ścieżki, i nigdy tak naprawdę go nie spotka. Tłumaczenie mu tego wszystkiego nie miało jednak sensu. Nie pozostało mu już dość rozumu, by cokolwiek pojąć, to po pierwsze. Wkrótce i tak miał umrzeć, to po drugie. Będzie martwy jak Herb Wyler. Martwy jak człowiek z wózkiem sklepowym, którego niedługo spotka w lesie.

- Z przyjacielem - powtórzył Peter, tym razem nieco pewniej.

- Tak jest. - Angielski kierownik działu zniknął; Tak powrócił do Johna Payne'a malpującego Gary'ego Coopera. - Lepiej ciągnij już smugę, koleś.

- Ścieżką do rozwidlenia.

- Tak jakby.

Peter wstał niczym stara nakręcana zabawka o zardzewiałych trybikach. Jego oczy drżały w srebrzystej poświacie z telewizora.

- Już ciągnę smugę. A jak dojdę do rozwidlenia, usiądę sobie z przyjacielem.

- Tak jest, o to właśnie chodzi - rozległ się znów na wpół urągliwy, na wpół rozbawiony głos Rory'ego Calhouna. - To jest dopiero gość, ten twój przyjaciel. Właściwie od niego się to wszystko zaczęło. On podpalil lont, można by rzec. No, ruszaj już, koleś. I szerokiej drogi, do następnego spotkania.

Peter przeszedł pod arkadą do salonu, nie spojrzawszy nawet swym jednym dogorywającym okiem na Audrey, przewieszoną bezwładnie bokiem przez oparcie krzesła. Oczy miała na wpół otwarte, wyglądała przy tym jak w transie czy nawet w stanie śpiączki. Oddychała powoli i regularnie. Długie, ładne nogi (to właśnie one zwabiły ku niej Herba Wylera w czasach, gdy była jeszcze Audrey Garin) wyciągnęła przed siebie i Peter niemal się o nie potknął w swym lunatycznym marszu do wyjścia. Kiedy otworzył drzwi, czerwone światło dogasającego dnia padło na jego uśmiechnięte szeroko usta, upodabniając je jeszcze bardziej do ust rozwartych w krzyku.

W połowie ścieżki skąpany w czerwonym świetle sączącym się niczym krew poprzez słup dymu znad posesji Hobartów Peter Jackson usłyszał w głowie ostry jak brzytwa głos Rory'ego Calhouna: "Zamykaj drzwi za sobą, koleżko, w stodole się urodziłeś czy co?" Wykonał pijackie "w tył zwrot", wrócił parę kroków i zrobił, co kazano. Drzwi były gładkie i nietknięte, jako jedyne w całym sąsiedztwie nie zostały podziurawione kulami. Jeszcze jedno w tył zwrot. Peter, omal nie spadłszy z werandy, pozęgłował poprzez czerwoną poświatę ku własnemu domowi, gdzie minie podjazd i zadaszone przejście wzdłuż garażu, przedostanie się na podwórko, potem pokona niską siatkę ogrodzenia, aby znaleźć się w lasku. Trafi na ścieżkę. Odnajdzie rozwidlenie. Odnajdzie przyjaciela. Usiądą sobie razem.

Przekroczył rozciągnięte na ziemi ciało żony i przystanął, gdy w gorącym, zadymionym powietrzu rozległo się dzikie zawodzenie: Uu-uu-uuu. Choć niemal całkiem już postradał zmysły, usłyszawszy to wycie, Peter poczuł jednak na ramionach gęsią skórkę. Kojot w stanie Ohio? Na przedmieściu Colum...

Ciągnij smugę, koleś. Ruszaj się, pieseczku.

Ból, jeszcze bardziej rozdzierający niż przedtem. Z zastygłych w uśmiechu ust wydobył się jęk. Z pękniętego oka pociekła po policzku krew.

Ruszył znów naprzód, a gdy krzyk powrócił, wzmocniony tym razem drugim, trzecim i wreszcie czwartym głosem - nie zareagował. W głowie pozostały mu już tylko: ścieżka, rozwidlenie i przyjaciel. Po raz ostatni Tak skontrolował jego umysł (trwało to krótko, gdyż nie zostało tam już zbyt wiele do kontrolowania), po czym wycofał się.

Teraz pozostała Takowi już tylko kobieta. Sądził, iż wie, czemu pozwolił jej dotąd żyć, jak temu ptakowi znanemu z tego, że żyje w paszczy krokodyla, nie bojąc się jego zębów, ponieważ zajmuje się ich czyszczeniem. Nie miał jednak zamiaru oszczędzać jej dłużej. Chłopiec był pod wieloma względami natchnionym nosicielem - jedynym być może, w którym stwór mógł przeżyć tak długo i wzmocnić się tak bardzo - lecz ironia losu polegała na tym, że miało to pewien minus: ciało chłopca nie do końca było zdolne sprostać pomysłom i pragnieniom Taka. Mógł ubrać ją, jak chciał, przefarbować jej włosy, rozebrać do naga, zmusić, by szczypała się po sutkach i wyczyniała inne błazeństwa, jakich zapragnął. Jakich nie pragnął. Naprawdę pragnął bowiem z nią spółkować, a tego uczynić nie mógł. W pewnych okolicznościach Takowi może nawet by się udało doprowadzić do jakiegoś połączenia, pomimo niedojrzałości gospodarza... jednak Seth nadal istniał w swoim własnym wnętrzu i przy każdej tego rodzaju próbie stawiał opór. Tak mógłby się mu sprzeciwić i z pewnością postawiłby na swoim, uznał jednak, że mądrzej będzie tego nie robić. Nie po to wychynął po tysiącletniach niewoli ze swej czarnej nory pod piaskami Nevady, żeby uprawiać seks z kobietą dużo młodszą niż on i dużo starszą niż ciało jego nosiciela.

A po co wychynął?

No cóż... po to, by się zabawić. I...

I oglądać telewizję - dobiegł go szept z głębin własnego umysłu. - Oglądać telewizję, zajadać makaron i układać. Budować.

- Chcesz się ze mną spróbować, szeryfie? - zapytał Rory Calhoun i wzrok Taka powędrował z powrotem do telewizora.

Niektórzy z tamtych może też ruszą do lasu. Gdyby naprawdę chciał, miał sposoby, żeby się co do tego upewnić, ale nie chciał. Niech sobie idą, jeśli taka ich wola. Nie spodoba im się to, co tam odkryją. I dokąd będą się mogli udać? Z powrotem, nigdzie indziej. Z powrotem do domów. W istocie rzeczy "gdzie indziej" w ogóle już nie istniało. Poza tym to oszczędność energii. Odpręż się i oglądaj telewizję. Wkrótce nadejdzie czas, by sprowadzić noc.

- Jeszcze możemy to przerwać. Dać sobie czas do namysłu - rzekł John Payne, a Tak z Sethem złączyli się w jedno, gdyż westerny - ten zaś w szczególności - zawsze ich jednoczyły.

Tak pochylił się nie spuszczać wzroku z ekranu i podniósł talerz wypełniony zakrzepłą mieszaniną hamburgerów i makaronu Franco-American w kształcie zwierzątek. Zaczął jeść z oczyma utkwionymi w obrazie, nie zważając na kęsy mięsa spadające mu raz po raz na nagą pierś i lądujące na podolku. Już niedługo rozpocznie się znów finałowa strzelanina, PACH i BUM aż do samego końca... Tak pozwolił się ponieść opowieści, czarno-białym, posrebrzanym obrazom, napawając się atmosferą nabrzmiałą przemocą, naelektryzowaną jak wisząca w powietrzu burza z piorunami.

Tymczasem Seth Garin oddzielił się od zafascynowanego filmem Taka i oddalał się od niego ukradkiem, niczym Jaś z bajki przemykający obok śpiącego wielkoluda. Zerknął na ekran. Nie dziwiło go wcale odkrycie, że - niezależnie od tego, co o tym mógł sądzić Tak - wcale już tak bardzo nie lubi "Regulatorów". Następnie odwrócił się, odnalazł jedno z tajemnych przejść, które sobie przygotował podczas panowania Taka, i zniknął w nim cichutko. Zagłębiał się coraz bardziej we własny umysł, cały czas w dół i w dół. Początkowo szedł, później ruszył biegiem. Rozumiał z tego świata niewiele więcej niż z tamtego, który pozostawił na zewnątrz. Mógł mieć jedynie nadzieję, że zorientuje się, czego szukał, kiedy już to znajdzie.

"Regulatorzy", fragmenty scenariusza Craiga Goodisa i Quentina Woolricha:

CIĘCIE: ULICA GŁÓWNA, DZIEŃ.

SZERYF STREETER przygląda się, jak ZASTĘPCA LAINE podrywa CANDY'EGO na nogi. Przyglądają się temu chińscy robotnicy, stłoczeni w drzwiach budynku adobe, mieszczącego Chińską Pralnię Lushana.

CANDY:

I co się tak gapiacie, skośnoocy?!

Tym razem Chińczycy nie chowają się za drzwi.

CHIŃSKI PRACZ:

Ty! Ubranie tsieba zrobić pranie, tak tak tak!

Pozostali CHIŃCZYCY śmieją się. Nawet STREETER uśmiecha się pod wąsem.

CANDY jest oszolomiony. Nie może uwierzyć, że STREETER pokonał go w uczciwej walce, nie może uwierzyć, że te chinolskie chłopaki śmieją się z niego, nie może uwierzyć w nic, co się dzieje.

STREETER:

Lepiej wejdźcie do środka, chłopcy.

PRACZE cofają się do wnętrza, lecz wyglądają przez okna.

STREETER (do LAINE'A):

Postaraj się, by odzyskał kapelusz, Josh. Nie chcę, żeby szedł do więzienia bez kapelusza.

LAINE, uśmiechając się, podnosi z ziemi kawalerski kapelusz z podpinanym rondem, który spadł CANDY'EMU z głowy, gdy cios STREETERA rzucił go na barierkę dla koni. Uśmiechając się jeszcze szerzej, ZASTĘPCA LAINE nasadza kapelusz na głowę pokonanego bandyty. Podnosi się obłoczek kurzu.

LAINE:

Chodź pan, kapitanie. Zarezerwowałem dla pana najlepszy pokój w naszym hoteliku.

Przekona się pan.

TA SAMA SCENA, NA ULICY.

LAINE popycha oszołomionego porażką CANDY'EGO w stronę więzienia. SZERYF STREETER przygląda się im zadowolony i w pierwszej chwili nie spostrzega, że otwierają się wahadłowe drzwi saloonu Lady Day i staje przed nimi na chodniku MAJOR MURDOCK. Słynny uśmiech MURDOCKA przynajmniej na ten jeden raz zniknął z jego twarzy.

MURDOCK:

Uważa pan, szeryfie, że wsadzenie Candy'ego do więzienia rozwiąże pańskie problemy?

STREETER odwraca się do niego. MURDOCK odrzuca połę swego zachlapanego błotem kawalerskiego płaszcza, odsłaniając kolbę wojskowego colta.

STREETER (z uśmiechem):

Może właśnie aresztowałem swojego pierwszego jeźdźca-widmo. Gdzie to się zaszyla reszta twoich regulatorów, Murdock? W kanionie Desatoya? A może w Skate Rock? Jesteś już gotów to zdradzić?

MURDOCK:

Ty jadowity padalcu! Chyba oszalałeś!

STREETER:

Czyżby? Ano zobaczymy. Coś mi się widzi, że jak zabraknie kapitana Candella rozdającego te wasze upiorne przebrania, nie pojawi się tu dzisiejszej nocy ani jeden jeździec-widmo.

Nie przestając się uśmiechać, STREETER odwraca się znów w stronę więzienia.

MURDOCK:

A jakbym panu powiedział, że regulatorzy są o wiele bliżej niż w kanionie Desatoya albo Skate Rock? Przypuśćmy na przykład, że czekają tuż za miastem na pierwszy odgłos wystrzału? I jak ci się to podoba, przekłety Jankesie?

STREETER:

Podoba mi się. I to bardzo.

Patrzy w górę, podnosi do ust palce i GWIŹDŹE.

CIĘCIE: DACHY GŁÓWNEJ ULICY, ULICA.

Zza wszystkich kominów, szyldów i fałszywych frontonów zaczynają wylaniać się LUDZIE. To mieszkańcy sparaliżowanego dotąd strachem miasteczka, z posępnymi minami i ze strzelbami w rękach. Stoją na dachach Chińskiej Pralni, Składu Towarowego Okręgu Owl, Kantoru Handlowego Worella, nawet Domu Pogrzebowego Cravena. Widzimy wśród nich PASTORA YEOMANA i ADWOKATA BRADLEYA. YEOMAN, nie niepokojąc się już, iż regulatorzy mogli zostać zesłani przez siły nadprzyrodzone, by ukarać miasteczko za jego grzechy, podnosi rękę, salutując SZERYFOWI.

Powrót do głównej ulicy, ze STREETEREM i MURDOCKIEM.

STREETER odpowiada na salut YEOMANA krótkim gestem ręki, po czym odwraca się do MURDOCKA, po którym widać wściekłość i zmieszanie. Niebezpieczne połączenie!

STREETER:

No to ich przyprowadź, jak masz taką ochotę.

Twarz MURDOCKA tężeje. Mężczyzna opuszcza rękę, lecz zatrzymuje ją tuż nad kolbą colta. Żaden z nich nie widzi LAURY, która wybiega z saloonu za plecami MURDOCKA. Ma na sobie błyszczący cekinami kostium, a w rękach trzyma swego derringera.

MURDOCK:

Chce się pan ze mną spróbować, szeryfie?

STREETER:

Jeszcze możemy to przerwać. Dać sobie czas do namysłu. Spróbować się dogadać.

Wie jednak, że jest już za późno, że przycisnął MURDOCKA do ściany zbyt mocno. STREETER również opuszcza dłoń tuż nad kolbę swego rewolweru.

MURDOCK:

Nie czas już teraz na rozmowy, szeryfie.

STREETER:

No cóż, skoro chcesz to załatwić w ten sposób...

MURDOCK:

Mógł mi pan nie wchodzić w drogę i nikomu by się krzywda nie stała.

STREETER:

My tu inaczej załatwiamy takie sprawy. My...

TA SAMA SCENA; ULICA.

STREETER (sposzregłszy LAURĘ):

Laura, nie!

Odwraca to jego uwagę i MURDOCK wyciąga broń. LAURA rzuca się pomiędzy nich, celuje z derringera do MURDOCKA. Pociąga za spust, lecz słycać tylko pusty trzask. NIEWYPAŁ! W ułamku sekundy MURDOCK strzela z colta i kula przeznaczona dla Streetera trafia LAURĘ. Kobieta pada na ziemię.

CIĘCIE: DACHY.

MIESZKAŃCY podnoszą strzelby do strzału.

POWRÓT DO GŁÓWNEJ ULICY PRZED SALOONEM.

MURDOCK widzi, co się za chwilę stanie, i daje nurka pomiędzy wahadłowe drzwi, szukając schronienia w Lady Day. STREETER posyła za nim kilka strzałów, po czym podbiega do LAURY i klęka przy niej.

POWRÓT DO DACHÓW.

FLIP MORAN, stajenny z zajazdu, odruchowo otwiera ogień. Kilku innych idzie w jego ślady, lecz na szczęście tylko kilku.

POWRÓT DO GŁÓWNEJ ULICY PRZED SALOONEM.

Kula wpada z wizgiem przez wahadłowe drzwi, odlupując z nich drzazgę.

STREETER:

Nie strzelać, on uciekł!

POWRÓT DO DACHÓW.

Mężczyźni opuszczają strzelby. FLIP MORAN jest zmieszany, wstydzi się tego, co zrobił.

CIĘCIE: STREETER i LAURA, ZBLIŻENIE.

Twardy pancierz SZERYFA gdzieś zniknął. Mężczyzna patrzy na umierającą
DZIEWCZYNYĘ Z TANCBUDY i uświadamia sobie, że ją kocha!

STREETER:

Lauro!

TA SAMA SCENA.

LAURA (krztusząc się):

Pistolet nie wypalił... zawsze mi mówiłeś... nie ufaj... nie używanej broni...

Przerywa jej kaszel.

STREETER:

Nic nie mów. Poślę Joego Pruduma po dok...

LAURA (kaszle):

Już... za późno. Tylko mnie przytul.

STREETER bierze ją w objęcia. LAURA patrzy na niego zdziwiona.

LAURA:

Jak to, szeryfie!... ty płaczesz?

CIĘCIE: NA TYŁACH LADY DAY.

Wybiega MURDOCK. SIERŻANT MATHIS czeka, trzymając konie w pogotowiu.

SIERŻANT:

Co się stało? Słyszałem strzały!

MURDOCK (wskakując na konia):

Mniejsza z tym. Trzeba jechać po chłopaków.

SIERŻANT:

To znaczy, że...?!

Nagle MURDOCK dostaje szału. Oczy mu płoną. Usta ściągają się w grymas, przypominający niemal uśmiech. Uśmiech zapędzonego w pułapkę ZWIERZĘCIA!

MURDOCK:

To znaczy, że wymażemy to miasto z mapy!

Odjeżdżają na koniach, by połączyć się z pozostałymi regulatorami.

ROZJAŚNIENIE.

ROZDZIAŁ 9

Steve i Collie nie musieli przeskakiwać płotu na końcu podwórka Doktora, ponieważ było w nim przejście. Zabrało im jednak chwilę, zanim uwolnili furtkę z gęstych oplotów bluszczu. Dopóki nie dotarli do ścieżki, odezwali się do siebie tylko dwa razy. Za pierwszym przemówił Steve. Przyjrzał się drzewom wokół - przeważnie dość cherlawym i skarłowaciałym, tajemniczo teraz szumiącym kroplami spływającego po liściach deszczu - i zapytał:

- Czy to są topole?

Collie przedzierał się akurat przez kępę jakichś wyjątkowo złośliwych chaszczy.

- Co takiego? - rzucił, oglądając się na niego.

- Pytałem, czy te drzewa to są topole. Tak tylko chciałem wiedzieć. Skoro mieszkacie na Topolowej...

- Aha. - Collie rozejrzał się niepewnie, przerzucając rewolwer do drugiej ręki i ocierając ramieniem pot z czoła. W lasku było bardzo gorąco. - Szczerze mówiąc, nie mam, cholera, pojęcia, czy to topole, czy sosny, czy inne eukaliptusy. Botanika to nie moja działka. Tamto chude to brzoza i tyle wiem. - Po tych słowach ruszył dalej.

Pięć minut później (Steve zastanawiał się już, czy ta ścieżka w ogóle gdzieś tam jest, czy to tylko pobożne życzenia) Entragian przystanął. Obejrzał się i wpatrywał w coś za Steve'em z takim napięciem, iż hipis również się odwrócił. Nie zobaczył niczego poza zieloną gęstwą, przez którą właśnie się przedarli. Ani śladu domów Starego Doktora czy Jacksonów. Dostrzegł tylko skrawek czerwieni, który, jak sądził, był prawdopodobnie kominem na dachu Carverów; ale poza tym nic. Równie dobrze mogli się znajdować sto kilometrów od najbliższych ludzkich osiedli. Na samą myśl o tym - niedaleką być może od prawdy - Steve'a przeszedł dreszcz.

- No co? - zapytał, przypuszczając, że gliniarz go zapyta, dlaczego nie słychać samochodów, choćby ulubionych przez czarne nastolatki krążowników z

wymontowanym tłumikiem albo dudniących basowo głośników z ich aut, albo motocykla, klaksonu, krzyku, czegokolwiek.

- Światło słabnie - oznajmił zamiast tego Collie.

- Niemożliwe. Jest dopiero...

Steve spojrział na zegarek, ale zegarek stanął. Pewnie wyczerpała się bateria, nie wymieniana ani razu od dnia, gdy go dostał od siostry na gwiazdkę parę lat temu. Dziwne jednak - pomyślał - że stanął akurat kilka minut po czwartej, czyli chyba wtedy, gdy ciężarówka wjechała w to cudowne podmiejskie osiedle.

- Dopiero która?

- Dokładnie nie wiem, zegarek mi stanął. Ale pomyśl tylko, nie może być później niż wpół do szóstej, no, za kwadrans. Albo wcześniej. Mówi się przecież, że człowiekowi w sytuacji kryzysowej wydaje się, iż upłynęło więcej czasu niż w rzeczywistości.

- Nie wiem nawet, gdzie tak "się mówi", nigdy nie wiedziałem - burknął Collie. - Ale przyjrzyj się temu światłu, zobacz, jakie ono jest.

Steve się przyjrzał i musiał przyznać, choć niechętnie, że gliniarz miał rację. Światło sączyło się poprzez chaszczę (to było dużo właściwsze określenie niż "lasek") smugami gorącej czerwieni. "Słońce czerwono zachodzi, będzie spokojnie na wodzie" - pomyślał i raptem, jakby to był kamyk poruszający lawinę, wszystko zważyło się na niego jednocześnie, wszystko, co szło nie tak, jak powinno. I było to nie do zniesienia.

Gwałtownie nakrył rękami oczy, rąbiąc się przy tym zdrowo w głowę kolbą niesionej dwudziestkidwójki. Poczul, że puszcza mu pęcherz, że jest bliski zsikania się w spodnie bez żadnych zahamowań. Zatoczył się do tyłu i usłyszał - jakby z oddali - że Collie Entragian pyta, co mu jest. Zdobywszy się na najwyższy chyba w swoim życiu wysięk, Steve odparł, że nic. A potem zmusił się do opuszczenia rąk i spojrzenia jeszcze raz w deliryczne światło.

- Chciałbym ci zadać bardzo osobiste pytanie - zwrócił się do Entragiana głosem, który w niczym nie przypominał jego własnego. - Jakiego masz stracha?

- Wielkiego. - Postawny mężczyzna znów otarł pot z czoła. Było gorąco, ale pomimo wody kapiącej z liści powietrze wydało się Steve'owi dziwnie suche, zupełnie nie jak w cieplarni. Z zapachami to samo; nie były nieprzyjemne, lecz suche, niemal pustynne. - Ale nie tracę nadziei. Tam jest jakiś prześwit. To na pewno ścieżka.

Istotnie była to ścieżka; weszli na nią w niecałą minutę. Steve spostrzegł ślady - w tych okolicznościach krzepiące - stworzeń, które nawiedzały odważnie ten niezwykle leśny szlak: torebkę po chipsach, opakowanie po kartach baseballowych, dwie baterie-paluszki, wyrzucone pewnie z czyjegoś walkmana, gdy się zużyły; wyryte na drzewie inicjały. Po drugiej stronie ujrzał jednak coś dużo mniej podnoszącego na duchu - niekształtną kolczastą roślinę, jadowicie zieloną, rosnącą wśród sumaków i karłowatych drzewek. Za nią stały jeszcze dwie takie, rozpościerając sztywno swe bryłowate ramiona, niczym gliniarze z kosmicznej drogówki.

- Rany boskie, widzisz to gówno? - spytał Steve.

- Wygląda jak kaktus. - Collie skinął głową. - Kaktusy, bo to liczba mnoga.

"Wygląda jak kaktus" - powtórzył w myśli Steve. - Jak kobiety malowane przez Picassa w jego okresie kubistycznym wyglądały jak kobiety. Uproszczone kształty kaktusów, ich brak symetrii - podobnie jak u ptaka z nierównymi skrzydłami - były tak surrealistyczne, że aż głowa bolała. Zupełnie jakby patrzył na nie i nie mógł złapać ostrości.

"Trochę przypomina sępa - powiedział Stary Doktor. - Jakby narysowanego przez dziecko".

W umyśle Steve'a rzeczy zaczęły się łączyć. Nie dopasowywać do siebie, lecz łączyć w to, co na lekcjach algebry określano jako zbiory. Furgonetki - jakby żywcem wyjęte z rysunkowego filmu. Ten ptak. A teraz te jaskrawozielone kaktusy niczym z obrazka namalowanego przez pierwszoklasistę.

Collie podszedł do rosnącego najbliżej ścieżki i wysunął badawczo palec.

- Zwariowałeś facet! Nie rób tego! - zawołał Steve.

Collie zignorował ostrzeżenie. Przysunął palec bliżej kaktusa. Jeszcze bliżej. I jeszcze, i...

- Auć! A niech to!

Steve aż podskoczył. Entragian szybko cofnął rękę i przyglądał się jej z ciekawością skaleczonego właśnie dziecka. Potem wyciągnął jak u Steve'owi. Na opuszcze palca wskazującego uformowała się mała, ciemna, równiutka kropla krwi.

- Kłują, czyli raczej prawdziwe - oznajmił. - W każdym razie ten jeden.

- Jasne. A jeżeli jest trujący? Może pochodzi z Konga albo co?

Collie wzruszył ramionami, najwyraźniej przekazując: "Teraz już za późno, kolego", i ruszył ścieżką. Na tym odcinku biegła na południe, ku ulicy Hiacyntowej. Spomiędzy drzew po prawej wlewało się pomarańczowoczerwone światło słoneczne, co pomagało utrzymać właściwy kierunek. Szli w dół wzgórza. Po drodze Steve stwierdził, że w lasku po wschodniej stronie wciąż przybywa nieforemnych kaktusów. Miejscami przewyższały już liczebnością drzewa. Poszycie zaczęło rzednąć, i to z oczywistej przyczyny: gleba robiła się coraz bardziej sypka, zastępowało ją szarawe ziarniste podłoże, przypominające...

Steve'owi szczypiący pot zalewał oczy. Otarł go wierzchem dłoni. Ale ukrop. A to światło takie mocne, takie czerwone... Robiło mu się niedobrze.

- Zobacz - wyciągnął rękę Collie.

Dwadzieścia metrów przed nimi kolejna kępa kaktusów strzegła rozwidlenia ścieżki.

Sterczał z niej, niczym dziób okrętu, przewrócony do góry nogami wózek sklepowy. W słabnącym świetle zachodu metalowe pręty koszyka wyglądały jak skapane we krwi.

Collie pobiegł truchtem do rozwidlenia. Steve pospieszył za nim, nie chcąc, by dzieliło ich choćby parę metrów. Gdy Entragian dotarł do kępy kaktusów, w powietrzu rozległo się dziwne zawodzenie - ostre, a zarazem jakoś mdlawo słodkie, niczym fałszujący kwartet rewelersów: Uuu-uu! Uuu-uu! Uu-uu-uu! Po chwili przerwy wycie rozległo się ponownie. Tym razem skowyczących głosów było więcej; mieszały się ze sobą, a każdy centymetr kwadratowy skóry Steve'a pokrył się gęsią skórką. "Moje wy dzieci nocy" - przypomniało mu się i oczyma wyobraźni ujrzał rozpościerającego swój płaszcz Bełę

Lugosiego, upiora z czarno-białych filmów z lat pięćdziesiątych. W tych okolicznościach może nie było to zbyt oryginalne skojarzenie, ale czasem umysł człowieka wędruje, dokąd sam chce.

- Chryste! - zakrzyknął Collie.

Steve sądził, że chodzi mu o to wycie - kojoty zawodzące gdzieś na wschodzie, tam gdzie powinny się znajdować domy, sklepy i bary McBurgerowe w pięciu różnych odmianach - lecz barczysty gliniarz nie patrzył nawet w tamtą stronę. Spoglądał w dół. Steve podążył za jego wzrokiem i ujrzał siedzącego obok wywróconego wózka mężczyznę. Oparty o kaktus, nadział się na jego kolce niczym groteskowy substytut pozostawionej tu dla nich kartki z wiadomością.

Uu-uu-uuu...

Steve mimowolnie wyciągnął rękę, szukając dłoni gliniarza. Collie poczuł jego dotyk i odwzajemnił uścisk. Ścisnął go bardzo mocno, lecz długowłosa nie zważał na to.

- O cholera, ja znam tego faceta - rzekł Entragian.

- Jakim cudem, na rany Chrystusa? - zdziwił się Steve.

- Znam to ubranie. I ten wózek. Ten gość zachodził dwa czy trzy razy na naszą ulicę, jak się zaczęło lato. Miałem mu nawet powiedzieć, żeby się trzymał z daleka. Pewnie jest nieszkodliwy, ale...

- Ale co? - Steve, który sam raz czy drugi prowadził życie kloszarda, nie wiedział, czy ma się wkurzyć, czy rozeźmiać. - Myślisz, że co mógł wam zrobić? Ukraść komuś ukochany portret Elvisa na aksamicie? Naciągnąć tego Soderona na drinka?

Collie wzruszył ramionami.

Mężczyzna nadziany na kaktus miał na sobie panterkowe spodnie i koszulkę starszą nawet, brudniejszą i bardziej obszarpaną niż ta, którą dostał Collie od Billingsleya.

Znoszone tenisówki posklejał taśmą izolacyjną. Ubiór menela, bez dwóch zdań.

Wysypany z przewróconego wózka dobytek sugerował to samo: była tam para starych butów wyjściowych z obdartymi noskami, kawałek postrzępionej liny, lalka Barbie,

niebieska kurtka ze złotym napisem "Buckeye Lanes" na plecach, do połowy opróżniona butelka wina zatkana czymś, co wyglądało jak palec od wieczorowej damskiej rękawiczki, oraz tranzystorowe radio, typ sprzed co najmniej dziesięciu lat, w plastikowej obudowie posklejanej klejem do modeli. Do tego oczywiście z tuzin toreb foliowych, starannie pozwijanych i związanych szpagatem.

Martwy włóczęga w lesie. Ale co na Boga było przyczyną tej śmierci? Oczy mężczyzny wyskoczyły z oczodołów i zwisały na zeschniętych nerwach wzrokowych niczym przekłute baloniki, tak jakby siła, która je wypchnęła, spowodowała również ich pęknięcie. Krew z nosa obficie obryzgała wargi oraz pokrytą siwiejącym zarostem brodę. Nie zakryła mu jednak ust, choć Steve wolalby, żeby zakryła. Usta włóczęgi rozwarły się w uśmiechu tak obszernym, jakby ktoś chciał dociągnąć ich kąciki do połowy policzków. Coś - jakaś moc - cisnęło nim w kępę kaktusów i zadało śmierć na tyle gwałtowną, że aż oczy wyskoczyły mu na twarz. Ta sama siła zmusiła go zarazem do uśmiechu.

Ściskająca rękę Steve'a dłoń Entragiana zacisnęła się jeszcze mocniej, niemal miażdżąc mu palce.

- Mógłbyś mnie puścić? - poprosił hipis. - Połamiesz mi...

Jego wzrok powędrował wzdłuż wschodniego odgałęzienia ścieżki, tego, które miało ich doprowadzić do Anderson Avenue i znalezienia pomocy. Biegło ono jakieś dziesięć metrów normalnie, dalej zaś otwierało się lejąco na świat z koszmaru: pustynię. To, iż ten krajobraz nie przypominał stanu Ohio, nie zrobiło na Stevenie Amesie większego wrażenia, gdyż nie przypominał on w ogóle żadnego z oglądanych przezeń w życiu widoków. Nawet tych ze snów.

Za ostatnimi kilkoma normalnymi, zielonymi drzewkami rozciągała się biaława skalista równina, biegnąca ku horyzontowi poszarpanemu przez górskie szczyty, ostre jak zęby piły. Nie było na nich światłocienia ani faktury, żadnych turni, załamań czy żlebów. Były to płaskie, czarne, kredkowe góry z dziecięcej malowanki. Ścieżka nie zanikała, lecz ciągnęła się dalej, rozszerzając w rysunkową drogę. Po lewej sterczało koło od wozu

zagrzebane do połowy w ziemi. Dalej ciągnął się kamienisty, pełen cieni wąwóz. Po prawej stał drogowskaz ze zbielejącej deski z czarnym napisem:

Zwieńczony był czaszką krowy, równie nieforemną co kaktusy. Droga za nim biegła ku horyzontowi, zwężając się w nienaturalnej perspektywie, która skojarzyła się Steve'owi z plakatami "Bliskich spotkań trzeciego stopnia". Na niebie ponad górami świeciły już gwiazdy, o wiele za duże w stosunku do prawdziwych. Nie migotały, lecz zapalały się i gasły jak światełka na choince. Znowu podniosło się wycie; tym razem nie trio czy kwartet, lecz cały chór. Nie dobiegało z podnóża skał, ponieważ czegoś takiego nie było. Tylko płaska biała pustynia, zielone bulwy kaktusów, droga, wąwóz i góry w oddali, jak naszyjnik z kłów rekina.

- Gdzie my w ogóle jesteśmy, na Boga? - wyszeptał Collie.

Nim Steve zdążył odpowiedzieć - a odpowiedziałby, gdyby mógł: "w umyśle jakiegoś dziecka" - z wąwozu rozległ się gardłowy pomruk, brzmiący niemal jak warkot potężnego okrętowego silnika. W mroku rozjarzyło się dwoje zielonych oczu i hipis cofnął się o krok, czując suchość w ustach. Podniósł mossberga, lecz ręce miał drętwe jak kłoc drewna, a karabin wydał mu się mikry i bezużyteczny. Oczy (wiszące w powietrzu jak w ciemnym pokoju z komiksu) były rozmiarów futbolowych piłek i za cholere nie miał ochoty sprawdzać, jak duże zwierzę się za nimi kryje.

- Myślisz, że damy radę je zabić? - zapytał. - Jeżeli się na nas rzuci, to...

- Rozejrzyj się! - przerwał mu Collie. - Spójrz tylko, co się dzieje.

Steve spojrział. Zieleń wokół nich ustępowała miejsca napierającej pustyni. Listowie poszycia najpierw zbladło, jakby coś wysssało z niego wszystkie soki, a potem zniknęło. Gleba z ciemnej i wilgotnej zmieniła się w wyblakłą i ziarnistą. Koraliki. To właśnie przemknęło mu przed chwilą przez głowę - że podłoże zmieniło się w dziwną, paciorkowatą substancję. Jedno z karłowatych drzewek po jego prawej oklapło nagle z odgłosem podobnym do tego, jaki wydaje naciśnięty palcem wydęty policzek. Białawy

pień drzewka pozieleniał i wyrosły na nim kolce. Gałęzie połączyły się, a barwa liści spłynęła na nie i pokryła zielenią tworzącą się w ten sposób ramiona kaktusów.

- Wiesz co, a może byśmy się tak stąd zmyli? - rzucił Collie.

Steve nie zawracał sobie głowy odpowiedzią; udzieliły jej jego stopy. Po chwili obaj biegli z powrotem ścieżką do miejsca, w którym na nią wkroczyli. Początkowo Steve uważał tylko, żeby nie wybić sobie oka gałęzią, nie zaplątać się w chaszczę i nie przegapić miejsca, gdzie leżały zużyte baterie i gdzie zamierzali skręcić ostro na zachód, by pobic ku furtce Billingsleya. Potem znów posłyszał ów gardłowy pomruk. Wszystko inne przestało się liczyć. Pomruk się zbliżał. Zielonooki stwór z wąwozu szedł ich śladem. Diabła tam, gonił ich. I doganiał.

2

Rozległ się wystrzał, toteż Peter Jackson z wolna odwrócił głowę w tamtym kierunku. Zdał sobie sprawę (na tyle, na ile był w stanie zdawać sobie sprawę z czegokolwiek), że stoi na krańcu swego podwórka za domem i przygląda się (na tyle, na ile był w stanie przyglądać się czemukolwiek) stołowi w patio. Leżał na nim stos książek oraz czasopism naszpikowanych różowymi zakładkami. Pracował nad referatem zatytułowanym "James Dickey i nowy realizm Południa", delektując się myślą, iż wywoła on niemało kontrowersji w niektórych zarośniętych pajęczyną gabinetach uniwersyteckich. Może inne uczelnie zaczną go zapraszać na dyskusje panelowe! Inne uczelnie, które pokryją wszelkie koszty jego podróży! (Oczywiście w granicach rozsądku). Jakże o tym marzył. Teraz stało się to tak odległe i nieistotne, jak ten strzał w lasu, krzyk po nim, a potem jeszcze dwa strzały. Nawet porykiwania - jakby zbiegłego z zoo tygrysa, który ukrył się w pasie zieleni za domami - wydawały się odległe i nieistotne. Liczyło się tylko... tylko...

- Żeby odnaleźć przyjaciela - powiedział do siebie. - Dotrzeć do rozwidlenia ścieżki i usiąść tam sobie z przyjacielem.

Przemierzył patio po przekątnej, zawadzając po drodze biodrem o stolik. Egzemplarz "Poezji Georgii" wylądował wraz z kilkoma naukowymi książkami w kałuży na posadzce z różowej cegły. Peter nie zwrócił na to uwagi. Słabnącym wzrokiem wpatrywał się w lasek graniczący z posesjami po wschodniej stronie ulicy Topolowej. Pielęgnowane od tak wielu lat zamilowanie do przypisów opuściło go zupełnie.

3

Kiedy to wszystko się działo, Jan nie mówiła właściwie o Rayu Soamesie. Zastanawiała się, czemu Bóg stworzył świat, gdzie nie dało się porzucić pragnienia pocałunków i pieśczęt człowieka, który często - właściwie zawsze, cholera - miał brudne nogi, a włosy mył może cztery razy w miesiącu. Jeśli akurat to był dobry miesiąc. Tak więc w gruncie rzeczy mówiła o Rayu, nie wymieniając jego imienia.

Audrey zaś, po raz pierwszy, odkąd zaczęła tu przychodzić, chronić się tutaj, poczuła przypływ zniecierpliwienia, lekkiego znużenia przyjaciółką. W końcu traciła widocznie cierpliwość do słuchania o jej obsesjach.

Stała teraz w wejściu do gloriety, patrząc na łąkę opadającą ku skalnej ścianie, wsłuchując się w brzęczenie pszczół i zastanawiając się, co właściwie tutaj robi. Byli przecież ludzie, którzy potrzebowali jej pomocy; знаła ich i większość z nich lubiła. Coś w jej wnętrzu - całkiem przekonująco - usiłowało jej wmówić, że oni są nieistotni, że są nie tylko sześćset kilometrów na zachód stąd, ale również czternaście lat w przyszłości. Jednak przekonujące czy nie, było to kłamstwo. To miejsce było kłamstwem. Było złudzeniem. Ale ja muszę tu zostać - pomyślała. - Naprawdę muszę.

Mimo to jednak miłosno-nienawistny związek Janice z Rayem Soamesem wydał się jej nagle nudny jak flaki z olejem. Miała chęć odwrócić się na pięcie i powiedzieć: "A może byś wreszcie przestała jęczeć i go rzuciła? Jesteś młoda, ładna, masz dobre ciało. Znalazłabyś sobie kogoś, kto ma czyste włosy, pachnie mu z ust i wie, jak cię podrapać tam, gdzie cię najmocniej swędzi".

Gdyby powiedziała Janice coś tak okropnego, zostałaby z pewnością wygnana z tego bezpiecznego schronienia, jak Adam i Ewa zostali wygnani z raju za zjedzenie nie tego jabłka co trzeba. Nie zmieniało to jednak faktu, że czuła to, co czuła. Poza tym, jeśli nawet uda się jej trzymać gębę na klódkę na temat obsesji przyjaciółki, co będzie dalej? Wysłuchiwanie po raz sto pięćdziesiąty siódmy, że chociaż Paul jest może najprzystojniejszym z Beatlesów, to jako kandydata do łóżka mogłaby poważnie brać pod uwagę wyłącznie Johna?

Wtem, zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć czy uczynić, nowy dźwięk zakłócił spokój tego miejsca, w którym zazwyczaj słychać było tylko brzęczenie pszczoł, świergot świerszczy w trawie i szmerzące głosy dwóch młodych kobiet. Był to odgłos melodyjny, acz cokolwiek natarczywy, jak ręczny dzwonek woźnej w dawnej szkole, wołający dzieci po przerwie do klas.

Odwróciła się, nie słysząc już głosu Jan - i nic dziwnego. Jan bowiem zniknęła. A na splekanym blacie stołu, pokrytym splecionymi inicjałami chyba jeszcze sprzed pierwszej wojny, dzwonił takofon.

Po raz pierwszy, odkąd zaczęła odwiedzać to miejsce.

Podeszła ku niemu powoli - wystarczyło zrobić trzy małe kroki - i spojrzała z bijącym mocno sercem na aparat. Coś w niej krzychało, żeby nie odbierała, że wie przecież i zawsze wiedziała, co oznacza ten dzwonek: demon Setha ją odnalazł. Ale co innego można było zrobić?

Uciekać - podpowiedział jej rzeczowo wewnętrzny głos (być może głos jej własnego demona). - Ucieknij do tego świata, Audrey. Zbiegnij ze wzgórza, płosząc przed sobą

motyle, potem przez skalną ścianę do drogi w dole. Droga prowadzi do New Paltz, nie szkodzi, że będziesz musiała iść cały dzień, żeby tam dotrzeć, i nabawisz się odcisków na piętach. To miasto uniwersyteckie, gdzieś na głównej ulicy na pewno znajdziesz knajpkę z ogłoszeniem w oknie: "Zatrudnimy kelnerkę". Możesz od tego zacząć i dojść do czegoś. Jesteś młoda, atrakcyjna, masz znowu ledwie dwadzieścia parę lat, zdrowia ci nie brakuje, a cały ten koszmar jeszcze się nie zaczął.

Nie mogę tak postąpić... prawda? - pomyślała. - Przecież to wszystko nie istnieje. To tylko kryjówka w umyśle.

Dzyń, dzyń, dzyń.

Lekko, lecz natarczywie. "Odbierz mnie - mówił dzwonek. Odbierz, Audrey. Odbierz, współniczko. Musimy znowu pojechać do Ponderosa, tylko że tym razem już stamtąd nie wrócisz".

Dzyń, dzyń, dzyń.

Pochyliła się nagle i położyła dłonie po obu stronach czerwonego telefoniku. Poczula pod palcami suchość drewna, krawędzie wyrytych w nim inicjałów i pojęła, że jeśli wbije sobie drzazgę w tym świecie, będzie krwawiła po powrocie do tamtego. Ponieważ był on jednak prawdziwy i wiedziała, kto stworzył dla niej tę przystań spokoju. To Seth - nagle zrozumiała to z całą jasnością. - Utkął ten świat z jej najprzyjemniejszych wspomnień, z najśladźszych marzeń; dał jej miejsce, gdzie mogła się skryć przed groźącym oblędem. Nie jego wina, że owa fantazja nieco się postrzępiła, niczym dywan w miejscu, gdzie się najczęściej chodzi.

Nie mogła go teraz zostawić, żeby się bronił sam. I nie zostawi.

Audrey chwyciła słuchawkę telefonu. Był śmiesznie mały, jak to zabawka, ale to nie miało znaczenia.

- Nie rób mu krzywdy! - krzyknęła. - Nie rób mu krzywdy, ty potworze! Jeśli już musisz kogoś skrzywdzić, to ja...

- Ciociu Audrey! - to był Seth, bez wątpienia, chociaż głos miał zmieniony. Nie jąkał się, nie dukał, nie wpadał w bełkot i choć pobrzmiwał w nim strach, nie poddawał się panice. Przynajmniej na razie. - Ciociu Audrey, posłuchaj mnie!

- Słucham! Mów!

- Wracaj tutaj! Możesz się teraz wydostać z domu! Możesz uciec! Tak poszedł do lasu... ale Wozy Mocy niedługo wróca! Musisz wyjść, zanim to się stanie!

- A co z tobą?

- Ja sobie poradzę - odparł głos w słuchawce, lecz Audrey się wydało, że pobrzmiwa w nim kłamstwo. A w każdym razie niepewność. - Musisz dotrzeć do innych. Ale zanim wyruszysz...

Słuchając jego poleceń poczuła absurdalną ochotę do śmiechu - dlaczego sama nigdy na to nie wpadła? Przecież to takie proste! Jednak...

- Czy uda ci się to ukryć przed Takiem? - spytała.

- Uda się. Ale musisz się pospieszyć!

- Co potem zrobimy? Nawet jeżeli dotrę do tamtych, co możemy...

- Nie mogę tego teraz wyjaśnić, nie ma czasu. Musisz mi zaufać, ciociu Audrey! Wracaj i zaufaj mi! Wracaj! WRACAJ!

Ostatnie słowo wykrzyczał tak głośno, że oderwała słuchawkę od ucha i cofnęła się o krok. Padając, na chwilę całkowicie straciła orientację, przez co oszołomiona solidnie uderzyła bokiem głowy o podłogę. Dywan salonu złagodził uderzenie, ale i tak zobaczyła przed oczami roje gwiazd. Usiadła, czując zjelczwały tłuszcz z hamburgerów i wilgotny odór domu, którego nikt nie sprzątał ani nie wietrzył na przestrzał od roku lub dłużej. Najpierw popatrzyła na krzesło, z którego zleciała, potem na telefon we własnej prawej ręce. Najpewniej chwyciła go dokładnie w chwili, kiedy w rojeniach odbierała takofon. Tylko że to nie były rojenia ani halucynacja.

Przyłożyła telefon do ucha (ten był czarny i normalnych rozmiarów) i nasłuchiwała. Nic, no jasne. W domu był prąd - choć mogło go nie być w całej okolicy - Tak musiał przecież oglądać telewizję. Ale w którymś momencie chyba zablokował telefon.

Audrey wstała i popatrzyła w stronę arkadowego wejścia do nory. Wiedziała, co zobaczy, jeśli zajrzy do środka: Seta w transie, bez Taka. Tym razem jednak stwora pochłonęło coś innego niż film, przynajmniej częściowo: z drugiej strony ulicy posłyszała trwożne krzyki i prawie na pewno strzały. Przypomniał jej się wers z Księgi Genezis, coś o duchu Bożym poruszającym się po powierzchni wód. Przyszło jej do głowy, że duch Taka również jest w ruchu, zajęty swoimi sprawami, i jeśli teraz spróbuje ucieczki, prawdopodobnie jej się powiedzie. Kiedy jednak dotrze do tamtych i opowie im o wszystkim, to - jeżeli jej uwierzą - z jakim pomysłem mogą wystąpić, by uwolnić się z mocy czaru, który ich usidlił? Co mogą zechcieć zrobić z Sethem, by się uwolnić od Taka?

Powiedział, że mam tam pójść - pomyślała. - Powinnam mu zaufać. Ale przedtem... Przedtem trzeba jeszcze zrobić to, co Seth jej kazał. Prostą rzecz... która tak wiele mogła załatwić. Przy wielkim szczęściu nawet wszystko. Audrey pospieszyła do kuchni, nie zważając na krzyki i odgłosy z przeciwka. Teraz, gdy już podjęła decyzję, przenikało ją bez reszty pragnienie, by wykonać to ostatnie zadanie jak najszybciej, nim Tak znów się nią zainteresuje.

Albo zanim znów tu przyśle Pułkownika Henry'ego z kolegami.

4

Kiedy sprawy przybrały zły obrót, stało się to ze spektakularną raptownością. Johnny zastanawiał się później, ile było w tym jego winy - wciąż pytał o to sam siebie - i nigdy nie

otrzymywał jasnej odpowiedzi. Z pewnością jego uwaga osłabła, choć osłabła na długo przedtem, nim mleko się rozlało.

Szedł na końcu, za bliźniakami przedzierającymi się przez lasek ku ścieżce. Pozwolił swym myślom błądzić gdzieś indziej, ponieważ chłopcy posuwali się strasznie powoli, starając się nie potrącić nawet krzaka, nie złamać ani gałązki. Żaden z nich nie miał najmniejszego pojęcia, iż nie są w lasku sami. Zanim Johnny z bliźniakami zdążyli tam się zagłębić, Collie i Steve przeszli już sporo ścieżką, zdążając w milczeniu na południe. Myśli Johnny'ego wróciły znów do inspekcji przerażonego Billa Harrisa na Topolowej, tego dnia w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym, kiedy to najpierw mówił, że Johnny chyba żartuje, a potem, widząc, że jednak nie, zapytał, o co chodzi. Zaś Johnny Marinville, który zajmował się aktualnie opisywaniem przygód kota parującego z walizką detektywistyczną, odpowiedział na to: "Chodzi o to, że nie zamierzam jeszcze umierać, a to oznacza, że chcę się sam zabawić w wydawcę. Możesz to nazwać Johnnym Marinville'em w drugim gatunku, jeśli wola. Ale mam prawo to zrobić. Ponieważ tego pragnę, co jest bardzo ważne, i ponieważ dysponuję narzędziem, co jest najważniejsze. Można powiedzieć, że to po prostu inna wersja tego, co robiłem. Piszę swoje życie na nowo. Przemodeluję je".

Pomysł, który być może stanowił jego ostatnią szansę, choć nie powiedział tego Billowi, podsunęła mu Terry, była żona Johnny'ego. Bill nie miał nawet pojęcia o tym, że po piętnastu latach porozumiewania się wyłącznie poprzez adwokatów Johnny i Theresa, była pani Marinville, podjęli ostrożny dialog - czasem listowny, przeważnie telefoniczny. Kontakt ten zacieśniał się od osiemdziesiątego ósmego roku, kiedy Johnny na dobre skończył wreszcie z piciem i narkotykami - jak miał nadzieję. Coś jednak nadal było nie tak i pewnego dnia wiosną osiemdziesiątego dziewiątego odkrył, iż zwierza się byłej żonie, którą próbował kiedyś pchnąć nożem kuchennym, że jego życie po trzeźwemu straciło cel i sens. Nie potrafił sobie nawet wyobrazić - powiedział - że mógłby napisać kolejną powieść. Ogień się wypalił, co nie znaczy, że brakowało mu porannych

przebudzeń z tym żarem... i z nieuniknionym kacem w głowie. Nie, to już miał za sobą, ba, pogodził się z tym. Nie mógł jednak zaakceptować faktu, iż dawne życie, którego częścią było pisanie książek, nadal zewsząd go otacza. Wylaniało się z każdego kąta, pomrukiwało w starym komputerze za każdym razem, gdy go włączał. "Jestem tym, czym byłeś - szumiała maszyna - i tym, czym pozostaniesz już zawsze". Nie była to kwestia obrazu samego siebie czy nawet kwestia ego; chodziło jedynie o to, co człowiek ma zapisane w genach od samego początku. "Ucieknij choćby na koniec świata, zaszyj się w najdalszym hotelu, idź do samego końca korytarza i otwórz drzwi ostatniego pokoju, a ja tam będę stał na stole, pomrukując tę samą starą melodię, którą słyszałeś w tak wiele skacowanych poranków. A przy notatkach do książki będzie stała puszka coorsa, a w górnej szufladzie będzie schowany gram koki, ponieważ to tym właśnie w sumie jesteś, i tylko tym. Jak to kiedyś powiedział ktoś mądry: »nie ma żadnej grawitacji, to ziemia po prostu nas przysysa«".

"Powinieneś wygrzebać znów tę książkę dla dzieci" - powiedziała Terry, wytrącając go z tych deliberacji.

"Jaką książkę dla dzieci? Przecież ja nigdy..."

"Nie pamiętasz »Pata, Kota-Detektywa«?"

Zabrało mu to chwilę, lecz przypomniał sobie.

"Terry, to było tylko opowiadanko, które wymyśliłem kiedyś dla bachora twojej siostry, kiedy darł się na okrągło, i myślałem, że ona dostanie..."

"Ale podobało ci się, bo je potem spisałeś, tak czy nie?"

"Nie pamiętam" - odparł, choć pamiętał.

"Dobrze wiesz, że tak, i na pewno gdzieś je masz, bo ty nigdy niczego nie wyrzucasz. Faza analna! Zawsze cię podejrzewałam, że gdzieś chowasz każdą swoją bździnę. Może w puszcze po biszkoptach, jak przynętę na ryby".

"Przynęta na ryby byłaby z tego całkiem niezła" - stwierdził, nie zastanawiając się, co mówi, lecz usiłując sobie przypomnieć, gdzie owo opowiadanko - osiem czy dziewięć

stron rękopisu - mogło się znajdować. Może w Kolekcji Marinville'a w Fordham? Kto wie. W domu w stanie Connecticut, który dzielił niegdyś z Terry, w którym ona nadal mieszkała, z którego właśnie do niego dzwoniła? Całkiem możliwe. Dom ten znajdował się niecałe piętnaście kilometrów od miejsca, z którego z nią rozmawiał.

"Musisz to znaleźć - nalegała. - To było dobre. Ty byłeś dobry, kiedy to pisałeś, nawet nie wiesz jak dobry. - Zamilkła na chwilę. - Jesteś tam?"

"Uhm".

"Zawsze wiem, kiedy ci się nie podoba to, co mówię - rzekła bystro - bo tylko wtedy przestajesz gadać. Wpadasz w zadumę".

- Nie wpadam nigdy w żadną zadumę.

"Oj wpadasz, wpadasz".

A potem dodała coś, co chyba okazało się najważniejsze ze wszystkiego. Dzięki temu, że sobie przypadkiem przypomniała o opowiadaniu, które wymyślił kiedyś, by uścić rozwydrzonego siostrzeńca, zarobił ponad dwadzieścia milionów dolarów. Książki o idiotycznych przygodach Pata rozchodziły się na całym świecie w milionowych nakładach. Ale to, co padło z jej ust na końcu, okazało się ważniejsze niż możliwość wydawania tylu książek i pieniędzy. Wówczas i dziś. Mówiła chyba całkiem normalnym głosem, jej słowa trafiały mu jednak do serca jak przepowiednia wyroczni delfickiej.

"Powinieneś zrobić w tył zwrot" - stwierdziła kobieta, która nazywała się teraz Terry Alvey.

"Hę?" - zapytał, kiedy już złapał dech. Nie chciał dać poznać po sobie, jak bardzo wstrząsnęły nim te słowa. Ani jak wielką, nawet po tych wszystkich latach, miała nad nim wciąż władzę. - "A co to w ogóle znaczy?"

"Wrócić do czasów, kiedy się dobrze czuleś. I byłeś dobry. Pamiętam jeszcze tego faceta. Był całkiem w porządku. Może nie idealny, ale niezły".

"Nie da się wejść dwa razy do tej samej rzeki, Terr. Chyba byłaś chora, kiedy przerabialiście na literaturze amerykańskiej 'Thomasa Wolfe'a".

"Ach, dajże spokój. Za długo się znamy, żeby się tu bawić w klub dyskusyjny. Urodziłeś się w Connecticut, wychowałeś w Connecticut, zdobyłeś sławę w Connecticut i zostałeś ćpunem i pijakiem w Connecticut. Nie masz wchodzić do rzeki, tylko z niej wyjść".

"Ale to nie jest powrót, tylko coś, co goście z AA nazywają kuracją geograficzną. I to nie skutkuje".

"Ten powrót musi się odbyć w twojej głowie - tłumaczyła mu cierpliwie, jak dziecku. - Uważam, że masz fizyczną potrzebę pochodzenia po jakimś nowym terenie. Poza tym przecież już nie pijesz. I nie ćpasz. - Przerwała. - Czy ćpasz?"

"Nie - odpowiedział. - To znaczy, tylko heroinę".

"Ha-ha-ha".

"I dokąd to twoim zdaniem mam pojechać?"

"Do miejsca, które nigdy nie przysłoby ci do głowy - odparła bez wahania. - Najbardziej nieprawdopodobnego miejsca na ziemi. Do Akron w Ohio, do Afganistanu, bez różnicy".

Ta rozmowa telefoniczna uczyniła z Terry osobę bogatą, gdyż dochodami z "Kota Detektywa" dzielił się z nią równo co do centa. A jego samego doprowadziła tutaj. Nie do Akron, lecz do Wentworth, "miasteczka, które napawa otuchą", miejsca, gdzie nie był przedtem nigdy w życiu. Wybrał je, zamknawszy po prostu oczy i wbiwszy na ślepo pineskę w ścienną mapę Stanów Zjednoczonych. Okazało się, że Terry miała rację, niezależnie od historycznej reakcji Billa Harrisa. To, co początkowo uważał jedynie za wyjazd na wypoczynek, stało się...

Johnny, zagubiony w rozmyślaniach, nadział się raptem na plecy Jima Reeda. Chłopcy zatrzymali się przy krawędzi ścieżki. Jim uniósł rewolwer, po czym z ponurą, pobladłą twarzą skierował lufę na południe.

- Co się... - zaczął Johnny, lecz Dave Reed zatkał mu usta dłonią.

Rozległ się strzał, a potem krzyk. I jakby na ten sygnał Marielle Soderson otworzyła oczy, wygięła grzbiet, wydała z siebie przeciągły, gardłowy dźwięk, który mógł oznaczać jakieś słowa, i zaczęła drżeć na całym ciele. Jej stopy zabębniły o podłogę.

- Doktorze! - krzyknęła Cynthia, podbiegając do Marielle. - Doktorze!

Pierwszy pojawił się Gary. Zatoczył się w drzwiach kuchni i byłby upadł kolanem na brzuch żony, gdyby go Cynthia nie odepchnęła. Woń kuchennego sherry otaczała go słodkawym obłokiem.

- Co się stało? - zapytał Gary. - Co się stało mojej kobitce?

Marielle rzucała głową na boki. Uderzyła nią o ścianę. Zdjęcie Daisy, psa corgi, który umiał liczyć, spadło i wylądowało na jej piersi. Na szczęście szkło się nie rozbiło. Cynthia odrzuciła fotografię w kąt. Spozrzęła, że gaza na kikucie ręki kobiety całkiem poczerwieniała. Szwy - przynajmniej częściowo - musiały puścić.

- Doktorze! - zawołała.

Doktor pospieszył ku nim od drzwi, w których stał, wyglądając na ulicę, niemal zahipnotyzowany zachodzącymi wciąż wokół przeobrażeniami. Od strony pasa zieleni znów dobiegły ich warkliwe dźwięki - okrzyki i strzały. Co najmniej dwa. Gary spojrzał w tamtą stronę, mrugając oczami jak sowa.

- Co się stało? - zapytał znowu.

Marielle przestała się trząść. Poruszyła palcami, jakby chciała nimi pstryknąć; potem i one znieruchomiały. Wpatrywała się tępo w sufit. Z kąca jej lewego oka wypłynęła pojedyncza łza. Doktor ujął jej puls, spoglądając na Cynthię z rozpaczliwym napięciem.

- Jeżeli chcesz nadal pracować w tej firmie na końcu ulicy, będziesz chyba musiała zamienić kitel kasjerki na suknię do tancbudy - oznajmił. - E-Z Stop zamienił się w saloon. The Lady Day.

- Czy ona nie żyje? - spytała dziewczyna.

- Mhm - odparł Stary Doktor, puszcżając rękę Marielle. - Nie, żeby to coś miało pomóc, ale sądzę, że straciła wszelkie szanse już jakiś kwadrans temu. Tu była potrzebna "erka", a nie stary weterynarz z trzęsącymi się rękami.

Znów krzyki. Wrzaski. Ktoś płakał. Płakał i krzyczał:

- Trzeba było go powstrzymać, trzeba było go powstrzymać!

Cynthia poczuła nagłą pewność: Steve, facet, którego zdążyła już polubić, nie żyje. W lasku byli strzelcy i go zabili.

- Co się ssalo? - zapytał Gary po raz trzeci.

Starszy pan i dziewczyna nie odpowiedzieli. Choć klęczał w drzwiach kuchni tuż obok Billingsleya, gdy ten oznajmiał, iż jego żona nie żyje, Gary jakby nie zdawał sobie sprawy, co się stało, póki Stary Doktor nie ściągnął z wersalki sztruksowej kapy i nie przykrył ciała. Wtedy wreszcie, pijany czy nie, zrozumiał. Twarz zaczęła mu drżeć. Sięgnął po omacku pod brązową kapę, odnalazł rękę żony, podniósł ją do ust, pocałował. Potem przyłożył ją sobie do policzka i rozplakał się.

6

Kiedy Jim Reed spostrzegł postacie gwałtownie zbliżające się ku nim ścieżką, jego podniecenie zniknęło; zastąpił je strach. Po raz pierwszy przyszło mu do głowy, że decyzja wyjścia z domu nie była zbyt mądra.

"Jeśli zobaczycie w lasku obcych, natychmiast wracajcie". Tak powiedziała mama. Lecz on nie mógł się nawet ruszyć. Zastygł z przerażenia. Gdzieś w gęstwinie rozległ się okropny gardłowy ryk, ryk zwierzęcia, i Jim wpadł w panikę. Kiedy Collie Entragian i Steve Ames pojawili się nagle w zasięgu jego wzroku, nie poznał ich; ujrzał zabójców, którzy wysiedli z furgonetek, by przeczesać lasek. Nie usłyszał stłumionego krzyku Johnny'ego ani nie widział, jak pisarz walczy, by się uwolnić z uścisku Dave'a.

- Strzelaj, Jimmy! - wrzasnął Dave. Głos mu się trząsał i przechodził w pianie. - Strzelaj, rany boskie, to oni!

Jim strzelił i ten po lewej upadł, chwytając się za szczyt głowy, od której oderwała się czerwona powłoka skóry z kością i krwią. Spomiędzy palców mężczyzny spływała krew i ściekała mu po twarzy. Niesiony przez niego karabin poleciał na brzeg drogi.

- Drugiego też! - krzyczał Dave. - Jimmy, załatw tego drugiego, zanim on nas załatwi!

- Nie, nie strzelaj! - odezwał się drugi z mężczyzn, wyciągając przed siebie ręce. W jednej z nich trzymał karabin. - Błagam, stary, nie zabijaj mnie!

Mimo to Jim zamierzał go zabić. Wycelował rewolwer, nieświadom niemal, że krzyczy do tamtego, obrzucając go wyzwiskami - kutas, sukinsyn, pierdolec. Pragnął tylko jednego: zastrzelić tego typu i wrócić do matki. Razem z Dave'em. Przyjście tutaj to był potworny błąd.

7

Johnny grzmotnął Dave'a Reeda oboma łokciami w brzuch, płaski i twardy, lecz nie przygotowany na cios. Dave wydał z siebie jęk zaskoczenia i pisarz wyrwał się z jego uścisku. Zanim Jim zdążył strzelić ponownie, złapał go za rękę i wykręcił mu ją gwałtownie. Chłopak zawył z bólu. Otworzył dłoń i pistolet Davida Carvera upadł na ścieżkę.

- Co pan robi?! - zakrzyknął Dave. - On nas zabije, czy pan oszalał?

- Twój brat właśnie zastrzelił Colliego Entragiana z naszej ulicy. I kto tu oszalał? - odpalił Marinville.

Brat Dave'a faktycznie to uczynił, ale z czyjej właściwie winy? To Johnny był wśród nich dorosłym. Powinien był zabrać im broń w momencie, gdy wydostali się poza zasięg

rozpłomienionych oczu i oschłych rozkazów Cammie Reed. Mógł to zrobić, dlaczego więc nie zrobił?

- Nie - wyszeptał Jim, odwracając się ku niemu i kręcąc głową. - Nie! - Lecz jego oczy, ogromne i nabiegłe łzami, już wiedziały.

- Co on tu w ogóle robił? - dopytywał się Dave. - Dlaczego nas nie ostrzegł, rany... Pomruk, który w istocie nie umilkł ani na chwilę, rozległ się głośniejsz w czerwonym, upalnym powietrzu, po czym przeszedł w warczenie. Kierowca z wynajętej ciężarówki, stojący wciąż jeszcze na własnych nogach, obrócił się w jego stronę podnosząc odruchowo rękę. Jego karabin wydawał się teraz bardzo mały i być może słusznie użył go jako zasłony, zamiast z niego strzelić.

Stworzenie, które gonilo ich przez całą drogę, wyskoczyło nagle na ścieżkę. Gdy Johnny je zobaczył, jego dar spójnego, logicznego myślenia znacznie osłabł - mógł już tylko obserwować. Ta ostatnia umiejętność - raczej przekleństwo niż błogosławieństwo - nie zawiodła go jeszcze nigdy i teraz też nie.

Stwór był koszmarny; miał żółtobrazowe futro, krzywe zielone oczy i paszczę pełną poszczerbionych, pomarańczowych zębów. Nie kot, lecz jakaś obrzydliwa karykatura kota. Przyskoczył do Steve'a, chwytając uniesionego mossberga potężnymi szponami i wyrrywając karabin z zaciśniętych na nim dłoni. A potem, wciąż powarkując, rzucił się mężczyźnie do gardła.

Z dziennika Audrey Wyler:

12 czerwca 1995

Znów mi się to przydarzyło - ten sen na jawie. Jeśli to właściwa nazwa. Trzeci czy czwarty raz, ale pierwszy (zdaje mi się), odkąd zaczęłam prowadzić ten dziennik, no i o

wiele wyraźniejszy. Przychodzi zawsze wtedy, gdy coś w domu zaczyna być nie tak, a ostatnio, Boże mój, wszystko ciągle jest nie tak!

Dziś rano Herb wstał razem z Sethem, poszedł z nim pod prysznic (to oszczędza mnóstwo czasu), lecz kiedy zeszli na dół, Seth był nadąsany, a Herb miał podbite oko. Nie musiałam pytać dlaczego. Oczywiście Seth go zmusił, żeby się uderzył, tak samo jak wtedy, kiedy go zmusił, żeby sobie wykręcił wargę, gdy wróciliśmy z lodów, po czym okazało się, że zginął ten przekłety Wóz Mocy. Spojrzałam na Herba, a on tylko pokręcił głową, dając mi znak, żebym była cicho. No to byłam. Stwierdziłam, że zawsze znajdzie się coś, za co można być wdzięcznym. W tym wypadku to, że Seth nic więcej poza tym nie zrobił (choć to właściwie nie Seth robi te rzeczy, tylko ten drugi, Podstępny Mały Chłopiec). Seth lubi stać rano przy umywalce w łazience i patrzeć, jak Herb się goli. Przypuszczam, że PMC na pewno byłby w stanie wyskoczyć nagle i zmusić go, żeby sobie poderżnął gardło własną maszynką jednorazową. Samo pisanie tego mnie przeraża, ale czasami lepiej jest wygadać się na papierze. To tak jak wyciskanie zakażonej rany. Podstępny Mały Chłopiec zaczął tym razem, nim postawiłam śniadanie na stole - wiem zawsze, kiedy wchodzi w Seta, bo wtedy oczy mu się zmieniają z brązowych na czarne. "Gdzie mój Seny Dłowiec?" - pyta. "Jeszcze nie znaleźliśmy Sennego Wędrowca - mówię - ale na pewno go znajdziemy".

A ten się drze na cały głos: "Ja chcę Senego Dłowca!" Herb aż się skrzywił. Ja nie, bo kiedy krzyczy, to przynajmniej nie rzuca rzeczami. A Seth: "Ja chce SENEKO DŁOWCA, kurwa!"

"Nie przeklinaj w ten sposób przy cioci Audrey" - powiedział Herb, a ten tak na niego spojrzał, że aż się przestraszyłam, ale Herb nie cofnął spojrzenia. On jest taki odważny.

Tak zwyczajnie, po prostu się nie pieprzy. I w końcu PMC musiał opuścić wzrok.

"Chce Senego Dłowca - wymamrotał jeszcze tym swoim ponurym głosem, którego nienawidzę najbardziej. - chce Senego Dłowca, wy znajdziecie".

Zrobiłam mu grzanekę, zwykle je uwielbia, ale nie chciał jeść. Tylko odszedł (to znaczy odmaszerował) do swojej nory. Za chwilę usłyszałam wideo, puścił sobie taśmę z MotoGlinami. Ma ich cztery czy pięć, na każdej po dwanaście odcinków. Tak już nienawidzę tych debilnych rysunkowych głosów, szczególnie Cassie. Czasem marzę, żeby ten Pusta Twarz wreszcie ją zabił, uciął głowę i wrzucił do jakiegoś kanału. Boże, dopomóż, wolałabym, żeby to był żart. Ale nie jest.

Oni tam sobie trajlowali (zawsze nastawia bardzo głośno, co się czasem przydaje), więc zapytałam Herba, jak wytłumaczy to podbite oko w pracy. Wywrócił oczami i powiedział falsetem: "Powiem chłopakom, że wpadłem na drzwi, kochanie". Próbował to obrócić w żart, ale nie wyszło.

Najgorsze dzisiaj było coś innego, nie rzucanie rzeczami, jak wtedy gdy Herb powiedział, że kupimy nową furgonetkę. Dzisiaj niczym nie rzuca, chociaż wolałabym już to. Tylko chodzi z pokoju do pokoju, kroczy sztywno, dolna warga wysunięta, spojrzenie bazyliuszka, i szuka dalej tego auta. Czasem zachodzi do nory pooglądać telewizję, nawet "Bonanza" nie zatrzymała go na dłużej. Próbowałam z nim porozmawiać, ale nie chciał. Chodzi o to... oj, że też nie umiem ładnie pisać, wyrazić tego tak, żeby ktoś, kto to przeczyta (choć pewnie nikogo takiego nie będzie), zrozumiał, o co chodzi. Po prostu PMC jak jest wkurzony, wytwarza jakieś szkodliwe prądy. To wyskakuje bezpośrednio z jego ciała, jak elektryczna pajęczyna albo jak błyskawica z chmury. To się tak, gromadzi, gromadzi i w końcu człowiek ma tylko ochotę biegać z krzykiem po pokoju i walić głową o ściany. To jest prawdziwe, nie tylko uczucie, ale coś fizycznego, aż pot z ciebie cieknie, i to taki cuchnący, jak przy wysokiej gorączce. A mięśnie drygają, w ustach się robi sucho. Napiszę tu coś, czego nawet Herbowi nigdy nie mówiłam. Czasami, kiedy to się dzieje, idę do łazienki, zamykam drzwi i onanizuję się jak szalona. To jedyne, co pomaga trochę zmniejszyć tę presję. Orgazmy mam takie ostre, że aż mnie to przeraża. Jakby bomby wybuchały!

Przechodziłam przez to wszystko już przedtem, kiedy ten Podstępny Mały Chłopiec we wnętrzu Setha był na coś zły, lecz jeszcze nigdy nie trwało tak długo i z takim natężeniem. Po południu miało się wrażenie, jakby cały dom był wypełniony gazem, wystarczy zapalić zapalną. Snułam się bez celu po kuchni, głowa mnie tak bolała, że aż pulsowało mi w oczach. Ciągle miałam ochotę się śmiać. Nie wiem czemu, w tym nie ma przecież nic śmiesznego, ale im bardziej bolała mnie głowa, im bardziej pulsowały oczy, im silniej czułam ciśnienie tej atmosfery w domu, tym bardziej chciało mi się śmiać.

Chryste!

Podeszłam do zlewu i wyjrzałam przez okienko na podwórko. Seth siedział w piaskownicy - bawił się Wozami Mocy. Ale żeby ktoś zobaczył, jak on się bawi! Jeszcze tego samego dnia by go zabrali do jakiegoś ośrodka czy instytutu rządowego, gdzie się prowadzi badania nad niezwykłymi dziećmi.

Te wozy mają wysuwane skrzydła, lecz normalnie nie latają. Z wyjątkiem tych Setha. Siedział sobie w piasku z rękami na podolku, a one latały wokół jego głowy. Strzała Szlaku, Bumtarara, Mięśowóz i cała reszta - pikowały, nurkowały, robiły pętle i wykonywały lotne starty na pasie, który im zrobił Seth w piaskownicy, albo leciały w kluczu nad podwórkiem aż do huśtawki, przefruwały pod krzeselkiem jak kaskaderzy w filmie, kładły się na skrzydło i nawracały. Kolorowe dziecinne zabawki latające w szyku po podwórku! Wiem, że to brzmi jak majaczenie wariatki, ale przysięgam na Boga, że to prawda. Czasami Seth posyła je lotem nurkowym na Hannibala, psa sąsiadów, a ten ucieka z podwiniętym ogonem. Herb też to obserwował.

Każdy inny dzieciak, widząc Wozy Mocy MotoGlin, które wyczyniają takie sztuczki, śmiałby się, klaskał i cieszył, ale nie Podstępny Mały Chłopiec. On tylko siedzi w piaskownicy, wysuwa wargę i wybalusza ślepią.

Seth obserwował wozy, ja obserwowałam Setha i czułam, jak to coś z jego wnętrza napływa falami, wypełniając powietrze takim mrużeniem, które człowiek słyszy właściwie w swojej głowie. Myślałam, że wyjdę z siebie i stanę obok, że się przekreślę przy

tym zlewie i wtem, ni stąd, ni zowąd pojawił się ten sen na jawie. To najcudowniejsza rzecz na świecie i choć nazywam to snem na jawie, odbieram to inaczej, tak jakby było rzeczywistością. Przeżywam w nim weekend, który spędziłam z moją przyjaciółką Jan w schronisku na Mohonk Mountain. To było w osiemdziesiątym drugim, byłyśmy wtedy jeszcze pannami. Siedziałyśmy sobie i rozmawiałyśmy, nie wiem jak długo - ona głównie o tym swoim głupkowatym brudasie, za którym tak wtedy szalała, a ja o tym, jak bardzo bym chciała po dyplomie mieć trzy miesiące wolnego i pozwiedzać kraj.

Tam jest tak pięknie, tak spokojnie. Jemy sobie lunch na powietrzu. Jest ciepłutko. Jan wygląda rewelacyjnie, a ja tak samo się czuję. Wiem, że to nie rzeczywistość i że muszę wrócić do tego całego bajzlu, ale kiedy tam jestem, nic innego się nie liczy. Gadamy sobie, czuję słońce na twarzy, czuję zapach kwiatów i jest cudownie. Nie wiem, co to jest i dlaczego mi się przydarza, ale jako odtrutka na napady PMC jest tysiąc razy lepsze, niż grzanie gruchy w łazience. Zastanawiam się, czy Seth ma z tym wszystkim coś wspólnego.

Chciałabym, żeby Herbie też miał taką kryjówkę, ale chyba nie ma. Jedyna, co mu pozostało, biedakowi, to te wyglupy. Szkoda, że nie mogę mu opowiedzieć o moim miejscu albo nawet go tam zabrać, ale to by nie było mądre. Wydaje mi się, że PMC potrafi z niego wyciągnąć o wiele więcej niż ze mnie. Wygląda na wykończonego. To, co się nam przytrafiło, to absolutna niesprawiedliwość, lecz to, co się dzieje z Herbem, to niesprawiedliwość do potęgi.

13 czerwca 1995

"Seny Dłowiec" wrócił. Przed chwilą. Nie wiem, czy czuć ulgę, czy się bać.

To znaczy oczywiście, że czuję ulgę, każdy by czuł, ten dom od soboty to był istny obóz koncentracyjny, ale co będzie dalej? Jak zareaguje PMC? Spał dzięki Bogu, kiedy ktoś zadzwonił do drzwi, a Herb był dzięki Bogu w pracy. PMC podgląda czasem myśli

Herba, wiem to. Ale ze mną chyba tak nie może, chyba że bym go wpuściła albo przez zaskoczenie.

Ludzie, przeczytałam to właśnie w całości, przecież to kompletny obłąd. Trzeba nabrać powietrza i zacząć od początku. Powinam zdążyć, bo Seth źle spał od piątku i może drzemka szczęśliwie się przeciągnie do wpół do piątej. Miałabym całą godzinę.

Koło trzeciej, akurat odkurzałam, ktoś zapukał do kuchennych drzwi. Otworzyłam, a to pan Hobart z końca ulicy, z synem, takim bladym, rudym tłuscioszkiem w grubych okularach, raczej dość odpychającym z wyglądu, jeśli chcecie wiedzieć. Chłopczyk trzymał w rękach Sennego Wędrowca. Nie ulegało kwestii, że to Setha. Nie musiałam nawet sprawdzać, czy ma rozbite tylne światło i rysę po stronie kierowcy, chociaż były widoczne. Jakby mnie ktoś popchnął jednym palcem, tobym się chyba przewróciła. Chciałam coś powiedzieć, ale nie mogłam, kompletnie mnie zatkało. Nie wiem, co bym z siebie wydała za dźwięk, gdybym się mogła odezwać!

Gorąco dzisiaj, ponad trzydzieści, ale p. Hobart był ubrany jak diakon z kościoła (którym zapewne jest), w czarny garnitur i czarne buty. Chłopiec miał na sobie dziecięcą wersję tego samego stroju i pochlipywał. Na policzku miał sporego siniaka. Założę się o cały mój majątek, że to stary go tak urządził.

Zresztą nie musiałam nic mówić, bo Hobart przygotował sobie cały scenariusz.

Powiedział: "Mój syn ma pani coś do powiedzenia, pani Wyler". A potem spojrzał na syna tak, jakby mu przypominał - twoja kolej, tylko tego nie spieprz: "Hugh?"

Pochlipując jeszcze żałośniej, Hugh oznajmił, że dał się uwieść Kuszącemu Głosowi Szatana (to by mogło być KGS, tak jak Podstępny Mały Chłopiec to PMC) i ukradł zabawkę Setha. Mówił bardzo szybko, choć płakał coraz głośniej. Na koniec powiedział tak: "Może pani pójść na policję, ja złożę pełne zeznanie. Może pani mnie zbić. Albo mój tata mnie zbije". Słuchało się tego jak prognozy telefonicznej - "Aby uzyskać informacje o pogodzie, wybierz cyfrę jeden, o prognozie długoterminowej. Wybierz dwa, o warunkach drogowych. Wybierz trzy..." W sumie to dobrze, że mnie tak zatkało, bo

pewnie bym się roześmiała. A to nie było wcale zabawne; stali tam tacy święci i zawstydzeni. Nawet Seth mnie aż tak nie przeraża (przeważnie), jak się przeraziłam tych dwóch - szczególnie ojca.

Bałam się też, co z nimi będzie.

"Bardzo przepraszam - dzieciak dalej recytował jak z kartki na próbie. - Prosiłem już o przebaczenie mojego tatę, prosiłem o przebaczenie Jezusa, a teraz proszę o przebaczenie panią".

Pozbierałam się już wtedy na tyle, że wzięłam od niego tę furgonetkę - byłam taka podenerwowana, że niemal nie upuściłam jej sobie na nogę - i powiedziałam, że lanie jest tu zupełnie niepotrzebne.

"Chłopak musi też przeprosić pani syna" - Hobart na to. Wygląda jak Mojżesz, taki czyściutko wygolony, równo przystrzyżony - jeżeli ktoś potrafi sobie wyobrazić Mojżesza w dwurzędowym garniturze z kamizelką od Searsa. Po tym, co się tutaj wyprawia od paru miesięcy, ja już potrafię sobie wyobrazić wszystko. To też część problemu.

"Gdyby zechciała nas pani do niego zaprowadzić, pani Wyler..."

Niech mnie piekło pochłonie, jeżeli w tym momencie ten fałszywiec PMC nie próbował się wcisnąć w to na siłę! Wypchnęłam go z powrotem, tyle wam powiem (znowu omal nie upuściłam Sennego Wędrowca przy okazji). Ten mały, tłusty złodziejaszek twarzą w twarz przed Podstępny Małym Chłopcem! Wszystko tylko nie to. Chciałam tylko jednego - pozbyć się ich z domu, i to szybko. Zanim ich głosy albo wibracje ich emocji (a Hobart, chociaż nie płakał, był zdenerwowany nie mniej od syna, a może bardziej) obudzą mi Seta.

"Seth nie jest moim synem, jest siostrzeńcem i teraz śpi" - powiedziałam.

"No to dobrze - odparł Hobart z takim sztywnym ukłonem. - Przyjdziemy w takim razie później, czy wieczorem pani odpowiada? Jeśli nie, przyprowadzę Hughę jutro po południu. Nie powinienem brać wolnego drugi dzień pod rząd... pracuję na kruszarce

rudym w Ten Miles, wie pani... ale sprawy boskie muszą zawsze mieć pierwszeństwo przed ludzkimi".

Mówiąc to, podnosił głos coraz bardziej, tego typu ludzie zawsze tak robią. Nawet tego, że muszą się wysrać, nie potrafią powiedzieć normalnie, tylko zaraz czynią z tego kazanie. Naprawdę zaczęłam się bać, że Seth się obudzi, a ten dzieciak przez cały czas - przysięgam, że to prawda - tak się rozglądał, jakby chciał zobaczyć, co by tu jeszcze warto zakosić. Coś czuję, że nadejdzie dzień, kiedy Hughie wyląduje na kanapce u jakiegoś konowala od świrów, tyle że ludzie pokroju Hobartów chyba nie wierzą w psychoanalizę, co?

Zagnałam ich wreszcie na ulicę. Nie dałam się zatrzymać na ganku i prowadziłam do furtki, byłam już nie do pobicia. A dzieciak cały czas powtarzał: "Przebacza mi pani? Przebacza mi pani?", jak zepsuta płyta. Nim doszliśmy do chodnika, czułam, że jestem maksymalnie wściekła na nich obu. Nie tylko z powodu piekła, przez które przeszliśmy, ale dlatego, że się tak zachowywali, jakby to ode mnie zależało, czy nieśmiertelna dusza tego złodziejskiego wypierdka nie pójdzie na zatracenie. No i pamiętałam, jak strzelał oczami po całym domu, żeby zobaczyć, co my takiego mamy, czego oni nie mają.

Jestem przekonana - właściwie prawie pewna - że sporo z tych "dziwnych mocy" Setha ma dość krótki zasięg, niczym te nadajniki radiowe w kinach samochodowych, które nadają fonie z filmu tylko do radia w aucie. Toteż kiedy wyprowadziłam ich na ulicę, poczułam się na tyle bezpiecznie (do pewnego stopnia w każdym razie), że zapytałam, jak to się w ogóle stało, że Hugh Hobart podwędził ten Wóz Mocy Setha.

Père and fils spojrzeli na to po sobie. Jakoś tak śmiesznie, z zakłopotaniem.

Uświadomiłam sobie, że niezbyt się przejmowali perspektywami czy nawet wizytami gliniarzy, ale bardzo im się nie podobała perspektywa rozmowy na temat samego aktu kradzieży. Ale to bardzo. Nic dziwnego, że fundamentaliści tak nienawidzą katolików. Już na samą myśl o pójściu do spowiedzi trzęsą jajami.

No, ale zapędziłam ich do narożnika i musieli to wydusić z siebie. Głównie mówił William; dzieciak już zdążył dojść do wniosku, że mnie nie lubi. Oczy miał jak szparki i przestał beczeć.

Do większości z tego sama bym i tak doszła. Hobartowie należą do Kościoła Baptistycznego Przymierza Syjonu i między innymi jako dobrzy wyznawcy muszą "szerzyć Ewangelię". To znaczy roznosić broszurki, takie jak ta, którą Herb znalazł wsuniętą w skrzynkę na mleko, o milionie lat w piekle bez łyka wody. William i Hugh robią to razem, taka robota typu "my, mężczyźni". Świątobliwy substytut chodzenia na mecze czy grania w piłkę. Wybierają w większości domy, z których mieszkańcy akurat wyszli, bo chcą "szerzyć dobrą nowinę i zasiewać ziarno, a nie wdawać się w dyskusje" (słowa Hobarta). Albo wkładają swoje miłosne liściki pod wycieraczki w samochodach. Musieli namierzyć nasz dom zaraz po tym, jak poszliśmy na lody do "Milly". Hugh pobiegł podjazdem do skrzynki na mleko i wsadził broszurkę, i przy okazji zauważył oczywiście Sennego Wędrowca tam, gdzie go Seth wetknął. Później, kiedy ojciec już mu oznajmił, że koniec służby na dziś, ale jeszcze przed naszym powrotem z miasta, Hugh wrócił i uległ cieszącemu się powszechną popularnością KGS (Kuszącemu Głosowi Szatana). Wczoraj, czyli w poniedziałek, matka chłopca sprzątała jego pokój i znalazła WM. Wieczorem odbyła się "rodzinna narada" na ten temat, zadzwonili po radę do pastora, pomodlili się trochę wspólnie przez telefon, no i przyszli do nas.

Jak tylko ojciec skończył opowiadać, dzieciak znów zaczął swoje: "Przebacza mi pani?" Przy drugim razie powiedziałam: "Przestań to wreszcie powtarzać".

Wyglądał tak, jakby dostał po buzi. Ojcu też twarz stężała, ale gównie mnie to obchodziło. Przykucnęłam, żeby móc mu spojrzeć prosto w te świńskie oczka. Nie było to łatwe, bo okulary miał zapaćkane łzami i łupieżem.

"Przebaczenie to sprawa pomiędzy tobą i twoim Bogiem - powiedziałam. - Jeśli o mnie chodzi, to nie powiem nikomu o twoim uczynku i radziłabym Hobartom zrobić to

samo". Zrobią tak, jestem pewna, wystarczyło spojrzeć na siniaka na policzku Hugh'a. Nie wiem, jak z matką tej gadziny, ale ojca postępek chłopca dobił kompletnie.

Hugh cofnął się o krok ode mnie i widziałam po jego twarzy, że wszystko poszło nie tak, jak się spodziewał, i że mnie za to nienawidzi. Nie ma sprawy, ja też go trochę nienawidzę, chyba nic dziwnego po tym, jaki mieliśmy weekend przez jego lepkie paluszki.

"Jeśli pani już skończyła, pani Wyler, to my sobie pójdziemy - odezwał się stary. - Hugh będzie miał wiele do przemyślenia w swoim pokoju. Na klęczkach".

"Nie skończyłam - ja na to. - Jeszcze nie". Nie patrzyłam na niego. Patrzyłam na chłopca. Sądzę, że próbowałam zobaczyć, czy pod tym całym wstydem, nienawiścią i obłądą pozostało jeszcze coś z normalnego dziecka. Czy pozostało? Nie wiem, naprawdę.

"Hugh - powiedziałam - wiesz, że ludzie proszą o przebaczenie tylko wtedy, gdy uczynią coś złego, prawda?"

Kiwnął ostrożnie głową... jak świadek w sądzie, który podejrzewa, że adwokat go podpuszcza.

"Wiesz w takim razie, że kradzież zabawki Seth'a była czymś złym?"

Znowu kiwnął głową, z jeszcze większym wahaniem. Do tego czasu zdążył już się prawie cały schować za nogą ojca, jakby miał trzy latka, a nie dziewięć czy osiem. "Pani Wyler, nie wydaje mi się, żeby było konieczne zastraszanie chłopca" - zaprotestował stary.

Nieprawdopodobny koltun! Najpierw proponuje, żebym przelożyła dzieciaka przez kolano i stłukła mu dupsko na kwaśne jabłko, ale kiedy chcę, żeby się przyznał głośno do złego postępku, nagle to już jest nadużycie. Należałoby wyciągnąć z tego jakiś morał, ale niech mnie szlag, jeśli wiem jaki.

"Nie mam zamiaru go zastraszać, niech pan sobie jednak łaskawie uświadomi, że przez ostatnie dni było nam naprawdę nielekkko - odparowałam. Odpowiadałam ojcu, ale w sumie mówiłam nadal do syna. - Seth bardzo kocha te swoje wozy. Więc chciałabym,

Hugh, żebyś jednak powiedział, że popełniłeś zły, nieuczciwy uczynek i przykro ci z tego powodu. Wtedy będziemy kwita".

Hughe spojrzał na mnie i gdyby wzrok mógł zabijać, nie pisałabym teraz tych słów.

Myślicie, że się przestraszyłam? Akurat. Jeśli chodzi o wpięprzonych smarkaczy, to mam w domu mistrza nad mistrzami.

"Pani Wyler, sądzi pani, że to naprawdę potrzebne?" - zapytał Hobart.

"Tak, proszę pana - odparłam. - Bardziej pańskiemu synowi niż mnie".

"Tato, muszę?" - skwierczy Hugh i przewierca mnie tymi swoimi Promieniami Śmierci zza upačkanych okularów.

"Dobra, powiedz jej, co chce usłyszeć, i już - zarządził Hobart. - Gorzkie lekarstwo najlepiej połknąć na jeden raz". I poklepał synalka po plecach, jakby mu mówił: "Tak, wiem, że jest wredna, prawdziwa jędza, ale musimy to znieść".

"Popelniłem zły, nieuczciwy uczynek i jest mi przykro" - wydukał chłopak, jakby znów czytał z kartki.

Zabijał mnie wzrokiem przez cały czas - już nie było lez ani pochlipywania. Podniosłam wzrok i zobaczyłam to samo spojrzenie u ojca. Byli wtedy do siebie podobni jak nigdy przedtem. Ludzie są niesamowici. Ci dwaj przyszli do mojego domu, trochę wystraszeni, ale też jakby podnieceni myślą, że zaraz oto zostaną ukrzyżowani tak samo jak ich szef, a jak zmusiłam dzieciaka, żeby przyznał się, kim jest, i to bolało, zaczęli mnie nienawidzić. Ale najważniejsze z tego są dwie rzeczy: 1. SW wrócił. 2. Hobartowie będą trzymać język za zębami.

Czasami wstyd to jedyne, co działa na ludzi. Muszę wymyślić jakąś bajeczkę dla Seta i potem opowiedzieć ją też Herbowi. Prawda byłaby zbyt niebezpieczna.

Kroki na górze. Idzie do łazienki. Wstał. Boże, proszę, żeby się nie myliła co do tego, że on nie może czytać w moich myślach.

13 czerwca, później

Wielkie westchnienie ulgi. I może poklepanie siebie samej po plecach też. Kryzys z Sennym Wędrowcem chyba jest za nami i nikomu się nic nie stało (jeśli nie liczyć potrzaskanych naczyń oraz moich pięknych szklanek waterfordzkich). Seth i Herb śpią. Ja też mam zamiar pójść na górę, jak tylko trochę napiszę w tym zeszycie (prowadzenie dziennika w tych okolicznościach może okazać się niebezpieczne, ale Boże mój, jak to uspokaja) i schowam go na szafce w kuchni, tam gdzie zwykle.

Seth obudził się, zanim jeszcze zdążyłam wymyślić, co mu powiem, ale okazało się, że tym razem los się do mnie po cichu uśmiechnął. Kiedy zszedł na dół, z oczami jeszcze klejącymi się od snu, po prostu pokazałam mu SW. To, co się stało z jego twarzą, jak oczy mu się otworzyły ze zdumienia i radości, niczym kwiat w słońcu - było prawie warte całego tego horroru. W tym uszczęśliwionym spojrzeniu widziałam ich obojgu, Seta i PMC. PMC po prostu się ucieszył, że odzyskał swój Wóz Mocy. Seth, jak sądzę, z innego powodu. Może się mylę, przypisując mu coś takiego, ale chyba nie. Uważam, że Seth był zadowolony, gdyż wiedział, że PMC nam teraz poluzuje. Na chwilę w każdym razie.

Był czas, kiedy myślałam, jak na pilną studentkę przystało, że PMC to po prostu jeden z aspektów osobowości Seta - ten amoralny aspekt, zwany przez freudystów id - ale nie jestem już taka pewna. Myślę wciąż o tej podróży po kraju, w którą wybrali się Garinowie przed śmiercią Billa, June i dwojga starszych dzieci. Potem przypominam sobie, co mówił do nas ojciec, kiedy byliśmy nastolatkami i zdawaliśmy na prawo jazdy, najpierw Bill, potem ja. Powtarzał zawsze, że trzech rzeczy nie powinniśmy robić nigdy: jeździć po pijanemu, jeździć z za niskim ciśnieniem w oponach i brać autostopowiczów.

Czy to możliwe, że Bill wziął na pustyni autostopowicza, nawet o tym nie wiedząc? I że on wciąż sobie podróżuje we wnętrzu Seta? Może to szalony pomysł, ale zauważyłam, że takie pomysły pojawiają się zawsze w nocy, kiedy w domu jest cicho, a oni śpią. Poza tym szalony, to niekoniecznie znaczy bezpodstawny.

Tak czy inaczej, nie mając czasu na wymyślne kłamstwo, skłamałam zwyczajnie.

Powiedziałam, że znalazłam furgonetkę w piwnicy, kiedy zeszłam po worki do

odkurzacza. Oczywiście już tam wszystko przepatrzyliśmy, ale wytłumaczyłam, że była wciśnięta głęboko pod schody. Seth przyjął to bez dalszych pytań (chyba było mu i tak wszystko jedno, był taki szczęśliwy, że odzyskał "Senego Dłowca", ale właściwie mówiłam to przecież do PMC). Herb miał tylko jedno pytanie: skąd ta furgonetka w ogóle się tam wzięła? Seth nigdy przecież nie chodzi do piwnicy, bo uważa, że tam straszy. Stwierdziłam, że nie wiem, i - o cudzie - to chyba zakończyło temat.

Seth siedział przez całą noc w swojej norze, na ulubionym fotelu i hołubił Sennego Wędrowca na podółku jak dziewczynka lalkę, oglądając oczywiście telewizję. Herb kupił mu film w Video Clipie, stary, czarno-biały, z przeceny, ale Seth go bardzo polubił. To western (jakżeby inaczej) z końca lat pięćdziesiątych. Już dwa razy go oglądał.

Gra w nim Rory Calhoun. Tytuł: "Regulatorzy".

19 czerwca 1995

Chyba mamy problem.

Dziś rano pojawił się znów William Hobart, wściekły. Herb dzięki Bogu był już w pracy od dwudziestu minut, a Seth siedział na podwórku.

"Chcę panią o coś zapytać, pani Wyler - mówi. - Czy pani albo mąż macie coś wspólnego z tym, co się stało dziś w nocy z moim samochodem? Proszę tylko tak albo nie. Jeśli tak, to lepiej będzie przyznać się od razu".

"Nie wiem, o czym pan mówi" - odpowiedziałam i chyba to brzmiało przekonująco, bo się troszeczkę opanował.

Poprowadził mnie ścieżką od frontu na ulicę (chętnie poszłam, im dalej od podwórka i Setha, tym lepiej) i wskazał na swój dom. On jeździ czymś z napędem na cztery koła, chyba explorerem czy jakimś innym dżipem. Auto miało flaki we wszystkich kołach i wszystkie okna wybite, łącznie z przednią szybą i tylną.

"O Boże, strasznie mi przykro" - stwierdziłam. I było mi przykro, choć może nie z tego powodu, co on myślał.

"Przepraszam za to posądzenie - on na to, sztywny jakby kij polknął. - Pomyślałem chyba... ta zabawka... że nadal jesteście na nas źli..."

Pojazd za pojazd, skojarzyło mi się. Jak oko za oko.

"Dla mnie to wszystko już przeszłość, panie Hobart - odparłam. - Poza tym nie jestem, jak by pan to powiedział, osobą żadną zemsty, w żadnych okolicznościach".

"Zemsta należy do mnie, rzekł Pan. Ja dam odpłatę" - zacytował Hobart.

"Właśnie!" - powiedziałam.

Nie wiem, czy się z tym zgadzam, czy nie, po prostu chciałam się go pozbyć jak najszybciej. Skóra mi cierpnie na jego widok.

"To pewnie jacyś chuligani - stwierdził. - Pijacy. Nikt z naszej ulicy na pewno by czegoś takiego nie zrobił".

Mam nadzieję, że to chuligani. Mam nadzieję. Zresztą jakim sposobem mógł to zrobić Seth (czy Podstępny Mały Chłopiec, jeśli ktoś woli)... jeżeli mam rację co do krótkiego zasięgu jego mocy? Chyba że jego zdolności się poszerzają. A zasięg się wydłuża.

Nie mam odwagi powiedzieć o tym Herbowi.

24 czerwca 1995

Dziś rano, kiedy zeszłam na dół robić śniadanie, zobaczyłam Reedów przed ich domem, jeszcze w piżamach. Wyszłam ma ganek. Było gorąco, ale w nocy padało - mocno - i powietrze było tego ranka dużo świeższe, pachniało słodko, jak to po letnim deszczu. Gdyby to nie była sobota wcześniej rano, to chyba cała ulica by się zleciała. Przed domem Hobartów stał wóz policyjny i wszędzie leżało rozbite szkło - na podjeździe, na trawniku - i migotało w słońcu. William z żoną (Irene) stali na ganku w piżamach, rozmawiając z glinami. Za nimi stał złodziejasek i ssał sobie kciuk. Trochę jest na to za stary, ale to musiał być dla nich okropny poranek. Wszystkie okna w domu mieli wybite, od góry do dołu.

Cammie powiedziała, że to się stało koło za piętnaście szósta, właśnie się obudziła i słyszała.

"Nie było wcale tak głośno, jak by się można spodziewać przy tej ilości szkła, ale na tyle głośno, że od razu wiedziałam, co się dzieje - powiedziała. - Niesamowite, co?"

"Bardzo" - odparłam.

Mój głos brzmiał dość zwyczajnie, ale nie odważyłam się wykrztusić nic więcej, żeby nie zaczął mi się trząść.

Cammie stwierdziła, że wyjrzała przez okno, jak tylko usłyszała hałas, ale ci ludzie, co rzucali kamieniami, już zniknęli (jeżeli policja w ogóle znajdzie jakieś kamienie, jestem gotowa zjeść je na kolację z keczupem i parmezanem).

"Kimkolwiek byli, musieli działać naprawdę szybko - dodała Cammie i trąciła łokciem Charliego: - A ten bałwan wszystko przespał".

"Najpierw samochód, teraz to - przypomniał Charlie. - Chuligani, niech skonam. Ktoś się po prostu wziął na Willa Hobarta".

"Tak - powiedziałam. - Ktoś się wziął".

Później.

Znalazłam kapcie Seta w "kłóliki" Bugsy, wciśnięte głęboko pod jego łóżko. Zupełnie przypadkowo. Szukałam drugiej skarpetki do pary. Kapcie są mokre, różowe futerko zbite w klaki, pod podeszwami kawałki szkła. To znaczy, że wychodził w nocy. Albo o świcie. I wiem dokąd. Mam rację?

Niedobrze... ale dziękować Bogu, że to nie zasięg mu się rozszerzył, tak jak podejrzewałam. To by było jeszcze gorsze.

26 czerwca 1995

Poczekalam, az Herb poszedl do pracy - chcialam, zeby zostal, wygladal tak marnie, tak blado, ale powiedzial, ze ma wazny raport do skonczenia, a po poludniu duza prezentacje - a potem poszlam porozmawiac z Sethem.

Siedzial w piaskownicy i bawil sie spokojnie figurkami MotoGlin, ich Centrum Kryzysowym i tym, co Herb zawsze zartem nazywa Ponderosa. To takie ranczo z zagroda dla bydla, ktore Herb wypatrzyl w marcu czy kwietniu na wyprzedaży domowej po drodze z pracy. Zawrócił i kupił je. To nie jest oczywiście dokładnie ranczo Ponderosa z "Bonanzy", ale główny budynek ze ścianami z bali wygląda podobnie. Jest tam też oficyna dla kowboi (część dachu ma odłamana, ale poza tym w całkiem dobrym stanie) oraz parę plastikowych koni (niektóre z trzema tylko nogami) do zagrody. Herb dał za to dwa dolce i jest to od tej pory jedna z ulubionych zabawek Seta. Śmieszne (choć trochę niesamowite), jak szybko i bez wysiłku włączył to ranczo do zabaw, jakie wymyśla z MotoGlinami. Chyba wszystkie dzieci tak robią, arbitralnie ustalone granice ich nie obchodzą, szczególnie w zabawie. Ale i tak Cassie Styles czy Pusta Twarz galopujący na trzynogim mustangu wokół starej zagrody to zdumiewające połączenie gatunków. Rano o tym wszystkim nie myślałam. Bałam się jak nie wiem co, serce mi waliło jak młotem. Ale kiedy na mnie spojrzął, poczułam się nieco lepiej, bo to był Seth, nie ten drugi. Za każdym razem, kiedy widzę jego bladą, słodką twarzyczkę, kocham go bardziej. Może to wariactwo, ale tak jest. Coraz bardziej pragnę go ochraniać i coraz bardziej nienawidzę tego drugiego.

Zapytałam go, co się dzieje u Hobartów - nie ma sensu dalej się oszukiwać, że on nie wie, jak to było z Sennym Wędrowcem - ale nie odpowiedział. Siedział tylko i patrzył na mnie.

Zapytałam, czy to on się wykradł z domu w sobotę rano i poszedł powybijając im okna.

Bez odzewu. Wtedy zapytałam, o co mu chodzi, co się musi stać, żeby przestał.

Myślałam, że tym razem też nie odpowie. A on nagle mówi, wyjątkowo wyraźnie jak na Seta:

"Powinni się wyprowadzić. Muszą się szybko wyprowadzić, bo ja już nie dam rady tego powstrzymać".

"Powstrzymać czego?" - spytałam, ale nie powiedział nic więcej, wrócił tam, dokąd zawsze wraca, choć nie wiem, gdzie to jest.

Później, kiedy jadł lunch (makaron z sosem Chef Boyardee i mleko czekoladowe, jak zwykle), poszłam na górę, usiadłam na łóżku i zaczęłam główkować. Po śmierci mojego brata z rodziną świadkowie opowiadali o czerwonej furgonetce z radarem czy jakimś innym urządzeniem tego typu na dachu. "Tajemnica furgonetka" - napisali w gazecie. Strzała Szlaku jest czerwona. I ma talerz na dachu.

Powiedziałam sobie, że mi zupełnie odbiło, potem przypomniało mi się, jak z Herbem widzieliśmy Sennego Wędrowca na podwórku. Oczywiście nie był prawdziwy, ale miał normalne rozmiary... a Seth wtedy spał. Może furgonetka nie działała z pełną mocą? A co, jeśli PMC znudzi się zwyczajnym wybijaniem szyb? Jeżeli wysła Strzałę Szlaku (albo Sennego Wędrowca, albo Wóz Sprawiedliwości, albo Wolność) na małą przejażdżkę pod dom Hobartów?

"Już nie dam rady tego powstrzymać" - powiedział Seth.

27 czerwca 1995

Większość dnia spędziłam na Mohonk Mountain z Jan Goodlin. Wiem, że nie powinnam, bo to taka sama ucieczka jak w alkohol czy narkotyki, ale trudno się temu oprzeć. Rozmawiałyśmy o naszych starych, o różnych nieprzyjemnych historiach z ogólniaka i takie tam, jak zwykle. Cudownie banalne sprawy. Aż do samego końca. Zauważyłam, że telefonik zniknął, co oznacza, że trzeba wracać, i wtedy Jan powiedziała: "Ty wiesz, skąd on czerpie energię na to, co robi z Hobartami, prawda Aud?" Pewnie, że wiem: od Herba. Kradnie ją tak jak wampiry kradną krew. I sędzę, że Herb też to wie.

28 czerwca 1995

Przed południem siedziałam przy kuchennym stole, kiedy usłyszałam wycie karetki pogotowia. Wyszłam na ganek i zobaczyłam, że zatrzymuje się z błyskającym kogutem przed domem Hobartów. Cała ekipa wbiegła do środka, a ja wróciłam pędem do siebie i wyjrzałam od tyłu, z okna w kuchni. Seta nie było. Wozy Mocy równo zaparkowane, jak to zawsze robi, kiedy przerywa zabawę, w Ponderosie wszystko poukładane, konie w zagrodzie, Centrum Kryzysowe ustawione pod huśtawką... ale Seta ani śladu.

Sklamalabym, mówiąc, że mnie to zaskoczyło.

Nim zdążyłam wrócić na ganek, wszyscy z naszego kwartału powychodzili przed domy i stali na chodniku, gapiąc się na posesję Hobartów. Dave i Jim Reed też stali u siebie na podjeździe i zapytałam ich, czy widzieli Seta.

"Tam jest, pani Wyler" - mówi Dave i pokazuje na sklep. Seth stał tam sobie przy stojaku na rowery i patrzył na drugą stronę, tak jak wszyscy. - "Pewnie poszedł po baton".

"Tak, tak" - odpowiedziałam, chociaż dobrze wiem, że: a) Seth nie ma pieniędzy; b) ledwie potrafi porozumieć się ze mną i Herbem, a co dopiero ze sprzedawczynią, której nie zna; c) nigdy nie wychodzi poza podwórko.

Seth nie, ale wygląda na to, że Podstępny Mały Chłopiec to robi. Przypuszczam, że z podwórka ma za mały zasięg działania.

Pięć minut później sanitariusze wyprowadzili z domu Irene Hobart. Hugh, jej syn, trzymał ją za rękę i płakał. Nienawidziłam tego dzieciaka, autentycznie nienawidziłam, ale już mi przeszło. Teraz już mi go tylko żal i boję się o niego. Irene miała cały przód sukienki we krwi. Trzymała sobie na nosie kompres, a jeden z sanitariuszy uciskał tył jej karku. Wsadzili ją do karetki - Hugh też wsiadł - i odjechali.

Wróciła po dwóch godzinach (Seth już siedział bezpiecznie w norze i oglądał stare westerny na kablówce). Kim Geller wpadła do mnie na kawę. Powiedziała, że zaszła tam, żeby zapytać, czy może w czymś pomóc Irene. Ona jedyna z całej ulicy przyjaźni się, jeśli można to tak nazwać, z Hobartami. Powiedziała, że wszystko u nich się uspokoiło, ale

Irene jest spanikowana. Ma bardzo wysokie nadciśnienie. Bierze leki, lecz to prawie nie pomaga. Miewała już krwotoki z nosa, ale nie aż tak silne. Powiedziała Kim, że to się zaczęło nagle, po prostu krew zaczęła jej sikać z nosa i nie przestała nawet po przyłożeniu zimnego kompresu. Hugh się wystraszył i zadzwonił na dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć. Ci z pogotowia chcieli ją zabrać do szpitala, żeby zbadać, czy nie trzeba będzie kauteryzować wnętrza nosa, chociaż krwawienie właściwie ustało, zanim karetka dojechała pod dom.

Zabrałam Seta do domu i zaczęłam nim potrząsać. Kazałam mu natychmiast przestać. Patrzył na mnie w milczeniu, usta mu drżały, z oczu ciekły łzy. Uspokoiliam się zaraz, zła na siebie; było mi wstyd. Potrząsałam nie tego, co trzeba.

Ale tego drugiego też widziałam, naprawdę go widziałam. Krył się za Setem, w jego oczach i kpił sobie ze mnie. Najstraszniejsze z tego wszystkiego jest chyba to, że Hughowi Hobartowi PMC nic złego nie zrobi. Chce, żeby tylko się przyglądał.

29 czerwca 1995

Obudziłam się dziś w nocy o trzeciej. Druga połowa łóżka była pusta. W łazience też nikogo. Zeszłam na dół, przestraszona. W kuchni pusto, w salonie i w norze tak samo. Poszłam do garażu i zastałam tam Herba. Siedział na ławeczce w samych slipkach, w których śpi, i płakał. Dwa lata temu zainstalował tam silne oświetlenie - takie lampy z metalowymi osłonami, jakie zakłada się w basenach - w tym świetle wyraźnie było widać, jak on strasznie schudł. Wygląda okropnie, jakby miał anoreksję. Wzięłam go w objęcia, a on rozsłochał się jak dziecko. Powtarzał tylko, że jest zmęczony, tak strasznie przez cały czas zmęczony. Bąknęłam coś na temat pójścia do lekarza z samego rana. Tylko się roześmiał i powiedział, że przecież wiem, co się z nim dzieje.

Wiem, to prawda.

1 lipca 1995

Po południu do Hobartów znów przyjechało pogotowie. Jak tylko to zobaczyłam, popędziłam na górę, żeby sprawdzić Seta, który powinien w tym czasie spać. Nie było go. Okno otwarte - na pierwszym piętrze - i ani śladu Seta. Wyszłam na podwórko i zobaczyłam, że stoi po drugiej stronie ulicy, trzymając za rękę starego Toma Billingsleya. Podbiegłam, złapałam go.

"Nie bój się, Aud, nic mu się nie stało - powiedział Tom. - Wyszedł sobie tylko na spacer, prawda Sethie?"

"Nigdy nie przechodź sam przez ulicę! - krzyknęłam na niego. - Nie wolno, rozumiesz?" Znowu nim potrząsnęłam, zamiast sobą samą. Idiotka: równie dobrze mogłabym potrząsać mumią.

Sanitariusze wyszli tym razem z noszami. Leżał na nich pan Hobart.

"Coś ostatnio trudno mówić o szczęściu w odniesieniu do Hobartów, chyba że w połączeniu z »nie«" - mruknął Tom.

Pan Hobart miał mieć w tym tygodniu urlop, ale spędzi go chyba w całości w szpitalu okręgowym. Spadł ze schodów, złamał sobie nogę i biodro. Kim powiedziała mi potem, że on pije, diakon nie diakon. Może i pije, ale nie sądzę, że to dlatego spadł ze schodów.

3 lipca 1995

Nie ma żadnego Podstępного Małego Chłopca i nigdy nie było. We wnętrzu Seta coś mieszka - to nie jest id ani przejaw jego innej osobowości, ani "autostopowicz", ale coś w rodzaju tasiemca. To coś myśli. I mówi. Powiedziało mi dzisiaj, że nazywa się Tak.

6 lipca 1995

W nocy ktoś zastrzelił Angorę, kota Hobartów. Dosłownie nic z niej nie zostało prócz futra i krwi. Kim mówi, że Irene H. wpadła w histerię, uważa, że wszyscy są przeciwko nim, bo wiedzą, że oni pójdą do nieba, a my wszyscy mamy pójść do piekła. "Dlatego urządzają nam piekło na ziemi" - powiedziała do Kim. Błagała ją, żeby ujawniła, kto to

zrobił. Mówiła, że Hugh jest zdruzgotany, nie wychodzi z pokoju, tylko leży na łóżku, płacze i powtarza, że to wszystko jego wina, ponieważ zgrzeszył. Kiedy Kim stwierdziła, że nie wie i że jej zdaniem nikt z Topolowej nie byłby zdolny do zabicia kota, pani Hobart oznajmiła jej, że jest taka sama jak cała reszta i że już nie są przyjaciółkami. Kim bardzo się zdenerwowała, ale nie tak bardzo jak ja.

Co ja, na Boga, mam zrobić? To coś jeszcze nikogo nie zabiło, ale...

8 lipca 1995

O dzięki Ci, Panie Boże. Dziś rano zaraz po dziewiątej pod dom Hobartów zajęła ciężarówka z firmy przewozowej Mayflower.

Wyprowadzają się.

16 lipca 1995

O, ty pierdolony mały gnojku, ty gnido. Jak mogłeś? Ty gnoju, gdybym cię tylko mogła dorwać, gdybyś tylko puścił Seta i mogłabym cię dopaść, o Boże, Boże, Boże. Moja wina. Oczywiście. Ale do jakiego stopnia, to osobne pytanie. Jezusie kochany, jak ja teraz będę żyła bez niego? Jak dalej żyć z tym wszystkim? Nie wiedziałam, że na świecie może istnieć taki ból. Ile w tym mojej winy, ILE? Tak, ty skurwysynu. Koniec z tym dziennikiem. Nie wiem, co to całe pisanie miało w ogóle dać.

Och Herb, tak bardzo cię przepraszam. Kocham cię. Wybacz.

19 października 1995

Dziś przyszła odpowiedź na mój list, wieki całe po tym, jak już przestałam na nią liczyć. Przysłał ją inżynier górnik nazwiskiem Allen Symes. Pracuje w miejscu, które się nazywa Chińska Jama, niedaleko miasteczka Desperation w Nevadzie. Pisze, że widział Billa z rodziną, ale nic dziwnego się nie wydarzyło. Zwyczajnie oprowadził ich po kopalni i nic poza tym się nie działo.

Kłamie. Nigdy pewnie się nie dowiem, dlaczego ani co się tam stało naprawdę, ale tyle to wiem. On kłamie.

Boże ratuj.

ROZDZIAŁ 10

1

Wszystko potoczyło się bardzo szybko, lecz Johnny'ego nadal nie opuszczała cudowna i przekłeta zarazem umiejętność postrzegania rzeczy dokładnie i po kolei.

Entragian, umierający, lecz zbyt ciężko ranny, żeby był tego świadomy, czołgał się w stronę jednego z prymitywnych kaktusów na lewo od ścieżki, z głową zwisającą tak nisko, że zostawiała na ziemi krwawy ślad. Jego czaszka prześwitywała spomiędzy oderwanych płatów skóry i włosów jak zmętniała perła. Wyglądał tak, jakby go oskalpowano.

Na środku ścieżki trwał niesamowity taniec. Stwór z wąwozu - złowrogi picassowski kuguar o sterczących ostro pomarańczowych zębach - stał na tylnych łapach, oparłszy

przednie na barkach Steve'a. Gdyby hipis opuścił ręce, kiedy wielki kot wyrwał mu z nich niepokazną dwudziestkędwójkę, już by nie żył. Skrzyżował je jednak wówczas przed sobą i mógł teraz odpychać łokciami i ramionami pierś zwierza.

- Zastrzelcie go! - wrzasnął. - Jezu, strzelajcie!

Żaden z bliźniaków nie schylił się po rewolwer. Choć nie byli podobni jak dwie krople wody, ich twarze wykrzywiały teraz identyczny wyraz udreki.

Kuguar (od samego patrzenia na niego bolały Johnny'ego oczy) krzyknął piskliwie niczym kobieta i wyrzucił trójkątny łeb do przodu. Steve cofnął głowę, usiłując jednocześnie przewrócić stwora na bok. Bestia wpiła się pazurami w ramiona Steve'a i trwali tak w pijanym tangu. Johnny ujrzał, że na koszuli hipisa wykwitły krwawe plamy w miejscach, gdzie kuguar, bijąc ogonem na boki, zatopił szpony, równie monstrialne co zęby, tyle że nie pomarańczowe, lecz czarne.

Wykonali kolejny półobrót, ale Steve zaplątał się we własne nogi. Przez moment balansował na krawędzi upadku, wciąż odpychając kuguara skrzyżowanymi ramionami. Tymczasem Entragian dopelzł w końcu do kaktusa. Nadział się potwornie krwawiącą, obrzmiałą głową na jego kolce i przewrócił na bok. Skojarzyło się to Johnny'emu z maszyną, która w końcu odmówiła posłuszeństwa. Znow zawyły kojoty, wciąż jeszcze niewidoczne, lecz znacznie teraz bliższe. W powietrzu unosił się swąd dymu z płonącego domu.

- Zabijcie tego skurwiela! - wrzeszczał Steve. Udało mu się utrzymać równowagę, ale był bliski utraty pola manewru, stał już bowiem na brzegu ścieżki. Krok, najwyżej dwa w stronę ciernistych zarośli i nadzieje się na nie. A wtedy upiór zatopi kły w jego gardle. - Zabijcie go, błagam, bo mnie rozszarpie!

Johnny jeszcze nigdy w życiu tak się nie bał, odkrył jednak, że najtrudniejszy jest pierwszy krok - gdy tylko odzyskał swobodę ruchów, strach właściwie przestał się liczyć. W końcu w najgorszym razie potwór go najwyżej zabije, a śmierć powstrzyma przynajmniej to wrażenie, iż w jego głowie ma miejsce trzęsienie ziemi.

Chwycił karabin Entragiana, dużo masywniejszy niż ten, który kuguar wytrącił z rąk długowłosego. Spostrzegł, że jest zabezpieczony, więc odwiódł kurek kciukiem, po czym przystawił lufę trzydziestki do skroni baniastego łba zwierzęcia.

- Pchnij go! - zawołał i Steve pchnął.

Głowa kota odskoczyła od gardła hipisa. W zielonych oczach zwierza płonęło światło zachodu, palisada klów w jego paszczy lśniła jak igielki trującego koralowca. Johnny zdążył jeszcze pomyśleć, że jeśli Entragian nie wprowadził naboju do komory, prawdopodobnie nie napisze już nigdy o przygodach Pata, Kota-Detektywa, po czym odwrócił trochę głowę i pociągnął za spust. Rozległ się prawidłowy trzask, jak z bata, z lufy wyskoczył język ognia, a do swądu płonącego domu dołączył odór palonego futra. Kuguar padł na bok z odstrzelonym łbem i tłącą się na karku sierścią. W otwartej czaszce nie było widać krwi, kości ani tkanki, lecz włókniste, różowe tworzywo, przypominające tkaninę ocieplającą, którą Johnny rok po wprowadzeniu się wyłożył ściany na piętrze i strychu swego nowego domu.

Steve zachwiał się na nogach, wymachując rękami, by złapać równowagę. Marinville wyciągnął do niego rękę, lecz hipis był tak oszołomiony, że pomoc okazała się wyłącznie symboliczna - padł w krzaki obok drgających konwulsyjnie tylnych łap potwora. Johnny pochylił się, chwycił go za nadgarstek i szarpnął. Przed oczyma pokazały mu się ciemne plamy, a przez jedną straszną sekundę wydawało mu się, że zemdleje. A potem Steve stał już na własnych nogach, a wzrok Johnny'ego z powrotem się wyostrzył.

Uu-uu-uuu...

Pisarz rozejrzał się nerwowo. Wciąż jeszcze nie było ich widać, ale wyły, skurwysyny, coraz bliżej i bliżej.

Dave Reed powtarzał sobie w myślach, że na pewno zaraz się obudzi. Mimo że czuł zapach krwi i potu konającego policjanta, mimo że słyszał jego pełen udreki oddech (i swój własny), że widział jego martwe oko, a przez otwór w strzaskanej czaszce również mózg - szary i pofaldowany - upierał się, że to sen. Przecież jego brat nie mógłby zabić faceta z przeciwka; nieuczciwego gliniarza, to fakt, ale zarazem sąsiada, który podpowiedział kiedyś Cary'emu Riptonowi, że lepiej jest rzucać piłkę baseballową, trzymając palce w poprzek szwów niż wzdłuż nich... a potem sam zademonstrował tak piękny zwód, że głowa boli.

Cuchnie, jakby się zesrał w spodnie - pomyślał Dave i zebrało mu się na wymioty.

Opanował się jednak. Nie chciał znów wymiotować, nawet we śnie.

Mężczyzna wyciągnął rękę i wczepił się palcami w koszulę Dave'a.

- Boli - wyszeptał chrapliwie. - Boli.

- Niech pan... - Dave odchrząknął, przelknął ślinę - niech pan nic nie mówi.

Za jego plecami, to niesamowite, Marinville z tym hipisowatym zastanawiali się, czy iść dalej. Chyba oszaleli. A Marinville... gdzie on w ogóle był, dlaczego pozwolił, żeby to się stało? Przecież to on jest, kurwa, tutaj dorosły!

Collie Entragian, dygocąc z wysiłku, dźwignął się na łokciu. Jego ocalałe oko wpatrywało się w chłopaka z dziką koncentracją.

- Nigdy - szepnął. - Nigdy...

- Proszę pana... panie Entragian... niech pan raczej...

Uu-uu-UUUU!

Tym razem tak blisko, że Dave Reed poczuł mróz na skórze. Miał ochotę rozszarpać Johnny'ego Marinville'a za to, że nie powstrzymał biegu wypadków, nim stało się za późno. Nie ruszył się jednak, unieruchomiony spojrzeniem Entragiana jak owad na szpilce. Pokrwawiona dłoń gliniarza skrzyła przód jego koszuli w luźny węzeł. Mógłby się chyba wyrwać, ale...

Ale to była nieprawda. Czuł się jak owad na szpilce.

- Nigdy nie brałem narkotyków... nie handlowałem... nic z tych rzeczy - charczał Collie. - Od nikogo ani centa. Wrobili. Komisarz... bierze w łapę... Odkryłem...

- Niech... - zaczął Dave.

- Odkryłem to! Rozumiesz... co mówię? - podniósł tę rękę, która nie trzymała koszuli Dave'a i przyjrzał się jej. - Ręce... czyste.

- Jasne, w porządku - uspokajał go Dave. - Ale niech pan lepiej się nie męczy. Jest pan... ee, noo, trochę pokaleczony i...

- Jim, nie! - wrzasnął Marinville za jego plecami. - Nie rób tego!

Dave odkrył nagle, że oderwanie się od konającego mężczyzny przychodzi mu bez najmniejszego trudu.

3

- To co robimy? - zwrócił się do hipisa Johnny.

Ciemnowłosy bliźniak klęczał po drugiej stronie ścieżki nad człowiekiem postrzelonym przez jego brata. Do uszu Johnny'ego dobiegał słaby głos Entragiana. Mamrotał coś, jakby chciał się porządnie wypowiedzieć przed śmiercią. Po raz kolejny potwierdziła się tego popołudnia ponura prawda: ludzie w większości walczą do końca, lecz kiedy umierają, nie ma w tym zbyt wiele godności... i najpewniej w ogóle nie zdają sobie sprawy z tego, że odchodzą.

- Robimy? - powtórzył Steve. Spoglądał na Johnny'ego z komicznym niemal zdumieniem, przeczesując ręką włosy i zostawiając na siwiźnie czerwone smugi. Na ramionach jego koszuli, w miejscach gdzie wbił pazury kuguar, też widniały krwawe plamy. - Co to znaczy "robimy"?

- Idziemy dalej czy wracamy? - wyjaśnił Johnny szorstkim, nagłym tonem. - Co tam jest z przodu? Coście widzieli?

- Nic - rzekł Steve. - Nie, wróć. Gorzej niż nic. Tam... - wybaluszył nagle oczy na coś za plecami Johnny'ego.

Pisarz odwrócił się, sądząc, że hipis ujrzał kojoty, że w końcu się pojawiły. Lecz to nie były one.

- Jim, nie! - wrzasnął. - Nie rób tego!

Wiedział jednak, że jest już za późno. Wyczytał to z pobladłej twarzy Jima Reeda, kompletnie teraz pozbawionej wyrazu.

4

Chłopak tak długo stał z rewolwerem przystawionym do skroni, iż Steve Ames zaczął już mieć nadzieję, że może zrezygnuje, że w przedostatnim dosłownie momencie, w tym malutkim przedśionku "może nie" prowadzącym do nieskończonego korytarza "za późno" odstąpi od tego, co zamierzał. I wtedy Jim pociągnął za spust. Twarz mu się wykrzywiła jak trafiona z pistoletu gazowego. Skóra głowy oderwała się od czaszki, lewy policzek się wydał. Potem głowa Jima się rozleciała, a jego ambicja pisania świetnych wypracowań (nie mówiąc już o dobraniu się do majątek Susi Geller) wyparowała w dziwnym świetle zachodu w zawiesinę, która obryzgała jeden z nienormalnych kaktusów jak czerwona plwocina. Chłopak postąpił chwiejny krok na ugiętych nogach, wypuścił z dłoni rewolwer i padł na ziemię. Steve odwrócił się ku Johnny'emu ze zmartwiałą twarzą, przekonując sam siebie w myśli: w ogóle tego nie widziałem, przewiń taśmę, puść to jeszcze raz, to się przekonasz. Nie widziałem tego wcale. Nie, stary. Nie.

A jednak widział. Jim Reed, przepelniony przerażeniem i poczuciem winy z powodu tego, co właśnie zrobił sąsiadowi z ulicy, tknięty nagłym impulsem, popełnił na ich oczach samobójstwo.

Steve chciał złapać chłopca, gdy ten go mijał, lecz poczuł rozdzierający ból w ramionach. Mógł się więc tylko bezradnie przyglądać, jak Dave Reed dopada Johnny'ego i obala go na ziemię. Przetoczyli się w zwarciu w tę i z powrotem. Marinville znalazł się na wierzchu, przynajmniej na razie.

- Posłuchaj mnie, Davidzie... - zaczął.

- Nie! Nie! Trzeba było go powstrzymać! Trzeba było!

Chłopiec trzasnął go w twarz najpierw prawą ręką, a potem lewą. Po jego bladych policzkach spływały łzy. Steve ponownie usiłował się wtrącić, lecz osiągnął tylko tyle, że zdekoncentrował Johnny'ego, który właśnie starał się przygwoździć kolanami ręce Dave'a do podłoża. Bliźniak szarpnął się ostro w bok, zrzucając Johnny'ego na ścieżkę po lewej. Ten wyciągnął rękę, by się podeprzeć, i ryknął z bólu, gdyż nadział się całą dłonią na kolce kaktusa.

Steve chwycił Dave'a za ramię prawą ręką - tą jeszcze jakoś władał - ale chłopak, nawet nie patrząc, bez trudu ją strząsnął, po czym skoczył na szeroki grzbiet Marinville'a, otoczył rękami jego szyję i zaczął go dusić. Wokół nich w zapadającym szybko zmierzchu podniosło się zawodzenie kojotów - tak idealnie zgranego chóru tych stworzeń Steve nie słyszał nigdy w życiu, choć urodził się i wychował w Teksasie.

Takie wycie słyzy się tylko w filmach.

5

Obaj mężczyźni chcieli się do niej przyłączyć, lecz Cynthia się nie zgodziła - jeden był zbyt pijany, drugi za stary. Furtka na końcu podwórka Doktora wciąż stała otworem. Minąwszy ją, dziewczyna zaczęła się przedzierać przez zarośla w kierunku ścieżki. Nim tam dotarła, widziała po drodze kaktusy (było ich teraz więcej i zaczynały wypierać roślinność lasu), ale jej świadomość tego nie zarejestrowała. Docierały do niej natomiast

odgłosy walki: ciężkie, urywane oddechy, okrzyki bólu, głuche uderzenia. I wycie kojotów. Nie było ich widać, ale miała wrażenie, że otaczają ją ze wszystkich stron. Kiedy dobrnęła do ścieżki, wyprzedziła ją pędem drobna, krótko ostrzyżona blondynka. Nawet się nie odwróciła, lecz Cynthia ją poznała - była to Cammie Reed, matka bliźniaków. Za nią, dysząc ciężko, sunął Brad Josephson. Po policzkach ciekły mu strumyczki potu; w świetle zachodu wyglądał tak, jakby płakał krwawymi łzami. Słońce zachodzi - pomyślała Cynthia, wkraczając na ścieżkę i biegnąc za nimi. - Jeżeli szybko się stąd nie wyniesiemy, możemy zablądzić. To by dopiero był numer. Nagle tuż przed sobą usłyszała krzyk. Nie, nie krzyk, tylko potworny wrzask. Zarazem przerażenia i żalu. Pani Reed. Cynthia dogoniła Brada akurat w chwili, gdy mówił:

- O kurwa mać, tylko nie to!

Szerokie plecy Josephsona przez chwilę zasłaniały jej widok. Potem mężczyzna przykucnął i zobaczyła dwa ciała leżące po obu stronach ścieżki. W zapadającym zmroku nie rozpoznała ich - widziała tylko, że to mężczyźni i że mieli chyba niezbyt piękną śmierć - spostrzegła jednak Steve'a stojącego po lewej stronie ścieżki. Ten widok ją ucieszył. Niemal przy jego stopach leżało okropnie zniekształcone truchło jakiegoś zwierza z odstrzeloną połową głowy.

Cammie Reed klęczała przy jednym z ciał. Nie dotykała go, lecz lamentowała z uniesionymi wnętrzem do góry, trzęsącymi się dłońmi i twarzą, na której malował się wyraz śmiertelnej udręki. Cynthia spostrzegła szorty od Eddiego Bauera i zrozumiała, że to jeden z bliźniaków.

A mieli takie wspaniałe zęby - przyszła jej do głowy idiotyczna myśl. - Musiały kosztować ją i męża fortunę.

Brad usiłował tymczasem odciągnąć drugiego bliźniaka (Cynthia pamiętała, że miał na imię Dave, czy może Duog) od Johnny'ego Marinville'a. Potężny Murzyn wcisnął ręce pod pachy nastolatka i splótł swe wielkie dłonie na jego karku, zakładając mu pełnego nelsona. Chłopak jednak nie ustąpił tak łatwo.

- Puszczaj! - wrzasnął. - Puszczaj mnie, skurwysynu! On zabił mojego brata! On zabił Jimmy'ego!

Pani Reed przestała lamentować i podniosła głowę. Nieruchomy, pytający wyraz jej twarzy przestraszył Cynthię.

- Co takiego? - zapytała tak cicho, jakby mówiła do siebie. - Coś ty powiedział?

- On zabił Jimmy'ego! - zawył Dave.

Pod naciskiem chwytu Brada pochylił głowę, lecz mimo to pokazał precyzyjnie palcem na Johnny'ego, który właśnie zbierał się z ziemi. Z jednej dziurki w nosie pisarza sączyła się krew strużką tak wąską jak pasek do zrywania folii z papierosów.

- Nie - rzekł ciężko Johnny. Cynthia widziała po białej, zmartwiałej twarzy Cammie, że kobieta zupełnie go nie słucha, Marinville jednak tego nie zauważył. - Rozumiem, co czujesz, Davidzie, ale...

Cammie spojrzała pod nogi; Cynthia zrobiła to samo. Obie w tej samej chwili spostrzegły leżącą na ziemi czterdziestkępiątkę i jednocześnie rzuciły się do niej. Cynthia padła na kolana, pierwsza położyła rękę na rewolwerze, lecz nic to jej nie dało. Palce zimne jak marmur i silne jak szpony orla zacisnęły się na jej dłoni i wyszarpnęły z niej broń.

- ...to był straszny wypadek - mamrotał Johnny. Mówił przede wszystkim do Dave'a.

Wyglądało na to, że zaraz zemdleje. - Powinieneś na to spojrzeć w ten sposób. Jak...

- Uważaj! - krzyknął Steve. - Jezusie Nazareński, co pani robi! Nie!

- Zabijeś Jimmy'ego? - zapytała matka bliźniaków śmiertelnie lodowatym tonem. - Dlaczego? Dlaczego to zrobicie?

Odpowiedź jednak wcale jej nie interesowała. Uniosła rewolwer, wycelowała w środek czoła Marinville'a. Cynthia nie miała ani cienia wątpliwości, że chce go zabić. I zabiłaby, gdyby nie kolejny przybysz, który znalazł się pomiędzy Cammie a jej zamierzonym celem w chwili, gdy już miała pociągnąć za spust.

Brad rozpoznał zombi pomimo jego koślawego, człapiącego chodu i zniekształconej twarzy. Nie miał pojęcia, jaka to potęga zmieniła sympatycznego wykładowcę literatury angielskiej z sąsiedztwa w to, na co teraz spoglądał. I nie chciał tego wiedzieć. Sam widok był już dość okropny. Wyglądało to tak, jakby ktoś o potwornej sile ustępującej jedynie jego okrucieństwu, chwycił głowę Petera Jacksona w dłonie i ścisnął. Oczy mężczyzny wychodziły z orbit; lewe zresztą już wyszło i wisiało na policzku. Uśmiech był jeszcze gorszy: usta Petera, rozdziawione groteskowo od ucha do ucha kojarzyły się Bradowi z Jokerem z komiksów o Batmanie.

Wszyscy znieruchomieli, zupełnie jakby wkroczył pomiędzy nich Sędziwy Marynarz Coleridge'a ze swym płomiennym, zaczarowanym spojrzeniem. Brad poczuł, że jego dłonie splecione na karku Dave'a rozluźniają uścisk. Chłopak jednak wcale nie próbował natychmiast się uwolnić. Długowłosey w splamionej krwią koszulce z uśmiechniętą buźką stał na drodze Petera i Brad obawiał się przez moment, iż nastąpi zderzenie. W ostatniej sekundzie hipisowi udało się jednak cofnąć się o niepewny krok i przepuścić zombi. Peter odwrócił ku niemu swą dziwnie rozdętą głowę. Na wylupiastych galkach jego oczu i wyszczerzonych zębach połyskiwało dogasające światło zmierzchu.

- Znajdę...przyjaciela - oznajmił Peter. Głos miał słaby, niepewny, jakby się naćpał dość, żeby się popsuć na amen, ale nie dość, żeby go całkiem trafił szlag. - Usiądę... sobie... z przyjacielem.

- Jasne, stary, zabaw się na całego - rzekł do niego nieco drżącym głosem hipis, cofając ramię przed szczerzącym się mężczyzną.

Zabolalo go to najwyraźniej, był przecież ranny, lecz cofnął się mimo bólu. Brad go rozumiał. Sam też wolałby unikać dotyku takiej istoty, nawet przelotnego.

Zombi ruszył dalej ścieżką, trącając po drodze łapę rozciągniętego na ziemi zwierzęcia. Brad spostrzegł dziwną rzecz: stworzenie rozkładało się w takim tempie jak na

przyspieszonym filmie; jego korpus poczerniał i zaczęły się z niego wydobywać kłęby cuchnącego dymu czy pary.

Wszyscy trwali w bezruchu - długowłosa z przygarbionymi ramionami; klęcząca na jednym kolanie ekspedientka; stojąca przed nią Cammie celująca z rewolweru; Johnny z rękami w górze, jakby zamierzał złapać kulę; Brad w zapaśniczej pozie z Dave'em Reedem - a Peter oddalał się od nich ścieżką na południe. Panowała absolutna cisza; wieczór zawisł na ostatnich promieniach dziennego światła. Nawet kojoty umilkły, przynajmniej na razie.

W końcu Dave poczuł, że z trzymających go rąk Brada uszła siła, i wyrwał się z jego uchwytu. Tym razem jednak zostawił Johnny'ego w spokoju, natomiast przyskoczył do matki.

- Ty też! - krzyknął. - Ty też go zabiłaś!

Odwróciła się ku niemu zszokowana i zdumiona.

- Po co nas tu przysłałaś, mamó? No po co?

Wyrwał pistolet z jej nie stawiającej oporu ręki, potrzymał chwilę przed oczami, po czym skierował w lasek... tylko że lasku już nie było. W czasie tych ich przepychanek nieustannie zachodziły zmiany i stali teraz w kolczastym, nieziemskim lesie kaktusów. Nawet swąd pożaru się zmienił; teraz przypominał zapach płonącej bylicy czy innej suchorośli.

- Dave... Dave, ja...

Umilkła i tylko patrzyła na syna. On odwzajemniał jej spojrzenie z twarzą tak samo pobladłą i ściągniętą. Brad uzmysłowił sobie, że nie tak dawno chłopiec stał roześmiany na trawniku przed domem i rzucał frisby. Twarz Dave'a zaczęła się wykrzywiać. Szczeka mu opadła i otworzył usta. Pomiedzy wargami wisiały błyszczące nitki śliny. Zaczął lkać. Matka objęła go ramieniem i kołysała.

- No, już dobrze - powiedziała. Oczy miała jak gładkie ciemne kamienie na dnie wyschniętej rzeki. - No, już dobrze. Już dobrze, kochanie. Mama jest z tobą, już dobrze.

Johnny stanął z powrotem na ścieżce. Rzucił okiem na martwego zwierza - który migotał teraz, jakby go przesłaniało powietrze znad paleniska, i wypuszczał strumyki gęstego, różowego płynu - a potem spojrzal na matkę i jej ocalałego syna.

- Cammie - odezwał się. - Pani Reed. To nie ja zabiłem Jima. Przysięgam. Zdarzył się...

- Cicho - przerwała, nie patrząc na niego. Dave przerastał ją o głowę i ważył pewnie z trzydzieści kilogramów więcej, lecz kołysała go z taką łatwością jak pewnie w czasach, kiedy był niemowlakiem z kolką brzuszna. - Nie chcę tego słuchać. Nie obchodzi mnie, jak to się stało. Po prostu wracajmy. Chcesz wracać, Davidzie?

Pokiwał głową, nie podnosząc jej i wciąż łkając na ramieniu matki.

Teraz Cammie zwróciła swe straszliwie martwe spojrzenie ku Bradowi.

- Weź mojego drugiego chłopca. Nie zostawimy go tu z tym czymś. - Spojrzała na dymiące i cuchnące truchło kuguara, a potem znów na Brada. - Masz go przynieść do domu, rozumiesz?

- Jasne, proszę pani - odparł Brad. - Rozumiem jak najbardziej.

7

Tom Billingsley stał w kuchennych drzwiach, wyglądając w gęstniejący mrok swego podwórka i usiłując wywnioskować coś z dźwięków dobiegających od strony ogrodzenia. Kiedy czyjeś palce postukały go w ramię, omal nie dostał zawału.

W dawniejszych latach odwróciłby się i zgrabnym ciosem pięści lub łokcia znokautował intruza, nie pytając o nazwisko, ale szczupły młody człowiek dysponujący ową szybkością i zręcznością już nie istniał. Doktor zadał więc cios, jednak rudowłosa kobieta w niebieskich szortach i bluzce bez rękawów zdążyła się usunąć, artretyczna zaś pięść Toma znokautowała jedynie powietrze.

- Boże, kobieto! - zakrzyknął.

- Przepraszam bardzo - powiedziała Audrey Wyler. Jej ładna zwykle twarz wyglądała mizernie. Na lewym policzku miała siniak w kształcie dłoni; opuchnięty nos zalepiała zaschnięta krew. - Chciałam coś powiedzieć, ale doszłam do wniosku, że to cię jeszcze gorzej wystraszy.

- Co ci się stało, Aud?

- To teraz nieistotne. Gdzie są inni?

- Część poszła do lasu, część jest u Carverów. Tam... - Przerwało mu wycie. Czerwień zachodu dogasała, pozostawiając po sobie już tylko spopielalą pomarańczową poświatę. - Z tego, co tu słyhać, chyba nie za dobrze się tam dzieje. Ciągłe krzyczą. - Billingsleyowi coś się przypomniało. - Gdzie jest Gary?

Audrey usunęła się na bok i pokazała mu Gary'ego. Leżał w drzwiach salonu. Stracił przytomność, nie wypuściwszy z ręki dłoni martwej żony. Teraz, gdy wrzaski i krzyki z zarośli ucichły - przynajmniej na razie - słyhać było jego chrapanie.

- To Marielle tam pod przykryciem? - spytała Audrey.

Tom skinął głową.

- Musimy się połączyć z resztą, Tom. Zanim znów się zacznie. Zanim tamci wrócą.

- Czy ty rozumiesz, co się w ogóle tutaj dzieje, Aud?

- Przypuszczam, że nikt do końca nie rozumie, ale pewne rzeczy wiem.

Przycisnęła dłoń nasadą do skroni i przymknęła oczy. Wygląda - pomyślał Tom - jak studentka matematyki zmagająca się z jakimś ciężkim równaniem. Audrey opuściła ręce i spojrzała na niego.

- Idźmy do Carverów - dodała. - Powinniśmy być wszyscy w jednym miejscu.

- A co z nim? - Doktor wskazał podbródkiem chrapiącego Sodersona.

- Nie damy rady go ponieść, a nawet gdyby, to go nie przetrzucimy przez płot Carverów. Dobrze będzie, jeżeli tobie uda się przejść.

- Pewnie, że się uda - rzekł Tom, nieco urażony. - O mnie się nie martw, Aud. Poradzę sobie.

W lasku znów rozległ się krzyk i kolejny strzał, a potem wycie konającego zwierzęcia. W odpowiedzi podniósł się skowyt chyba tysiąca kojotów.

- Nie powinni byli wychodzić - stwierdziła Audrey. - Rozumiem, dlaczego wyszli, ale to był bardzo zły pomysł.

Stary Doktor pokiwał głową.

- Teraz pewnie i oni już to wiedzą - rzekł.

8

Peter dotarł do rozwidlenia ścieżki i spojrzał na rozciągającą się dalej pustynię, w blasku wschodzącego księżyca połyskującą kościaną bielą. Potem opuścił wzrok i ujrzał przyszpilonego do kaktusa człowieka w panterkowych spodniach.

- Cześć... przyjacielu - powiedział.

Odsunął wózek włóczęgi, żeby móc usiąść obok niego. Kiedy oparł się o kaktus, nabijając się plecami na jego kolce, usłyszał krzyk, strzał i skowyt konania. Gdzieś daleko. Nic ważnego. Położył rękę na ramieniu martwego menela. Uśmiechy mieli identyczne.

- Cześć... przyjacielu - rzekł ceniony ongiś specjalista od Jamesa Dickeya.

Zwrócił spojrzenie na południe. Z jego oczu nic już niemal nie pozostało, ale zdołał jeszcze zobaczyć idealnie okrągły księżyc, wstający ponad ostrymi kłami kredkowych gór. Błyszczał srebrno, niczym spód staromodnego zegarka kieszonkowego, a na jego powierzchni widniała uśmiechnięta, puszczająca oko twarz Pana Księżyca z dziecięcych wierszyków o Mamie Gąsce.

Z tym wyjątkiem, że ta wersja Pana Księżyca miała na głowie kowbojski kapelusz.

- Cześć... przyjacielu - rzekł do niego Peter i oparł się mocniej o kaktus.

Nie czuł, jak przerośnięte kolce dziurawią mu płuca, nie czuł wypływających z ust pierwszych strużek krwi. Był z przyjacielem. Był z przyjacielem i wszystko się ułożyło; siedzieli sobie, patrząc na Pana Kowboja Księżycyca i było dobrze.

9

Dzień tracił światło w tempie, które przypominało Johnny'emu tropiki, toteż wkrótce kolczasty pejzaż wokół nich rozplynął się w czerni. Ścieżka była na razie pusta - wila się wśród cieni szarą wstęgą około sześćdziesięciocentymetrowej szerokości - gdyby jednak nie wzeszedł księżyc, znaleźliby się w jeszcze większych opalach niż obecnie. Johnny oglądał poranną prognozę pogody i wiedział, że księżyc powinien być w nowiu, a nie w pełni, ale w tych okolicznościach nie to było istotne.

Ruszyli ścieżką parami, niczym zwierzęta wspinające się po trapie na pokład arki Noego: Cammie ze swym ocalałym synem, potem Johnny z Bradem (między nimi kołysało się ciało Jima Reeda), a z tyłu Cynthia i długowłosa imieniem Steve. Dziewczyna niosła karabin Steve'a, więc kiedy z kolczastych zarośli na lewo od drogi wyskoczył kojot - koszmar obrzydliwszy jeszcze od kuguara - to ona właśnie załatwiła sprawę.

Księżyc tworzył wokół nich fantastyczną płataninę cieni i Johnny'emu wydawało się przez chwilę, że kojot to jeden z nich. Brad jednak krzyknął: "Hej, uważajcie!", a Cynthia od razu strzeliła. Siła odrzutu zbilaby ją z nóg jak kręgiel, lecz hipis zdążył ją przytrzymać za tył spodni.

Kojot zawył i fiknął kozła, wierzgając nierównej długości nogami. Dzięki księżycowi Johnny dostrzegł na końcach jego łap wypustki, odrażająco podobne do ludzkich palców, a na szyi kołnierz z pasa ładowniczego. Towarzysze stwora podnieśli chóralny skowyt - mógł to być lament, lecz równie dobrze śmiech.

Kojot od razu zaczął się rozkładać; palczaste łapy poczerniały, klatka piersiowa się zapadła, oczy wpadły do środka jak kamienne kulki. Z jego sierści unosił się cuchnący opar. Chwilę później z przechodzącego w stan płynny truchła wypłynęły strumyczki różowej mazi.

Johnny z Bradem ostrożnie położyli ciało Jima na ziemi. Pisarz wziął karabin i dźgnął lufą zwłoki stwora. Aż zamrugał ze zdumienia (umiarkowanego zdumienia; zdolność do jakiejś silniejszej reakcji emocjonalnej chyba już go opuściła), ponieważ lufa przebiła pociemniałą skórę zwierzęcia, nie napotykając najmniejszego oporu.

- Jakbym dźgał dym z papierosa - rzekł, zwracając broń Cynthii. - Jego w ogóle tutaj nie ma. Mnie się zdaje, że tego wszystkiego też tak naprawdę nie ma.

Steve Ames stanął przed pisarzem i ująwszy jego dłoń, położył ją sobie na ramieniu.

Johnny dotknął rzędu poszarpanych dziurek, które pozostawiły pazury kuguara, i przez nasiąkniętą koszulę poczuł pod palcami krwawą miazgę.

- To coś, co mnie tak załatwiło, nie było zrobione z dymu - rzekł Steve.

Johnny już miał mu odpowiedzieć, kiedy jego uwagę przykuło jakieś dziwne grzechotanie. Przypominało trochę odgłos naczynia do mieszania koktajli w barach jazzowych jego młodości. To były lata pięćdziesiąte, czasy, gdy żaden członek prestiżowego klubu nie miał prawa urznąć się bez krawata. Odgłos dobiegał od Dave'a Reeda, stojącego sztywno obok matki. Wydawały go jego zęby.

- Chodźcie - ponaglił Brad. - Wynośmy się stąd w cholere, póki coś jeszcze się nie pojawi. Nietoperze, wampiry albo...

- Uspokój się w tej chwili - przerwała mu Cynthia. - Ostrzegam cię, wielkoludzie.

- Przepraszam. - I Brad zaraz dodał łagodnie: - Rusz się Cammie, co?

- Ty mi nie będziesz rozkazywał! - odparła gniewnie.

Otoczyła ramieniem talię Dave'a. Równie dobrze mogła obejmować sztabę żelaza - uznał Johnny. - Gdyby nie ta jego trzęsawka, oczywiście. I ta dziwna historia z zębami.

- Nie widzisz, że on jest śmiertelnie przerażony?

W ciemnościach znów rozległo się zawodzenie kojotów. A smród tego, którego zastrzeliła Cynthia, stawał się nie do zniesienia.

- Widzę, Cammie - odparł Brad cichym, uprzejmym głosem. Mógłby zarobić krocie jako psychoterapeuta, pomyślał Johnny. - Ale albo się ruszysz, albo pójdziemy dalej bez ciebie. Musimy dostać się do domu. Musimy się ukryć. Rozumiesz to przecież, prawda?

- Tylko zabierzcie mojego drugiego chłopca - rzuciła ostro. - Nie zostawicie go tu na ścieżce dla tych... nie zostawicie go i już. Nie!

- Zabierzemy go. - Głos Brada nadal brzmiał uspokajająco. Pochylił się i dźwignął Jima Reeda za nogi. - Prawda, John?

- Jasne - odparł pisarz, zastanawiając się, co do świtu zostanie z nieszczęsnego Colliego Entragiana...

Zakładając oczywiście, że w ogóle będzie jakiś świt. Matki Colliego tu nie było, nie miał się o niego kto upomnieć.

Cammie przyglądała się, jak podnoszą ciało jej syna, po czym wspięła się na palce i szepnęła coś Dave'owi do ucha. Chyba wiedziała, co mówi, gdyż chłopak znów zaczął iść.

Przeszli zaledwie parę kroków, gdy przed nimi rozległ się znów stłumiony trzask, czy raczej chrzęst stóp na piaszczystym podłożu, a po nim przyciszony, gniewny okrzyk bólu. Dave Reed kwiknął przeraźliwie niczym aktorka w kiepskim horrorze. Ten dźwięk, bardziej nawet niż odgłosy nieznanych istot w lesie, spowodował, że jądra Johnny'ego niemal schowały się w pachwinach. Kątem oka zauważył, jak Steve chwyta za lufę strzelby, podniesionej przez Cynthię do strzału. Hipis pchnął lufę w dół, mówiąc cicho do dziewczyny, by zaczekała chociaż chwilę.

- Nie strzelajcie - usłyszeli głos, dobiegający z gmatwaniny cieni przed nimi, nieco z lewej. Johnny znał ten głos. - My swoi. Tylko spokojnie. Dobrze?

- Billingsley? - Johnny, który niemal upuścił już swoją stronę ciała Jima Reeda, poprawił teraz chwyt, pomimo bolących rąk i barków.

Jeszcze zanim usłyszeli przed sobą te odgłosy, przypomniało mu się coś z "Intruza". Faulkner napisał tam, że ludzie zaraz po śmierci robią się ciężsi. Zupełnie jakby grawitacja, ten głupi złodziej, nie znalazła innego sposobu na podkreślenie faktu swego istnienia.

- Doktorze, to pan?

- Tak jest. - Z mroku wyłoniły się dwie sylwetki i podeszły ostrożnie. - Nadziałem się na jakiś przekłety kaktus. Skąd się w Ohio wzięły kaktusy?

- Doskonale pytanie - stwierdził Johnny. - Kto tam z tobą jest?

- Audrey Wyler z przeciwka - odezwała się kobieta. - Wyjdźmy już z tego lasu, dobrze?

Johnny poczuł nagle pewność, iż nie da rady donieść Jima Reeda aż do domu Carverów, nie mówiąc już o pomaganiu Bradowi przy taszczeniu go przez płot. Rozejrzał się.

- Steve? Mógłbyś mnie na trochę zastą... - przerwał, przypomniawszy sobie taniec hipisa z picassowskim kuguarem. - Dupa tam... nie możesz, prawda?

- O Jee... zus - Tom Billingsley wypowiedział to słowo w dwóch częściach, skrzecząc przy drugiej, jakby przechodził mutację. - Który to z nich?

- Jim - odparł Johnny. I dodał, widząc, iż Tom robi krok w jego stronę: - Ty nie możesz, Tom. Jeszcze dostaniesz zawału albo co.

- Ja pomogę - Audrey podeszła bliżej. - Tylko już chodźmy.

10

Steve zauważył, że stary weterynarz i kobieta z przeciwka weszli na ścieżkę dokładnie w tym samym miejscu co oni z Entragianem. Zamiast zużytych baterii leżała tu teraz na wpół zagrzebana w piasku krowia czaszka, a torebkę po chipsach zastąpiła zardzewiała podkowa. Ale opakowanie od kart baseballowych się nie zmieniło. Steve pochylił się, by je podnieść, po czym przyjrzał się papierowi w świetle księżyca. Karty marki Upper Deck,

na okładce Albert Belle, z uniesionym za głowę kijem i spojrzeniem drapieżnika. Steve uzmysłowił sobie coś dziwnego: to nie kaktusy, krowia czaszka czy nawet cudaczny zwierz z wąwozu były tu czymś obcym, tylko to opakowanie. I my wszyscy - pomyślał. - To my stanowimy tu teraz anomalie.

- O czym myślisz? - zapytała Cynthia.

- O niczym.

Wypuścił opakowanie z ręki. W połowie drogi do ziemi papier nagle rozprostował się, wybrzuszył jak żagiel i z jasnozielonego (na jaki wyglądał w świetle księżyca) zmienił się w biały. Steve'owi zaparło dech. Cynthia, która akurat sprawdzała ścieżkę za nimi, odwróciła się prędko.

- Co jest?

- Widziałaś?

- Nie. Co?

- To.

Hipis podniósł papier z ziemi. Opakowanie kart zmieniło się w kartkę chropawego papieru. Wyzierała z niej nie ogolona twarz bandyty o półprzymkniętych oczach pod obwisłymi brwiami. POSZUKIWANY - obwieszczał plakat. - ZA MORDERSTWO, NAPAD NA BANK, NAPAD NA POCIĄG, KRADZIEŻ FUNDUSZY REZERWATU, NĘKANIE I TERRORYZOWANIE OBYWATELI, ZATRUCIE STUDNI MIEJSKICH, KRADZIEŻ BYDŁA, KRADZIEŻ KONI, NIELEGALNE ZAJMOWANIE DZIAŁEK. To wszystko nad portretem złoczyńcy. A pod spodem, wielkimi czarnymi literami, jego nazwisko: JEBEDIAH MURDOCK.

- No nie, bez jaj - rzekła cicho Cynthia.

- O co ci chodzi?

- To nie jest prawdziwy bandzior, tylko aktor. Widziałam go w telewizji.

Steve podniósł głowę i ujrzał, że pozostali znacznie się oddalili. Wziął Cynthię za rękę i pospieszyli za nimi.

Tak dyndał sobie w arkadzie pomiędzy norą i salonem, ledwie dotykając dywanu brudnymi palcami stóp Setha. Oczy jarzyły mu się gorączkowo, wciągał powietrze do płuc chłopca urywanymi haustami. Włosy Setha stały dęba, nie tylko na głowie, ale na całym ciele. Ilekroć ten delikatny puszek otarł się o ścianę, rozlegał się cichy trzask. Muskuly w ciele chłopca nie tyle drgały, co dosłownie grały.

Śmierć gliniarza wyrwała Taka z jego telewizyjnego transu i błyskawicznie, instynktownie skoczył, by wysać z niego energię. Dotarł do granicy swego zasięgu, a potem jeszcze dalej, rzuciwszy się po zdobycz niczym piłkarz usiłujący wykopać w pole piłkę, która wyszła już na aut. I udało się! Energia wybuchła we wnętrzu stwora jak bomba; opadła kolejna bariera i poczuł, że jest tak blisko tego szczególnego centrum Setha Garina jak jeszcze nigdy. Nie całkiem w nim - ale niezwykle blisko.

Poszerzyła się gwałtownie również jego percepcja. Ujrzał chłopaka z dymiącym rewolwerem w dłoni, zrozumiał, co się wydarzyło, odczuł jego przerażenie i poczucie winy. Pojął, jaki to potencjał. Bez zastanowienia - Tak właściwie nie myślał - wskoczył do umysłu Jima Reeda. Na tę odległość nie był w stanie zawiadywać nim w sensie fizycznym, jednak w zabezpieczeniach strzegących emocjonalnego pancerza chłopca nastąpiło zwarcie i ta jego część stała otworem. Tak dysponował zaledwie sekundą - najwyżej dwiema - by dostać się do środka i powłączyć wszystkie przyciski, ładując Jima w sprzężeniu zwrotnym. Sekunda mu wystarczyła. Chłopak pewnie zrobiłby to tak czy inaczej. W końcu Tak wzmocnił jedynie emocje, które już były w nim obecne.

Uwolniona przez samobójstwo Jima energia rozpalila Taka niczym pochodnię i napięła jego pożyczzone nerwy do granic wytrzymałości. Napłynęła falą, świeża - i młoda -

uzupełniając potężne zasoby, które do tej pory zużył. Wisiał więc teraz sobie w przejściu, bucząc cicho, naładowany do maksimum i gotów dokończyć dzieło.

Najpierw jeść. Był głodny jak wilk. Tak przepłynął na środek salonu i zatrzymał się.

- Ciociu Audrey? - zawołał głosem Setha. Pewnie dlatego tak słodkim, że mało używanym. - Ciociu Audrey, gdzie jesteś?

Nie ma jej, wyczuł to od razu. Ciocia Audrey potrafiła - z pomocą Setha - zablokować czasem swój umysł, ale nigdy nie ten stały puls świadczący o istnieniu owego umysłu - jego obecności. Teraz ten puls zniknął, ale tylko z domu. Może poszła do tamtych, chyba tak, ale na pewno nie dalej. Ponieważ ulicę Topolową otaczała teraz pustynia Nevady... chociaż nie była to prawdziwa Nevada, raczej Nevada umysłu, powołana do istnienia z wyobraźni Taka. Z pomocą Setha oczywiście. Niczego nie byłby w stanie uczynić bez Setha.

Tak zawrócił do kuchni. To chyba bardzo dobrze, że ciocia Audrey zniknęła. Będzie teraz łatwiej kontrolować Setha; zmniejszy to prawdopodobieństwo, iż zacznie w najważniejszym momencie stwarzać problemy. Nie to, żeby ten mały facecik stanowił w ogóle jakiś problem; miał swoją moc, ale w krytycznych chwilach bywał bezradny.

Początkowo przypominało to zapasy równych sobie przeciwników... tyle że tak naprawdę nie byli równi. Na dłuższą metę surowa siła nigdy nie dorówna zręczności, Tak zaś miał na dopracowanie swych sztuczek i podstępów całe tysiąclecia. A teraz krok po kroku zdobywał przewagę, używając przeciwko Sethowi Garinowi jego własnej niezwyklej mocy - podobnie jak zręczny mistrz karate walczący z silniejszym, lecz głupszym przeciwnikiem.

Seth? - zawołał, sterując w stronę lodówki. - Seth, gdzie jesteś, kumplu?

Przez sekundę myślał nawet, że Seth zniknął... tylko że to było niemożliwe. Byli teraz spleceni w jedno, jak syjamscy bracia zrosnięci kręgosłupami. Gdyby Seth opuścił ciało, cały jego autonomiczny układ nerwowy - serce, płuca, wydalanie, odbudowa tkanek, fale mózgowe - przestałby funkcjonować. Tak miałby na niego wpływ nie większy, niż ma

astronauta na tysiące skomplikowanych urządzeń, które najpierw wynoszą go w kosmos, a potem utrzymują tam w niezmiennym środowisku. Seth stanowił komputer; bez komputera jego operator umrze. W wypadku Seta samobójstwo nie wchodziło jednak w grę. Tak był w stanie powstrzymać go przed tym, równie skutecznie jak doprowadzić Jima Reeda do jego popełnienia. Poza tym wyczuwał, iż Seth wcale nie pragnie się zabić. W gruncie rzeczy jakaś część Seta nie chciała nawet uwalniać się od Taka. To przecież Tak wszystko zmienił. To od niego Seth dostał Wozy Mocy, które nie były zwyczajnymi zabawkami; to od niego dostał filmy, które działały naprawdę; to Tak wychywał z Chińskiej Jamy z parą butów kowbojskich pasujących jak ulał na nogę małego, samotnego chłopczyka. Któż mógłby pragnąć, by taki magiczny przyjaciel go opuścił? Zdając sobie w dodatku sprawę, że jeśli ten wypróbowany towarzysz sobie pójdzie, trzeba będzie wrócić do celi w gułagu własnej czaszki?

Seth? - zawołał jeszcze raz Tak. - Gdzie jesteś, mój ty źrebaczku?

Wreszcie, głęboko w plątaninie tuneli, jam i zapadni, skonstruowanej przez chłopca (przez tę jego część, która nie chciała Taka, przerażona zagnieżdżonym we własnej głowie intruzem), Tak pochwycił ślad dobrze mu znanego pulsowania.

Obecność!

To Seth, bez dwóch zdań. Ukrywa się. Pewien, że Tak nie może go zobaczyć, usłyszeć, wywęszyć. Rzeczywiście nie mógł. Lecz puls był stale obecny, niczym sygnał sonaru, więc gdyby Tak potrzebował Seta, zawsze może go wytropić i wyciągnąć z ukrycia. Chłopiec nawet o tym nie wiedział. A jeśli dobrze się wywiąże ze swych obowiązków małego pomocnika kowboja, może nigdy nie będzie musiał wiedzieć.

Tak jest, szeryfie - pomyślał, otwierając lodówkę - jestem prawdziwą, jednoosobową strażą obywatelską. Ale nawet tacy regulatorzy jak ja muszą jeść. Żreć im się chce jak nie wiem co, takim regulatorom, kiedy tak ścigają tych koniokradów i bandytów, co to napadają na banki.

Na górnej półce stało świeże mleko czekoladowe. Umorusanymi rękami Setha Tak zdjął wysoki, biały dzbanek z półki i postawił go na blacie szafki, po czym zlustrował zawartość szuflady na mięso. Leżały tam hamburgery, lecz Tak nie umiał gotować, a baza danych w mózgu Setha nie zawierała oczywiście żadnych informacji na ten temat. Tak nie miał nic przeciwko jedzeniu surowego mięsa - nawet je lubił - lecz dwa czy trzy razy ciało Setha zareagowało na surowego hamburgera niestrawnością. W każdym razie ciocia Audrey twierdziła, że to właśnie mu zaszkodziło, i chyba nie kłamała (choć z ciocią Audrey nigdy nie można być do końca pewnym). Ostatnim razem było najgorzej - wymioty i sraczka przez całą noc. Tak opuścił lokal na ten czas, sprawdzając tylko raz po raz, czy nikt mu nie wykręca jakiegoś numeru. Nienawidził czynności wydalniczych Setha, nawet gdy odbywały się normalnie, tamtej nocy zaś daleko im było do tego.

Więc z hamburgera nici.

Ale były kielbaski i parę plasterków porcjowanego sera - tego żółtego, który szczególnie lubił. Użył więc rąk Setha, by zgromadzić to wszystko na blacie, a potem siłą niezwykłego umysłu, który dzielił z chłopcem, sprowadził drogą powietrzną z szafki naprzeciwko plastikowy kubek od McDonalda. Podczas gdy przygotowywał sobie kanapkę z białego chleba obłożonego wędliną i serem oraz górą musztardy, plastikowy dzbanek uniósł się, przechylił i napełnił mlekiem kubek z wyblakłym obrazkiem Charlesa Barkleya walczącego z Diabłem Tasmańskim.

Tak wypił połowę zawartości czterema wielkimi łykami, beknął i pochłoniął resztę.

Wgryzając się w kanapkę i nie zważając na kleksy musztardy padające na brudne stopy chłopca, nalał mocą umysłu następny kubek. Przelknął, ugryzł, mlasnął; przelknął, popił, beknął. Kiszki powoli przestawały mu grać marsza. Cały problem z tym telewizorem - szczególnie gdy leciały "MotoGliny" albo "Regulatorzy" - był taki, że film wciągał Taka, który zanurzał się w te potężne fantazje i zapominał nakarmić ciało Setha. A potem obaj umierali z głodu, więc nie dało się myśleć ani planować, a co dopiero działać.

Stwór dopił drugą porcję czekoladowego mleka, przechylając kubek wysoko, by wysączyć co do kropli, po czym cisnął go do zlewu obok reszty brudnych naczyń.

- Nie ma to jak podjąć sobie przy ognisku, co Tatu? - zakrzyknął, imitując po mistrzowski głos Małego Joego Cartwrighta, po czym z nie dojedzoną kanapką w ręce pozęglował ku drzwiom, jak balon o kształtach małego chłopca.

Przez okna salonu sączyło się światło księżyca. Za oknem nie było już ulicy Topolowej. Zastąpiła ją ulica Główna w miasteczku Desperation w Nevadzie; tak wyglądała w roku tysiąc osiemset pięćdziesiątym ósmym, dwa lata po tym, jak nieliczni pozostali tu poszukiwacze złota odkryli, iż uciążliwa błękitna glina, którą wciąż wykopują na swych działkach, to w istocie ruda srebra... i podupadłe miasto wróciło do życia za sprawą posiadaczy dzikich sztolni, rozczarowanych złotodajnymi polami Kalifornii. Inny kraj, te same stare ambicje: jak najszybciej wyrwać śpiącej ziemi jak największą fortunę. Tak nie miał o tym wszystkim pojęcia i z pewnością nie wychwycił tego wątku z "Regulatorów" (kręconych zresztą w Kolorado, nie w Nevadzie); tę informację Seth otrzymał od człowieka nazwiskiem Allen Symes, na krótko przed spotkaniem Taka. Według Symesa to właśnie w tysiąc osiemset pięćdziesiątym ósmym zawałił się Grzechotnik Jeden. Po drugiej stronie ulicy, na miejscu domów Jacksonów i Billingsleya stały teraz Chińska Pralnia Lu-shana i sklep Towary Sypkie Worella. Miejsce domu Hobartów zajął zaś Skład Towarów Różnych Okręgu Owl i choć Tak nadal czuł swąd pożaru, budynek sklepu nie miał ani jednej zwęglonej deski.

Tak odwrócił się i zobaczył na podłodze jeden z Wozów Mocy. Furgonetka kryła się niemal w całości, jakby bojaźliwie, za kanapą. Uniósł ją i posterował poprzez pokój, zatrzymując przed ciemnobrązowymi oczami Setna. Wisiała w powietrzu z obracającymi się z wolna kołami, a Tak kończył kanapkę. Był to Wóz Sprawiedliwości. Tak żałował czasem, że jego właścicielem, zamiast Pułkownika Henry'ego, nie jest Mały Joe Cartwright. Wówczas szeryf Streeter z "Regulatorów" mógłby się przenieść do Virginia City i zamiast na koniu, usiąść za kierownicą błękitnej Wolności. Streeter i Jeb Murdock -

który, jak się okazało, wcale nie zginął, lecz był jedynie ranny - zostaliby przyjaciółmi... i zaprzyjaźniliby się też z Cartwrightami... a potem dołączyłby do nich z pastwisk Nowego Meksyku Lucas McCain z synem... a...

- A ja bym został Tatkiem - szepnął stwór. - Panem na Ponderosie i najpotężniejszym człowiekiem na całym terytorium Nevady. Ja.

Uśmiechnięty, wykonał Wozem Sprawiedliwości dwa piękne okrążenia wokół głowy Setha Garina. A potem oczyścił umysł z marzeń. Piękne to marzenia, może nawet osiągalne, gdyby udało się wyciągnąć dość energii z ludzi po drugiej stronie ulicy - tej energii, która uwalniała się z nich, gdy padali martwi.

- No, chyba już czas - powiedział na głos. - Kowboje, czas na spęd bydła.

Zamknął oczy i posługując się obwodami pamięci Setha, zwizualizował Wozy Mocy - szczególnie Mięsovóz, który miał poprowadzić atak. Pusta Twarz za kierownicą, Hrabina Lili jako pilot, a w wieżyczce strzeleckiej Jeb Murdock - dlatego, że był z nich wszystkich najpodlejszy.

Z przymkniętymi oczami, ze świeżą mocą rozjaśniającą jego umysł niczym fajerwerki w Dniu Niepodległości Tak rozpoczął operację ładowania. Chwilę musiało to potrwać, ale sprawy zaszły już tak daleko, że moment zwłoki był tu bez znaczenia.

Już wkrótce przybędą regulatorzy.

- Szykujcie się, ludziska - wyszeptał. Sztywno wyciągnięte ramiona Setha drżały; jego dłonie zacisnęły się w pięści. - Szykujcie się lepiej, bo zaraz wymażemy to miasto z mapy.

[Allen Symes pracował dla Kompanii Górniczej "Ziemskie Głębie" na stanowisku inżyniera geologa kopalnianego przez dwadzieścia sześć lat, od tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego do końca dziewięćdziesiątego piątego roku. Wtedy tuż przed Bożym Narodzeniem przeszedł na emeryturę i przeprowadził się do Clearwater na Florydzie, gdzie zmarł na zawał dziewiętnastego września dziewięćdziesiątego szóstego

roku. Poniższy dokument znalazła w biurku Symesa jego córka. Znajdował się w zaklejonej kopercie z napisem: " Dotyczy dziwnego incydentu w Chińskiej Jamie. Przeczytać po mojej śmierci".

Dokument ten przedstawiony zostaje niniejszym w oryginalnym brzmieniu. Wyd.]

27 października 1995

Do wszystkich zainteresowanych:

Piszę z trzech powodów. Po pierwsze, chcę wyjaśnić coś, co wydarzyło się piętnaście miesięcy temu, latem dziewięćdziesiątego czwartego roku. Po drugie, mam nadzieję złagodzić wyrzuty sumienia, które nieco się uspokoiło, lecz gnębi mnie znów dość poważnie, odkąd napisała do mnie niejaka pani Wyler z Ohio, a ja odpowiadając jej, skłamałem. Nie wiem, czy samo napisanie czegokolwiek w nadziei, iż ktoś to kiedyś przeczyta, wystarczy, by uspokoić sumienie, ale sądzę, że warto spróbować; poza tym po przejściu na emeryturę być może komuś to pokażę... możliwe, że nawet samej pani Wyler. Po trzecie, wciąż nie mogę usunąć z pamięci tego małego chłopca i tego jego uśmiechu. Tego uśmiechu.

Oklamałem panią Wyler, ponieważ chciałem chronić firmę i nie stracić roboty, ale przede wszystkim dlatego, że miałem taką możliwość. Dwudziestego czwartego lipca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego czwartego roku wypadło w niedzielę, teren był zupełnie pusty i byłem jedyną osobą, która ich widziała. Mnie również by tam nie było, gdybym nie musiał nadrobić papierkowej roboty. Jeśli komuś się wydaje, że zawód inżyniera geologa kopalnianego wiąże się z samymi atrakcjami i podróżowaniem, powinien zobaczyć tony sprawozdań i formularzy, które muszę co roku przeorać.

W każdym razie akurat kończyłem pracę, kiedy zajechało przed biuro volvo kombi i wysiadła z niego cała rodzinka. Muszę powiedzieć, że jeszcze nigdy w życiu nie widziałem ludzi równie podekscytowanych, chyba tylko w cyrku. Wyglądali tak, jakby właśnie wygrali wycieczkę w konkursie audiotele!

Była ich piątka: Tata (brat tej kobiety z Ohio, jak się okazało), Mama, Starszy Brat, Starsza Siostra i Mały Braciszek. M. B. wyglądał na jakieś cztery latka, dopiero z listu pani Wyler (dostałem go w lipcu tego roku) dowiedziałem się, że był trochę starszy, tylko nie wyrosnięty.

Zobaczyłem ich przez okno, siedząc przy biurku nad rozłożonymi papierami. Bardzo wyraźnie ich widziałem. Przez chwilę kręcili się przy samochodzie i pokazywali sobie nasyp na południe od miasta; podnieceni, aż im uszy falowały, a potem ten mały zaciągnął ojca pod nasz biurowy barakowóz.

Wszystko to działo się w biurze stanowym "Ziemskich Głębi" w Nevadzie, mieszczącym się właśnie w podwójnym barakowozie, jakieś cztery kilometry od głównej trasy (szosy numer pięćdziesiąt), pod Desperation, miasteczkiem znanym w okresie wojny secesyjnej z kopalni srebra. Obecnie prowadzimy roboty głównie w tzw. Chińskiej Jamie, skąd wydobyła się miedź. "Zieloni" oczywiście nazywają to "rabunkową eksploatacją"; nie jest aż źle, jak oni to przedstawiają.

W każdym razie Mały Braciszek zaciągnął ojca na schodki barakowozu i usłyszałem, jak mówi: "Zapukaj, tatusiu, tam ktoś jest, wiem, że tam ktoś jest". Tatuś wyglądał na zaskoczonego jak diabli, chociaż nie wiedziałem dlaczego, przecież mój samochód był zaparkowany od frontu, stał tam jak wół. Potem się zorientowałem, że nie chodziło o to, co ten bachor powiedział, tylko o to, że w ogóle coś powiedział!

Ojciec patrzył, co powie reszta rodziny, a oni wszyscy to samo: "Zapukaj do drzwi, zapukaj do drzwi!" Podekscytowani jak licho. Zabawne to było i nawet sympatyczne. Sam też byłem ciekaw, przyznając się bez bicia. Widziałem ich tablice i nie mogłem pojąć, co rodzina z Ohio robi na takim zadupiu jak Desperation w niedzielę po południu. Gdyby

tatusiowi nie starczyło odwagi, żeby zapukać, sam miałem zamiar wyjść do nich i trochę pogadać. Ciekawość to pierwszy stopień do piekła, ale i do wiedzy, jak to się mówi.

Ale zapukał, a jakże, i gdy tylko otworzyłem drzwi, bachor wpadł do środka jak bomba.

Podbiegł prosto do ściany, do tablicy informacyjnej, na której później Sally powiesiła list pani Wyler z wielką adnotacją na czerwono: "Czy ktoś może pomóc tej kobiecie?"

Dzieciak zaczął stukać palcem w zdjęcia lotnicze Chińskiej Jamy, które wtedy tam przyczepiliśmy. Żeby zrozumieć, jakie to niesamowite, trzeba było to widzieć, ale musicie mi uwierzyć na słowo. Pokazywał te zdjęcia po kolei, jakby bywał w naszym biurze dziesiątki razy.

"Tutaj jest, tatusiu! -zawołał. - 'Tutaj, tutaj! To ta kopalnia, ta kopalnia srebra!"

"No cóż - powiedziałem, trochę ubawiony - to jest miedź, synku, nie srebro, ale prawie trafiłeś".

Pan Garin zrobił się czerwony, spojrzał na mnie i mruknął:

"Przepraszam bardzo za to wtargnięcie".

Po czym sam wtargnął do biura i wziął chłopczyka na ręce. Nie mogłem się powstrzymać od śmiechu.

Zaniósł bachora z powrotem na schody, chyba uważał, że nie powinni tak wchodzić bez zaproszenia. Byli przecież z Ohio i pewnie nie wiedzieli, że dla nas w Nevadzie to całkiem normalne zachowanie. Chłopak nie wierzgał ani nie dostał szalu, tylko cały czas wpatrywał się w te zdjęcia na tablicy. Wystawił głowę nad ramieniem ojca i gapił się takimi błyszczącymi oczami. Fajnie wyglądał, jak indiański dzieciak. Reszta rodziny stała niżej i się przyglądała. Starsze dzieciaki aż wypieków dostały z ekscytacji, mamusi też wiele nie brakowało.

Tatuś powiedział, że przyjechali z Toledo, a potem przedstawił siebie, żonę i dzieci.

"A to jest Seth - stwierdził na koniec. - Seth to szczególne dziecko".

"Na pewno wszystkie są wyjątkowe - odparłem na to i wyciągnąłem rękę: - Przybij piątkę, Seth, jestem Allen Symes".

Dzieciak przybił, całkiem żwawo. Reszta rodziny wyglądała na zaskoczoną, szczególnie ojciec, chociaż nie wiedziałem dlaczego. Mój własny tata nauczył mnie podawać rękę, kiedy miałem roczek, to nie jest jakaś wielka sztuka jak żonglowanie czy wyciąganie kart z rękawa. Ale niedługo wszystko się wyjaśniło.

"Seth chciał zapytać, czy może obejrzeć górę - powiedział pan Garin i pokazał na Chińską Jamę. Od północy wygląda faktycznie trochę jak góra. - Przypuszczam, że chodzi mu właściwie o kopalnię..."

"Kopalnię! - bachor na to. - Seth chce zobaczyć kopalnię! Zobaczyć kopalnię srebra! Hoss! Mały Joe! Adam! Hop Sing!"

Wybuchnąłem na to śmiechem; tak dawno już nie słyszałem tych imion, ale oni się nie śmiali. Gapili się tylko na tego małego, jakby to był Jezus uczący starszyznę w świątyni.

"No wiesz - mówię mu - jeżeli chcesz zwiedzić Ponderosę, to nie ma sprawy, tylko że to jest kawał drogi stąd na zachód. Są też wycieczki po kopalniach, zjeżdża się pod ziemię wagonikami. Najlepsza chyba będzie »Betty Carr« w Fallon. Po Chińskiej Jamie nie oprowadza się turystów. Ta kopalnia wciąż pracuje, poza tym nie jest taka ciekawa jak stare miejsca wydobycia srebra czy złota. Ten nasyp, który wygląda stąd jak góra, to tylko hałda na brzegu wielkiej dziury w ziemi".

"On i tak nie zrozumie większości z tego, co pan mówi - odezwał się na to Starszy Brat. - To fajny braciszek, ale nie jest za bystry".

I postukał się w skroń.

Bachor jednak złapał, o co chodzi, nietrudno było zauważyć, bo zaczął płakać. Nie darł się, tylko płakał po cichu, jak dzieciak, który zgubił coś fajnego. Pozostali też zwiesili ponuro głowy, jakby im zdechl ukochany pies. Dziewczynka nawet powiedziała coś, że Seth nigdy dotąd nie płakał. To jeszcze bardziej mnie zaintrygowało. Nie mogłem dojść, o co to chodzi z nimi, skręcało mnie z ciekawości jak wszyscy diabli. Teraz żałuję, że nie odpuściłem, ale stało się.

Pan Garin zapytał, czy może ze mną porozmawiać chwilę na osobności; odparłem, że oczywiście. Podał dzieciaka żonie, chłopczyk wciąż pochlipywał cichutko, łzy płynęły mu po policzkach i niech skonam, jeśli Starsza Siostra też nie zaczęła poplakiwać razem z nim. Garin wszedł do środka i zamknął drzwi.

Pokrótko opowiedział mi o Secie, ile się dało, ale najważniejsze było to, jak oni wszyscy go kochali. Nie to, żeby Garin coś takiego mówił (i tak mógłbym mu nie uwierzyć), ale to po prostu było widać. Powiedział, że Seth jest dzieckiem autystycznym, nigdy prawie nie wypowiedział słowa do rzeczy i nie interesował się "normalnym życiem", ale jak tylko zobaczył z szosy nasyp przy Chińskiej Jamie, rozgaworzył się jak szalony i ciągle go pokazywał palcem.

"Początkowo obracaliśmy to w żart i jechaliśmy dalej - mówił Garin. - Seth jest zwykle milczący, ale czasem go coś najdzie; June nazywa to »kazaniami«. Ale tym razem, jak zobaczył, że nie zawracamy ani nie zwalniamy, zaczął mówić. Nie słowa, tylko całe zdania. »Wracajcie, tato proszę, Seth chce zobaczyć kopalnię, Seth chce zobaczyć Hossa i Adama, i Małego Joego«".

Wiem co nieco o autyzmie, mój najlepszy przyjaciel ma brata w Sierra Four, szpitalu stanowym dla umysłowo chorych w Boulder City (niedaleko Vegas). Pojechałem tam z nim parę razy, widziałem tych autystyków na własne oczy i pewnie bym nie uwierzył Garinowi, gdybym sam ich nie spotkał. Duża część tych z Sierra Four nie tylko nie mówi; oni nawet nie chodzą. Najgorsi wyglądają jak martwi: oczy mętne, ledwie widać, że oddychają.

"On uwielbia westerny i seriale w telewizji - dodał pan Garin - i jedyne, co mi przychodzi do głowy, to że musiał mu się ten nasyp skojarzyć z czymś z »Bonanzy«".

Pomyślałem sobie, że może nawet widział naszą halę w "Bonanzie", chociaż tego chyba Garinowi nie powiedziałem. Na tych terenach kręcono dość często scenerię do starych seriali (nazywali to "podkładem"), a Chińska Jama działa od tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego siódmego roku, więc to całkiem możliwe.

"W każdym razie - mówił - to naprawdę wielki przełom, jeśli chodzi o Setha, chociaż bardziej by tu pasowało słowo »cud«. Ale to, że zaczął mówić, to jeszcze nie wszystko".

"No tak - odparłem - to jakby wrócił do życia po takim czasie, prawda?"

Pomyślałem o tych z Sierra Four, gdzie jest brat mojego kumpla. Tamci nigdy nie wracali do życia. Nawet kiedy płakali albo się śmiali czy wydawali inne odgłosy, wyglądało to jakby tylko udawali.

"No właśnie - przytaknął mi Garin. - Jakby ktoś nagle zapalił światło w jego wnętrzu. Nie wiem, czym to jest spowodowane ani jak długo potrwa, ale... czy jest w ogóle jakaś możliwość, żeby pan nam pokazał kopalnię, panie Symes? Wiem, że panu nie wolno i na pewno pańska ubezpieczalnia dostałaby szalu, gdyby się wydało, ale to by naprawdę tak wiele znaczyło dla Setha. Dla nas wszystkich, chciałem powiedzieć. Trochę mamy napięty budżet, lecz mógłbym panu zapłacić za pański czas czterdzieści dolarów".

"I za czterysta bym tego nie zrobił - odparłem. - Coś takiego robi się za darmo albo wcale. Chodzi pan. Weźmiemy łazik. Pana starszy syn może poprowadzić, jeśli nie ma pan nic przeciwko. To też jest naruszenie przepisów bhp, ale co za różnica, za co mnie wyleją".

Każdemu, kto to czyta i może już uznał mnie za głupca (i to lekkomyślnego głupca), powiem tylko, że szkoda, iż nie widzieliście, jak się wtedy rozjaśniła twarz Billa Garina. Strasznie się zmartwiłem tym, co się przydarzyło jemu i pozostałym w Kalifornii - wiem o tym tylko z listu jego siostry - ale wiercie mi, tamtego dnia był naprawdę szczęśliwy i cieszę się, że to dzięki mnie.

To było niezłe popołudnie, nawet jeszcze zanim przeżyliśmy tę "małą chwilę grozy". Garin zgodził się, żeby starszy syn, John, zawiózł nas nad wyrobisko. Czy chłopak był podekscytowany? Przypuszczam, że gdybym kandydował na stanowisko Pana Boga, młody Garin głosowałby na mnie jak nic. Byli naprawdę fajną rodziną, bardzo przywiązaną do małego, trzeba to podkreślić. To musiało być niesamowite, kiedy tak zaczął nagle mówić, ale ilu ludzi zdecydowałoby się zmienić z takiego powodu wszystkie

plany, tak pod wpływem chwili? A oni zmienili i to - z tego, co wiem - bez najmniejszej sprzeczki.

Bachor trajkotał jak najęty przez całą drogę do wyrobiska. Większość to był belkot, ale nie wszystko. Mówił w kółko o bohaterach "Bonanzy", o Ponderosie, bandytach i kopalniach srebra. I o jakimś filmie rysunkowym. "Motorowe gliny" chyba się to nazywało. Pokazał mi figurkę z tego serialu, rudą kobietę z pistoletem laserowym, który można było wyjmować z jej kabury i przytwierdzać do ręki. Ciągłe poklepywał naszego terenowca; mówił, że to "Wóz Sprawiedliwości". A na to John tak się nadał za kierownicą (piętnaście kilometrów jechał chyba z godzinę) i mówi:

"A ja jestem Pułkownik Henry. Uwaga, przed nami Korytarz Mocy!"

I wszyscy zaczęli się śmiać. Ja też, bo już i mnie się udzieliło to ich ożywienie.

Udzieliło się na tyle, że jedna rzecz, którą powtarzał, mi umknęła, dotarło to do mnie dopiero później. Mówił cały czas o "starej kopalni". Nawet jeśli coś skojarzyłem, pomyślałem chyba, że chodzi o coś z "Bonanzy", Nigdy by mi nie przyszło do głowy, że on może mieć na myśli wyrobisko Grzechotnik Jeden, ponieważ nie mógł o nim wiedzieć! Nawet mieszkańcy Desperation nie wiedzieli, że odsłoniliśmy je przy robotach strzałowych tydzień wcześniej. Cholera, przecież to dlatego miałem tyle przewalania tych papierów w niedzielę po południu, bo trzeba było napisać raport dla dyrekcji generalnej, co odkryliśmy i jakie są możliwości dalszego działania.

Kiedy sobie uzmysłowilem, że Seth Garin mógł mówić o Grzechotniku Jeden, przypomniałem sobie, iż wparował do biura, jak gdyby był tam już z tysiąc razy. Popędził prosto do zdjęć lotniczych. Aż mnie przeszedł dreszcz, ale jeszcze bardziej mnie zmroziło po czymś, co zobaczyłem, gdy już rodzina Garinów odjechała do Carson. Zaraz do tego wróć.

Kiedy dotarliśmy do podnóża hałdy, zamieniłem się z Johnem miejscami, po czym pojechałem drogą dla sprzętu, całą porządnie wysypaną żwirem i szerszą niż niejedna stanowa. Przejechaliśmy górą, a następnie zaczęliśmy zjeżdżać po drugiej stronie.

Wszyscy wydawali okrzyki zachwytu, no ale faktycznie jest to coś więcej niż zwykła dziura w ziemi. Wyrobisko ma w najgłębszym miejscu ponad trzysta metrów i przecina warstwy geologiczne sięgające jeszcze paleozoiku, czyli trzysta dwadzieścia pięć milionów lat wstecz. Porfir na przykład tworzy bardzo piękne warstwy z iskrzącymi się purpurowymi i zielonymi kryształami, które nazywamy "falszywymi granatami". Maszyny kopiące na dnie wyrobiska wyglądają z góry jak zabawki. Pani Garin żartowała, że ma lęk wysokości i kto wie, czy nie zwymiotuje, ale to wcale nie temat do żartów. Niektórzy rzeczywiście wymiotują, kiedy podejną do krawędzi i zobaczą, jaka to przepaść!

A potem ta dziewczynka (przepraszam, ale nie pamiętam jej imienia, może Louise) pokazała palcem na dół i zapytała:

"A co to jest ta dziura z żółtymi taśmami naokoło? Wygląda jak ogromne czarne oko".

"To nasze znalezisko roku - wyjaśniłem. - Sprawa jest tak poważna, że utrzymujemy to w absolutnej tajemnicy. Jeżeli się przez jakiś czas nie wygadacie, to wam powiem. Nie wygadacie się, co? Bo miałbym straszne kłopoty w pracy".

Obiecali i uznałem, że skoro są tylko przejazdem, niczym szczególnym mi to nie grozi, poza tym pomyślałem, że mały chciałby o tym posłuchać, skoro ma takiego hyzia na punkcie "Bonanzy" i w ogóle. I jak wspomniałem, nie przyszło rai wtedy w ogóle do głowy - dopiero potem - że on już może o tym wiedzieć. No bo niby skąd, na Boga jedyne?

"To jest dawne wyrobisko Grzechotnik Jeden - wyjaśniłem. - W każdym razie tak nam się wydaje. Odsloniło się w czasie wysadzania skał. Przednia część tego wyrobiska zawaliła się w tysiąc osiemset pięćdziesiątym ósmym roku".

John Garin chciał wiedzieć, co jest wewnątrz. Powiedziałem, że nie wiemy, ponieważ nikt jeszcze tam nie schodził, z powodu zakazu Komisji Bezpieczeństwa Górniczego. Pani Garin (June) zapytała, czy firma ma zamiar później coś stamtąd wydobywać, a ja odparłem, że być może, jeżeli dostaniemy odpowiednie pozwolenie. Nie okłamałem ich ani razu, ale trochę prawdy ukryłem, to fakt. Otoczyliśmy miejsce taśmami z zakazem

wstępu, zgodnie z przepisami, lecz to nie znaczyło, że KBG w ogóle wiedziała o naszym odkryciu. Odsłoniliśmy je dzięki absolutnemu przypadkowi, przy robotach strzałowych na południowej ścianie. Ktoś źle rozmieścił ładunki, więc kiedy ziemia przestała się obsuwać, opadł pył, a my zobaczyliśmy to, nie było chyba jednej osoby w firmie, która by chciała tę historię nagłośnić.

Gdyby coś się wydostało na zewnątrz, zainteresowanie z pewnością byłoby ogromne. Według różnych relacji, kiedy w kopalni nastąpił zawal, w środku zostało zasypanych żywcem czterdziestu czy pięćdziesięciu Chińczyków, a skoro tak, to nadal tam powinni być, zachowani jak egipskie mumie w piramidach. Maniacy od historii mieliby prawdziwe święto, znalazłszy ich ubrania i sprzęt górniczy, nie mówiąc już o samych ciałach. My tu na miejscu też byliśmy bardzo ciekawi, co tam jest, ale nie mogliśmy prowadzić żadnych poszukiwań bez zgody szefostwa firmy z Phoenix, lecz nikt ze znanych mi pracowników nie przypuszczał, żebyśmy ją dostali. "Ziemskie Głębie" to nie jest fundacja dobroczynna, jak się zapewne każdy z czytających te słowa orientuje, górnictwo zaś, szczególnie w dzisiejszych czasach, to branża wysokiego ryzyka. Chińska Jama przynosi zyski dopiero od dziewięćdziesiątego drugiego roku, a ludzie, którzy tu pracują, nigdy nie wiedzieli, czy kiedy rano pójdą do pracy, będą jeszcze ją mieli. Bardzo wiele zależy od ceny miedzi na giełdach (plukanie rudy jest niezwykle kosztowne), ale większe problemy związane są z ochroną środowiska. Ostatnio trochę się poprawiło, politycy trochę się odczepili, ale i tak w sądach federalnych i w okręgowym czeka na rozpatrzenie kilkanaście pozwów przeciwko nam, wniesionych głównie przez ludzi (przede wszystkim "zielonych"), którzy chcieliby zatrzymać wydobywanie. Toteż wiele osób - łącznie ze mną - uważało, że dyrekcja nie będzie chciała dodawać sobie problemów, ogłaszając wszem i wobec, że znaleźliśmy starą kopalnię, prawdopodobnie o wielkim znaczeniu historycznym. Yvonne Bateman, moja koleżanka inżynier, powiedziała zaraz po tym odstrzale, który odsłonił otwór, że "ci faceci, co to przykuwają się do drzew, zaraz by chcieli, żeby władze federalnej albo Komisja Historyczna Stanu Nevada uznała całe wyrobisko za miejsce zabytkowe i w ten

sposób skasowaliby nas na dobre, do czego zawsze przecież dążyli". Może ktoś powie, że to paranoiczne podejście (wielu by tak powiedziało), lecz kiedy się wie, tak jak ja, że od istnienia kopalni zależy utrzymanie jakichś dziewięćdziesięciu kilku rodzin, perspektywa się zmienia i człowiek staje się ostrożny.

Córka Garinów stwierdziła, że tam na pewno jest straszno, a ja przyznałem, że też mi się tak wydaje. Chciała wiedzieć, czybym tam wszedł, gdybym się z kimś założył, a ja odpowiedziałem, że nigdy w życiu. Zapytała, czy dlatego, że się boję duchów, a ja na to, że nie duchów tylko zawałów. To niesamowite, że ten chodnik jeszcze się trzyma.

Poprowadzili go przez skały krzemowe, pozostałe po wybuchu wulkanicznym, który opróżnił Wielki Basen; to jest materiał bardzo wrażliwy na wstrząsy, nawet jeżeli nie strzela się ładunków ANFO w najbliższej okolicy. Powiedziałem jej, że nie wszedłbym tam za żadne pieniądze, dopóki wszystko nie zostanie wzmocnione betonem i stałą co półtora metra. Gdzieżbym przypuszczał, iż znajdę się w środku, i to tak głęboko, jeszcze przed wieczorem!

Zasłiśmy do biura na dole i rozdałem im kaski, a potem pokazałem wszystko - wykopy, odrzuty, ługowarki, sortowarki i ciężki sprzęt. Niezłą mieliśmy wycieczkę w teren. Mały Seth prawie przestał gadać, ale oczy mu błyszczały prawie jak te fałszywe granaty, które zawsze znajdujemy między odrzutami!

No dobrze, teraz już doszedłem do tej "małej chwili grozy", która stała się przyczyną tak wielu moich wątpliwości i złych snów (nie wspominając o wyrzutach sumienia; dla mormona, który podchodzi do spraw religii bardzo serio, to nic zabawnego). I wcale nie wydawała się nam wtedy taka "mała"; teraz też mi się nie wydaje, prawdę powiedziawszy. Chodziło mi to wszystko w kółko po głowie, a kiedy pojechałem do Peru (tam właśnie byłem, kiedy przyszedł do "Ziemskich Głębi" w Desperation list z pytaniami od Audrey Wyler), śniło mi się to dziesiątki razy. Może przez to gorąco. Bo w wyrobisku Grzechotnik było gorąco. Widziałem w życiu mnóstwo sztolni i szybów kopalnianych, lecz zazwyczaj panuje w nich chłód albo wręcz zimno. Czytałem, że w niektórych

kopalniach złota w RPA jest ciepło, ale tam nigdy nie byłem. A tutaj było nawet nie ciepło, tylko zwyczajnie gorąco. I na dodatek ta wilgoć jak w cieplarni.

Ale zaczynam wybiegać za bardzo naprzód, a nie chcę tego. Chcę opowiedzieć, jak było, od początku do końca, i podziękować Bogu, że już nigdy nic podobnego się nie wydarzy. Na początku sierpnia, niecałe dwa tygodnie po tej historii, wszystko się znów zawaliło. Może gdzieś głębiej, w dewonie coś tąpnęło, a może stemple rozpadły się pod wpływem świeżego powietrza. Nigdy nie będzie wiadomo na pewno; w każdym razie wszystko runęło, miliony ton wapnia i łupka. Kiedy sobie pomyślę, jak bliski zasypania był wtedy pan Garin z synem (nie wspominając o panu Allenie Symesie, Geologu Doskonałym), dostaję gęsiej skórki.

Starszy chłopiec, John, chciał obejrzeć Pannę Mo, naszą największą koparkę. Porusza się po szynach i pracuje głównie na zboczach od wewnątrz, najczęściej wykopując ławy w piętnastometrowych odstępach. Kiedyś, na początku lat siedemdziesiątych była to największa koparka na planecie Ziemi. Większość dzieci - szczególnie chłopcy - jest nią zafascynowana. Duzi chłopcy zresztą też! Garin chciał ją zobaczyć "z bliska" nie mniej od Johna i przypuszczałem, że Seth też będzie chciał. Ale tu się myliłem.

Pokazałem im drabinkę na burcie Mo, prowadzącą do kabiny operatora, ponad trzydzieści metrów nad ziemię. John zapytał, czy mogą wejść na górę. Powiedziałem, że nie, bo to zbyt niebezpieczne, ale jak chcą, to mogą pochodzić po szynach. To też jest niezłe przeżycie, każda taka szyna ma szerokość miejskiej ulicy, a stalowe płyty, z których są zrobione, mają po metr szerokości. Pan Garin postawił Seta na ziemi i weszli po drabince na jedną z szyn Mo. Wszedłem za nimi, mając tylko nadzieję, że nikt nie spadnie. Gdyby coś się stało, poszedłbym pod sąd jak nic. June Garin została trochę z tyłu, żeby zrobić nam zdjęcia, jak stoimy objęci ramionami i roześmiani. Wyglupialiśmy się i robiliśmy miny do obiektywu; zabawa była przednia, dopóki dziewczynka (Louise?) nie zawołała: "Wracaj Seth! Natychmiast! Nie wolno odchodzić tak daleko!"

Nie mogłem go dojrzeć z góry, z tej szyny, bo zasłaniała koparka, ale widziałem, jak wystraszona była jego matka, kiedy go zobaczyła.

"Seth! - krzyknęła. - Natychmiast z powrotem!"

Krzyknęła tak ze dwa czy trzy razy, a potem rzuciła aparat i pobiegła za nim. Cisnęła nikona za kilkaset dolarów jak paczkę papierosów, więcej mi nie było trzeba. Pognałem do drabiny i błyskawicznie znalazłem się na dole. Cud, że nie spadłem i nie zламаłem karku. Jeszcze większy cud, że Garinowi i Johnowi też się nic nie stało, ale wtedy o tym nie pomyślałem. W ogóle o nich zapomniałem, prawdę mówiąc.

Mały już się wspinał po zboczu, ku wejściu do starej kopalni, wszystkiego jakieś sześć metrów od dna wyrobiska. Kiedy to zobaczyłem, od razu wiedziałem, że matka nigdy w życiu go nie dogoni, zanim dzieciak wejdzie do środka. Nikt by go zresztą nie dogonił, jeśliby zamierzał wejść. Serce chciało mi stanąć w gardle, ale mu nie pozwoliłem, tylko popędziłem jak najszybciej za bachorem.

Zrównałem się z panią Garin akurat w chwili, gdy Seth dotarł do wejścia. Przystanął na moment i ludziłem się jeszcze, że nie chce wchodzić. Myślałem, że jeśli nie ciemność, to może odstręczy go zapach, jakby swąd popiołu ze zgaszonego ogniska zmieszany z wonią przypalonej kawy i odpadków mięsa. Jednak wszedł, i to nawet nie spojrzawszy na mnie, chociaż darłem się, że nie wolno.

Minąłem mamusię, zaklinając ją na wszystkie świętości, żeby trzymała się z daleka, że sam tam pójde i przyprowadzę go. Kazalem jej, by powtórzyła to mężowi i synowi, ale Garin oczywiście nie posłuchał. W jego sytuacji pewnie postąpiłbym tak samo.

Wspiałem się pod górę, przerwałem żółtą taśmę. Bachor był mały, więc przeszedł sobie dołem. Słyszałem taki słaby poszum, prawie zawsze się to słyszy w starych kopalniach.

Jakby wiatr albo huczący w oddali wodospad. Nie wiem, co to właściwie jest, ale nigdy za tym nie przepadałem. Nie znam nikogo, kto by to lubił. Jakiś taki upiorny odgłos.

Tyra razem jednak słyhać było coś, co podobało mi się jeszcze mniej - rodzaj przyciszonego pisku czy żałośliwego szeptu. Podczas poprzednich oględzin chodnika nie

słyszałem tego, ale zorientowałem się od razu, co to jest - ocierające się o siebie łupki i skały magmowe. Ma się wrażenie, że ziemia mówi. W dawniejszych czasach na ten odgłos wszyscy opuszczali kopalnię, bo wiadomo było, że się może zawalić w każdej chwili. Podejrzewam, że Chińczycy, którzy pracowali w Grzechotniku w tysiąc osiemset pięćdziesiątym ósmym, albo nie wiedzieli, co ten odgłos oznacza, albo kazano im nie zwracać na niego uwagi.

Kiedy przeszedłem przez taśmy, podłoże zaczęło się osuwać, więc przyklęknąłem na jedno kolano. Zauważyłem przy tym, że coś leży na ziemi. To była ta plastikowa figurka małego - ruda kobieta z laserowym pistoletem. Musiała mu wypaść z kieszeni i kiedy ujrzałem ją leżącą wśród tych kamiennych odpadów, które nazywamy skalą płoną, wydało mi to się bardzo złym znakiem, aż przeszedł mnie okropny dreszcz. Podniosłem ją, wsunąłem do kieszeni i dopiero później, kiedy emocje opadły, przypomniałem sobie o niej, po czym oddałem prawowitemu właścicielowi. Gdy opisałem tę zabawkę mojemu siostrzeńcowi, powiedział, że to figurka Cassie Stiles (tak się pisze?), z serialu "Motorowe gliny", o którym tyle rozprawiał bachor.

Usłyszałem za sobą osuwające się kamienie i ciężki oddech; to Garin wspinał się po zboczu. Pozostała trójka stała na dole, tuląc się do siebie. Dziewczynka płakała.

"Wracaj pan, ale to już! - zawołałem. - Ta sztolnia może się w każdej chwili zawalić! Cholerstwo ma ponad sto trzydzieści lat!"

"Niech sobie ma i tysiąc - Garin na to; nawet się nie zatrzymał. - Tam jest mój syn i muszę go wydostać".

Nie miałem zamiaru stać i spierać się z nim; czasem jedyne, co można zrobić, to iść naprzód, nie ustawać i modlić się do Boga, żeby podtrzymał strop. Tak też zrobiliśmy. Przez lata pracy jako geolog kopalniany bywałem w wielu budzących lęk miejscach, ale te dziesięć minut (może dłużej, może krócej; właściwie straciłem tam zupełnie poczucie czasu), które spędziliśmy w starej sztolni Grzechotnik, było najbardziej przerażające ze wszystkiego. Chodnik biegł w dół pod dość ostrym kątem, więc już dwadzieścia metrów

od wejścia straciliśmy światło dzienne. Woń tego miejsca - wygasłe popioły, zestarzała kawa, przypalone mięso - też się szybko wzmagała i to również było dziwne. Stare kopalnie mają czasem pewien "mineralny" zapach, ale nic więcej. Pod stopami mieliśmy warstwę tłucznia, toteż trzeba było bardzo uważać, żeby się nie potknąć i nie polecieć na twarz. Stemple oraz belki stropu pokryte były chińskimi znakami, czasem wyrytymi w drewnie, ale przeważnie wypisanymi sadzą. Jak się na coś patrzy, to człowiek uświadamia sobie, że wszystko, o czym dotąd tylko czytał, wydarzyło się naprawdę. Nikt tego nie zmyślił. Fizycznie czuje się wtedy ciężar przeszłości.

Pan Garin nawoływał chłopca, żeby wracał, że to niebezpieczne. Myślałem, czyby mu nie wytłumaczyć, że jakiś nawis może się zawalić od samego jego głosu, jak czasem jeden okrzyk potrafi wywołać lawinę w górach. Ale nie wytłumaczyłem. I tak nie byłby w stanie przestać. Myślał tylko o synu.

Na kółku od kluczy mam zawsze mały szczyryk, szkło powiększające i pióro-latarkę. Odczepilem ją i oświetlałem drogę. Szliśmy dalej chodnikiem, wokół spadały luźne odłamki łupka, w uszach mieliśmy ten odległy poszum, w nosie ten zapach. Czulem, że robi się coraz cieplej, a im cieplej się robiło, tym wyraźniejszy był ten ogniskowy swąd. Tylko że pod koniec już się nie kojarzył z ogniskiem. Raczej jakby coś gniło, jakaś padlina.

Potem doszliśmy do kości. My - to znaczy pracownicy "Ziemskich Głębi" - oświetlaliśmy już przedtem chodnik reflektorami, ale wiele nie zobaczyliśmy. Rozprawialiśmy w kółko o tym, czy coś tam może być, czy nie. Yvonne uważała, że nic nie ma, że nikt nie schodziłby tym chodnikiem, nawet gromada chińskich górników-niewolników. Mówiono, że to zwyczajne wymysły i legendy - ale kiedy znaleźliśmy się z Garinem kilkaset metrów w głąb chodnika, światło z mojej małej latarki wystarczyło, żeby się przekonać, iż Yvonne nie miała racji.

Podłogę korytarza zaścielały kości - potrzaskane czaszki, miednice, golenie. Najgorsze były żebra, wyglądały jak uśmiechnięty Kot z Cheshire w "Alicji w krainie czarów". Kiedy

się na nie nadepnęło, nie kruszyły się, jak można by się spodziewać, tylko po prostu rozsypywały w proch. Smród był coraz silniejszy, po twarzy ściekał mi pot. Jak w kotłowni, a nie w kopalni. A ściany! Chińczykom nie wystarczyło umieszczenie na nich swoich inicjałów; popisali je sadzą ze świec od góry do dołu. Zupełnie jakby po zawaleniu się chodnika, kiedy odkryli, że są w pułapce, postanowili wszyscy spisać na nich swoje testamenty.

Chwyciłem Garina za ramię i powiedziałem:

"Poszliśmy za daleko. Schował się pewnie pod ścianą i nie zauważyliśmy go w tych ciemnościach".

"Nie wydaje mi się" - on na to.

"Dlaczego?"

"Bo ja czuję, że on jest przed nami - odparł Garin i zaczął nawoływać: - Seth! Kochanie, posłuchaj! Jeżeli tam jesteś, to zawróć i przyjdź tu do nas!"

To, co usłyszeliśmy w odpowiedzi, zjeżyło mi włosy na głowie. Z głębi sztolni, zasypanej skalnymi odłamkami, czaszkami i kośćmi dobiegł nas śpiew. Bez słów, tylko nucone chłopięcym głosem "la-la-la" i "tam-tara-tam". Trochę fałszował, ale wystarczyło, żebym rozpoznał tytułowy temat z "Bonanzy".

Garin popatrzył na mnie - oczy miał szeroko otwarte, błyskał w ciemności białkami - i zapytał, czy nadal uważam, że go minęliśmy. Cóż miałem na to odpowiedzieć; ruszyliśmy dalej.

Wśród kości zaczęły się pojawiać części ekwipunku - kilofy o zardzewiałych ostrzach i śmiesznie krótkich trzonkach oraz niewielkie cynowe pudełka z przewleczonymi paskami - widziałem je w Muzeum Górnictwa w Ely, więc wiedziałem, co to jest. Górnicy nazywali je karbidówkami. Nosili te lampki przymocowane do czoła niczym Żydzi filakterie, zawiązując pod nimi bandanę, żeby się nie poparzyć. Zauważyłem też, że obok chińskich napisów na ścianach pojawiły się rysunki sadzą. Były okropne - kojoty z głowami pajaków, skorpiony dosiadające kuguarów, nietoperze o głowach niemowląt.

Zastanawiałem się potem, czy naprawdę to wszystko widziałem, czy też kiepskie powietrze tam głęboko wywołało halucynacje. Nie pytałem Garina, czy on też to widział. Nie jestem pewien, czy zapomniałem go zapytać, czy się po prostu bałem.

On się tymczasem zatrzymał i podniósł coś. Był to wciśnięty pomiędzy dwa kamienie mały bucik kowbojski. Bachorowi pewnie uwięzła noga i pobiegł dalej boso. Pan Garin podniósł but, tak że mogłem go dokładnie obejrzeć w świetle latarki, a potem schował za pazuchą. Wciąż było słyhać to "la-la-la" i "tam-tara-tam", wiedzieliśmy więc, że dzieciak jest nadal z przodu. Dźwięk chyba się trochę przybliżył, ale nie pozwalałem sobie na płonne nadzieje. Pod ziemią nigdy nic nie wiadomo. Głos się dziwnie niesie.

Szliśmy i szliśmy, nie wiem jak daleko, ale teren cały czas opadał i robiło się coraz goręcej. Kości było teraz mniej, przybywało za to odłamków skalnych. Mogłem poświecić latarką w górę, żeby sprawdzić, z czego jest strop, ale nie miałem odwagi. Bałem się nawet pomyśleć, jak głęboko jesteśmy. Na pewno ze czterysta albo więcej metrów od miejsca, gdzie eksplozja otworzyła sztolnię. Byłem już niemal pewien, że się nie wydostaniemy. Strop się zawali i będzie po wszystkim. Przynajmniej to szybka śmierć, nie tak jak z tymi Chińczykami, którzy dusili się tutaj powoli albo umierali z pragnienia. Przypomniało mi się, że nie oddałem paru książek do biblioteki, i zastanawiałem się, czy każą odciągnąć z mojego skromnego majątku karę za zwłokę. Zabawne, co też człowiekowi przychodzi do głowy w ciężkich sytuacjach.

Chwilę przed tym, jak zobaczyliśmy małego w świetle latarki, dzieciak zmienił melodię. Nie znałem tej nowej, ale jego tata mi powiedział po wyjściu, że to z "Motorowych glin". Wspominam o tym tylko dlatego, że przez moment mi się zdawało, że ktoś jeszcze śpiewał razem z nim, jakiś drugi głos. To z pewnością wina tego poszumu, o którym wspominałem, ale wtedy wstrząsnęło to mną jak jasna cholera. Garin też to słyszał; widziałem w świetle latarki, że był tak samo wystraszony jak ja. Pot spływał mu po twarzy, koszula lepila się do piersi niczym posmarowana klejem.

Wtem pokazał palcem przed siebie i woła:

"Widzę go chyba! Tak, to on! Tam jest! Seth! Seth!"

Popędził za nim, potykając się o kamienie i zataczając, ale jakimś sposobem się nie przewrócił. Modliłem się tylko, żeby nie wpadł na któryś z tych starych wsporników. Prawdopodobnie też rozpadłyby się w proch od dotknięcia jak te kości, cośmy je mijali po drodze, i byłoby po krzyku.

Potem ja też zobaczyłem chłopca, trudno było nie poznać džinsów i czerwonej koszulki, które miał na sobie. Stał na końcu chodnika. Widać było, że to nie zawał, ponieważ ściana była tam gładka - nazywamy to "ześlizgiem" - i nie było rumowiska. Środkiem biegnąca z góry na dół szczelina, więc przez chwilę myślałem, że dzieciak zamierza się tam wcisnąć. Bałem się, że to zrobi, bo był na tyle mały, że mogło mu się udać, a my, dorośli nie bylibyśmy w stanie pójść za nim. Ale nie próbował się wcisnąć. Kiedy podszedłem bliżej, zobaczyłem, że stoi nieruchomo, jak skamieniały. Widocznie przedtem zmyliły mnie cienie od latarki, tak sądzę.

Jego tata dobiegł pierwszy i wziął chłopca w ramiona. Przytulił twarz do piersi syna, toteż nie widział tego co ja. Zresztą ja też widziałem to tylko przez sekundę. Tym razem wzrok nie plątał mi figła. Dzieciak się uśmiechał. Ale to nie był miły uśmiech. Wyglądał tak, jakby mu ktoś chciał dociągnąć kąciki ust do uszu. Wszystkie zęby miał na wierzchu, a twarz tak naprężoną, że oczy prawie wychodziły z orbit. Potem ojciec odchylił się, żeby go pocałować i ten dziwny uśmiech zniknął. Ucieszyłem się, bo taki wyszczerzony zupełnie nie przypominał chłopczyka, którego wcześniej poznałem.

"Co ty wyprawiasz?" - zawołał Garin. Trudno powiedzieć, żeby go beształ, bo całował go po każdym słowie. - "Mama omal nie umarła ze strachu! Czemu to zrobiłeś? Po co tu przyszedłeś, na Boga?"

To, co bachor odpowiedział, to były jego ostatnie normalne słowa, więc dobrze je pamiętam.

"Pulkownik Henry i Major Pike mi kazali. Powiedzieli, że tutaj Ponderosa. O tam. - I pokazuje palcem szczelinę w skale. - Ale nie było. Nie ma Ponderosy".

Potem położył głowę na ramieniu ojca i zamknął oczy, jakby był kompletnie wykończony.

"Wracajmy - zakomenderowałem. - Pójdę za panem, z prawej i będę panu świecił pod nogi. Proszę się nie ociągać, ale też nie przyspieszać. I niech pana ręka boska broni, żeby pan potrafił któryś z tych kijaszków, co podpierają sufit".

Od momentu, kiedy znaleźliśmy chłopca, te pojękiwania w ziemi stały się głośniejsze. Zwidziało mi się nawet, że słyszę, jak trzeszczą stemple. Zwykle nie miewam takich fantazji, ale odnosiłem wrażenie, iż nam chciały powiedzieć, byśmy się wynieśli, póki to jeszcze możliwe.

Nim ruszyliśmy, nie mogłem się oprzeć i poświeciłem jeszcze raz latarką na tę szczelinę. Kiedy się schyliłem, poczułem powiew powietrza. Czyli nie była to zwyczajna szpara, tylko musiała się po tamtej stronie rozszerzać. Może nawet w jaskinię. Podmuch stamtąd był gorący jak znad paleniska i cuchnął niemożliwie. Po jednym wdechu musiałem wstrzymać oddech, żeby nie zwymiotować. Był to nadal ten smród zgaszonego ogniska, ale tysiące razy silniejszy. Szukałem w pamięci, co by to mogło tak śmierdzieć, ale niczego się nie dogrzebałem. Tylko pod wpływem powietrza z zewnątrz to coś mogło się tak zaśmierdzać, a to by znaczyło, że gdzieś jest przebicie. Jednak "Ziemskie Głębie" ryły tu w ziemi od tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego siódmego roku i gdyby istniał kanał wentylacyjny na tyle duży, żeby powstał tak straszny odór, odkryto by go przecież i albo zatkano, albo sprawdzono, dokąd prowadzi.

Szczelina przypominała zygzakowate S czy błyskawicę i nie za bardzo było tam co oglądać poza grubością skalnej ściany - pół metra, może trzy czwarte. Ale wyczuwałem po drugiej stronie większą przestrzeń; no i był ten gorący powiew. Wydawało mi się, że widzę tam kilka tańczących czerwonych punkcików, jakby rozżarzonych węgielków, ale chyba mi się przywidziało, bo gdy zamrugalem oczami, zniknęły.

Odwróciłem się do Garina i kazałem mu ruszać.

"Sekundkę, jeszcze sekundkę - poprosił. Wyciągnął zza koszuli czarny bucik kowbojski i wsuwał go na nogę małego. Słodkie to było. Sposób, w jaki to robił, mówił wszystko o jego ojcowskiej miłości do Setha. - Okay - powiedział, gdy skończył. - Teraz możemy iść".

"Dobra. Tylko równym krokiem" - przykazałem.

Szliśmy najszybciej, jak się dało, ale i tak trwało to wieki. W snach, o których już wspominałem, zawsze wraca do mnie obraz kręgu światła latarki ślizgającego się po trupich czaszkach. W rzeczywistości nie było tam tego aż tak wiele, niektóre się rozpadły, ale w snach jest ich zwykle tysiące. Zalegają od ściany do ściany, takie okrągłe jak jajka w pudełku, i szczerzą się w uśmiechu zupełnie jak ten mały, kiedy go ojciec podniósł. A w oczodolach wirują im czerwone płatki niczym ogniste iskierki.

Straszna była w sumie ta droga powrotna. Cały czas wypatrywałem światła dziennego, trwało to w nieskończoność. Kiedy je wreszcie dojrzałem (taki mały kwadracik, że mogłem go zakryć końcem palca), wydało mi się, że skała zaczyna pracować coraz głośniej i ubzdurałem sobie, że sztolnia zaczeka, aż będziemy prawie na zewnątrz, a wtedy na nas spadnie jak packa na muchę. Jakby dziura w ziemi mogła myśleć! Ale jak człowiek się znajdzie w takim miejscu, wyobraźnia zaczyna płatać mu figle. Głos się dziwnie niesie; pomysły też.

Muszę zresztą przyznać, że na temat wyrobiska Grzechotnik Jeden nadal przychodzą mi do głowy dziwne myśli. Nie mam zamiaru tu oznajmiać, że tam straszy, nawet w "nieoficjalnym raporcie", którego może nikt nie przeczyta. Co to to nie, ale nie powiedziałbym też, że to nieprawda. W końcu, gdzie miałyby straszyć, jeśli nie w starej kopalni pełnej trupów? Ale co do tej szpary w skale, jeżeli faktycznie coś tam widziałem (te tańczące czerwone światełka), to z pewnością nie duchy.

Ostatnie trzydzieści metrów było najgorsze. Musiałem się siłą powstrzymywać, żeby nie przepchnąć się przed Garina i nie popędzić do wyjścia. Widziałem po jego twarzy, że czuje to samo. Ale nie zrobiliśmy nic takiego, chyba głównie dlatego, iż reszta rodziny

przeraziłaby się jeszcze bardziej, gdybyśmy tak wybiegli w panice. Wymaszerowaliśmy więc jak mężczyźni; Garin z synkiem w ramionach, śpiącym głęboko, a za nimi ja.

No i to właśnie była ta nasza "mała chwila grozy".

Pani Garin płakała, starsze dzieci też, wszyscy rzucili się do Setha, głaskali go i całowali, jakby nie mogli jeszcze uwierzyć, że wrócił. Obudził się i uśmiechał do nich, ale nie powiedział już normalnego słowa, tylko "gulgotal". Pan Garin dowlókl się pod magazyn, taką metalową budę, gdzie trzymamy materiały wybuchowe, i usiadł, opierając się o ścianę. Zaplótł ręce na kolanach, po czym złożył na nich głowę. Rozumiałem, co musi czuć. Żona zapytała, czy nic mu nie jest; odpowiedział, że nie, tylko musi odpocząć i złapać trochę oddechu. Powiedziałem, że ja też, i poprosiłem panią Garin, by zaprowadziła dzieciaki do łazika albo może John będzie chciał pokazać braciszкови naszą Pannę Mo. Ona zaśmiała się tylko ponuro i powiedziała:

"Chyba już dość mamy przygód jak na jeden dzień, panie Symes. Mam nadzieję, że nie weźmie pan tego do siebie, ale jedyne, czego pragnę w tej chwili, to opuścić to miejsce". Powiedziałem, iż ją rozumiem, i myślę, że ona też rozumiała, iż zanim zabierzemy zabawki i pójdziemy do domu, muszę zamienić parę słów z jej mężem. Nie mówiąc już o tym, że sam też chciałem trochę się pozbierać do kupy. Nogi miałem jak z waty.

Usiadłem więc pod ścianą magazynu koło Garina.

"Jeżeli ktoś się o tym dowie, mogą wyniknąć straszne kłopoty - zacząłem. - Zarówno dla mnie jak dla firmy. Chybaby mnie nie wylali, ale i to jest możliwe".

"Nie powiem nikomu ani słowa" - oświadczył. Podniósł głowę i spojrzał mi prosto w oczy. Myślę, że nikt nie weźmie mu tego za złe, dodam więc jeszcze, że płakał. Chyba każdy ojciec by płakał, przeżywszy coś takiego. Sam byłem bliski łez, a przecież na oczy tych ludzi przedtem nie widziałem. Za każdym razem, gdy sobie przypomnę, z jaką czułością nakładał chłopcu ten bucik, coś mnie ściska w gardle.

"Byłbym panu bardzo zobowiązany" - powiedziałem.

"Ależ to nonsens - on na to. - To ja nie wiem, jak panu dziękować. Nawet od czego zacząć".

Trochę mnie to wszystko już krępowало, więc przerwałem mu.

"Daj pan spokój. Razem to zrobiliśmy, a wszystko dobre, co się dobrze kończy".

Pomogłem mu wstać i podeszliśmy do reszty. W połowie drogi złapał mnie za ramię i zatrzymał.

"Niech pan nikomu nie pozwoli tam wchodzić - przestrzegł. - Nawet gdyby inżynierom udało się wzmocnić zabezpieczenie. Tam się czai coś niedobrego".

"Wiem o tym - odparłem. - Też to czułem".

Pomyślałem znów o tym uśmiechu na twarzy chłopca - jeszcze dziś, po tylu miesiącach, przechodzi mnie dreszcz na samo wspomnienie - i omal mu nie powiedziałem, że jego dzieciak też to poczuł. Ale uznałem, że nie ma po co. Nic dobrego by to nie dało.

"Ja na pana miejscu - stwierdził Garin - wziąłbym z magazynu ładunek i wrzucił do środka, niechby to wszystko się zawaliło. W końcu to grób; umarli powinni spoczywać w spokoju".

"Niezły pomysł" - przyznałem, a Pan Bóg chyba też się z tym zgodził, gdyż nie dalej jak dwa tygodnie później zrobił to osobiście.

Nastąpił wybuch - nie zwykły zawał, ale wybuch. I z tego, co wiem, przyczyny nie ustalono.

Garin zaśmiał się, pokręcił głową.

"Dwie godziny za kierownicą i pewnie trudno mi będzie uwierzyć, że to się w ogóle wydarzyło".

Odpowiedziałem, że tak by nawet było lepiej.

"Ale jednego nie zapomnę - dodał. - Tego, że Seth dzisiaj mówił. I to nie słowa czy zwroty, zrozumiałe tylko dla bliskich. Normalnie rozmawiał. Pan może nie rozumie, jakie to niesamowite, ale my tak. - Pomachał ręką do rodziny, która już się usadowiła w łaziku. - A skoro mógł to zrobić raz, to może i drugi".

Może zrobił, mam taką nadzieję. Chciałbym to wiedzieć. Bardzo mnie interesuje ten chłopiec, i to nie tylko z tego jednego powodu. Kiedy mu oddałem tę figurkę kobiety z serialu, uśmiechnął się i pocałował mnie w policzek. Słodkie to było, chociaż miałem wrażenie, że poczułem od niego lekki powiew tego kopalnianego zapachu... zimne ognisko, kawę, mięso.

Pożegnaliśmy się "czule" z Chińską Jamą i dowiozłem ich pod biuro, do ich samochodu. Z tego, co widziałem, nikt nie zwrócił na nas uwagi, chociaż jechałem główną ulicą. W niedzielne popołudnie i przy takim upale Desperation przypomina miasto-widmo. Pamiętam, jak stałem przy schodkach przyczepy i machałem im na pożegnanie, a oni odjeżdżali ku temu straszemu losowi, który ich czekał, jak napisała siostra Garina, na końcu tej podróży - bezsensownej śmierci od strzałów z przejeżdżającego samochodu. Oni mi odmachiwali, wszyscy... z wyjątkiem Setha. Cokolwiek tam było w tej sztolni, sądzę, iż mieliśmy szczęście, żeśmy się wydostali... no a chłopiec miał jeszcze dodatkowe, bo jako jedyny wyszedł cało z tej strzelaniny w San Jose! Całkiem jakby miał, jak to mówią, "zaczarowane życie", nie mam racji?

Jak już wspomniałem, ciągle mi się to śniło w Peru, najczęściej o tych czaszkach i o tym, kiedy świeciłem do szczeliny, ale nie myślałem o tym wiele. Zacząłem dopiero, gdy wróciłem i przeczytałem list od Audrey Wyler przyczepiony na tablicy informacyjnej. Sally zgubiła kopertę, ale powiedziała, że był zaadresowany po prostu "Firma Górnicza, Desperation". Przeczytanie go utwierdziło mnie jeszcze w przekonaniu, że coś musiało się stać, kiedy Seth był pod spodem (jak to się mówi w naszej branży). Może lepiej było na temat tego czegoś nie kłamać, ale ja skłamałem. Zresztą jak mogłem powiedzieć prawdę, skoro nawet nie wiedziałem, co to było?

Tylko że... ten uśmiech.

Ten dziwny uśmiech.

To był taki miły chłopczyk i tak się cieszę, że nie zabił się w Grzechotniku (a mógł, my wszyscy mogliśmy tam zginąć) i że nie zastrzelili go tak jak resztę rodziny w San Jose, ale...

Ten uśmiezek w ogóle do niego nie pasował. Chciałbym to jakoś dokładniej określić, ale nie wiem jak.

Jeszcze o jednym muszę napomknąć. Pamiętacie może, kiedy napisałem, że Seth mówił o "starej kopalni". Nie skojarzyłem tego ze sztolnią Grzechotnik, ponieważ nawet w miasteczku mało kto o niej wiedział, a co dopiero przejezdni turyści z Ohio. Ale kiedy tak stałem i patrzyłem, jak opada pył za ich samochodem, znów mi się to przypomniało. Że popędził przez biuro prosto do tych zdjęć Chińskiej Jamy na tablicy. Jakby był tu już tysiąc razy. Jakby wiedział. Wpadłem wtedy na pewien pomysł i aż mnie to zmroziło. Wszedłem więc do środka, by przyjrzeć się zdjęciom, bo wiedziałem, iż tylko to mnie może uspokoić.

W sumie było to sześć fotografii lotniczych; firma zamówiła je na wiosnę. Przyjrzałem im się przez małą lupkę, którą zawsze mam przy kluczach. W żołądku mnie ścisnęło, czułem, że to zobaczę, nim jeszcze zobaczyłem. Zdjęcia wykonano na długo przed wybuchem, który odsłonił wyrobisko Grzechotnik, więc nie było na nich wejścia do sztolni. A jednak je ukazywały. Pamiętacie, napisałem, jak to Seth pukał palcem w te fotografie i powtarzał "tutaj jest, tutaj, chcę to zobaczyć, chcę zobaczyć kopalnię"? Myśleliśmy, że mówi o odkrywce, ponieważ to właśnie przedstawiały zdjęcia. Ale pod lupą zobaczyłem ślady jego palców na błyszczącym papierze. Wszystkie znajdowały się na południowej ścianie, tam, gdzie odsłonił się chodnik. I o tym mówił, że chce to zobaczyć. Nie o odkrywce, ale o starej sztolni, której nawet nie było na zdjęciach. Wiem, iż brzmi to jak czyste wariactwo, ale nie mam cienia wątpliwości. Wiedział, że ona tam jest. A dowodem na to są odciski jego palców na fotografiach - nie tylko na jednej, na wszystkich sześciu. Wiem, w sądzie to by nie przeszło jako dowód, ale to niczego nie zmienia. Wygląda to tak, jakby coś z głębi tej kopalni wyczuło, że on akurat przejeżdża szosą i

zaczęła go wzywać do siebie. I ze wszystkich pytań, jakie chciałbym zadać, to jest chyba najważniejsze: jak się dziś miewa Seth Garin? Czy wszystko z nim w porządku? Napisałbym do siostry Garina i zapytał, nawet raz czy drugi chwyciłem za długopis, ale potem przypomniało mi się, że ją okłamałem, a ciężko mi się przyznać do kłamstwa. A poza tym, czy naprawdę chcę wywoływać z lasu wilka, który może mieć bardzo ostre kły? Nie sądzę, chociaż...
Może należałoby jeszcze coś dodać, ale co? Wszystko sprowadza się do tego uśmiechu. Nie podobał mi się ten uśmiech.
Oto prawdziwa relacja na temat tego wydarzenia. Boże, żeby tak jeszcze wiedział, co właściwie widziałem!

Allen Symes

ROZDZIAŁ 11

1

Przez płot Carverów pierwszy przedostał się Stary Doktor. Zadziwił wszystkich, łącznie z sobą, że tak łatwo mu poszło - Johnny go tylko lekko podsadził na początku, a na górze zatrzymał się na chwilę, żeby zmienić chwyt (Bradowi Josephsonowi skojarzył się w świetle księżyca z chudą małpą), potem zeskoczył. Po drugiej stronie sztachet rozległo się ciche chrząknięcie.

- W porządku, Doktorze? - zapytała Audrey.

- Jasne - odparł Billingsley. - W całkowitym. Prawda, Susi?

- Pewnie - zgodziła się nerwowo Susi Geller i zawołała przez płot: - Pani Wyler, czy to pani? Skąd pani się wzięła?

- To chyba teraz najmniej ważne. Musimy...

- Ale co się tam stało? Czy nikomu nic nie jest? Mojej mamie już zaczyna odbijać. I to zdrowo.

"Czy nikomu nic nie jest?" Na to pytanie Brad nie bardzo miał ochotę odpowiadać. Nikt zresztą nie miał, sądząc po twarzach.

- Pani Reed - powiedział Johnny. - Teraz David, a potem pani, dobrze?

Cammie obrzuciła go oschłym spojrzeniem i zaczęła coś szeptać Dave'owi do ucha, głaszcząc go jednocześnie po włosach. David słuchał, najwyraźniej zakłopotany, a potem szepnął do niej na tyle głośno, że Brad to usłyszał: "Ale ja nie chcę". Jego matka znów

coś do niego wymamrotała, tym razem bardziej kategorycznym tonem. Na końcu Brad pochwycił słowa "twój brat". David z miejsca złapał się sztachet i zgrabnie przeskoczył na drugą stronę. Brad nie dostrzegł na jego twarzy niczego poza owym lekkim zmieszaniem. Następna wspięła się na plot Cammie, podsadzona przez Cynthię i Audrey. Gdy znalazła się na szczycie, Dave wyciągnął ręce, by ją złapać. Cammie ześliznęła się w jego objęcia, nie próbując nawet przytrzymać się plotu. Bradowi przyszło do głowy, że być może wolalaby upaść, a kto wie, czy nie złamać sobie karku. "Dlaczego kazałaś nam tam iść, mamó?" - wołał jej syn, wyczuwając chyba, że jego (i Jima) gorące pragnienie, by to zrobić, nigdy nie stanie się w jej mniemaniu okolicznością łagodzącą. Cammie będzie do końca winić siebie, a Dave najpewniej chętnie jej na to pozwoli.

- Brad? - Ten głos przyjął z radością, choć nieczęsto słyszał, by ten głos był tak cichy i zmartwiony. - Jesteś tam, kotuś?

- Jestem, Bee.

- Nic ci nie jest?

- Absolutnie. Słuchaj Bee, tylko się trzymaj. Jim Reed nie żyje. I Entragian tak samo.

Rozległ się stłumiony okrzyk, po czym Susi Geller zaczęła wykrzykiwać w kółko imię Jima. Emocjonalnie i fizycznie wyczerpany Brad poczuł na odgłos tych wrzasków raczej irytację niż współczucie... I obawę, że mogą zwabić tu coś jeszcze bardziej nieprzyjemnego od wielkiego kuguara czy kojotów o ludzkich palcach.

- Susi? - dobiegł ich od strony domu zaniepokojony głos Kim Geller. A potem ona także wrzasnęła, głosem tnącym rozświetloną księżycem ciemność niczym wirująca brzytwa: - Su-uuu-siiii! Suuuu-siiii!

- Zamknij się! - zawołał Johnny. - Jezu, Kim, zamknij dziób!

O dziwo Kim usłuchała, ale jej córka darła się dalej jak kiepska aktorka ze spalonego teatru.

- O Boże święty - mruknęła Audrey i zakryła uszy dłońmi, wczepiając palce we włosy.

- Bee - powiedział Brad przez sztachety - nie obchodzi mnie, jak to zrobisz, ale zatkaj jej jakoś ten dziób.

- JIM! - wrzeszczała Susi. - O BOŻEEEE, JIM! O BOŻEEEE, NIEEEE! O BO...

Usłyszeli głośnie plask! i krzyk ucichł jak ucięty nożem. I zaraz potem:

- Nie będziesz bić mojej córki! Nie masz prawa, ty suko, nic mnie nie obchodzi, co ci tam nawciskali w tej "akcji afirmatywnej"! Ty tłusta, czarna suko!

- Pierdol, pierdol, ja posłucham - stwierdziła Cynthia, zatykając uszy i zaciskając mocno powieki, jak dziecko, które nie chce patrzeć na kulminacyjną scenę przerażającego filmu. Brad natomiast miał oczy otwarte - wstrzymawszy oddech, czekał na wybuch Bee. Jego żona zignorowała jednak kobietę całkowicie i zawołała cicho zza płotu:

- Podacie nam ciało, Bradley?

Głos miała bardzo opanowany, za co Brad był jej niesłychanie wdzięczny.

- Tak jest. A ty z jego matką i bratem postarajcie się go nie upuścić z tamtej strony.

- Postaramy się. - Bee nadal zachowywała zimną krew.

- Kim? - zawołał teraz Brad. - Pani Geller? Może wróci pani po prostu do środka, co?

- Dobrze - odparła uprzejmie Kim. - To chyba dobry pomysł. Pójdziemy do domu, co Susi? Umyjemy sobie buzie zimną wodą i od razu będzie lepiej.

Usłyszeli kroki; pochlipywanie zaczęło się oddalać. To dobrze. Znowu zawyły kojoty. To źle. Brad obejrzał się przez ramię i w mrocznej plątaniu zieleni dojrzał poruszające się, świecące srebrzyście punkciki. Oczy.

- Musimy się pospieszyć - powiedziała Cynthia.

- Nie masz nawet pojęcia jak bardzo - rzekła Audrey.

Tego się właśnie obawiam - pomyślał Brad. Odwrócił się, chwycił zwłoki Jima za ramiona. Czuł lekką woń szamponu i płynu po goleniu, których chłopak używał tego ranka. Pewnie myślał wtedy o dziewczynach. Johnny obejrzał się nerwowo - chyba na te plamki światła, uznał Brad - po czym jedną ręką objął talię chłopca, a drugą podłożył mu pod pośladki. Audrey i Cynthia chwyciły za nogi.

- Gotowi? - spytał Johnny.

Kiwnęli głowami.

- No to na trzy. Raz... dwa... trzy.

Podnieśli ciało jak kwartet kulturystów wyciskający równo na ławeczce. Przez jedną straszną chwilę Bradowi wydawało się, że jego kręgosłup, zmuszony przez ostatnie lata do dźwigania zawstydzająco wielkiego brzuszyska, odmówi mu posłuszeństwa. Po chwili zwłoki Jima sięgnęły szczytu parkanu. Ręce chłopca zwisły po obu stronach w pozie cyrkowca oczekującego na oklaski w kulminacyjnym momencie fantastycznej akrobacji. Otwarte dłonie wypełniły się światłem księżyca.

Johnny u boku Brada był chyba na krawędzi zawału. Głowa Jima kołysała się bezwładnie na jego karku. Na policzek Josephsona spadła kropla na wpół zakrzepłej krwi. Skojarzyła mu się zupełnie idiotycznie z galaretką miętową. Poczul skurcz w żołądku.

- Pomóżcie nam! - wydyszała Cynthia. - Na litość boską, niech ktoś...

Ponad tępo zakończonymi sztachetami pojawiły się dłonie, których palce rozpostarły się po chwili i chwyciły Jima za koszulę i pasek szortów. Dokładnie w chwili, kiedy Brad zrozumiał, że nie utrzyma ciała ani sekundy dłużej (dopiero w tym momencie dotarł do niego tak naprawdę sens pojęcia "martwy ciężar"), jego brzemień ktoś przejął. Rozległ się głuchy odgłos upadającego ciała i z pewnej odległości (z ganku Carverów, jak sądził Brad) dobiegł ich kolejny pisk w wykonaniu Susi Geller.

- Wygląda na to, że go upuścili - rzekł cicho Johnny, spoglądając na niego.

Brad był niemal pewien, że tamten się uśmiecha. Pisarz zwiesił głowę i otarł przedramieniem pot z twarzy. Uśmiech - jeśli rzeczywiście się na niej znajdował - zniknął.

- Pięknie - rzekł Brad.

- No. Pięknie, kurwa, pięknie.

- Hej, Doktorze! - zawołała stłumionym głosem Cynthia. - Niech pan łapie! Bez obawy, jest zabezpieczona.

Podniosła strzelbę lufą do przodu i stojąc na palcach, przesunęła ją ponad plotem.

- Dobra, mam - oznajmił Billingsley. Potem dodał nieco ciszej: - Ta kobieta ze swoją durną córką weszły w końcu do domu.

Cynthia wspięła się na plot i przedostała się górą bez problemu. Audrey trzeba było lekko podsadzić, podtrzymać za biodro, by nie straciła równowagi, ale też znalazła się po drugiej stronie. Następny był Steve, któremu Johnny i Brad zrobili krzeselko z dłoni; na gorze hipis odpoczął chwilę, czekając, aż nieco ustąpi ból w poszarpanym ramieniu. Potem przewiesił się na stronę Carverów i odepchnął. Raczej zeskoczył, niż opuścił się w dół.

- Ja nie dam rady - oznajmił Johnny. - Nie ma mowy. Może w garażu jest jakaś drabina...
U-u-UUU! U-u-UUU!

Niemal tuż za nimi. Obaj mężczyźni przyskoczyli do siebie, objęli się mimowolnie ramionami jak wystraszone dzieci. Brad odwrócił głowę i spostrzegł zbliżające się sylwetki, mającące za lśniącymi półksiężycami oczu.

- Cynthio! - krzyknął Johnny. - Strzelaj!

- Mam wrócić na tamtą stronę? - zapytała niepewnie, z niepokojem dziewczyna.

- Nie, nie! Po prostu strzel w powietrze!

Cynthia dwukrotnie pociągnęła za spust, powietrze przeszył trzask wystrzałów. Przez sztachety napłynął ku nim gryzący dym. Zbliżające się od strony lasu sylwetki zatrzymały się. Nie wycofały, ale przynajmniej stanęły w miejscu.

- Doszedłeś trochę do siebie, John? - spytał łagodnie Brad.

- Chyba tak - odparł Marinville, patrząc na kryjące się w mroku kształty. Na jego ustach igrał dziwny, drżący uśmiešek. - Złapałem drugi oddech. Mogę... a ty co znów wyprawiasz?

- A jak ci się wydaje? - zapytał Brad, który stanął na czworakach pod plotem. - Pospiesz się, ojciec.

- O Jezu - rzekł Johnny, stając na jego grzbiecie. - Czuję się jak prezydent RPA.

Brad w pierwszej chwili nie pojął dowcipu. A potem zaczął chichotać. Plecy bolały go jak wszyscy diabli, ten Marinville ważył chyba z ćwierć tony, jego obcasy niemal dziurawiły zmaltretowany kręgosłup Brada, lecz przy tym wszystkim nie mógł powstrzymać się od śmiechu. Oto biały intelektualista, przesiąknięty od szkoły podstawowej duchem skrajnej poprawności politycznej - pisarz, który chadzał na przyjęcia z udziałem Czarnych Panter do willi Bernsteina - używa teraz Murzyna jako podnóżka. Jeśli to nie jest kwintesencja piekła w oczach liberała, to już nie wiem, co nią jest - pomyślał. Miał ochotę jęknąć i zawołać: "Biały pan się pospieszyć, bo biedna chłopaka nie wytrzymać!" i jego chichot przeszedł w głośny śmiech. Bał się, że któryś ze skradających się stworów za chwilę pozbawi go sporej części wypiętego tyłka, lecz śmiał się tak czy inaczej. Zaśpiewam mu refren z Old Black Joe - postanowił i sam zawył niczym kojot. Z oczu ciekły mu łzy. Walnął pięścią w ziemię.

- Co się dzieje, Brad? - dobiegł go z góry szept Johnny'ego.

- Nic, nic! - odparł, wciąż chichocząc. - Tylko już złaż mi z pleców! Jasna dupa, ty chyba masz podkute buty czy co?

Wreszcie ku jego uldze ciężar zelżał. Rozległy się postękiwania Johnny'ego, usiłującego przelożyć przez plot nogę. Brad podniósł się, znów przez moment czując lęk, że chwyci go zastrzał, po czym wcisnął swój potężny bark pod pośladki Johnny'ego. W chwilę później usłyszał kolejne stęknięcie z wysiłku i stłumiony okrzyk, gdy Marinville wylądował po drugiej stronie.

Brad został teraz po tej - zupełnie sam i bez podnóżka.

Spojrzał na szczyt parkanu. Miał wrażenie, że dzieli go od niego trzydzieści metrów. Za plecami dostrzegał ciemne kształty zacieśniające półkole, którym go otaczały.

Złapał za sztachety, lecz w tym momencie usłyszał warczenie. Zaszleściły zarośla.

Zerknął przez ramię i zobaczył stworzenie podobne bardziej do knura niż do kojota... a właściwie przypominające najbardziej dziecięcy rysunek czy raczej pospieszne gryzmoły, które jakimś sposobem ożyły. Każda noga zwierza miała inną długość, zakończone były

tępyimi kopytkami nie przypominającymi ani łap, ani palców. Ogon sterczał ze środka grzbietu. Oczy stanowiły puste, srebrzyste kółka. Zamiast nosa widniał ryjek. Tylko zęby, sterczące ostro z obu stron paszczy bestii, wydawały się rzeczywiste.

System nerwowy Brada wypełnił się adrenaliną, jakby ją wstrzyknął końską strzykawką Stary Doktor. Zapomniał o kręgosłupie i szarpnął się w górę, podkurczając kolana w chwili, gdy zwierzę ruszył do ataku. Dzik-kojot grzmotnął w sztachety tuż pod jego stopami, aż plot się zatrzęsł. A potem za jeden przegub chwycił Brada Johnny, za drugi Dave Reed i udało mu się wdrapać na górę, pozostawiwszy na sztachetach spore ilości otartego naskórka. Chciał przerzucić nogę na tamtą stronę, ale zahaczył tylko kostką o szczyt płotu. A potem poleciał na leb, na szyję w dół, daremnie usiłując przytrzymać się parkanu. Puścił go w porę, by nie złamać sobie ręki, lecz gdy wylądował (częściowo na Johnnym, głównie zaś na stanowiącej znakomitą wyściółkę żonie), poczuł, że spod pachy cieknie mu krew.

- Nie miałbyś tak ochoty ze mnie zleźć, przystojniaku? - zapytała, ledwo dysząc, znakomita wyściółka. - To znaczy, jeśli ci to nie sprawiło zbytniej niewygody?

Brad zczołgał się z obojga, padł jak kłoda, po czym przewrócił się na wznak. Spojrzał na gwiazdy, dziwnie powiększone i mrugające na zmianę jak bożonarodzeniowe lampki, które rozwiesza się na głównej ulicy małych miasteczek dzień po Święcie Dziękczynienia. Jeżeli te gwiazdy są prawdziwe, to ja jestem ksiądz proboszcz - pomyślał. Ale wisiały tam, tak czy inaczej. Dokładnie nad jego głową. A skoro nawet niebo przyłączyło się do tego cholernego spisku, to sytuacja już chyba nie mogła być gorsza.

Brad zamknął oczy, żeby już na to nie patrzeć. Oczami duszy - które otwierały się szerzej, kiedy tamte były zamknięte - ujrzał Cary'ego Riptona rzucającego mu egzemplarz Shoppera. Ujrzał własną rękę, tę, która nie trzymała węża, jak unosi się i łapie gazetę w powietrzu. "Świetnie, panie Josephson!" - zawołał wtedy Cary ze szczerym podziwem. Głos dochodził z daleka, odbijał się echem niczym w kanionie. Z bliska natomiast słychać było wycie z pasa zieleni (z tym, że teraz to był pas pustyni). Towarzyszyła mu

seria głuchych odgłosów, wydawanych przez dziki-kojoty rzucające się całym ciałem na plot.

Chryste Panie.

- Brad - Johnny mówił cicho, pochylając się nad nim jak najdalej od tych odgłosów.

- Co?

- Cały jesteś?

- Cały i zdrowy. - Nadal nie otwierał oczu.

- Brad.

- Co?

- Mam pomysł. Na film.

- Maniak jesteś, John. - Oczy wciąż zamknięte. Tak było znacznie lepiej. - Ale wchodzę w to. Jaki tytuł będzie miał ten film o mnie?

- "Murzyni nie umieją przechodzić przez płoty" - odparł Johnny i ryknął śmiechem.

Śmiał się szaleńczo, na skraju wyczerpania. - Namówię Mela Brooksa, żeby reżyserował. A ciebie zagra Eddie Murphy.

- Jasne - rzekł Brad, siadając z wysiłkiem. - Uwielbiam Eddiego Murphy'ego. Gra bardzo emocjonalnie. Zaproponuj mu milion na wejściu. Któż by się temu oparł?

- Słusznie, słusznie - zgodził się Johnny, zaśmiewając się tak, że ledwie mógł mówić... tylko że po twarzy płynęły mu łzy.

Brad zaś nie przypuszczał, żeby pisarz płakał ze śmiechu. Nie dalej jak dziesięć minut temu Cammie Reed o mało nie odstrzeliła mu głowy i wątpliwe, żeby już o tym zapomniał. Wątpliwe, w gruncie rzeczy, żeby Johnny w ogóle o czymkolwiek zapominał. Był to prawdopodobnie ten z jego talentów, którego chętnie by się pozbył, gdyby tylko miał taką możliwość.

Brad wstał i pomógł się podnieść Belindzie, podawszy jej rękę. Znow rozległy się uderzenia w plot, wycie i odgłosy gryzienia, jakby wygłodniałe karykatury zwierząt po drugiej stronie parkanu usiłowały przegryźć sztachety.

- No i co o tym myślisz? - spytał Johnny, wstając również przy pomocy Brada.

Zatoczył się, odzyskał równowagę i przetarł załzawione oczy.

- Myślę, że jak się zrobiło gorąco, wspiałem się znakomicie - odparł Brad. Objął żonę ramieniem i spojrzał na Johnny'ego. - Chodź, białasie. Zrobileś pierwszy krok do kariery po plecach czarnego człowieka, musisz być wykończony. Wejdzmy do domu.

2

Stwór, który podskakując niepewnie przedostał się przez furtkę na tyłach podwórka Toma Billingsleya, wyglądał jak dziecinna wersja jaszczurki gila, którą Jeb Murdock zestrzeliwuje z głazu podczas zawodów strzeleckich z Candym, mniej więcej w połowie "Regulatorów". Patrząc na jego głowę, można by jednak sądzić, że wydostał się właśnie z Parku Jurajskiego.

Pokonał skokami schodki, poczłapał do siatkowych drzwi i pchnął je pyskiem. Nic to nie dało; drzwi otwierały się na zewnątrz. Jaszczur wyciągnął swój gadzi łeb i zaczął szarpać zębami dolny panel drzwi. Wystarczyły mu trzy chapnięcia, by znaleźć się w kuchni Starego Doktora.

Gary Soderson odnotował resztkami świadomości pojawienie się cuchnącego powiewu dmuchającego mu w twarz. Próbował odpędzić go machnięciem dłoni, ale odór jeszcze się wzmógł. Gary podniósł rękę, natrafił na coś w rodzaju buta z krokodylej skóry - bardzo dużego buta - i otworzył oczy. Ujrzał pochylonego tuż nad swoją twarzą stwora przyglądającego mu się z niemal ludzkim zaciekawieniem i tak groteskowego, że krzyk uwiązał Gary'emu w gardle. Oczy jaszczura były jaskrawopomarańczowe.

No i jest - pomyślał Gary. - Mój pierwszy poważny atak delirium tremens. Żegnajcie kumple, AA na horyzoncie.

Zamknął oczy. Usiłował przekonać sam siebie, że nie czuje bagiennego oddechu i nie słyszy bezdźwięcznego plaskania ogona o linoleum. Trzymając zimną dłoń swej martwej żony, powtarzał w kółko:

- Niczego tu nie ma. Niczego tu nie ma. Nicze...

Nim zdążył dopowiedzieć trzecie powtórzenie (a każdy przecież wie, że do trzech razy sztuka), potwór zatopił zęby w jego gardle i rozerwał je.

3

Przez otwarte drzwi spiżarni Johnny dostrzegł małe stopki i zajrzał do środka. Leżeli tam na poduszce z kanapy, obejmując się, Ellie i Ralphie pogrążeni - mimo strzałów za oknem - w głębokim śnie. Nawet sen nie dawał im jednak całkowitej ochrony przed tym, co się działo - twarze mieli pobladłe i napięte, ich oddechy przypominały stłumiony szloch, a Ralphie wierzgał nogami jakby śnił, że biegnie.

Johnny domyślił się, że poduchę znalazła pewnie Ellie i przyciągnęła ją tu dla siebie i brata; z pewnością nie zrobiła tego Kim Geller. Kim wraz z córką zajęły swoje poprzednie miejsca pod ścianą, tyle że siedziały teraz na taboretach zamiast na podłodze.

- Czy Jim naprawdę nie żyje? - zapytała Susi, spoglądając błyszczącymi od łez oczyma na Johnny'ego, gdy się ukazał za Belindą i Bradem. - Nie mogę w to po prostu uwierzyć; bawiliśmy się frisby, mieliśmy iść dzisiaj do kina...

Johnny nie miał już do niej zupełnie cierpliwości.

- No to przejdź się na tylną werandę i sama się przekonaj - odparł.

- Dlaczego jesteś taki wredny? - spytała gniewnie Kim. - Moja córka może się już nigdy nie otrząsnąć z tak traumatycznego przeżycia. Jest w głębokim szoku!

- Nie tylko ona - odrzekł Johnny. - A skoro już o tym...

- Daj spokój, stary, nie walczmy ze sobą - wtrącił się Steve Ames.

Było to bez wątplenia słuszne, lecz Johnny miał już dość. Wyciągnął rękę, wskazując palcem na Kim, która obrzuciła go ostrym, zawziętym spojrzeniem, i dokończył:

- Skoro już o tym mowa, jeżeli jeszcze raz nazwiesz Belinę Josephson czarną suką, tak cię strzelę, że powybijam wszystkie zęby.

- Ojej! Nie strasz, nie strasz, bo się zesrasz - odparła Kim, przewracając teatralnie oczami.

- Przestań, John. W tej chwili - odezwała się Belinda, biorąc go za ramię. - Mamy ważniejsze sprawy do...

- Tłusta czarna suka - powiedziała Kim Geller. Nie patrzyła przy tym na Belinę, tylko na Johnny'ego. Oczy jej wciąż płonęły, lecz teraz się uśmiechała. Najbardziej jadowym uśmiechem, jaki Johnny widział w życiu. - Tłusty czarnuch. - Pokazała palcem na własne usta i odsłonięte zęby, jakby przedstawiała "samobójstwo" w odgadywance. Jej córka patrzyła na nią zdumiona. - I co? Słyszałeś? No to już, powybijaj mi zęby. Spróbuj tylko. Johnny ruszył do niej, zamierzając spełnić swą groźbę. Brad chwycił go za ramię. Steve za drugie.

- Ty idiotko - powiedział Stary Doktor oschłym, ochryplym głosem. Dotarło to jakoś do Kim, gdyż obdarzyła go zaskoczonym, uważnym spojrzeniem. - Wynoś się stąd. Wynocha, ale już.

Kim podniosła się z krzesła, pociągając za sobą Susi. Przez chwilę wydawało się, że pójda do salonu razem, lecz dziewczyna wyrwała się matce. Kim wyciągnęła ku niej rękę, ale Susi się cofnęła.

- Co ty wyprawiasz? - spytała Kim. - Przenosimy się do salonu! Nie będziemy tu siedzieć z tymi...

- Ja nie idę - pokręciła szybko głową Susi. - Może ty, ale ja nie.

Matka spojrzała na nią, potem na Johnny'ego. Twarz wykrzywiło jej pełne nienawiści zmieszanie.

- Wyjdź stąd, Kim - powiedział Johnny. Nadal czuł, że jest w stanie walnąć ją pięścią w zęby, ale już nie był taki wściekły i głos mu się uspokoił. - Nie jesteś sobą.

- Susi, proszę tu przyjść. Zostawmy tych nienawistnych ludzi.

Susi, drżąc cała, odwróciła się do matki plecami. Nie zmieniło to opinii Johnny'ego o niej jako o płytkiej, kapryśnej istocie... ale przynajmniej umieściło o dwa, trzy ogniwa łańcucha wyżej od matki.

Dave Reed powoli, niczym zardzewiały robot, podniósł ramiona i objął nimi Susi.

Cammie już zamierzała zaprotestować, dała jednak spokój.

- W porządku - rzekła Kim. Głos miała wyraźny i opanowany, jak ktoś, kto przemawia przez sen. - Jakbyś coś chciała, jestem w salonie. - Przeniosła spojrzenie na Johnny'ego, którego uważała chyba za sprawcę wszystkich swych nieszczęść. - A ty...

- Przestańcie - rzuciła ostro Audrey. Wszyscy odwrócili się do niej zaskoczeni, tylko Kim usunęła się w ciemność salonu Carverów. - Nie mamy czasu na takie pierdoły. Może istnieje szansa, cień szansy, żebyśmy wyszli z tego cało, ale jeżeli będziecie stać tu i użerać się jak idioci, to lepiej umrzyjmy od razu.

- A kim pani jest? - zapytał Steve.

- Nazywam się Audrey Wyler.

Stała tam, wysoka, długonoga, seksowna nawet w swych błękitnych szortach, lecz blada i wymizerowana. Patrząc na jej twarz, Johnny pomyślał o dzieciach Carverów tulących się do siebie we śnie i raptem odkrył, że usiłuje sobie przypomnieć, kiedy ostatnio widział Audrey, kiedy spędził w jej towarzystwie dłuższą chwilę. Nie pamiętał. Jakby w pewnym momencie całkowicie zniknęła z toczącego się z dnia na dzień życia ulicy Topolowej.

Brzydki jesteś mój Kubusiu - wróciło do niego nagle. - Gryzłeś mamę po cycusiu.

Przypomniał też sobie, jak któregoś popołudnia spędził trochę czasu z Sethem, oglądając z nim "Bonanzę" w pokoju telewizyjnym Wylerów, gdzie na podłodze leżało kilka samochodzików-furgonetek. To pociągnęło za sobą lawinę skojarzeń. Złoczyńcy o

twarzach aktorów filmowych. Major Pike, dobry "kowsmita", który stał się zły. Sceneria jak z westernu - to najbardziej.

"On uwielbia stare westerny" - powiedziała wtedy Audrey. Zbierała przy tym zabawki z podłogi, w sposób charakterystyczny dla ludzi podenerwowanych. - "Najbardziej lubi »Bonanzę« i »Człowieka ze strzelbą«, ale ogląda wszystko, co puszczają w kablówkach. To znaczy, wszystko, w czym są konie".

- To twój siostrzeniec, Aud? Prawda? To Seth to wszystko robi.

- Nie. - Audrey przetarła ręką oczy. - To nie Seth. To coś w nim.

4

- Wyjaśnię wam, co będę w stanie, ale nie mamy za wiele czasu. Wozy Mocy niedługo wrócą - powiedziała Audrey.

- Kim oni są? - zapytał Billingsley.

- To regulatorzy, banici. A nasza ulica to częściowo Dziki Zachód taki, jaki znamy z telewizji, a po części miejsce zwane Korytarzem Energii, istniejące wyłącznie w rysunkowym serialu dla dzieci, w dwudziestym trzecim wieku z wyobraźni. - Odetchnęła głęboko i przeczesała dłonią włosy. - Nie wiem wszystkiego, ale...

- Wprowadź nas na tyle, na ile się da - poprosił Johnny.

Audrey spojrzała na zegarek i skrzywiła się kwaśno.

- Staął.

- Mój też - oznajmił Steve. - Chyba wszystkie stanęły.

- Przypuszczam, że mamy jeszcze czas - rzekła Audrey. - To znaczy, mam na myśli to, że jest jeszcze za wcześnie na jakąś... akcję. - Parsknęła nagle śmiechem, ku zaskoczeniu Johnny'ego. Ku zaskoczeniu wszystkich, sądząc po ich twarzach. Pobrzmiwał w nim ton nie tyle hysterii, co autentycznej uciechy. Widząc ich spojrzenia, opanowała się jednak. -

Wybaczcie, to takie skojarzenie. Nie zrozumielibyście. W każdym razie musimy poczekać. Jeżeli w tym czasie sprowadzi regulatorów, przypuszczam, że będziemy musieli po prostu to... przetrwać.

- Czy oni się robią coraz silniejsi? - spytała raptem Cammie. - Ci regulatorzy... czy nabierają coraz większej mocy?

- Owszem - potwierdziła Audrey. - Modłę się, żeby tak nie było, ale ten stwór, co ich ożywia, przechwycił prawdopodobnie energię z ludzi, którzy zginęli w lasku. A jeśli tak, to następna ich szarża będzie jeszcze gorsza.

Nabrała głęboko powietrza, popatrzyła po twarzach obecnych i zaczęła opowiadać.

5

- To coś we wnętrzu Setha nazywa się Tak.

- Czy to demon, Aud? - zapytał Stary Doktor. - Coś w rodzaju demona?

- Nie. On nie jest związany z... żadną religią, tak by to można ująć. Chyba że uznamy za Boga telewizję. Wydaje mi się, że to raczej coś w rodzaju nowotworu. Posiada świadomość, cieszy go przemoc i okrucieństwo. Siedzi w nim już prawie dwa lata. Słyszałam kiedyś taką historię o pewnej kobiecie z Vermont, która znalazła w zlewie pająka, czarną wdowę. Musiał tam przywędrować w pustym pudle, które jej mąż przyniósł do domu z supermarketu, gdzie pracował. To było pudło po bananach z Ameryki Południowej. Pająk dostał się do niego przy załadunku. Przypuszczam, że w podobny sposób Tak przywędrował na Topolową. Tylko że ta nasza "czarna wdowa" ma głos. Ten stwór zawołał Setha do siebie, kiedy mój siostrzeniec przejeżdżał z rodziną przez pustynię. W Nevadzie. Wyczuł go jako kogoś, kim może się posłużyć, i go wezwał.

Popatrzyła na swoje dłonie, splecione ciasno na podolku. W drzwiach salonu stała zwabiona jej opowieścią Kim Geller. Audrey podniosła oczy. Mówiła do wszystkich, ale spojrzenie najczęściej zwracała ku Johnny'emu.

- Na początku był chyba dość słaby, ale nie na tyle, żeby nie pojmować, iż rodzina Setha stanowi dla niego zagrożenie. Nie wiem, co mogli wiedzieć lub podejrzewać, ale wiem, że ostatnia rozmowa, jaką odbyłam z moim bratem przez telefon, była bardzo dziwna.

Sądzę, że Bill powiedziałby mi niejedno... gdyby Tak mu pozwolił.

- On może robić coś takiego? - zapytał Steve. - Rządzić ludźmi w ten sposób?

- To zrobiła moja własna ręka - pokazała na swe opuchnięte usta Audrey. - Ale nie ja nią kierowałam.

- Rany boskie - powiedziała Cynthia, spoglądając nerwowo na kuchenne noże umocowane na ścianie na magnetycznych wieszaczkach. - To fatalnie. I to bardzo.

- Mogłoby być jeszcze gorzej - stwierdziła Audrey. - Ale oddziaływanie Taka ma dość krótki zasięg.

- To znaczy jaki? - chciała wiedzieć Cammie.

- Przeważnie nie więcej niż siedem, dziesięć metrów. Na dalszy dystans jego fizyczny wpływ na ludzi szybko się wyczerpuje. Przeważnie. Ale w tej chwili bym się nie założyła, bo jeszcze nigdy nie był aż tak naładowany energią.

- Dajcie jej najpierw opowiedzieć - rzekł Johnny.

Czuł niemal namacalnie, jak czas im ucieka. Nie wiedział i nie obchodziło go, czy to przekonanie przyszło od Audrey, czy też z jego własnego wnętrza. Czas uciekał. Jeszcze nigdy w życiu nie miał tak silnego przeczucia. Czas uciekał.

- Chłopiec też nadal istnieje - ciągnęła Audrey, mówiąc to powoli, z naciskiem. - Słodkie i wyjątkowe dziecko, które się nazywa Seth Garin. Najobrzydliwsze w tym wszystkim jest to, że Tak zabija, używając rzeczy, które chłopcu są najdroższe. W przypadku mojego brata i jego rodziny był to jeden z Wozów Mocy z tego serialu "MotoGliny", Strzała Szlaku. Kiedy to się stało, przejechali już Nevadę i kończyli podróż w Kalifornii. Nie

wiem, skąd na tym etapie swojego rozwoju Tak nabrał tyle energii, że był w stanie przywołać Strzałę Szlaku z wyobraźni Setha. Seth jest jego głównym źródłem mocy, ale to mu nie wystarcza. Żeby naprawdę zaskoczyć, potrzebuje więcej.

- Czyli to jakby wampir? - stwierdził Johnny. - Tylko że zamiast krwi wysysa energię psychiczną?

- A największe zasoby tej energii - ciągnęła Audrey, skinąwszy głową - znajduje w osobach, które cierpią. Możliwe, że w przypadku rodziny Billa akurat w pobliżu ktoś umarł albo się poranił. Albo...

- Albo on sam kogoś poranił - wtrącił Steve. - Na przykład napatoczył się jakiś menel czy bezdomny z wózkiem. W każdym razie założę się, że ten ktoś umarł z uśmiechem na ustach.

- Więc wiesz? - zwróciła się doń Audrey z twarzą ściągniętą smutkiem i obrzydzeniem.

- Nie za wiele, ale to, co wiem, pasuje do tego, co mówisz - odparł Steve, wskazując kciukiem mniej więcej w stronę lasu. - Tam leży taki jeden gość. Enragian go rozpoznał. Powiedział mi, że widział go na waszej ulicy ze dwa, trzy razy tego lata. Najwidoczniej dostał się w zasięg tego wampira w twoim siostrzeńcu. Ale jak?

- Nie wiem - odparła głucho. - Pewnie musiałam wyjść.

- Dokąd? - spytała Cynthia.

Dotąd sądziła, że pani Wyler to raczej typ samotniczki.

- Nieważne. Jest jedno takie miejsce. I tak byście nie zrozumieli. Istotne jest to, że Tak zabił rodzinę mojego brata, używając do tego jednego z Wozów Mocy.

- Może wtedy mógł zagrać tylko na jednej trąbie, a teraz już ma całą orkiestrę, co? - zapytał Johnny.

Audrey odwróciła się od nich, zapatrzyła się gdzieś w dal, skubiąc suche, spękane wargi.

- Przyjeliśmy go z Herbem do siebie i z pewnych powodów... z bardzo wielu właściwie... nigdy tego nie żalowałam. Sami nie mogliśmy mieć dzieci. On był taki słodki, taki kochany...

- Frankensteina też ktoś tam kochał - przerwał jej oschły, chrapliwy głos Cammie Reed. Audrey spojrzała na nią, nie przestając skubać wargi, a potem odwróciła się do Johnny'ego, błagając go wzrokiem o zrozumienie. Wcale nie chciał jej rozumieć po tym wszystkim, co się wydarzyło - na czele z widokiem potwornie wykrzywionej twarzy Jima Reeda, gdy kula rozerwała mu mózg - uzmysłowił sobie jednak, że chyba trochę mimo wszystko rozumie. Czy mu się to podoba, czy nie.

- Pierwsze sześć miesięcy było najlepsze. Chociaż już wtedy oczywiście wyczuwaliśmy, że coś jest nie tak - ciągnęła Audrey.

- Byliście z nim u lekarza? - spytał Marinville.

- To by nic nie dało. Badania niczego by nie wykazały, bo Tak by się ukrył. Jestem tego prawie pewna. A potem... w domu...

- Stwór by was ukarał - rzekł Johnny, spoglądając na jej spuchnięte usta.

- Tak. Mnie i... - głos jej się załamał i dokończyła szeptem: - Mnie i Herba.

- Herb nie zabił się sam, prawda? - zapytał Tom Billingsley. - To coś, ten Tak go zamordował?

- Herb chciał, żebyśmy uciekli - skinęła głową Audrey. - I Tak to wyczuł. Poza tym odkrył, że nie może posłużyć się Herbem, żeby zrobić jedną rzecz. Żeby uprawiać seks... doświadczać seksu... ze mną. Herb mu na to nie pozwalał. To bardzo rozzłościło Taka.

- Mój Boże - rzekł cicho Brad.

- Więc zabił Herba i znów się naładował. Od tej pory Seth był jedynym jego zakładnikiem... ale to mu wystarczało, żeby mnie utrzymać w korbach.

- Ponieważ ty kochasz tego chłopca - rzekł Johnny.

- Tak jest, zgadza się, ponieważ ja go kocham. - Johnny nie słyszał w tym wyzwania, jedynie jakieś przedziwne i straszne zawstydzenie. Cynthia podała jej papierowy ręcznik, lecz Audrey tylko trzymała go w ręce, jakby nie wiedziała, do czego ma posłużyć. - Tak więc w pewnym sensie przypuszczam, że ta moja miłość jest winna wszystkiemu. To okropne, ale to chyba prawda. - Zwróciła pełne łez oczy ku Cammie Reed, która

siedziała na podłodze, obejmując ramieniem jedynego teraz syna. - Nie sądziłam, że dojdzie aż do tego. Musicie mi uwierzyć. Nawet po tym, jak wypędził Hobartów i zabił Herba. Nie zdawałam sobie sprawy z jego mocy, z jego możliwości.

Cammie spoglądała na nią w milczeniu, z kamienną twarzą.

- Od śmierci Herba żyliśmy sobie cichutko z Sethem - powiedziała Audrey. Johnny pomyślał, że to chyba jej pierwsze jawne kłamstwo w tej opowieści, choć już przedtem zapewne raz czy drugi nie powiedziała całej prawdy. - Seth ma osiem lat, ale ze szkołą nie było problemu. Spełniam pewne wymagania, by móc go uczyć w domu, tylko co miesiąc wysyłam taki formularz do Zarządu Oświaty. Oczywiście to zupełna kpina, bo Seth ogląda tylko w kółko filmy i seriale w telewizji. To jest cała jego edukacja. Bawi się w piaskownicy, żywi się głównie hamburgerami i spaghetti i wypija każdą ilość mleka czekoladowego. Przez większość czasu to naprawdę był Seth. - Rozejrzała się błagalnie po ich twarzach. - Naprawdę. Tylko że... Tak ciągle był w nim. Rozrastał się. Zapuszczał coraz głębiej korzenie. Zawojowywał go.

- A ty nie miałaś pojęcia o niczym - rzuciła od drzwi Kim. - A nie, przepraszam, zapomniałam. Ten stwór zabił twojego męża. Ale ty to po prostu olałaś, prawda? Uznałaś, że wypa...

- NICZEGO nie rozumiesz! - Audrey niemal wrzasnęła. - Nie masz pojęcia, jak to jest mieszkać z Sethem i z tym czymś w jego wnętrzu! W jednej chwili to był Seth, a za moment wystarczyło pomyśleć, że się za słabo zabezpieczyłam, i nagle zaczynałam wpadać na ścianę jak nakręcana zabawka, którą jakiś dzieciak chce rozwalić. Albo biłam się po twarzy, albo szczypałam po... po ciele...

Audrey użyła jednak papierowego ręcznika, lecz nie do otarcia łez, tylko do osuszenia potu, który wystąpił jej na czoło.

- Raz zrzucił mnie ze schodów - ciągnęła. - W zeszłym roku przed Bożym Narodzeniem. Zwróciłam mu tylko uwagę, by nie przewracał paczek pod choinką. Myślałam, że mówię do Seta, rozumiecie? Że Tak jest gdzieś głębiej. Drzemie czy zapadł w sen zimowy, czy

co tam on robi. A potem zobaczyłam, że to nie są oczy Setha, że są za ciemne, ale już było za późno. Musiałam wstać z krzesła i wejść na schody. Nie da się opowiedzieć, jakie to straszne... jakby się było pasażerem w samochodzie prowadzonym przez szaleńca. Na górze się odwróciłam i... po prostu zrobiłam krok do przodu, tak jak z trampoliny. Nic sobie nie zламаłam, bo w ostatniej chwili złagodził upadek. A może Seth to zrobił. W każdym razie i tak cud, że nie zламаłam ręki czy nogi.

- Albo karku - dodała Belinda.

- Uhm, albo karku. Usiłuję wam tylko wytłumaczyć, że kochałam go, to prawda... kochałam tego, ale przez tamtego byłam zastraszona.

- Seth to marchewka, a Tak to kij - powiedział Johnny.

- Właśnie. No i miałam to swoje miejsce, kiedy już się robił obłęd. Seth mi w tym pomógł, wiem, że to on. A czas... po prostu mijał. Może podobnie mija ludziom, którzy mają raka. Zwyczajnie żyjesz dalej, bo jaki masz wybór? Przyzwyczajasz się do pewnego poziomu bólu i lęku i wydaje ci się, że tak już pozostanie, że musi tak pozostać. Nie miałam pojęcia, że on planuje coś takiego. Musicie mi uwierzyć. Przeważnie byłam w stanie osłonić przed nim moje myśli. Ale nie przyszło mi do głowy, że Tak też może mieć myśli... plany, które ukrywa przede mną. Czekał tylko... a potem chyba pojawił się ten menel, ja pewnie akurat poszłam... odwiedzić koleżankę, Jan... no i... - Przerwała. Widać było, że usiłuje się pozbierać, niemal dosłownie, jakoś uspokoić.

- Ten koszmar, w którym się znaleźliśmy, to połączenie "Regulatorów", jego ukochanego westernu, i "MotoGlin 2200", jego ulubionego serialu rysunkowego... szczególnie jednego odcinka, tego o Korytarzu Energii. Oglądałam go mnóstwo razy; Seth ma to nagrane, i to nie na jednej taśmie, ale na trzech. Jak na film rysunkowy jest to coś wyjątkowo przerażającego. Ma niesamowite napięcie. Seth, gdy to pierwszy raz obejrzał, trzy noce pod rząd moczył się w łóżku, tak się wystraszył. Ale jednocześnie bardzo mu się podobało. Głównie dlatego, że w tym odcinku dobre i złe postacie jednoczą się, żeby zniszczyć okropnych innych kosmitów ukrytych w Korytarzu Energii. Tamci siedzą w

kokonach, jakie początkowo Pułkownik Henry wziął omyłkowo za generatory zasilania. Moment, w którym wyskakują z nich i szarżują na MotoGliny, zmroziłby chyba każdego. Wygląda na to, że w tej naszej odmianie Korytarza Energii kokonami są nasze domy. A my...

- Jesteśmy strasznymi kosmitami - dokończył Johnny, kiwając głową. Wszystko to brzmiało przerażająco logicznie. - Przypuszczam, że tym, co najsilniej przemawia do obu, Setha czy Taka, jest ten pomysł z wymuszoną współpracą. Współpracuj albo zginiesz. Dzieciom podoba się ta koncepcja, ponieważ zwalnia je z konieczności osądzania, z czym większość z nich niezbyt dobrze sobie radzi.

Audrey przytakiwała mu, również kiwając głową.

- Wymuszona współpraca, tak jest, to brzmi sensownie. Tak samo zresztą postaci z "Regulatorów", i te dobre, i te złe, przyłączają się zawsze do MotoGlin w zabawach, które Seth wymyśla sobie w piaskownicy. W tych jego fantazjach nawet szeryf Streeter i Jeb Murdock współpracują ze sobą, chociaż w filmie to śmiertelni wrogowie.

- Jak uważasz, Aud, czy to, co się teraz dzieje, to w dalszym ciągu fantazje Setha?

- Nie jestem w stanie tego ocenić - odparła - ponieważ bardzo trudno jest się zorientować, gdzie się kończy Tak, a zaczyna Seth... ten punkt trzeba jakoś namacać.

Chodzi mi o to, że na pewnym poziomie Seth prawdopodobnie rozumie, co się dzieje, tak jak w którymś momencie dzieci przestają wierzyć w Świętego Mikołaja... ale przecież niechętnie się rozstajemy z takimi wyobrażeniami, prawda? Mają w sobie... - przerwała na chwilę; jej dolna warga zadrżała, lecz Audrey udało się opanować. - Mają w sobie jakąś taką słodycz i czasem nam naprawdę w trudnych chwilach pomagają. Dzięki Takowi Seth mógł odgrywać swoje fantazje na dużo większym ekranie niż większość z nas. No i tyle.

- Cholera, on je po prostu rozgrywa w rzeczywistości wirtualnej - wtrącił Steve. - To, co opisujesz, to po prostu wirtualna gra, która stała się rzeczywistością.

- Jest jeszcze inna możliwość - rzekła Audrey. - Być może Seth już nie jest w stanie powstrzymać Taka czy choćby trochę go wyhamowywać. Być może Tak go związał, zakneblował i wrzucił do szafy.

- A gdyby jednak Seth mógł powstrzymać tego stwora, czy zrobiłby to? - zapytał Johnny.

- Jak sądzisz? Jak to czujesz?

- Jestem przekonana, że tak - odparła bez wahania. - Wiem, że w głębi duszy jest przerażony. Coś jak Myszka Miki w "Fantazji", kiedy te miotły wymykają się jej spod kontroli.

- Załóżmy, że masz rację. Załóżmy, że on przeprowadza w tej chwili całą akcję samodzielnie. Ale dlaczego w ogóle ją przeprowadza? Co on z tego właściwie ma? Co on zyskuje?

- Nie on. - Audrey wydeła usta w mimowolnym, jak sądził Johnny, grymasie obrzydzenia.

- Nie Seth, tylko to coś. Ten stwór.

- No dobra, stwór. Dla Seta ulica Topolowa to Korytarz Energii, domy to kokony, a my to źli kosmici, którzy w nich siedzą. I urządza sobie pojedynek rewolwerowców w O. K. Corralu9 w wersji międzygalaktycznej. Ale co tu jest atrakcyjnego dla Taka?

- Coś, co ma wyłącznie dla siebie - odparła Audrey, a Johnny'emu przypomniały się słowa ze starej piosenki Beatlesów: "Co widzę gasząc światło, kiedy robi się ciemno? Nie mogę ci powiedzieć, marzenia są wtedy ze mną". - Te wszystkie fantazje zarezerwowane są chyba tylko dla Seta. W ten sposób Tak podłącza się do mocy dziecka, która uzupełnia jego własną. A sam Tak... myślę, że jemu po prostu sprawia przyjemność to, co się z nami dzieje.

W kuchni zapadła kompletna cisza.

- Przyjemność? - odezwała się w końcu Belinda. - Co masz na myśli, mówiąc "to, co się z nami dzieje"?

- Kiedy cierpimy. Na przykład, gdy czujemy ból. Emanujemy coś wtedy... a on to sobie zlizuje, jak lody. A jeszcze lepiej, kiedy ktoś umrze. Wówczas już nie tylko liże, ale po prostu zżera wszystko.

- Czyli jesteśmy jego pożywieniem - stwierdziła Cynthia. - To chcesz powiedzieć? Dla Setna jesteśmy grą komputerową, a dla tego stwora po prostu... obiadem.

- Czymś więcej - odparła Audrey. - Uświadomcie sobie, czym jest dla nas jedzenie: źródłem energii. Seth mi powiedział, że Tak "robi", stwarza coś. "Robi" i "buduje". Przypuszczam, że ta pustynia w Nevadzie, gdzie przeskoczył na Seta, nie była jego domem, tylko więzieniem. A dom być może próbuje sobie stworzyć, zbudować, właśnie tutaj.

- Z tego, co dotąd widziałem w jego wykonaniu, z wizytą bym do niego nie przyszedł. Nie mówiąc już o mieszkaniu w takim miejscu - skonstatował Steve. - W sumie...

- Przestań - rzuciła Cammie ostrym, zniecierpliwionym tonem. - Jak go zabijemy? Powiedziałaś, że może istnieje sposób.

Audrey spojrzała na nią zszokowana.

- Nie zabijecie Seta. Nie pozwolę na to nikomu. Zapomnijcie o tym natychmiast. To niewinny mały chłopiec...

Cammie przyskoczyła do niej i chwyciła za ramiona, tak błyskawicznie, że Johnny nawet nie zdążył pomyśleć, by wykonać jakiś ruch. Jej kciuki wbiły się głęboko w piersi Audrey.

- Powiedz to Jimmy'emu! - krzyknęła w twarz oszołomionej kobiecie. - On nie żyje, mój syn jest martwy, więc nie będziesz mi tu joczyła, jaki to niewinny jest twój siostrzeniec! Jak śmiesz! To coś siedzi w nim jak tasiemiec w świni! W nim! I jeżeli nie wylezie...

- Ale wylezie! - zawołała Audrey. Zaczęła odzyskiwać panowanie nad sobą; głos jej się uspokoił. - Wylezie.

- Jak? Kiedy? - Cammie zwolniła powoli uścisk, spoglądając na nią z niedowierzaniem. Nim Audrey zdążyła odpowiedzieć, odezwała się Kim.

- Słyszę jakieś brzęczenie. Jakby silniki elektryczne - oznajmiła podniesionym, drżącym głosem. - O Boże święty, oni wracają!

Teraz Johnny też to usłyszał. Ten sam elektryczny pomruk co poprzednio, ale tym razem głośniejszy. Jakby bardziej dziarski. Groźniejszy. Spojrzał na drzwi do piwnicy, lecz uznał, że chyba jest już za późno, żeby się za nimi schronić z uwagi na dwójkę śpiących w spiżarni dzieci.

- Padnij! - rozkazał. - Wszyscy na podłogę!

Zobaczył, że Cynthia bierze Steve'a za rękę i wskazuje drżącym palcem otwarte drzwi spiżarni. Steve skinął głową, po czym weszli do spiżarni, zasłaniając dzieci własnymi ciałami.

Pomruk narastał.

- Módlcie się - powiedziała nagle Belinda. - Niech się wszyscy modlą.

Lecz Johnny nie był w stanie się modlić. Za bardzo się bał.

Z dziennika Audrey Wyler:

7 lutego 1996

Zauważyłam coś ciekawego, być może będzie to najlepszy sposób orientowania się, który z nich w danym momencie rządzi ich wspólnym ciałem. Obydwaj z wielkim nabożeństwem traktują figurkę Cassandry Styles, ale Tak ma do niej stosunek niemal wyłącznie erotyczny. Pieści jej plastikowe piersi, głaszcząc nogi. Przedwczoraj widziałam, jak siedział na schodach i lizał ją w kroku po tych niebieskich szortach. Miał pełną erekcję (nietrudno to zauważyć, jeżeli ktoś przez większość czasu chodzi tylko w

majtkach). Sam fakt, że kazał mi nosić podobne ubrania co ona i ufarbować włosy na rudo (i to w okropnym odcieniu), też mówi za siebie.

Seth z kolei... kiedy jest Sethem, czasem tylko ją przytula albo głaszcze po tych sztywnych włosach, albo całuje w policzek. Udaje, że to jego matka. Nie wiem, skąd to wiem, ale wiem.

Muszę kończyć, bo znowu płacę.

ROZDZIAŁ 12

Desperation, ulica Główna/Czas regulatorów

Furgonetki, tak jak podczas poprzedniego rajdu, wylaniają się niczym zjawy, tyle że tym razem nie z mgły, lecz z pustynnego kurzu, połyskującego niczym pozlota w świetle Pana Kowboja Księżycy.

Na czele jedzie różowy Senny Wędrowiec. Cassie Styles siedzi obok kierowcy - Candy'ego - w kawaleryjskim kapeluszu z podpiętym rondem. Na dachu obraca się żwawo radar, walentynkowe serduszko. Jak reklama na burdelu - powiedziałby może Johnny Marinville, gdyby to widział. Nie widzi jednak, ponieważ leży na podłodze kuchni Carverów obok Starego Doktora z rękami zaplecionymi na głowie i z zaciśniętymi mocno powiekami. Jego twarz jest twarzą człowieka, który oczekuje rychłego nadejścia Armagedonu. Senny Wędrowiec nie wjeżdża w ulicę Główną miasteczka Desperation jak poprzednio, z Hiacyntowej; ta bowiem zniknęła. Jej miejsce zajęła zlepieńcowa pustynia, równie monotonna co niebo ponad nią - po tej stronie świata pozbawione niemal gwiazd. Zupełnie jakby, zwróciwszy oko na południe od grupki przycupniętych tu domków, ku pustkowiu, Stwórca zatracił Swoją boską inwencję.

Krępe skrzydła Sennego Wędrowca są wysunięte, koła częściowo schowane; sunie w powietrzu mniej więcej metr nad koleinami ulicy. Silnik wozu pracuje równo. Kiedy mija saloon Lady Day na rogu, otwiera się jego okienko strzelnicze. Wygląda z niego Laura DeMott z "Regulatorów", trzymając w delikatnych białych dłoniach już nie damski rewolwer, tylko strzelbę. Jest to zwykła dwururka, lecz huk jej wystrzału brzmi jak wybuch pocisku z ręcznej wyrzutni. Następnie rozlega się zawodzący, wysoki pisk i cały fronton saloonu wylatuje w powietrze. Wahadłowe drzwi lecą w górę, trzepocząc szaleńczo, niczym prawdziwe skrzydła. Powietrze w miejscu, gdzie była ściana baru, pulsuje przez moment jak w podmuchu gorąca i przez tę jedną chwilę obserwator, gdyby taki był, dostrzegłby w tle płonącego Lady Day budynek-widmo, jak na nałożonym zdjęciu: sklep E-Z Stop, również zrujnowany i w płomieniach.

Za Wędrowcem sunie Strzała Szlaku, a za nią Wolność. Odblaskowa przednia szyba Wolności znów osuwa się w dół. Za kierownicą wozu Bounty'ego siedzi teraz Major Pike,

dobry Canopaleńczyk, który zmienił się w złego. Tym razem nie ma na sobie munduru ani kapelusza (kapelusz tkwi na głowie Candy'ego - regulatorzy ciągle wymieniają się częściami garderoby i ekwipunku, to część całej zabawy). Major włożył z powrotem swój opalizujący uniform MotoGliny. Odsłonięty teraz blond irokez na jego głowie świetnie do tego pasuje. Obok majora siedzi na miejscu pilota posiwiwały traper, którego Johnny widział poprzednio: sierżant Mathis, prawa ręka Jeba Murdocka od czasu pobicia i pojmania kapitana Candella.

Dom Colliego Entragiana zamienił się w Dwie Siostry - Nowości Mody Damskiej. Sierżant wychyla się z wozu, bierze na muszkę strzelby wejście do sklepu i pociąga za cyngiel. Znowu rozlega się ogłuszający, podwójny huk, a po nim owo piskliwe wycie, jakby bomby lecącej pionowo w sam środek celu.

- Każcie im przestać! - krzyczy Susi Geller. - Błagam, zróbcie coś, żeby przestali!

Górna połowa Nowości Mody Damskiej unosi się w kaskadzie desek, okładzin, gwoździ i szkła. Znowu drży powietrze; drży szybciej niż skrzydła kolibra, widać w nim dom Entragiana, widać nawet rower Cary'ego Riptona i przykryte folią ciało, wszystko zmienione w migocący miraż. A potem dom znika i znowu staje się Dwoma Siostrami (w "Regulatorach" widzimy tam po raz pierwszy Laure DeMott, barową dziewczkę o złotym sercu, kupującą ukradkiem materiał na sukienkę do kościoła), pozbawionymi połowy dachu i szyb w oknach.

Od strony pustkowiec (gdzie tylko chwasty i wielkie, okrągłe głazy - jak narysowane) na północ od Topolowej nie ma już ulicy Niedźwiedziej, lecz tędy nadjeżdża Wóz Mocy robota Rooty'ego, srebrzysty Bumtarara. Rooty siedzi za kierownicą, oczy mu migają jak światła na skrzyżowaniu; miejsce obok zajmuje Mały Joe Cartwright z chwackim uśmiechem na twarzy. Trzyma strzelbę pokrytą futurystycznymi ozdobami, z mnóstwem chromowanych wichajstrów. Tuż za Bumtarara jedzie Wóz Sprawiedliwości, a jako trzeci pojawia się buczący monotonnie elektryczny koszmar. W białawym świetle księżycy Mięsowóz wygląda jak spowity w czarny jedwab. Na miejscu kierowcy siedzi Pusta

Twarz, a obok niego Hrabina Lili, której ciemne oczy lśnią seksownym blaskiem w popielatej twarzy wampirzycy. Ponad nimi w Wieżyczce Zagłady tkwi Jeb Murdock. Zajmuje najlepsze stanowisko strzeleckie.

Albowiem jest z nich wszystkich najpodlejszy.

Tak oto rozpoczyna się decydujący atak Wozów Mocy na Korytarz Energii - trzy furgonetki wjeżdżają tam od południa, trzy od północy. Obrzydliwie głośny huk kanonady wstrząsa powietrzem; pociski wypluwane przez lufy strzelb przelatują ze świstem, niczym stada zwiastujących śmierć upiorów. Hotel Poganiaczy (przedtem dom Sodersonów) drży w posadach; jego lewa ściana załamuje się, a potem zawala, rozpryskują się suche deski i odłamki okładziny. Budynek na północ od niego - konstrukcja z plecionki obrzuconej gliną, w której Brad Josephson nigdy by nie rozpoznał swego wypieszczonego domku z nadbudówką - eksploduje od środka, ciskając we wszystkie strony potrzaskane kawałki drewna i grudy zeschniętej zaprawy.

Po drugiej stronie ulicy fałszywy fronton Kantoru Handlowego Worella (niegdyś domu Toma Billingsleya; zwłoki Sodersonów leżą w nim teraz w przejściu między wielkimi workami z napisem "pszenica") rozpada się pod gradem pocisków z Wozu Sprawiedliwości - każda salwa jest tak głośna jak wystrzał z moździerza. Wóz prowadzi Pułkownik Henry; ze stanowiska ogniowego wychyla się, grzmocąc z dwururki, Chuck Connors - Lucas McCain z "Człowieka z karabinem". Przy nim stoi jego syn, roześmiany od ucha do ucha. "Piękny strzał, tatusiu!" - woła, gdy od iskier z fałszywego frontonu wybuchają płomieniami zgromadzone na dachu przez dziesięciolecia zwaly śmieci i kurzu. Wkrótce stanie w ogniu cały budynek.

"Dzięki, synu" - mówi Lucas McCain i zwraca swego winchestera-moździerz ku Chińskiej Pralni Lu-shana. Pralnia, uprzednio dom Petera i Mary Jacksonów, już została nieźle podziurawiona przez Bumtarara, ale Człowieka z Karabinem to nie zniechęca. Syn przyłącza się do niego, waląc z rewolweru. To nieduża broń, ale i ona przy każdym strzale wydaje odgłos bazooki.

Pod koniec szturmów całą ulicę Główną zasnuwa dym. Część domów po jej zachodniej stronie - hacjenda w stylu adobe, gdzie mieszkali kiedyś Gellerowie, domek z bali, gdzie wieszali swe płaszcze Reedowie, budynek z plecionki i gliny, który nazywali niegdyś domem Brad i Belinda - została zniszczona niemal doszczętnie. Nadal stoją - do pewnego stopnia - Hotel Poganiaczy i Dwie Siostry - Nowości Mody Damskiej po stronie wschodniej, ale Kantor Handlowy dołączy wkrótce do Składu Towarowego Okręgu Owl (przedtem domu Hobartów) w postaci popiołów na wietrze.

Jeden tylko budynek po tej stronie ulicy istnieje wciąż w takim stanie jak przed przybyciem regulatorów: dom Carverów. Po poprzednim szturmie ma dziury w deskowaniu i wybite okna, lecz tym razem pozostał absolutnie nietknięty.

Senny Wędrowiec, Strzała Szlaku i Wolność dotarły już do północnego krańca tego, co było niegdyś odcinkiem ulicy Topolowej o numeracji od dwieście czterdzieści do dwieście pięćdziesiąt jeden. Bumtarara, Wóz Sprawiedliwości i Mięsowóz są już przy południowym końcu odcinka. Ostrzał słabnie, potem milknie zupełnie. Zgromadzeni w domu Carverów słyszą tylko trzask ognia zza płotu - w Kantorze Handlowym, o którym wciąż myślą jako o bungalowie Doktora - lecz poza tym panuje głęboka cisza, kojąca niczym balsam ich porażone hukami uszy. Wszyscy ocaleni podnoszą ostrożnie głowy.

- Koniec? Jak myślicie? - pyta Steve tonem kogoś, kto nie chce otwarcie powiedzieć, że nie było tak źle, jak się spodziewał... ale tak uważa.

- Powinniśmy... - zaczyna Johnny.

- Znow ich słyszę! - krzyczy Kim Geller z salonu. Jej piskliwy głos balansuje na krawędzi hysterii, pozostali nie mają jednak powodu nie wierzyć: jest przecież najbliżej ulicy. - To obrzydliwe buczenie! Zróbcie z tym coś! - Kim wpada do kuchni z obłędem w wytrzeszczonych oczach. - Zatrzymajcie to jakoś!

- Mamo, na ziemię! - woła Susie, ale sama nie odrywa się od Dave'a Reeda, który leży obok, obejmując ją jedną ręką i trzymając drugą (tą, której jego wstrętne matka ze swego miejsca nie widzi) za pierś.

Susi zupełnie ta ręka nie przeszkadza; w istocie przeszkadzałoby jej, gdyby ją zabrał. Mieszanka przerażenia i niemal matczynej troski o pozostałego przy życiu bliźniaka spowodowała, że po raz pierwszy w życiu poczuła się autentycznie napalona. Jedyne, czego pragnie w tej chwili, to znaleźć się z Davidem w jakimś miejscu, gdzie nikt by nie podejrzwał, jak zdejmują majtki.

Kim nie zwraca uwagi na córkę. Podchodzi do Audrey i ciągnąc ją za włosy, odchyła jej głowę do tyłu.

- Każ mu przestać! - krzyczy w pobladłą twarz kobiety. - To twoja rodzina, ty go tu sprowadziłaś, to KAŻ MU TERAZ PRZESTAĆ!

Belinda Josephson porusza się błyskawicznie; podnosi się, przebiega przez kuchnię i wykręca wolną rękę Kim do tyłu, nim Brad zdążył mrugnąć.

- Au! - drze się Kim, uwalniając natychmiast Audrey. - Au, puszczaj! Puszczaj, ty czarna su...

Belinda przelknęła już jak na jeden dzień wystarczającą porcję tego upierdliwego rasistowskiego gówna. Szarpie rękę Kim w górę, zanim ta kończy zdanie. Mamusia Susi, która wspiera harcerstwo i nigdy nie odsyła z pustymi rękami pani z Fundacji Antyrakowej, wyje niczym syrena fabryczna na fajrant. Następnie Belinda odwraca ją i przerzuciwszy przez biodro, puszcza lotem ślizgowym z powrotem do salonu. Kim zderza się ze ścianą. Wokół niej ulegają zagładzie kolejne figurki z porcelany.

- Załatwione - mówi Belinda rzeczowym tonem. - Sama się prosiła. Nie mam obowiązku znosić takiego...

- Zostaw już - przerywa jej Johnny. Pomruk wciąż się wzmacza, jeszcze nigdy nie był tak głośny; ma stały, równy rytm, jak ogromny transformator. - Na ziemię, Bee. Szybko.

Wszyscy padnij. Steve, Cynthia, pilnujcie dzieci! - Marinville spogląda niemal przepaszająco na ciotkę Setha Garina. - Czy możesz mu kazać przestać, Aud?

- To nie on - kręci głową Audrey. - Teraz to jest Tak.

Opuszcza głowę z powrotem na podłogę, spotykając po drodze wzrok Cammie Reed; jest w tym oschłym spojrzeniu coś, co przeraża ją bardziej niż wrzaski i szarpanie za włosy w wykonaniu Kim Geller. W tych oczach nie ma hysterii, jest w nich czyste morderstwo.

Kogo jednak Cammie miałyby zamordować? Tylko Setha czy tylko ją? Czy oboje? Audrey nie ma pojęcia. Wie tylko, że nie może wyjaśnić im wszystkim, co zrobiła przed wyjściem. A zrobiła prostą rzecz, która może rozwiązać tak wiele - jeżeli... Jeżeli otworzy się - tak jak na to liczy - okienko czasu. Jeżeli ona sama zrobi wówczas to, co trzeba. Audrey nie może powiedzieć im, że istnieje nadzieja, bo gdyby Tak dosięgnął ich i przechwycił ich myśli, wówczas ta nadzieja zostałaby pogrzebana.

Pomruk silników narasta. Po ulicy Głównej znów suną Wozy Mocy. Senny Wędrowiec, Strzała Szlaku i Wolność są bliżej domu Carverów i docierają tam jako pierwsze. Parkują rzędem. Na środku staje Strzała z Tropicielem Węży za kierownicą, blokując podjazd, na którym leży martwy pan domu (wyglądający dziś na znacznie bardziej podniszczonego niż wczoraj). Od południowego krańca ulicy dołączają do szeregu pozostałe pojazdy - Bumtarara, Wóz Sprawiedliwości i Mięsowód.

Dom Carverów (jak na ironię zbudowany teraz w stylu ranczerskim) zostaje w tym momencie całkowicie zablokowany przez pojazdy MotoGlin. Laura DeMott celuje w rozbite frontowe okno, wystawiwszy dubeltówkę przez otwór strzelniczy Strzały Szlaku. Hoss Cartwright i bardzo młody Clint Eastwood - w tej inkarnacji jest akurat rewolwerowcem z westernu Rawhide10 - też mierzą w dom. W Wieżyczce Zagłady Mięsowozu stoi Jeb Murdock, trzymając dwie strzelby o lufach odciętych dziesięć centymetrów od nasady; opiera je kolbami o biodra i szczyrzy się w szerokim uśmiechu. Ma twarz Rory'ego Calhouna w szczytowym okresie jego kariery.

Otwierają się klapy w dachach furgonetek. Kowboje razem z kosmitami zajmują pozostałe stanowiska strzeleckie.

- Rany, Tatku, ależ to będą jatki! - woła Mark McCain i śmieje się przeraźliwie.

- Bum-ta-ra-ra!

- ZAMKNIJ SIĘ ROOTY! - wołają wszyscy naraz i wybuchają chóralnym rechotem.

Na odgłos tego ich śmiechu we wnętrzu Kim Geller pęka nagle coś, co do tej pory było tylko napięte do granic wytrzymałości. Kobieta zrywa się na nogi i maszeruje do siatkowych drzwi, za którymi wciąż leży Debbie Ross. Tenisówki Kim chrzęszczą na odłamkach rozbitej porcelany z ukochanych figurek Kirstie Carver. Rytmiczny pomruk silników - ich niesamowite brum-brum-brum, jakby bicie ogromnego elektrycznego serca - doprowadza ją do oblędu. Zresztą łatwiej jest skoncentrować się na tym, niż rozpamiętywać, jak ta bezczelna czarnucha najpierw omal nie złamała jej ręki, a potem cisnęła do pokoju, jakby była workiem z brudną bielizną czy czymś takim.

Pozostali nie zdają sobie sprawy, że Kim wyszła, aż do chwili, gdy słyszą jej gderliwy pisk:

- Wynoście się stąd! Dostyc tego, wynocha, i to już! Policja już tutaj jedzie, zobaczyciel!

Na dźwięk tego głosu Susi natychmiast zapomina, jak przyjemnie jest być trzymaną za pierś przez Dave'a Reeda i jak bardzo chciałaby mu pomóc zapomnieć o śmierci brata, idąc z tym chłopakiem na górę pieprzyć się do upadłego.

- Mamusiu! - krzyczy i podnosi się z podłogi.

Dave ściąga ją w dół, natychmiast ściska ramieniem jej talię jak w imadle, żeby mieć pewność, iż dziewczyna się nie oddali. Stracił już dzisiaj brata; jak na jeden dzień to dość. No już, no już, no już - powtarza Audrey w myślach... niemal jakby się modliła. Oczy zacisnęła tak mocno, że widzi pod powiekami wybuchające czerwone punkciki; dłonie zwinęła w pięści, wbijając resztki wyszczerbionych paznokci w skórę. - No już, rób co trzeba, działaj wreszcie, zaczynaj...

- Ładuj - szepcze, nieświadoma, że wypowiada to słowo na głos. Johnny, który podniósł głowę na dźwięk krzyków Kim, spogląda teraz na Audrey. - Ładuj! No co, nie możesz?

Rany boskie, ładuj!

- Co ty wygadujesz? - pyta Marinville, lecz ona nie odpowiada.

Tymczasem Kim rusza przez trawnik ku Wozom Mocy zaparkowanym przy krawężniku. To jedyne miejsce na byłej ulicy Topolowej, gdzie krawężnik jeszcze istnieje.

- Daję wam ostatnią szansę - mówi, przeskakując spojrzeniem od jednego dziwoląga do drugiego.

Niektórzy mają na twarzach idiotyczne kosmiczne maski, a ten, co siedzi za kierownicą tego jakby barowozu, jest przebrany za robota. Wygląda jak powiększona wersja R2D2 z "Wojen gwiazdnych". Inni - jakby się urwali z kursu tańców kowbojskich. Niektórzy mają nawet znajome twarze... ale nie czas zawracać sobie głowę duperelami.

- Daję wam ostatnią szansę - powtarza Kim, stając dokładnie w miejscu, gdzie betonowa dróżka Carverów łączy się z resztkami chodnika ulicy Topolowej. - Wynoście się, póki jeszcze możecie. Bo jak nie...

Otwierają się przesuwane drzwi Wolności i wychodzi z nich szeryf Streeter. Gwiazda na lewej klapie jego kamizelki jaśnieje w świetle księżyca matowym srebrem. Szeryf spogląda w stronę Jeba Murdocka w Mięsowozie - wczoraj wroga, dziś sprzymierzeńca - stojącego w Wieżyczce Zagłady.

- I co, Streeter? - pyta Murdock. - Co ty na to?

- Ja na to, że masz załatwić tę pyską sukę - odpowiada szeryf i Jeb wypala z obu luf swych obrzynów jednocześnie.

Towarzyszy temu potworny huk i biały płomień. W jednej chwili Kim Geller stoi jeszcze na końcu dróżki Carverów, w następnej już jej tam nie ma. No, nie całkiem. Na miejscu pozostają tenisówki, w których nadal tkwią stopy.

Ułamek sekundy później we fronton domu Carverów uderza coś, co mogłoby być wiadrem ciemnej, mulistej wody, ale nim nie jest. A potem przy akompaniamencie wciąż wiszącego w powietrzu grzmotu obrzynów szeryf Streeter woła:

- Strzelać, strzelać! Wymazać ich z mapy!

- Padnij! - krzyczy Johnny, choć wie, że to nic nie da; dom zaraz zniknie jak zamek z piasku w falach przyływu, a oni wszyscy znikną wraz z nim.

Regulatorzy rozpoczynają ostrzał. Nie da się tego porównać nawet do Wietnamu. Podobnie może było w okopach Verdun - myśli Johnny - albo ewentualnie w Dreźnie trzydzieści lat później. Hałas jest nieprawdopodobny. Kolejne 'TRACH!' i 'BAM!' łączą się w odgłos, jaki powstaje w centrum wybuchu bomby atomowej, i choć Johnny'emu wydaje się, że powinien natychmiast ogłuchnąć (albo umrzeć od samego natężenia decybeli), wciąż słyszy odgłosy roztrzaskiwanego na kawałki domu: pękające deski, wybijane okna, rozpryskujące się jak cele na strzelnicy figurki z porcelany, kruchy klekot fruwających w powietrzu listew. Nozdrza wypełnia mu gorzki swąd dymu. Słyszy również, choć bardzo słabo, krzyki ludzi. Ponad ich głowami przelatuje z wyciem przez kuchnię coś niewidocznego, lecz ogromnego i nagle tylna ściana kuchni zamienia się w gruz, rozlatujący się wachlarzowato po podwórku i zaścielający rozkładany basen z supermarketu.

No tak - myśli Johnny. - No tak, to już koniec. Może i dobrze.

Dzieje się jednak coś dziwnego. Strzelanina trwa nadal, lecz zaczyna zanikać, jakby ktoś zmniejszał jej głośność, przekręcając gałkę potencjometru. Dotyczy to nie tylko huku strzelb, ale również wycia przelatujących pocisków i następuje bardzo szybko. Od chwili, kiedy Johnny spostrzegł owo zjawisko, mija może dziesięć - a raczej ledwie pięć - sekund i wszystkie dźwięki milkną. Milknie również dziwaczny, rytmiczny pomruk silników Wozów Mocy.

Wszyscy podnoszą głowy i spoglądają po sobie. Cynthia widzi, że oboje ze Steve'em, ukryci w spiżarni, są biali niczym zjawy. Podnosi dłoń i dmucha na nią. Unosi się biały pył.

- Mąka - oznajmia dziewczyna.

Steve przeczesuje ręką swe długie włosy i wyciąga ku Cynthii drżącą drugą dłoń.

Otwierają, pokazując garść błyszczących czarnych kulek.

- Mąka to jeszcze nic - mówi. - Ja mam oliwki.

Cynthia omal nie wybuchła śmiechem, lecz w tym momencie raptem zaczyna się znów dziać coś kompletnie niesamowitego.

Miejsce/Czas Setha

Ze wszystkich tuneli, które sobie wykopał podczas panowania Taka - Taka Złodzieja, Taka Okrutnika, Taka Despoty - ten jest najdłuższy. W pewnym sensie odtworzył własną wersję sztolni Grzechotnik Jeden. Chodnik wgrzyza się głęboko w czarną ziemię - do miejsca, w którym Seth, jak sądzi, jest sobą - a potem zawraca ku powierzchni, jak droga nadziei. Na jej końcu znajdują się drzwi z żelaznych sztab. Chłopiec nie próbuje ich otwierać, lecz nie ze strachu, iż okażą się zamknięte. Wprost przeciwnie. Są to drzwi, których nie wolno mu dotknąć, dopóki nie będzie całkowicie gotów. Kiedy bowiem znajdzie się za nimi, nie będzie już odwrotu.

Modli się, by prowadziły tam, dokąd - jak przypuszcza - prowadzą.

Do miejsca, w którym Seth teraz stoi, dociera przez szpary pomiędzy sztabami dość światła, by je rozjaśnić. Na dziwnych, mięsistych ścianach tunelu zdjęcia. Jedno z nich to grupowy portret jego rodziny, on sam siedzi na nim pomiędzy siostrą i bratem. Na innym stoi z cicią Audrey i wujkiem Herbem na trawniku ich domu. Uśmiechają się. Seth zaś jest jak zwykle poważny, daleki, nie całkiem obecny. Znajduje się tu też fotografia Allena Symesa, stojącego przy jednej z szyn Panny Mo (wygląda przy niej jak karzelek). Pan Symes, roześmiany, ma na głowie kask "Ziemskich Głębi". Takie zdjęcie w rzeczywistości nie istnieje, ale to nieistotne. To miejsce Setha, czas Setha i umysł Setha i może je sobie dekorować, jak chce. Jeszcze nie tak dawno wisiałyby tutaj fotosy MotoGlin i postaci z "Regulatorów", i to nie tylko tu, ale w całym tunelu. Ale teraz już nie. Stracili już dla niego swój urok.

Wyrosłem z nich - myśli Seth i taka jest prawda. - Autystyk czy nie, ośmiolatek czy nie, jestem już stanowczo za stary na kowbojskie strzelaniny i sobotnie filmy rysunkowe. Uświadamia sobie nagle, że jest to z pewnością zasadnicza prawda, której Tak nigdy nie pojmie: on po prostu z tego wyrósł. Ma oczywiście w kieszeni figurkę Cassie Styles (kiedy potrzebna mu kieszeń, po prostu ją sobie wyobraża, to bardzo poręczne), gdyż nadal kocha ją odrobinę, ale poza tym? Nie. Pozostaje tylko pytanie, czy uda mu się uciec przed tymi słodkimi fantazjami - od samego początku być może nasączonymi trucizną. Nadszedł czas, żeby się o tym przekonać.

Tuż obok zdjęcia Allena Symesa wystaje ze ściany niewielka półeczka. Seth oglądał kiedyś z podziwem półeczki w domu Carverów, z których każda mieściła pojedynczą hummelowską figurkę, i tę swoją stworzył na podobieństwo tamtych. W sączącym się zza żelaznych drzwi świetle widać, co na niej stoi - nie porcelanowy pasterz czy dojarka, lecz czerwony zabawkowy telefonik.

Seth bierze go z półki i wykręca na plastikowej tarczy numer dwieście czterdzieści osiem. To numer Carverów. Telefon dzwoni, raz, drugi, trzeci. Ale czy dzwoni również na drugim końcu linii? Czy ona go słyszy? Czy w ogóle ktoś z nich go słyszy?

- No, już - szepcze.

Jest całkowicie przytomny i czujny; w tych głębinach własnego wnętrza jest autystykiem nie bardziej niż Steve Ames, Belinda Josephson czy Johnny Marinville... tak naprawdę jest w pewnym sensie geniuszem.

Akurat w tym momencie przerażonym geniuszem.

No już... proszę, ciociu Audrey, usłysz... odbierz...

Jest przerażony, bo czas, który się kończy, to czas terazniejszy.

Desperation, ulica Główna/Czas regulatorów

W salonie Carverów zaczyna dzwonić telefon. I po raz pierwszy w życiu, jakby był to sygnał skierowany bezpośrednio w jego najgłębsze i najwrażliwsze centrum nerwowe, Johnny Marinville czuje, że jego zdolność postrzegania sekwencji zdarzeń się załamuje. Perspektywa owego postrzegania zaczyna drgać jak wzór w kalejdoskopie, kiedy przekręca się tubus, a potem rozpada się na drobne pryzmaty i lśniące szkiełka. Jeżeli reszta świata w podobny sposób postrzega i doświadcza rzeczywistość w momentach stresu - myśli pisarz - to nic dziwnego, że ludzie w podbramkowych sytuacjach podejmują tak wiele złych decyzji. Nie podoba mu się zupełnie taki odbiór. Zupełnie jakby człowiek leżał z wysoką gorączką i widział u stóp łóżka osiem osób. Wiadomo, że cztery z nich są prawdziwe, ale które cztery? Susi Geller płacze i nawołuje matkę. Dzieci Carverów już się oczywiście obudziły. Zapasy relatywnego stoicyzmu Ellen wyczerpały się i dziewczynka przeżywa coś w rodzaju emocjonalnych konwulsji - wrzeszczy wniebogłosy, wali po plecach Steve'a, który usiłuje ją przytulić i pocieszyć. Ralphie natomiast ma wyraźnie chęć przygrzmocić starszej siostrze!

- Nie przytulaj Małgochy! - drze się na Steve'a, podczas gdy Cynthia próbuje go pohamować. - Nie przytulaj Małgochy! Miała mi dać całego batona! Miała mi dać całegooo! To przez nią się tak zrobiło!

Brad rusza do salonu - najpewniej, żeby odebrać telefon - lecz Audrey łapie go za rękaw.

- Nie - mówi, dodając surrealistycznie przeproszającym tonem: - To do mnie.

Susi tymczasem zdążyła wstać i biegnie korytarzem do frontowych drzwi, żeby zobaczyć, co się stało z matką (zdaniem Johnny'ego to bardzo niemądry pomysł).

Dave Reed znów usiłuje ją zatrzymać, lecz tym razem nie daje rady, biegnie więc za nią, nawołując. Johnny spodziewa się, że matka chłopca będzie z kolei chciała zatrzymać jego, Cammie jednak pozwala mu odejść, a tymczasem kojoty - niepodobne do żadnego kojota, którego kiedykolwiek święta ziemia nosiła - wyciągają do księżyca swe krzywe pyski i śpiewają mu pieśń miłosną.

Wszystko to dzieje się naraz, wiruje niczym śmieci w trąbie powietrznej.

Marinville wstaje mimowolnie i podąża z Bradem i Belindą do salonu, który wygląda jak stratowany przez wściekłego Godzillę. Ze spiżarni dobiega wrzask dzieci, a od drzwi wejściowych wycie Susi. Witamy w cudownym świecie hysterii stereo - myśli Johnny. Audrey tymczasem rozgląda się za telefonem, który nie stoi już na stoliku obok wersalki. Samego stolika też już na dobrą sprawę nie ma; leży w odległym kącie złamany na pół. Obok wśród odłamków szkła leży telefon. Słuchawka spadła z widełek i poleciała tak daleko, jak pozwolił kabel, lecz telefon mimo to wciąż dzwoni.

- Uważaj na szkło, Aud - ostrzega ją Johnny.

Tom Billingsley podchodzi do wybitej w zachodniej ścianie wielkiej wyrwy, w którą zmieniło się frontowe okno. Żeby tam się dostać, musi przekroczyć dymiącą ruinę rozbitego telewizora.

- Nie ma ich. Tych furgonetek - mówi i po chwili dodaje: - Niestety ulicy Topolowej też nie ma. Wygląda jak Deadwood w Dakocie Południowej. W czasach, gdy Jack McCall strzelił Wild Billowi Hickokowi w plecy.

Audrey podnosi słuchawkę. W spiżarni za ich plecami Ralphie Carver wrzeszczy:

- Nienawidzę cię, Małgocho-Gliździocho! Zrób, żeby mamusia i tatuś wrócili, bo cię będę nienawidził do końca życia! Ty wstrętne Małgocho-Gliździocho!

Ponad głową Audrey Johnny widzi, jak Dave Reed wciąż stara się uspokoić wrywającą się Susi; w jego objęciach dziewczyna powoli przechodzi od przerażenia do płaczu; zdaniem Johnny'ego cierpliwość Dave'a w tych okolicznościach jest godna podziwu.

- Halo? - mówi Audrey i słucha z napiętą, poważną, bladą twarzą. - Dobrze. Dobrze, zrobię tak. Zaraz. Ja... - Słucha jeszcze przez chwilę, kierując wzrok na twarz pisarza. - Dobrze, zgoda, tylko on. Seth? Kocham cię.

Nie odkłada słuchawki, po prostu ją opuszcza. Co za różnica. Marinville wędruje spojrzeniem po kablu i widzi, że eksplozja, która rozwalila stół i cisnęła telefon w róg pokoju, wyrwała również wtyczkę z kontaktu.

- Chodź - zwraca się do niego Audrey. - Idziemy na drugą stronę, panie Marinville. Tylko my dwoje. Reszta musi tu zostać.

- Ale... - zaczyna Brad.

- Nie ma czasu na dyskusje - przerywa mu kobieta. - Musimy iść natychmiast. Johnny, gotowy jesteś?

- Mam zabrać karabin, który przynieśli od Doktora? Jest w kuchni.

- Broń się do niczego nie przyda. Idziemy.

Audrey wyciąga rękę. Na jej twarzy maluje się pewność i zdecydowanie... z wyjątkiem oczu. Ich przerażone spojrzenie błaga go, żeby w tym, co trzeba zrobić, cokolwiek by to było, nie zostawiał jej samej. Johnny ujmuje jej dłoń, szurając nogami po gruzie i szkłe. Dłoń jest zimna, knykcie trochę spuchnięte. To ta ręka, którą potwór kazał jej się bić - domyśla się.

Wychodzą z salonu, mijają stojących w milczeniu obejmujących się nastolatków, Johnny otwiera siatkowe drzwi i przepuszcza Audrey przodem. Przechodzą nad zwłokami Debbie Ross. Fronton domu, podłoga ganku i plecy martwej dziewczyny zbryzgane są szczątkami Kim Geller - owe smugi, mazy i grudki czernieją w świetle księżyca - lecz żadne z nich tego nie komentuje. Przed nimi, za betonową dróżką i krótkim odcinkiem chodnika, przy którym nie stoją już Wozy Mocy, rozciąga się ulica - szeroka polna droga, poryta głębokimi koleinami. Policzek Johnny'ego muska lekka, pachnąca spalenizną bryza. Obok przelatuje, podskakując jak na ukrytej sprężynie, kula rosyjskiego ostu. Wygląda jak z komiksu Maxa Fleischera¹¹ - myśli pisarz - ale co w tym dziwnego? Przecież przenieśli się właśnie do komiksu, do rysunkowego filmu, czyż nie? "Dajcie mi punkt podparcia, a poruszę Ziemię" - powiedział Archimedes; ten stwór z przeciwka pewnie by się z tym zgodził. Tyle że on chciał poruszyć tylko jeden kwartał ulicy Topolowej, a przy użyciu dźwigni opartej o fantazje Setha Garina osiągnął to bez większego trudu.

Samo wyjście z domu, oddalenie się od wrzasków, już przynosi pewną ulgę, niezależnie od tego, co jeszcze ich może czekać.

U Wylerów nie zmienił się tylko ganek. Ich dom jest teraz długim, niskim budynkiem z nie obrobionych bali. Wzdłuż frontu biegną poręcze do przywiązywania koni. Pomimo ciepłej nocy nad kamiennym kominem kłębi się dym.

- Wygląda jak czworaki - mówi Marinville.

- Czworaki na ranchu Ponderosa - kiwa głową Audrey.

- Dlaczego oni odeszli, Aud? Ci regulatorzy i kosmiczni gliniarze Seta? Co ich do tego zmusiło?

- W jednym przynajmniej Tak podobny jest do złych bohaterów bajek Grimmów - Audrey rusza ulicą, spod stóp wzbija się pył drogi. Koleiny są wyschnięte, twarde jak stal.

- Ma piętę achillesową, coś, czego istnienia byś się nigdy nie domyślił, gdybyś nie mieszkał z nim tak długo jak ja. Nienawidzi przebywać w Secie, kiedy on się załatwia. Nie wiem, czy to jakaś fobia psychologiczna, czy inne dziwactwo związane z estetyką. A może po prostu tak reaguje fizyczna część jego natury... tak jak my się na przykład odruchowo uchylamy, kiedy ktoś udaje, że chce nas uderzyć. Wszystko mi zresztą jedno, co to jest.

- Na ile jesteś tego pewna? - pyta Johnny.

Dotarli już na drugą stronę szerokiej ulicy. Johnny rozgląda się w obie strony; furgonetek nie widać. Jest tylko skaliste pustkowie po prawej i nicość - niestworzenie - po lewej.

- Na sto procent.

Betonowa ścieżka prowadząca do Topolowej dwieście czterdzieści siedem jest teraz ścieżką kamienną. Po drodze Johnny spostrzega na ziemi połyskujące w świetle księżyca kółko od ostrogi któregoś z parobków.

- Seth mi to sam powiedział; czasem coś do mnie mówi w głowie.

- Telepatia?

- Uhm, coś w tym rodzaju. I kiedy rozmawia na tym poziomie, nie ma zupełnie problemów z umysłem. Jest wtedy tak bystry, że aż strach.

- Ale czy jesteś absolutnie pewna, że to on z tobą rozmawiał? A nawet jeśli, to czy Tak pozwolił mu mówić prawdę?

Audrey przystaje w połowie drogi do drzwi. Nadal trzyma go za rękę; teraz ujmuje także drugą jego dłoń i odwraca się do niego twarzą.

- Posłuchaj uważnie, bo nie mam ochoty powtarzać i nie ma czasu na pytania. Czasami, kiedy Seth do mnie mówi, pozwala Takowi słuchać... chyba po to, żeby Tak uwierzył, iż zna wszystkie nasze myślowe rozmowy. Ale nie zna. - Widząc, że Marinville zamierza coś wtrącić, Audrey uściskiem dłoni daje mu znak, by milczał. - I wiem na pewno, że Tak go opuszcza, kiedy dzieciak idzie do kibla. Nie to, że się głębiej chowa, tylko całkiem wychodzi. Widziałam to. Wychodzi oczami.

- Oczami - powtarza Johnny szeptem, w którym jest fascynacja, zdumienie i odrobina przerażenia.

- Mówię ci o tym, bo chcę, żebyś wiedział, kiedy to zobaczysz. To takie tańczące czerwone punkciki jak iskierki z ogniska. Rozumiesz?

- Jezu - mruczy Johnny i dodaje: - Rozumiem.

- Seth uwielbia mleko czekoladowe - wyjaśnia Audrey, pociągając go za sobą. - Takie z zagęszczanego syropu Hersheya. A Tak uwielbia to samo co Seth... na swoją zgubę, można by chyba rzec.

- Wrzuciłaś mu do mleczka tabletki przeczyszczające? - domyśla się Johnny. - Wrzuciłaś mu ex-lax do mleka czekoladowego!

Ma niemal ochotę zawyć sobie do księżycy z kojotami. Z radości. Surrealistyczne sytuacje życiowe są najwyraźniej niewyczerpane: może się okazać, że jedyna szansa przetrwania to wycięcie stworowi numeru na poziomie spuszczenia linek w namiocie komendanta na obozie skautowskim.

- Seth mi powiedział, co mam zrobić, i zrobiłam to - mówi Audrey. - Lepiej już wejdźmy. Dopóki on ma ostrą sraczkę. Dopóki mamy czas. Musimy go złapać i zwiewać. Musimy go zabrać poza zasięg Taka, zanim ten potwór wróci do jego wnętrza. Damy radę, ten

zasięg nie jest zbyt duży. Pobiegniemy w dół ulicy. Ty go poniesiesz. I założę się, że zanim dotrzemy tam, gdzie kiedyś był sklep, cała okolica zmieni się, kurwa, nie do poznania. Pamiętaj tylko, najważniejsze to działać szybko. Jak już ruszymy, to żadnych wahań i zatrzymywania się.

Audrey chwyta za klamkę, lecz Johnny powstrzymuje ją przed otwarciem drzwi. Kobieta spogląda na niego z mieszaniną wściekłości i lęku w oczach.

- Słyszałeś mnie czy nie? Musimy ruszać natychmiast!

- Słyszałem, Aud, ale musisz przedtem odpowiedzieć na jedno pytanie.

Z naprzeciwka przygląda się im z rosnącym podnieceniem grupka osób. Odlącza się od niej Belinda Josephson, która wraca do kuchni, by zobaczyć, jak Steve i Cynthia radzą sobie z dziećmi Carverów. Wygląda na to, że nieźle. Ellen pociąga nosem, ale już się uspokoiła, Ralphie zaś chyba się wyczerpał, jak słabnący w głębi lądu huragan. Belinda obrzuca spojrzeniem pustą kuchnię, otwartą teraz całkowicie od strony podwórka, po czym odwraca się, by wrócić do tamtych. Po zrobieniu jednego kroku zatrzymuje się jednak. Na środku jej czoła pojawia się wąska pionowa zmarszczka, którą jej mąż nazywa "linią mózgu Bee". Przez siatkowe drzwi pada trochę księżycowego światła, w którym rysują się sylwetki sąsiadów. Nietrudno je rozróżnić. Brada łatwo poznać, gdyż jest najbliższym z tych jej sąsiadów. Tak bliskim, że od dwudziestu pięciu lat wystarczy wyciągnąć w łóżku rękę, żeby go dotknąć. Z Dave'em i Susi też nie ma problemu, bo nadal się obejmują. Stary Doktor wyróżnia się chudością. Ale Cammie Reed nie wyróżnia się niczym. Nie wyróżnia się, ponieważ jej nie ma. Ani tam, ani w kuchni. Może poszła na górę albo wyszła przez rozwaloną ścianę na podwórko? Może. Ale...

- Hej, wy! - woła Belinda ku spiżarni, zdjeta nagłym lękiem.

- Czego? - niecierpliwi się Steve.

W końcu udało się uspokoić dzieciaki i jeśli ta kobieta spieprzy im całą robotę, oberwie w łeb pierwszym garnkiem, jaki mu się nawinie pod rękę.

- Pani Reed zniknęła - mówi Bee. - Zabrała strzelbę. Czy broń była nabita? Powiedźcie, że nie, proszę, zróbcie mi tę przyjemność.
- Chyba jednak była - mówi z wahaniem Steve.
- No to kupa w majtkach - stwierdza Belinda.
- Będą problemy? - pyta Cynthia. Jej szeroko otwarte oczy, spoglądające zza oklapłego ramienia Ralphiego, wypełnia niepokój.
- Bardzo możliwe - odpowiada Bee.

Miejsce/Czas Taka

Tak czeka i nasłuchuje. Siedzi w telewizyjnej wnęce, w norze, gdzie spędził - oczarowany wyobraźnią Setha Garina, do której przyssał się jak do piersi - tak wiele szczęśliwych chwil. Na ekranie zenitha jada przez pustynny krajobraz czarno-biali kowboje w upiornym odzieniu. Jada w kompletnej ciszy. Tak - bezcielesny teraz po wyjściu z Setha - wyłączył fonię najlepszym z pilotów: własnym umysłem.

W przylegającej do kuchni ubikacji słychać chłopca. Wydaje niskie, podobne do chrupkania dźwięki, które Tak nauczył się kojarzyć z jego funkcjami wydalniczymi. Już same odgłosy są wstrętne, a co dopiero akt jako taki - wszystkie te jego skurcze i owo odczucie bezradnego ześlizgiwania się ku ujściu - po prostu odrażające. Już lepsze są wymioty. Szybsze w każdym razie - tylko przez przelyk i już.

Teraz Tak już wie, co mu zrobiła ta kobieta: nafaszerowała mleko czymś, co wywołało nie pojedynczy akt wydalania, ale całą ich konwulsyjną serię. Ile mu tego wyspała? Potężną porcję, sądząc po tym, jak Seth się czuł tuż przed czmychnięciem Taka. Teraz już wszystko wiadomo.

Teraz Tak Okrutnik, Tak Despota migoce w ciemnym kącie pod sufitem jak rój okruchów z odbłaskowego światelka roweru, pulsujących i okrążających się nawzajem.

Nawet przy wyłączonej fonii telewizora nie jest w stanie usłyszeć ciotki Audrey i Marinville'a, wie jednak, że stoją już przy frontowych drzwiach. Kiedy w końcu przestaną rozmawiać i wejdą do środka, zabije ich - najpierw mężczyznę, po prostu dla uzupełnienia zapasów energii (przebywanie poza ciałem chłopca powoduje szczególnie szybki jej ubytek), a potem ciotkę Setha. Za to, co próbowała zrobić. Jej energią oczywiście również się pożywi; będzie umierała powoli, z własnej ręki.

A chłopiec, za próbę przeciwstawienia się Takowi będzie za karę musiał się temu przyglądać.

Mimo wszystko Tak szanuje Setha; to przeciwnik na poziomie (zresztą jakże mogłoby być inaczej, skoro potrafił utrzymać w swym wnętrzu jego, Taka). Od wczoraj, od pojawienia się tego menela, rozgrywali nerwową partię pokera, zupełnie jak Laura i Jeb Murdock w "Regulatorach". Teraz stawki są już na stole i wszystkie karty - z wyjątkiem ostatniej - wyłożone obrazkami na wierzch. Kiedy każdy z nich odwróci swoją, Tak wygra, jest tego pewien. Oczywiście, że wygra. Jego przeciwnik to w końcu tylko dziecko, niezależnie od tego, jak bystry ma intelekt. A pod koniec to dziecko trochę za bardzo uwierzyło w swoje możliwości, co może się okazać bardzo dla niego niezdrowe. Stwór wiedział, że Seth zamierza wypędzić go na jakiś czas ze swego ciała, i choć metoda, jaką dla tego celu zastosował, okazała się niespodzianką (bardzo nie miłą zresztą), chłopiec nie miał pojęcia, iż Tak wie aż tyle.

A poza tym jest jeszcze coś.

Seth sądzi, że Tak nie jest w stanie wniknąć w niego z powrotem, póki dokonuje tych obrzydliwych czynności, dla których przeznaczono osobne pomieszczenie obok kuchni. Ale Seth się myli. Tak może w niego wniknąć nawet teraz. Będzie to nieprzyjemne, nawet bolesne, ale jest w stanie to uczynić. A skąd pewność, że chłopiec nie podejrzwał tego ostatniego atutu, tak jak podejrzwał wszystkie inne karty Taka pomimo nieustannych jego wysiłków, by je ukryć?

Stąd, że przywołał tu swoją ukochaną ciotunię, by mu pomogła się wydostać z domu.

Kiedy zaś ukochana ciotunia przestanie mitrzyć czas tam na ganku i wejdzie do środka, zostanie... jak by to powiedzieć...

Zostanie wyregulowana.

Wyregulowana raz na zawsze.

Na samą myśl o tym czerwone światelka zaczynają z emocji wirować szybciej.

Desperation, ulica Główna/Czas regulatorów

- Słyszysz mnie czy nie? Musimy ruszać natychmiast!

Johnny kiwa głową. Żadne z nich nie widzi Cammie Reed, przechodzącej na drugą stronę ulicy z kościółka w stylu adobe (niegdyś podmiejskiego azylu Johnny'ego) w stronę domu z obrzucanej gliną plecionki, który stoi na byłej posesji Brada i Belindy. Kobieta opuściła głowę, w ręce niesie karabin Doktora.

- Słyszę, ale to jedno pytanie muszę ci zadać, Aud.

- Jakie? - niemal krzyczy jego towarzysza. - Jakie pytanie na Boga?

- Czy on może przeskoczyć na kogoś innego? Na mnie na przykład albo na ciebie?

- Nie. - W oczach Audrey pojawia się na chwilę wyraz ulgi.

- Skąd ta pewność? Seth ci powiedział?

Przez moment Johnny sądzi, że odpowiedź może nie paść i to nie dlatego, iż ciotka Setha chce dotrzeć do chłopca, dopóki ten jeszcze siedzi na kiblu. Początkowo wydaje mu się, że jej twarz wyraża zakłopotanie, po chwili jednak widzi, że to coś poważniejszego: wstyd.

- Seth mi nic nie mówił - wyjaśnia. - Wiem to stąd, że próbował dostać się do Herba.

Żeby móc... no wiesz... mieć mnie.

- Chciał się z tobą kochać?

- Kochać? No nie, wolne żarty. - Audrey jest na krawędzi wybuchu. - Ten stwór nie ma pojęcia, co to miłość, i nic go to nie obchodzi. Chciał mnie zerznąć i tyle. A kiedy stwierdził, że nie da się użyć do tego celu Herba, zabił go. Nie wydaje mi się, żeby miał wtedy jakiś wybór. - Po jej twarzy zaczynają toczyć się łzy. - Kiedy on czegoś chce, nie rezygnuje tak łatwo, rozumiesz? Przywykł, że jego jest zawsze na wierzchu. Więc napierał wciąż od nowa. Usiłował wnikać w myśli Herba, w jego uczucia, w jego układ nerwowy. Do czego to doprowadziło?... No, wyobraź sobie na przykład, co by się stało z butem Ralphiego Carvera, gdybyś go próbował włożyć na swoją nogę. Rozciągałbyś go i naciągał, nie zważając na ból, nie zważając na to, co się dzieje z butem, w obsesyjnym dążeniu do włożenia go i chodzenia w nim...

- No dobra - przerywa jej Marinville. Patrzy w dół wzgórza, jakby się spodziewał ujrzeć za chwilę powracające furgonetki, ale niczego tam nie ma. W górze ulicy też jest pusto; Cammie zasłonięta jest bowiem przechylnym niebezpiecznie frontonem Hotelu Poganiaczy. Gdyby najpierw spojrzal w tę stronę, sprawy mogłyby się ułożyć dla nich wszystkich zupełnie inaczej. - Rozumiem, co chcesz powiedzieć.

- To możemy już wejść? Czy ty w ogóle masz zamiar tam wchodzić? A może strach cię obleciał?

- Nie obleciał - odpowiada z westchnieniem pisarz.

Drzwi budynku zaopatrzone są w staroświecką, żelazną klamkę, kiedy jednak chce za nią złapać, jego palce przechodzą przez nią na wylot. Poniżej pojawia się, jakby wypływała na powierzchnię z głębi mętnej wody, zwykła galka, jakich wiele w podmiejskich domkach. Gdy Johnny ją chwytą, formują się wokół niej typowe drzwi takiego domku. Ich obraz nakłada się najpierw na deski i żelazne okucia, a potem je zastępuje. Galka daje się przekręcić i otwiera się wejście do wnętrza, w którym unosi się zastarzały odór brudnej bielizny. Widok, jaki ukazuje się pisarzowi w świetle księżyca, przywodzi mu na myśl historie, które opisują czasem gazety - o starzejących się, samotnych milionerach, spędzających ostatnie lata swego życia w towarzystwie stad psów i kotów, w jednym

pokoju zawalonym stosami książek i gazet, gdzie wstrzykują sobie co dzień demerol i żywią się jedzeniem z puszek.

- Pospiesz się - popędza go Audrey. - Powinien być w toalecie. Obok kuchni.

Bierze go za rękę i prowadzi, idąc przodem, do salonu. Nie ma tu wprawdzie stosów książek i gazet, ale poczucie osamotnienia i obłędu raczej się potęguje, niż zmniejsza. Podłoga lepi się od resztek jedzenia i porozlewanych napojów gazowanych, czuć kwaśną woń skisłego mleka. Ściany pokrywają nagryzmołone kredkami rysunki, przerażające w swej fascynacji rozlewem krwi i śmiercią. Przypominają mu niedawno przeczytany horror pod tytułem "Krwawy południk".

Po lewej coś przemknęło. Marinville odwraca się w tę stronę, serce bije mu coraz szybciej, adrenalina przenika do krwi, lecz nie ma tam ani kowboi z dubeltówkami, ani złowrogich kosmitów, ani czającego się z nożem w ręku dziecka. To tylko migotanie refleksów światła. Chyba z telewizora, tak mu się zdaje, choć nie słycać dźwięku.

- Nie - szepcze Audrey. - Tam nie wchodzi.

Prowadzi go do drzwi na wprost. Jasny prostokąt światła pada z nich na zaśmiecony jedzeniem dywan. W pozostałej części byłej ulicy Topolowej nie wynaleziono jeszcze być może elektryczności, ale tutaj prądu nie brakuje.

Johnny słyszy teraz pochrząkiwania przeplatane stęknieniami. Brzmia po ludzku - przypominają chrapanie, smarkanie, kichanie i gwizdanie - i ich pochodzenie nie ulega wątpliwości. Ktoś siedzi w toalecie. W zero-zero, jak się mówiło w dzieciństwie.

Przypomina mu się wierszyk z pierwszej klasy: "Mama daje mi parówki, a ja wolę chrupać krówki". Oho - myśli Johnny - pasuje jak ulał do "małego Kubusia, co gryzie cycusia".

Wchodząc do kuchni i rozglądając się po niej, zastanawia się, czy przypadkiem dobrzy ludzie z ulicy Topolowej nie zasłużyli sobie na to, co ich spotyka. Audrey żyła z tym wszystkim Bóg wie jak długo - myśli - a myśmy nic nie zauważyli. Jesteśmy jej sąsiadami, posłaliśmy kwiaty, kiedy jej mąż polknął lufę pistoletu, większość z nas poszła na

pogrzeb (on był wtedy w Kalifornii, miał wykład na zjeździe bibliotekarzy dziecięcych) i dalej nic nie wiedzieliśmy.

Blat kuchenny zavalony jest słoikami, pustymi opakowaniami, brudnymi szklankami i puszkami po napojach. Część z tych ostatnich zmieniła się w gniazda mrówek. Stoi tu również plastikowy dzbanek z resztkami "leczniczego" mleka czekoladowego, a obok niego leży nie dojedzona kanapka Taka z parówką i serem. Zlew jest pełen brudnych naczyń. Obok suszarki leży plastikowa butelka z płynem do zmywania, kupiona pewnie jeszcze za życia Herba Wylera. Pod jej wylotem widać dawno zakrzepłą kałużę zielonego detergentu. Również na stole stoją stosy brudnych talerzy, a między nimi walają się dwie butelki keczupu (jedna prawie pusta, druga prawie pełna), rozsypana bułka tarta (w niej kaseta Van Halena), bita śmietana w sprayu, plastikowa butelka musztardy, pudełka po pizzy pełne zeschłych brzegów, papier śniadaniowy, folia do pakowania i torebka po chrupkach naciągnięta na pustą butelkę po pepsi jak cudaczna prezerwatywa. Wszędzie walają się sterty komiksów. Te, które widać na wierzchu, to bez wyjątku zeszyty "MotoGlin 2200" Marvela. Jedna z okładek, przysypana płatkami śniadaniowymi Sugar Pops, ukazuje Cassie Styles i Tropicielea Węży stojących po pas w bagnie i strzelających z paralizatorów do hrabiny Lili Marsh, która atakuje ich na czymś w rodzaju odrzutowego skutera. "Eksplozja w krainie Bayou!" - krzyczy tytuł komiksu. W odległym kącie pomieszczenia zalega stos mocno wypchanych worków na śmieci; są nie zawiązane i wyciekają z nich brudne zlewki rojące się od mrówek. Ze wszystkich puszek spogląda uśmiechnięta twarz Chefa Boyardee. Kuchenka zastawiona jest garnkami z zaschniętym sosem pomidorowym. Na lodówce, jako wieńczący to dziwne dzieło akcent, stoi stara plastikowa statuetka Roya Rogersa siedzącego na wiernym Triggerze. Johnny nawet nie musi pytać; wie, że był to na pewno prezent dla Setha od jego wujka, rzecz pamiętająca młodość Herba Wylera, wygrzebana pieczołowicie z zakurzonego kartonu na strychu.

Obok lodówki znajdują się drzwi, na wóól otwarte i rzucające smugę światła na uświnione linoleum. Są otwarte pod takim kątem, że Johnny jest w stanie odczytać wiszącą na nich tabliczkę:

PRACOWNIKOM NAKAZUJE SIĘ (A INTERESANTOM ZALECA) UMYCIE
RĄK PO SKORZYSTANIU Z TOALETY.

- Seth! - woła Audrey teatralnym szeptem, puszczając dłoń pisarza i ruszając ku drzwiom łazienki.

Marinville idzie w jej ślady.

Za ich plecami, spod arkady prowadzącej do nory, wypływa smuga tańczących czerwonych światełek; suną w stronę kuchni, migocąc w ciemnym salonie niczym szczątki meteorytu. W tej samej chwili przez drzwi frontowe wkrada się do wnętrza domu Cammie Reed. Karabin trzyma teraz w obu rękach i rozgląda się w półmroku salonu. Wsuwa palec wskazujący prawej ręki pod osłonę spustu i opiera go na języczku spustowym. Waha się przez moment, niepewna, dokąd iść dalej. Jej wzrok przyciąga poświata telewizora z nory, słuch - poruszający się po kuchni ludzie. Głos w jej głowie domagający się odwetu za Jimmy'ego zamilkł już i teraz nie ma jej kto prowadzić. Oczy Cammie rejestrują czerwone rozbłyski, lecz jej umysł nie przetwarza tej informacji, całkowicie skoncentrowany na jednej kwestii: dokąd teraz? Marinville i Wyler są w kuchni, to pewne, ale czy ten szczeniak morderca jest z nimi? Rzuca znów niepewne spojrzenie w stronę nory. Dźwięk wyłączony, ale może autystyczne dzieci oglądają telewizję bez fonii?

Problem w tym, że musi mieć pewność. W magazynku pozostało pewnie tylko kilka naboii... zresztą i tak nie dadzą jej pociągnąć za spust więcej niż raz, może dwa. Dobrze by było, żeby ten głos wrócił i powiedział jej, co teraz zrobić.

I głos wraca.

Cynthia, stojąca po drugiej stronie ulicy na betonowym chodniczku przed domem Carverów, szeroko otwartymi oczami obserwuje, jak Cammie Reed zniką za drzwiami Wylerów. Nim jest w stanie cokolwiek powiedzieć, Steve daje jej ostrą sójkę w bok. Dziewczyna patrzy na niego: długowłosa przykłada palec do ust. W drugiej ręce ma nóż zabrany z kuchennego stojaka.

- Chodź - mówi półgłosem.

- Chyba nie masz zamiaru tego używać, co?

- Liczę na to, że nie będę musiał. Idziesz?

Cynthia kiwa głową i rusza za nim. Gdy schodzą z krawężnika, by znaleźć się na Dzikim Zachodzie w wersji Taka, z wnętrza domu Audrey rozlegają się bezładne krzyki. "Zostaw go!", słyszy Cynthia - czy coś w tym rodzaju - a potem kolejne wrzaski, których nie jest w stanie rozszyfrować. Najwięcej chyba krzyczy ta pani Wyler, może tylko ona, ale nie, słychać też Cammie Reed ("Połóż to!" - wrzasnęła właśnie?), a ten chrypiący ryk to pewnie Marinville. Potem dobiega stamtąd odgłos dwóch wystrzałów i krzyk, Cynthia nie wie, agonii czy przerażenia. I chyba nie chce wiedzieć.

Niemniej jednak resztę drogi przez ulicę Główną miasteczka Desperation pokonują ze Steve'em biegiem.

Miejsce/Czas Setha

Teraz. To właśnie ten moment.

Seth odwraca się od półeczki z telefonem. Po drugiej stronie tunelu wbudowana jest niewielka deska rozdzielcza, bardzo podobna do tych, które mają po stronie pilota Wozy Mocy. Sterczy z niej rząd siedmiu przełączników, wszystkie ustawione do góry, do pozycji oznaczonej "ON". Nad każdym z nich pali się zielone światelko kontrolne. Kiedy Seth dotarł do końca tunelu, tablicy rozdzielczej tu jeszcze nie było, tylko zdjęcia -

obu jego rodzin i pana Symesa - oraz telefon. Ale to przecież jego własne miejsce i czas, tak jak w przypadku kieszeni w szortach, może dokładać tu, co zechce, kiedy zechce.

Seth sięga do tablicy trzęsącą się nieco ręką. Bohaterowie filmów i kreskówek nigdy nie odczuwają strachu, a kiedy Tatko Cartwright musi ratować Ponderosę, wie dokładnie, co trzeba zrobić. Lucas McCain, Rowdy Yates czy szeryf Streeter nie wahają się nigdy. Ale Seth się waha. Potężnie się waha. Boi się, żeby w tym ostatnim stadium gry nie popełnić nieodwracalnego błędu. Teraz wciąż jeszcze wie, co się dzieje na górze ("na górze", czyli w świecie Taka; w ten sposób teraz o nim myśli), jeżeli jednak przestawi te wyłączniki...

Nie ma czasu na dalsze dywagacje. Audrey już weszła do toalety. Podbiega do siedzącego na sedesie małego chłopca. Ten chłopiec, z wiszącymi na jednej brudnej stopie majtkami, jest - przynajmniej w tej chwili - jedynie woskową kukłą wyposażoną w działające płuca i serce, ludzką maszyną, opuszczoną przez oba zamieszkujące ją duchy. Ciotka przykłęka przed nim i bierze go w ramiona. Pokrywa jego twarz pocałunkami, niepomna niczego - ani miejsca, ani sytuacji, w jakiej się znajdują, ani stojącego w drzwiach Marinville'a.

Seth wyczuwa strumień czerwonych plamek - którym jest teraz Tak - przelatujący przez kuchnię niczym rój nieziemskich pszczoł. I wie, że to musi być teraz; teraz albo nigdy. Jego ręka sięga do przełączników i zaczyna je przestawiać w dół, do pozycji oznaczonej "OFF". Zielone lampki kontrolne gasną; zamiast nich zapalają się czerwone. Po każdym pstryknięciu przełącznikiem jego świadomość tego, co się dzieje na górze, stopniowo się zaciera. Seth nie wyłącza do końca zmysłów woskowej lalki, którą jego ciotka okrywa pocałunkami, nie jest pewien, czy byłby w stanie to uczynić - ale może odciąć ich kontakt ze światem... i odcina.

Wreszcie nie zostaje już nic poza jego własnym umysłem. I to mu musi wystarczyć. Ręką, przytrzymującą przełączniki, by się znów nie przestawiły w górne położenie, Seth sięga w ciemność modląc się, żeby odnaleźć w niej ciotkę Audrey.

Dom Wylerów/Czas regulatorów

W tej samej sekundzie, gdy Audrey podnosi chłopca z sedesu i zamyka w ramionach, coś śmiga obok głowy Johnny'ego Marinville'a, coś zarazem palącego jak płomień i mroźnego jak lodowiec. Głowę wypełnia mu wir jaskrawych czerwonych światełek, przywodzących na myśl neon nad barem z muzyką country. Kiedy jasność widzenia wraca, wraz z nią wraca mu również umiejętność postrzegania wszystkiego i szeregowania zjawisk, nawet tych nie następujących po sobie. Jak gdyby to coś, co go minęło, zaaplikowało mu po drodze rodzaj elektrowstrząsu. I jeszcze splukalo jego myśli jakimś ohydny szlamem. Audrey wstała już, trzymając Setha w objęciach (majtki zsunęły mu się ze stopy i chłopiec jest całkiem nagi). Johnny widzi, jak świetlny wir krąży teraz zawzięcie wokół głowy chłopca, podobny do aureoli otaczającej głowę Dzieciątka Jezus na starych obrazach. Następnie osiada niczym rój termitów, pokrywa jego policzki, uszy i mokre od potu włosy. Wciska mu się do zmatowiałych oczu i zabarwia szkarłatem zęby.

- Nie! - krzyczy Audrey. - Zostaw go! Zostaw go w spokoju, ty obrzydliwy skurwysynu!

Rzuca się ku drzwiom łazienki, niosąc chłopca w ramionach. Głowa Setha wydaje się płonąć. Johnny wyciąga rękę... Do niej? Do Setha? Do obojga? Nie wie, lecz nie ma to znaczenia, gdyż ona wpada z wrzaskiem do pograżonej w śmieciach kuchni. Jej ręka prześlizguje się raz za razem przez środek czerwonego roju w daremnym wysiłku odpędzenia tańczących światełek od głowy dziecka. Gdy Audrey z Sethem mijają go w drzwiach, mózg Johnny'ego wypełnia się potwornym buczeniem. Pisarz z krzykiem zasłania uszy dłońmi. Trwa to tylko chwilę, ale ta chwila wydaje mu się wiecznością. Jak ten dzieciak może w ogóle jeszcze funkcjonować z takim dźwiękiem w głowie? - zastanawia się Johnny. - Jak, na Boga żywego, cokolwiek może w tych warunkach funkcjonować?

- Zostaw go! - wrzeszczy Audrey. - Puszczaj go, skurwielu jeden, PUSZCZAJ!

W tym momencie w drzwiach kuchni staje Cammie Reed. W rękach trzyma karabin.

Miejsce/Czas Taka

Kiedy stwór wraca w pobliże Setha i odkrywa, iż wszystkie dotąd używane przez niego wejścia są zapieczętowane, jego zabarwiony pobłażaniem szacunek dla zdolności chłopca załamuje się. Po raz pierwszy od chwili, gdy wyczuł, jaki to niezwykle umysł przemieszcza się niedaleko od jego siedziby, i zaczął go wzywać ze wszystkich sił do siebie. W miejsce pobłażania pojawia się świadomość faktu; za nią postępuje gniew. Wygląda na to, że się pomylił. Seth wiedział przez cały czas, że Tak może w niego wniknąć, kiedy zechce, nawet podczas wypróżniania. Wiedział i skutecznie ukrył tę wiedzę, jak sprytny gracz ukrywa w rękawie dodatkowego asa. Nawet to jednak nie ma w sumie znaczenia; wejdzie tam tak czy inaczej. Chłopiec nie będzie w stanie go powstrzymać. Nie będzie żadnego oblężenia: Seth Garin jest teraz jego domem, więc nie może mu zabronić w sobie mieszkać.

Gdy kobieta mija pisarza i przechodzi z Sethem do kuchni, Tak atakuje jego oczy, otwory wejściowe najbliższe tego cudownego mózgu. Napiera na nie jak krzepki policjant na drzwi przytrzymywane przez wątłego człowieka. Przez chwilę nic się nie dzieje i stwór wpada w zupełnie nietypową dla siebie panikę - czuje się tak, jakby popychał kamienny mur. Po chwili jednak głazy zaczynają mięknąć i poddawać się. Jego chłodny umysł przepelnia poczucie triumfu.

Wkrótce... jeszcze sekunda... najwyżej dwie...

Miejsce/Czas Setha

Dwa przełączniki pod jego ręką poruszają się. Mimo zdwojonego wysiłku, z jakim ściąga je w dół, czuje, że napierają na jego dłoń jak żywe istoty. Lampki wciąż świecą na czerwono, ale zaraz przestaną. Co do jednego Tak ma rację: choć nadal są równymi sobie przeciwnikami, jeśli chodzi o intelekt, Seth nie jest już w stanie stawić czoła nagiej fizycznej sile Taka. Kiedyś był. Na samym początku. Ale teraz już nie. Chociaż jeśli się nie pomylił, to i tak nie ma znaczenia. Jeśli się nie pomylił i będzie miał trochę szczęścia. Zerka tęsknie na telefonik - zwany przez ciotkę Audrey takofonem - mimo że urządzenie jest właściwie zupełnie zbędne; stanowiło zawsze jedynie symbol, konkret ułatwiający przepływ myśli pomiędzy nimi, tak jak przełączniki i lampki ułatwiają mu koncentrację woli. Zresztą to w ogóle nie chodzi o telepatię. Gdyby to tylko telepatia łączyła Seta z ciotką Audrey, cały wysiłek byłby daremny. Przełączniki pod jego dłonią, ożywione prymitywną wolą Taka, jego prymitywną siłą, napierają uparcie ku górze. Czerwone światełka pod nimi na chwilę gasną i zapalają się zielone powyżej. Seth zaczyna czuć w głowie okropne, mechaniczne buczenie, które chce zagłuszyć jego myśli. Jego wewnętrzny wzrok zasnuwa się na moment purpurowym światłem, pełnym wirujących i migocących iskier.

Seth z całej siły ściąga przełączniki w dół. Zielone lampki gasną. Wracają czerwone. Przynajmniej na razie.

Teraz. To właśnie ten moment; pozostała zakryta już tylko jedna karta i Seth Garin ją teraz odkrywa.

Dom Wylerów/Czas Johnny'ego

Przypomina to w pewnym sensie kolejny atak ogniowy regulatorów, tyle że tym razem zamiast kul powietrze tną myśli. Czyż zresztą od samego początku nie były to jedynie myśli?

Pierwsza z nich trafia Cammie Reed, stojącą w drzwiach z karabinem w rękach:

Teraz! Zrób to teraz!

Druga dociera do Audrey Wyler, która odskakuje jak oparzona i przestaje nagle odganiać czerwone widmo otaczające głowę Seta:

Teraz, ciociu Audrey! To właśnie ten moment!

I ostatnia, która rozlega się także w głowie Johnny'ego z nieludzkim rykiem, zagłuszającym wszystko inne:

NIE, TY MAŁY SKURWIELU! NIE MOŻESZ!

Nie - myśli Johnny - on nie może. Nigdy nie mógł. Następnie podnosi wzrok na twarz Cammie Reed. Widzi jej wychodzące z orbit oczy, jej usta rozciągnięte w straszliwym, martwym uśmiechu.

Ale ona może.

Miejsce/Czas Taka

Po okrzyku kobiety z karabinem stworzyć ma nie więcej niż trzy sekundy, by zdać sobie sprawę, że został pokonany. I w jaki sposób. Na tę krótką chwilę ogarnia go niedowierzanie: jak się to mogło stać, po tylu tysiącletniach spędzonych w ciemnym zamknięciu na rozmyślaniach i planowaniu? A potem, dokładnie w momencie, gdy zaczyna doń docierać, że we wnętrzu ciała, do którego usiłuje się dostać, Seta już tak naprawdę nie ma - kobieta z karabinem otwiera ogień.

Dom Wylerów/Czas Johnny'ego

Cammie nie jest już pewna, czy kieruje nią własna wolna wola, ale to i tak bez znaczenia; gdyby kierowała, zrobiłaby dokładnie to samo. Ta Wyler tuli szczeniaka-potwora w ramionach jak jakiegoś przerośniętego noworodka, który zamiast krwią i wodami umazany jest gównem. Trzyma go przed sobą niczym tarczę. Cammie aż chce się śmiać. - Postaw go! - krzyczy do Audrey, ta jednak podnosi chłopca jeszcze wyżej, jakby przez przekorę.

Wciąż szczerząc zęby w złowieszczym uśmiechu, z oczami wypadającymi już niemal z oczodołów (Johnny będzie potem przekonywał sam siebie, że to było złudzenie optyczne, o tak, z pewnością), Cammie wycelowuje karabin w dziecko.

- Nie, Cammie, nie rób tego! - krzyczy Johnny.

A ona strzela. Pierwszy strzał trafia ośmioletniego Seta Garina, który wciąż trzęsie się bezradnie od biegunki, w skroń i odrywa górną połowę jego czaszki. Twarz jego ciotki - dziwnie teraz złagodniała - obryzgują kawałki skalpu, włosy i krew. Pocisk przeszywa mózg Seta na wylot i wbija się w lewą pierś Audrey. Nie powoduje już jednak dalszych zniszczeń, gdyż jego energia tu się wyczerpuje. Dokonuje tego następna kula. Audrey, którą impet pierwszej rzucił do tyłu, zostaje teraz ugodzona w krtań. Potrąca pośladkiem kuchenny stół i stosy brudnych naczyń roztrzaskują się na podłodze.

Odwraca się do Johnny'ego, nie wypuszczając pokrwawionego dziecka z objęć, a pisarz spostrzega rzecz zadziwiającą: ona wygląda na szczęśliwą. Na widok padającej Audrey z ust Cammie wyrywa się krzyk, nie wiadomo: triumfu czy przerażenia tym, co uczyniła. Audrey udaje się utrzymać Seta w ramionach do ostatniej chwili jej życia. Gdy pada na ziemię, od tego, co zostało z głowy chłopca, odrywa się, jak czepek, ruchliwy czerwony opar, który zaczyna wirować w powietrzu nad brudnym linoleum. Świeące szkarłatem punkciki okrążają się wzajemnie na podobieństwo elektronów.

Poprzez tę czerwień Johnny i Cammie wpatrują się sobie w oczy. Pisarz nie wie, jak długo to trwa - oboje jakby skamienieli - gdy rozlega się czyjś wrzask:

- O gównu! O cholera! Czemuś to zrobiła, ty durna suko?! - Marinville widzi, jak z ciemnego salonu wychodzą Steve i Cynthia i stają tuż przed Cammie. Cynthia doskakuje do niej, potrząsa za ramiona. - Szmata! Głupia pizda! Morderczyni! Myślisz, że to ci zwróci dzieciaka? Czy ty, kurwa, w ogóle masz mózg?

Cammie zdaje się tego nie słyszeć. Wpatruje się w czerwony wir nieruchomymi oczyma, jak zahipnotyzowana... a to coś wpatruje się w nią. Johnny nie wie skąd, ale wie to na pewno. I wtem istota sunie w jej stronę jak kometa... albo czerwona Strzała Szlaku podczas szturmu Wozów Mocy.

Kiedy pytał Audrey, czy Tak może przeskoczyć na kogoś innego, odparła, że nie, była tego pewna. A co, jeśli się myliła? Jeżeli Tak ją oszukał? Może...

- Uważaj! - woła do Cynthii. - Odsuń się od niej!

Dwubarwna dziewczyna spogląda na niego ponad ramieniem Cammie nic nie rozumiejącymi oczyma. Steve też nie wygląda tak, jakby rozumiał, lecz reaguje odruchowo na panikę w głosie Johnny'ego i szarpie Cynthię do tyłu.

Rój czerwonych iskerek rozdziela się na dwoje. Zewnętrzna forma Taka przywodzi Johnny'emu na myśl widelce, na których opiekali sobie z chłopakami jabłka, siedząc wokół ogniska z wyrzuconych na brzeg desek w Savin Rock. Tylko że zęby tego widelca zagłębiają się tym razem wprost w wybałuszone oczy Cammie.

Jej gałki oczne rozjarzają się czerwienią, uwypuklają jeszcze bardziej i w końcu eksplodują. Upiorny uśmiech rozciąga usta Cammie tak mocno, że pękają jej wargi i po brodzie zaczyna ściekać krew. Bezokie monstrum zatacza się w przód, wypuszcza karabin i wyciąga przed siebie ręce. Dłonie chwytają na ślepo powietrze. Johnny jeszcze nigdy w życiu nie widział istoty zarazem tak słabej i tak drapieżnej.

- Tak - oznajmia stwór gardłowym głosem w niczym nie kojarzącym się z Cammie. - Tak ah wan! Tak ah lah! Mi him en tow! - Następuje przerwa, po czym bezoka istota wypowiada głosem jeszcze bardziej zgrzytliwym i nieludzkim zdanie, które, Johnny jest

tego pewien, będzie doń wracać w sennych koszmarach: - Wiem o was wszystko. Znajdę was wszędzie. Nie uciekniecie. Tak! Mi him, en tow!

Teraz głowa potwora, to, co zostało z głowy Cammie, zaczyna nabrzmiwać, aż przypomina kapelusz monstrualnego grzyba. Johnny słyszy odgłos jakby rozdieranego papieru i dociera do niego, że to rozrywają się resztki okrywającej czaszkę skóry.

Zalepione skrzepami oczodoły rozciągają się w wąskie szparki; puchnąca czaszka wyciąga nos w ryj o długich, romboidalnych nozdrzach.

Audrey miała jednak rację - myśli Johnny. - Tylko Seth był w stanie go utrzymać w sobie. Albo ktoś do niego podobny. Ktoś bardzo szczególny. Dlatego że...

Jak gdyby dla podkreślenia wagi tej konstatacji w możliwie najbardziej spektakularny sposób głowa Cammie Reed eksploduje. Jej gorące cząstki, pulsujące jeszcze życiem, zbryzgują twarz pisarza.

Marinville, z krzykiem odrazy bliskiej obłędowi, usuwa to świństwo z twarzy, usiłując kciukami oczyścić oczy. Z oddali, jak w słuchawce telefonu, którą ktoś po drugiej stronie odłożył na chwilę, docierają do niego wrzaski Cynthii i Steve'a. Pomieszczenie zalewa oślepiające światło, tak nagle, szokujące jak niespodziewane uderzenie w twarz. W pierwszej chwili Johnny sądzi, że to jakiś wybuch - koniec z nimi wszystkimi. Stopniowo jednak jego oczy (nadal piekące od soli i pełne krwi Cammie) przyzwyczajają się, więc widzi, że to nie wybuch, tylko światło dnia. Silne, nieco zamglone światło letniego popołudnia. Gdzieś od wschodu dobiega go ochrypły odgłos grzmotu, zupełnie niegroźny. Burza się skończyła; podpaliwszy dom Hobartów (to przynajmniej jest pewne, bo nadal czuć spaleniznę), ruszyła w dalszą drogę, psuć życie komuś innemu. Rozlega się także inny dźwięk, ten którego wcześniej tak niecierpliwie - i daremnie - wyczekiwali: chóralne wycie syren. Policyjnych, strażackich, pogotowia, może nawet Gwardii Narodowej, cholera wie. Ale co tam. Odgłos syren w tej chwili go zupełnie nie interesuje. Burza się skończyła.

I chyba - sądzi Johnny - skończył się też czas regulatorów.

Pisarz siada ciężko na kuchennym taborecie i patrzy na ciała Audrey i Seta. Przywodzą mu na myśl bezsensowne śmierci członków sekty Jonesa w Gujanie. Ręce kobiety wciąż obejmują chłopca. Jego ręce zaś - biedne, chude ramionka, nie zadrapane nigdy podczas zabawy w berka albo w chowanego z rówieśnikami - otaczają jej szyję.

Johnny Marinville wyciera śliskimi dłońmi krew, odłamki kości i skrawki mózgu z twarzy i zaczyna płakać.

Z dziennika Audrey Wyler:

31 października 1995

Wróciłam do dziennika. Nie sądziłam, że jeszcze wrócę i pewnie nie będzie to na taką skalę jak przedtem, ale takie pisanie naprawdę przynosi ulgę.

Dziś rano przyszedł do mnie Seth i udało mu się zapytać, trochę słowami, trochę pomrukami, czy może pójść zbierać fanty na Halloween jak inne dzieci z sąsiedztwa. Nie było śladu Taka, a kiedy on jest tylko Sethem, po prostu nie jestem w stanie mu odmówić. Nietrudno przypomnieć sobie, że to nie Seth odpowiada za wszystko, co się stało. Pamiętam o tym bez problemu i dlatego to jest jeszcze straszniejsze. Dlatego dobre wyjście z sytuacji nie istnieje. Nie przypuszczam, żeby ktokolwiek zrozumiał, co mam na myśli. Nie wiem, czy ja sama siebie rozumiem. Ale tak to czuję. I to jak mocno, o Boże. Więc powiedziałam mu: "Dobra, pójde z tobą na fanty, zabawimy się". I powiedziałam, że mogłabym mu zrobić kowbojskie przebranie, ale jeżeli woli się przebrać za MotoGlinę, będziemy musieli pójść do sklepu i kupić gotowy strój.

Zaczął kręcić głową, jeszcze nim skończyłam; kręcił w tę i z powrotem jak najęty. Nie chciał być przebrany ani za MotoGlinę, ani za kowboja. Coś było aż przerażającego w tym jego kręceniu. Zdaje się, że chyba już mu się znudzili kowboje i kosmiczni policjanci. Ciekawe, czy ten drugi o tym wie?

No więc zapytałam, za co chce się przebrać, skoro nie za kowboja ani Tropiciele Węzy, ani Majora Pike'a. Zaczął wymachiwać ręką i skakać po pokoju. Po chwili takiej pantomimy zrozumiałam, że to ma być walka na szpady.

"Za pirata?" - zapytałam i w tym momencie ten słodki uśmiech Setha Garina rozjaśnił całą jego twarz.

"Pata, pata! - powtarzał, a potem przyłożył się bardziej i wymówił prawidłowo: - Pirata!". Znalazłam starą jedwabną chustkę i zawiązałam mu na głowie, a do ucha przyczepiłam klips w kształcie złotego kółka. Wygrzebałam też starą piżamę Herba i zrobiłam pantalonki - zawiązałam je na dole bandażem elastycznym i bardzo ładnie się wydymały. Namalowałam brodę tuszem do rzęs, a bliznę na policzku konturówką, pożyczyłam stary plastikowy miecz od Cammie Reed (pamiątka z dzieciństwa jej chłopców). Seth wyglądał odłotowo. Kiedy wyszliśmy koło czwartej, żeby "zaliczyć" cały nasz kwartał Topolowej i dwa Hiacyntowej, niczym się nie różnił od reszty krasnali, czarownic, piratów i jaskiniowców z okolicy. Jak wróciliśmy, wysypał wszystkie zdobyte cukierki na podłogę w salonie (przez cały dzień nie wszedł na telewizję do nory ani razu, Tak chyba spał czy co, marzy mi się, żeby zdechl, gnój jeden, ale to niestety tylko marzenia) i cieszył się, jakby to naprawdę były pirackie skarby. Potem mnie przytulił i pocałował w szyję. Taki był szczęśliwy.

Pierdol się Tak! Pierdol się i mam nadzieję, że zdechniesz, skurwysynu.

16 marca 1996

Przez ostatni tydzień był horror, absolutny horror. Tak rządzi wszystkim, jak chce, i paraduje po mieszkaniu krokiem marszowym. Wszędzie pełno naczyń, szklanek z

zaschniętym mlekiem, w domu kompletny burdel. Mrówki! Boże, mrówki w środku marca! Jakby jacyś lunatycy tu mieszkali, zresztą niezbyt to dalekie od prawdy.

Sutki mnie aż pała, bo on mi się ciągle każe szczypać. Oczywiście wiem czemu: bo nie może robić tego, co by chciał, ze swoją wersją Cassandra Styles. Karmię to obrzydlistwo, kupuję nowe odcinki "MotoGlin" (oczywiście komiksy też i jeszcze muszę mu je czytać, bo Seth przecież nie umie), ale do tych innych celów się nie nadaje.

Staralam się spędzać jak najwięcej czasu z Jan.

No i dzisiaj, kiedy próbowałam trochę posprzątać (najczęściej mam tak wszystkiego dość albo jestem tak wykończona, że nawet nie próbuję), zbilam ulubiony porcelanowy talerz mojej mamy, ten z malowaną scenką kuligu. To nie miało nic wspólnego z Takim; wzięłam go z kominka w jadalni, gdzie zawsze stoi, chciałam trochę odkurzyć, ale po prostu wyśliznął mi się z tych durnych paluchów i roztrzaskał o podłogę. Myślałam, że mi serce pęknie razem z tym talerzem. Oczywiście nie chodziło o talerz, chociaż tak bardzo go lubiłam. Ale nagle poczułam, że na tej podłodze w jadalni leży nie talerz z porcelany, tylko moje rozpieprzone życie. Tania symbolika. Peter Jackson z naprzeciwna pewnie by powiedział: "taniocha i sentymentalizm". Chyba to prawda, ale jak człowiek cierpi, to rzadko bywa oryginalny.

Przyniosłam z kuchni worek na śmieci i zaczęłam zbierać te kawałki. Cały czas płakałam. Nawet nie słyszałam, jak wyłączyli telewizor - Tak-Seth urządził sobie całodniowy festiwal "MotoGlin" - i nagle zobaczyłam cień, a kiedy podniosłam głowę, on już nade mną stał.

W pierwszej chwili myślałam, że to Tak - Setha przez większą część tego tygodnia nie było albo ledwie się pokazywał - ale potem przyjrzałam się jego oczom. Obaj używają oczywiście tych samych i można by pomyśleć, że oczy nie mogą się zmieniać, ale te się zmieniają. Oczy Setha są jaśniejsze i oddają taką gamę uczuć, że Tak nie jest w stanie tego naśladować.

"Zbiłam talerz po mamie - powiedziałam do niego. - To była moja jedyna pamiątka po niej. Po prostu wypadł mi z ręki".

Poczułam się w tym momencie jeszcze gorzej. Objęłam kolana, schowałam w nich głowę i beczałam. Seth podszedł, objął mnie za szyję, przytulił. Gdy to zrobił, stało się coś cudownego. Nie potrafię tego wyjaśnić dokładnie, ale zrobiło mi się tak dobrze, że w porównaniu z tym wizyty u Jan na Mohonk wydają się czymś pospolitym. Takowi sprawia przyjemność, kiedy jest mi źle. Potrafi sprawić, że czuję się strasznie - jakby cały świat był kulą blocka, w której roją się robaki takie jak ja. On zlizuje ze mnie te złe emocje, jak dziecko liże lizaka. Wiem, że to robi.

A tu było odwrotnie... i nie tylko. Przestały mi lecieć łzy, a smutek zamienił się w poczucie takiej radości... może nie ekstazę, ale prawie. Czulałam spokój i optymizm, wszystko naraz; jakby sprawy nie mogły się ułożyć inaczej niż dobrze. Jakby wszystko już było dobrze, tylko ja nie potrafiłam tego dostrzec w swoim zwykłym stanie ducha. Czulałam się napelniona tym, jak człowiek głodny czuje się napelniony dobrym jedzeniem. Byłam odnowiona.

Seth tego dokonał. Zrobił to, gdy mnie przytulał. Dokładnie w taki sam sposób, jak przypuszczam (a właściwie wiem), w jaki Tak powoduje, że jest mi smutno i źle. Jak rozbitkowi. Tak to sobie nazwałam, bo - kiedy mu się zachce - sprawia, że się czuję odizolowana jak rozbitek na bezludnej wyspie. Ale jest w stanie robić to tylko dlatego, bo czerpie moc z Seta. I przypuszczam, iż gdy Seth ukoił tego dnia mój smutek, był w stanie to zrobić, ponieważ czerpał energię z Taka. Jestem przekonana, że Tak o tym nie wiedział, bo go zmusił, żeby przestał.

Wynika z tego coś, co mi nigdy dotąd nie przyszło do głowy. Być może Seth jest silniejszy, niż się Takowi zdaje.

Dużo silniejszy.

ROZDZIAŁ 13

1

Johnny nie miał pojęcia, jak długo siedział na kuchennym taborecie z opuszczoną głową - lkał tak, że aż wstrząsały nim dreszcze, a łzy ciekły z oczu ciurkiem - gdy poczuł na karku dotyk ciepłej dłoni, a podniósłszy wzrok, ujrzał dziewczynę ze sklepu, tę o zwariowanych włosach. Steve'a już przy niej nie było. Johnny wyjrzał przez frontowe okno - siedział pod takim kątem, że mógł to zrobić, nie ruszając się z miejsca - i zobaczył, że hipis stoi na zapuszczonym trawniku Wylerów, patrząc na ulicę. Niektóre z wjeżdżających na Topolową pojazdów wylączyły w momencie zatrzymania się syreny, inne wyły dalej niczym stado Indian.

- Już w porządku, panie Marinville?

- Aha. - Chciał jeszcze coś dodać, ale zamiast słów wydobył z siebie tylko zdławiony szloch. Otarł nos wierzchem dłoni i wysilił się na uśmiech. - Ty jesteś Cynthia, tak?

- Mhm, Cynthia.

- A ja Johnny. Mów mi po prostu Johnny.

- Jasne. - Popatrzyła na splecione na ziemi ciało. Głowa Audrey odrzucona była do tyłu; oczy miała zamknięte, a twarz tak spokojną i gładką, jak maska pośmiertna. Chłopiec w

swej kruchej nagości wyglądał jak niemowlę. Zmarłe w połogu. - Spójrz na nich - powiedziała cicho. - Jak on ją obejmuje. Musiał ją bardzo kochać.

- On ją zabił - odparł głucho Johnny.

- To niemożliwe! - Na twarzy Cynthii pojawił się szok.

Marinville rozumiał ją doskonale, nie zmieniało to jednak faktów, które znał.

- A jednak. Napuścił na nią Cammie.

- Napuścił? Co to znaczy: napuścił?

Pisarz skinął głową, jakby dziewczyna już się z nim zgodziła.

- Zrobił coś takiego jak dowódcy w Wietnamie, którzy nakierowywali ogień artylerii na wioski w dżungli. Właściwie to napuścił ją na nich oboje. Słyszałem to. - Postukał palcem w skroń.

- Chcesz powiedzieć, że Seth kazał Cammie zabić Audrey i siebie?

Skinął głową.

- Może ten drugi. To pewnie jego słyszałeś... tego stwora.

- Nie, nie - pokręcił głową Johnny. - To był Seth, a nie Tak. Poznałem go po głosie. - Zamilkł i spojrzal na martwego chłopca, a potem znów na Cynthię. - Seth zawsze mówił przez nos. W mojej głowie też.

2

Steve zauważył, że domy wróciły do swej pierwotnej postaci, co nie znaczyło, że wróciły do normalnego wyglądu; widać było, że oberwało im się jak wszyscy diabli. Tyle że dom Hobartów przestał już płonąć. Ulewa zdużyła ogień i snuł się tam tylko posępny opar, jak nad wulkanem po wybuchu. Za to bungalow starego weterynarza ogarnięty był pożarem. Z okien budynku wyskakiwały języki ognia, zostawiając na okapach zwęglone smugi i

bąble oblażonej farby. Dom Petera i Mary Jacksonów stojący pomiędzy tymi dwoma kanonada zamieniła w kompletną ruinę.

Na ulicy stały już dwa wozy strażackie, nadjeżdżały następne. Węże leżały splątane na trawnikach jak tłuste beżowe pytony. Były też auta policyjne. Trzy parkowały przed posesją Entragiana, gdzie ciało gazeciarza (i psa Hannibala, nie zapominajmy o nim) wciąż leżało przykryte folią, na której zebrały się jeziora deszczowej wody. Koguty policyjne obracały się, błyskając czerwono. W górze ulicy stały dwa kolejne wozy, blokując całkowicie wjazd z Niedźwiedziej.

Nic wam to nie pomoże, jeżeli oni wrócą - pomyślał Steve. - Jak regulatorzy wrócą, to cała ta wasza blokada, chłopcy, polecą na Antarktydę albo i dalej.

Ale nie wrócą. Świadczyło o tym słońce, świadczył oddalający się pomruk burzy.

Wszystko wydarzyło się naprawdę - wystarczyło Steve'owi popatrzeć na płonące, zburzone domy, żeby być tego pewnym - ale wydarzyło się w jakiejś niesamowitej przetoce czasowej, której istnienia ci gliniarze nigdy nie odkryją i chyba odkryć nie chcieli. Spojrzał na zegarek. Wcale go nie zdziwiło, że znów chodzi. Była siedemnasta osiemnaście i Steve pomyślał, że jego timex nigdy jeszcze nie pokazywał prawdziwego czasu tak dokładnie.

Przyjrzał się znów policjantom. Niektórzy wyciągnęli broń, inni nie. Żaden z nich nie miał pojęcia, jak się zachować. Steve ich rozumiał. Mieli w końcu przed sobą istną strzelnicę, a nikt z sąsiednich przecznic nie słyszał choćby pojedynczego wystrzału. Pioruny, to tak, ale strzały, i to brzmiące jak z moździerza? Skądże.

Spostrzegli go i jeden z nich skinął ręką, by podszedł. Jednocześnie dwóch innych pokazywało, żeby natychmiast wrócił do domu Wylerów. Wyglądali jak stado ogłupiałych amatorów, lecz Steve nie miał im tego za złe. Widzieli przecież, że coś się tu wydarzyło, ale co?

Trochę czasu minie, chłopaki, zanim do czegoś dojdziecie - pomyślał. - Ale w końcu wykombinujecie coś, z czym da się żyć. Zawsze tak robicie. Czy to jest rozbity latający

spodek pod Rockwell w Nowym Meksyku, czy opuszczony statek na środku Atlantyku, czy ulica na przedmieściu w Ohio zamieniona w strzelnicę, zawsze coś wymyślicie. Nigdy nikogo nie złapiecie, koledzy, założę się o całe swoje mniej niż marne oszczędności. I nie uwierzycie w ani jedno słowo z tego, co wam powiemy (zresztą im mniej będziemy mówić, tym mniej będziemy mieli kłopotów), ale w końcu znajdziecie sobie coś, co wam pozwoli pochować pistolety... i spać spokojnym snem. A wiecie, co ja na to powiem?

NIE MA PROBLEMU,

ot co!

NIE MA... KURWA... PROBLEMU!

Jeden z policjantów wycelował teraz w niego megafon. Steve nie był tym zachwycony, ale uznał, że lepszy megafon niż pistolet.

- CZY JEST PAN ZAKŁADNIKIEM? - ryknął Sierżant Megafon. - CZY

PRZETRZYMUJE PAN ZAKŁADNIKÓW?

Steve roześmiał się, zwinął dłonie w trąbkę i odkrzyknął:

- Jestem Waga! Miły dla nieznajomych, uwielbia ciekawą rozmowę!

Chwila ciszy. Sierżant skonsultował się z kolegami. Sporo tam było kręcenia głowami, ale w końcu odwrócił się znów do Steve'a i podniósł tubę.

- NIE ZROZUMIELIŚMY, PROSZĘ POWTÓRZYĆ!

Steve nie powtórzył. Przepracował spory kawał życia w przemyśle rozrywkowym - w pewnym sensie - i wiedział, jak łatwo jest spalić kawał. Zjawily się następne posiłki policyjne, całe konwoje czarno-białych wozów patrolowych z pulsującymi czerwono kogutami. Kolejne wozy strażackie. Dwie karetki pogotowia. Coś przypominającego wóz pancerny. Policjanci przepuszczali na razie tylko strażaków, choć dzięki ulewie pożary nie wydawały się Steve'owi szczególnie groźne.

Po drugiej stronie ulicy wyszli z domu Carverów Dave Reed i Susi Geller, obejmując się ramionami. Przystąpili ostrożnie zwłoki dziewczyny na ganku, a potem wyszli na chodnik. Za nimi pojawili się Brad i Belinda. Prowadzili dzieci Carverów i starali się

zasłonić przed ich wzrokiem leżącego nadal na podjeździe martwego ojca. Potem ukazał się Tom Billingsley. W sękatych dłoniach trzymał coś wyglądającego na lniany obrus. Przykrył nim zwłoki dziewczyny, nie zwróciwszy uwagi na wołającego do niego z oddali człowieka z megafonem.

- Gdzie moja mama? - krzyknął do Steve'a Dave. W jego oczach widać było zarazem podniecenie i znużenie. - Co się stało z moją mamą?

A Steve Ames, człowiek, którego życiowa dewiza brzmiała:

NULLO IMPEDIMENTUM,

nie miał zielonego pojęcia, co na to odpowiedzieć.

3

Johnny wszedł do salonu; poruszał się na palcach, usiłując uniknąć na ile się da nadeptnięcia na efekty działalności Cammie Reed. Kiedy pokonał tę przeszkodę, ruszył do wyjścia szybciej i bardziej stanowczym krokiem. Opanował już łkanie, przynajmniej na razie, i czuł, że to dobrze, choć nie wiedział dlaczego. Spojrzał na kominkowy zegar. Wskazywał siedemnastą dwadzieścia jeden; chyba prawidłowo.

Cynthia chwyciła go za ramię. Odwrócił się do niej lekko zniecierpliwiony. Przez frontowe okno widać było resztę ocalonych z ulicy Topolowej, zbitych w stadko na środku jezdni. Jak na razie ignorowali wezwania policjantów niepewnych, czy lepiej podejść do nich, czy nie zmieniać pozycji. Johnny chciał dołączyć do sąsiadów, zanim gliniarze zdążą się zdecydować.

- Nie ma go? - zapytała dziewczyna. - To czerwone... ten Tak, czy jak mu tam... zniknęło?

Johnny spojrział w stronę kuchni. Poczul przy tym ból niemal fizyczny, ale przemógł się. Czerwieni było tam pod dostatkami - pokrywała ściany, sufit zresztą też - lecz nie było śladu tego świeżącego, żarzącego się iskierkami stwora, który usiłował znaleźć sobie

bezpieczną przystań w głowie Cammie Reed, gdy jego pierwotny gospodarz poniósł śmierć.

- Czy on się zabił, kiedy ona umarła? - Dziewczyna spoglądała na niego błagalnym wzrokiem. - Powiedz, że tak, co? Zrób mi dobrze i powiedz, że tak.

- Na pewno tak - odparł Maruwille. - Gdyby się nie zabił, przypuszczam, że w tej chwili dobierałby się do kogoś z nas.

- Aha. To brzmi sensownie. - Cynthia wydała westchnienie ulgi.

Brzmiało sensownie, lecz Johnny w to nie wierzył. Ani przez moment. "Wiem o was wszystko - powiedział Tak. - Znajdę was wszędzie. Nie uciekniecie". Może i znajdzie. I może tym razem czeka go walka nieco ostrzejsza, niż się spodziewa. Niech spróbuje. W każdym razie nie ma sensu martwić się tym w tej chwili.

Tak ah wan! Tak ah lah! Mi him en tow!

- Co jest? - spytała Cynthia. - Co się stało?

- To znaczy?

- No, trzęsiesz się.

- Chyba śmierć mnie przeleciała - zaśmiał się Johnny. Zdjął dłoń dziewczyny ze swego ramienia i splótł jej palce ze swoimi. - Chodź. Zobaczymy, co tam u nich.

4

Dochodzili już do grupki sąsiadów na ulicy, gdy Cynthia nagle się zatrzymała.

- O Boże - powiedziała cichym, zamierającym głosem. - O Boże, popatrz tylko.

Johnny odwrócił się. Burza już przeszła dalej, lecz na zachodzie widniał jeszcze wał ciężkich chmur, wiszący gdzieś nad śródmieściem Columbus. Łączyła go z ziemią mgławicowa pępowina deszczu, chmury zaś przybrały kształt olbrzymiego kowboja, galopującego na wierzchowcu o barwach burzy. Groteskowo wydłużony pysk konia

wskazywał na wschód, ku Wielkim Jeziorom; jego ogon rozwiewał się w stronę prerii i pustkowi. Kowboj trzymał kapelusz, jakby machał nim na wiwat, a gdy Johnny patrzył na to osłupiał, z otwartymi ustami, z głowy jeźdźca wystrzeliły błyskawice.

- Jeździec widmo - rzekł Brad. - Ale jaja. Pieprzony jeździec widmo na niebie. Bee, ty to widzisz?

Cynthia jęknęła, zakrywając usta dłonią. Spoglądała na postać z chmur wytrzeszczonymi oczyma, kręcąc głową w daremnym geście niezgody. Teraz już wszyscy spoglądali na niebo - nie strażacy i nie gliniarze, którzy przełamują wkrótce niezdecydowanie, po czym podejda tu, by się przyłączyć do sąsiedzkiej imprezy, lecz ocalały z najazdu regulatorów luddek z ulicy Topolowej.

Steve ujął Cynthię za szczupłe ramiona i odciągnął ją łagodnie od Johnny'ego.

- Przestań - poprosił. - On jest niegroźny. To tylko chmura, nic nam nie może zrobić. Już odchodzi, widzisz?

Była to prawda. Bok niebieskiego konia rwał się już i rozpływał, przepuszczając gdzieś przymglone promienie słońca. Znowu nastalo zwykle, letnie popołudnie, sama kalenica lata, całego w arbusach, lodach na patyku i kiksach na końcu baseballowego kija.

Steve spojrział w dół ulicy i zobaczył, że jeden z wozów policyjnych zaczyna bardzo wolniutko toczyć się w ich stronę, przejeżdżając po drodze przez płataninę strażackich węży.

- Hej - zwrócił się do Johnny'ego.

- Hej, co?

- Czy on popełnił samobójstwo? Ten dzieciak?

- Nie wiem, jak to nazwać inaczej - rzekł pisarz.

Rozumiał jednak, dlaczego tamten o to pyta. Jakoś nie czuło się tego jako samobójstwa. Wóz policyjny zatrzymał się. Wysiadł z niego mężczyzna w mundurze khaki obwieszonym mniej więcej toną złotych galonów. Jego bardzo niebieskie oczy niemal

ginęły w skomplikowanej sieci zmarszczek. W rękę trzymał sporych rozmiarów pistolet. Wyglądał jak ktoś Johnny'emu znany i po chwili pisarz uświadomił sobie kto: Charles Bronson, który z równym wdziękiem i talentem grywał świętoszkowatych policjantów (posiadających zwykle piękne córki) jak i demonicznych bandytów.

- Czy ktoś mnie może poinformować, co się tutaj, na rany Chrystusa, stało? - zapytał mężczyzna.

Nikt nie odpowiadał. Po chwili Johnny Marinville zorientował się, że wszyscy patrzą na niego. Postąpił więc krok do przodu, przeczytał nazwisko z plakietki przyklejonej do kieszeni odprasowanego munduru i powiedział:

- To banici, kapitanie Richardson.

- Słucham?

- Banici. Regulatorzy. Renegaci z pustkowi.

- Przyjacielu, jeśli pan sądzi, że to zabawne...

- Nie sądzę, kapitanie. Naprawdę. A jak pan zajrzy tam, zrobi się panu całkiem nie do śmiechu.

Pisarz pokazał na dom Wylerów, a kiedy to czynił, przypomniała mu się nagle gitara i poczuł się jak spragniony, zmęczony upałem człowiek na myśl o łyku mrożonej herbaty. Jak by to było przyjemnie - pomyślał - usiąść sobie na ganku i brzdąkając na gitarze, zaśpiewać "Balladę o Jesse'em Jamesie" w D. Słowa tam szły tak: "Po Jesse'em żona została, co go opłakiwała, i dzieci dzielnych trójka też". Podejrzewał, że jego stara gibsonka może być podziurawiona - domowi bowiem nieźle się oberwało (wyglądał właściwie tak, jakby został przesunięty w stosunku do fundamentów) - lecz z drugiej strony, kto wie, może właśnie ocalała. W końcu parę osób też wyszło z tego bez szwanku.

Marinville ruszył w stronę domu, słysząc już w głowie płynącą mu z ust i spod palców piosenkę: "Robercie Ford, Robercie Ford, jak ty się musisz czuć? Bo w łóżku Jesse'ego spałeś, chlebem się częstowałeś, a potem Jesse'ego Jamesa do grobu wpakowałeś..."

- Hej! - zawołał za nim wojowniczo gliniarz o rysach Charlesa Bronsona - a gdzież to się pan wybiera, do ciężkiej cholery?

- Zaśpiewać piosenkę o dobrych i złych - odparł Johnny, przystając na chwilę.

A potem opuścił nisko głowę, aż poczuł na karku gorący powiew słonecznego lata. I poszedł dalej.

List Patricii Allen do Katherine Anne Goodlove z Montpelier w stanie Vermont:

19 czerwca 1986 r.

Droga Kati.

To najpiękniejsze miejsce na świecie, jestem tego pewna. A nasz miesiąc miodowy to było dziewięć najwspanialszych dni mojego życia. A noce... Wychowywano mnie w przeświadczeniu, że o pewnych rzeczach się nie rozmawia. Powiem Ci więc tylko tyle, że cały ten lęk, iż odkładanie "tego" na po ślubie okaże się błędem nie do naprawienia, był zupełnie nieuzasadniony. Czułam się jak dziecko w fabryce słodczy!

Ale dość o tym; nie piszę po to, żeby Ci opowiadać o życiu erotycznym świeżo poślubionej pani Allen (nawet takim super) ani też o tym, jak pięknie jest w górach Catskills. Piszę, bo Tom jest chwilowo na dole, gra w bilard, a wiem, jak uwielbiasz "historie nie z tej ziemi". Szczególnie takie ze starym hotelem; jesteś chyba jedyną znaną mi osobą, która zaczytała nie jeden egzemplarz "Lśnienia" Stephena Kinga, ale dwa! Gdyby to jednak było wszystko, to pewnie po prostu bym poczekała, aż wrócimy, i opowiedziała Ci tę historię osobiście. Jednak może się okazać, że z tej "opowieści z zaświatów" będę miała pewne pamiątki i dlatego podkusiło mnie, żeby chwycić za pióro w ten piękny, księżycowy wieczór.

Ten górski hotel otwarto w 1869 roku, więc można go z pewnością nazwać starym i choć nie przypuszczam, by przypominał Overlook Kinga, dziwnych zakamarków i tajemniczych korytarzyków również mu nie brakuje. Istnieje też pewna liczba związanych z nim opowieści o duchach. Ale ta, o której piszę, stanowi swego rodzaju osobliwość gatunku - nie występuje w niej dama z przełomu stuleci ani samobójca z czasów wielkiego kryzysu. Z tego, co udało mi się ustalić, a ustaliłam całkiem sporo, te dwa duchy - tak jest, dwa w cenie jednego! - nawiedzają aktywnie to miejsce dopiero od jakichś czterech lat. Obsługa chętnie pomaga gościom, którzy mają ochotę przy okazji "zapolować na duchy"; to dodaje hotelowi nastrojowości, jak sądzę!

Ale do rzeczy. Po tutejszej okolicy rozsiana jest chyba z setka takich dziwnych małych budowli, które turyści nazywają czasem "świątyniami dumania" albo "altankami", a foldery o Mohonk "glorietami". Stoją wszędzie tam, gdzie są najwyborniejsze widoki. Jedna z nich znajduje się na północnym krańcu długiej górskiej hali, jakieś pięć kilometrów od samego schroniska. Na mapie ta hala nie jest opisana (sprawdziłam nawet dziś rano na planie działek u geodety), ale obsługa hotelu wymyśliła dla niej nazwę: "Łąka Matki i Syna".

Duchy kobiety i dziecka, od których wzięła się ta nazwa, turyści zauważyli po raz pierwszy latem osiemdziesiątego drugiego roku. Ukazują się zawsze w tej samej altance, tej która stoi na wierzchołku wzgórza i ma widok na skalną ścianę w dole zarośniętą w dużej części kapryfolium i dziką różą. Nie jest to może najwspanialsze miejsce w całym uzdrowisku, ale myślę, że gdy za parę lat będę wspominać ten miesiąc miodowy, może się okazać moim ulubionym. Panuje tam spokój i łagodność, których nie da się opisać. Częściowo sprawia to chyba zapach kwiatów, częściowo brzęczenie pszczoł - takie ciągle, senne bzzz. Ale co tam kwiaty, pszczoły i malownicze skały; jak znam moją Kath, nie możesz się doczekać duchów. To nie są z pewnością upiory, na to nie masz co liczyć, ale za to są dobrze udokumentowane. Adrian Givens, recepcjonista, powiedział mi, że odkad zaczęły się ukazywać, widziało je ponad trzydzieści osób. I to dokładnie w tej samej

okolicy. Ludzie ci nie znali się nawzajem, więc niemożliwe, żeby się zmówili, a mimo to ich opisy są niesłychanie do siebie zbliżone. Kobieta ma zawsze koło trzydziestki, długie ładne nogi i kasztanowe włosy. Jej syn (część świadków podkreślała fizyczne podobieństwo tych dwojga) jest drobny, bardzo szczupły, ma około sześciu lat i brązowe włosy, tak jak ona. Jego twarz opisywano jako "inteligentną", "żywą", nawet "piękną". Choć widzieli ich najróżniejsi ludzie w ciągu kilku lat, zawsze opisuje się ich w tych samych ubraniach: ona ma na sobie niebieskie sportowe szorty z białymi lamówkami, bluzkę bez rękawów i zwykle tenisówki; on - spodenki do koszykówki, koszulkę i kowbojskie buciki. Najwięcej mi dały do myślenia te buty, Kath! Gdyby ci wszyscy ludzie zmyślali, to jak to możliwe, żeby każdy z nich ubrał dzieciaka tak samo nietypowo - w krótkie spodenki i kowbojskie buty? Obrona nie ma więcej pytań.

Niektórzy wysnuli teorię, że to są prawdziwi ludzie, być może nawet pracownica hotelu z dzieckiem, ponieważ pozostawiają zbyt wiele fizycznych dowodów swej obecności jak na duchy (po których, jak doskonale wiesz, może zostać najwyżej prąd zimnego powietrza albo odrobina ektoplazmy). W tej altance na wzgórzu znaleziono najróżniejsze po nich pamiątki. Wiesz, co było najbardziej niesamowite? Talerzyki z niedojedzonym spaghetti z sosem Chef Boyardee. Tak jest! Wiem, że to idiotyczne, ale przestań się na chwilę śmiać i pomyśl. Co oprócz hot dogów dzieci lubią najbardziej na świecie, jeśli nie spaghetti z sosem?

Znaleziono tam jeszcze inne rzeczy - zabawki, kolorowankę, małe srebrne puzderko do makijażu, które spokojnie mogło należeć do ładnej mamy chłopca - ale przyznam, że najbardziej przemawiają do mnie te talerzyki po spaghetti. Kto słyszał o duchach jedzących makaron? I to z puszek? A co powiesz na to: jesienią osiemdziesiątego czwartego grupa turystów znalazła w altance dziecinny plastikowy gramofonik, z płytą na czterdzieści pięć obrotów, singlem "Strawberry Fields" Beatlesów (pamiętasz słowa? - "i wszystko jest snem..."). Pasuje?

Mój przyjaciel z recepcji, Adrian, tylko się uśmiecha i kiwa głową, kiedy mu zasugerować, że to wszystko jest zaaranżowane, że duchy nie zostawiają po sobie prawdziwych przedmiotów (nie depczą trawy, nie robią w altance śladów butami). "Zwykle duchy nie - mówi - ale może te nasze nie są zwykłe. Po pierwsze, każdy, kto je widział, twierdzi, że są cielesne. Nie da się popatrzeć poprzez nie, jak w »Pogromcach duchów«. A może to nie są duchy, nie pomyślała pani o tym? Może to są prawdziwi ludzie, którzy tylko żyją w trochę przesuniętej rzeczywistości w stosunku do naszej?" Zdaje się, że nie trzeba się nawet wspinać na górę, żeby mieć paranormalne doświadczenia; wystarczy trochę popracować w samym hotelu.

Adrian powiedział, że ludzie, którzy uważają, iż cała rzecz jest mistyfikacją, przynajmniej trzy razy podejmowali poważne wysiłki, żeby pochwycić tę kobietę z dzieckiem, i nic im z tego nie wyszło (choć wrócili kiedyś z jeszcze jednym talerzykiem po spaghetti).

Powiedział też - i to mi się wydaje dużo ciekawsze - że te zjawy pokazują się w altance i okolicy od czterech lat. Skoro to są prawdziwi ludzie, to jakim cudem chłopiec nadal wygląda na sześciolatka?

No dobra, teraz doszliśmy do tego miejsca, w którym powinnam oznajmić, że ja sama też widziałam te duchy albo przynajmniej Jeźdźca bez Głowy. Ale nie widziałam. Nie widziałam ducha nigdy w życiu i teraz też nie. Ale mogę zaświadczyć, że ta łąka to jednak niezwykle miejsce, takie wyciszone i - ani mi się waży śmiać - prawie jakby święte. Duchów nie widziałam, ale czuje się tam z pewnością jakąś obecność. Poszłam tam bez Toma i zgodzę się, że mogłam być przez to bardziej podatna na sugestię, ale tak czy inaczej wiedziałam i wiem, że byłam w miejscu naprawdę niezwykłym. A na karku czułam takie mrowienie - wyjątkowo wyraźne - jakby mnie ktoś cały czas obserwował.

A potem, kiedy weszłam do samej altanki, żeby chwilę odpocząć przed drogą powrotną, znalazłam te rzeczy, które załączam do listu. Są jak najbardziej prawdziwe, jak widzisz, wcale nie upiorne, a jednak mają w sobie coś niezwykłego, nie sądzisz?

Figurka kobiety w szortach jest z tych dwóch rzeczy bardziej interesująca. Jest to najwyraźniej coś, co dzieci nazywają "ruchomą figurką" - z filmu albo komiksu - ale jak pracuję w przedszkolu trzy lata, takiej jeszcze nie widziałam. W pierwszej chwili myślałam, że to Scarlett z ekipy "G. I. Joe", lecz ta ma włosy o całkiem innym odcieniu. Bardziej rude. Dzieci zwykle bardzo hołubią takie zabawki, walczą o nie, a ta leżała w kącie, jakby ją ktoś wyrzucił. Przechowaj ją dla mnie, Kath, na jesieni pokażę ją moim pięciolatkom... tylko założę się już teraz, że żaden nie będzie jej znał, a wszyscy będą chcieli ją mieć! Pamiętam, co powiedział Adrian, że duchy z Łąki Matki i Syna mogą żyć w lekko przesuniętej rzeczywistości, może na planie astralnym, może na doczesnym - i czasami (właściwie często) kombinuję sobie, że ta figurka Rudowłosej pochodzi być może z tego innego planu! Czy na samą myśl o tym nie dostajesz gęsiej skórki? Bo ja tak! Dobrze już, dobrze, to tylko za oknem zerwał się silny wiatr i świece migocą. Niech i tak będzie, jeśli chcesz.

Jest jeszcze ten obrazek. Ty jesteś magister sztuki, kochana, więc powiedz mi, co o tym myślisz. Czy to jakaś sztuczka - albo numer wykrecony przez miejscowe dzieciaki zabawiające się kosztem turystów - czy znalazłam rysunek wykonany przez ducha? Ale pomysł, he?

No i to już cała "niesamowita historia" na dziś. Kupię zaraz w kiosku na dole miękką kopertę (taką z bąbelkami powietrza), zapakuję to wszystko, a potem spróbuję namówić Toma, żeby zostawił już ten bilard w pokoju gier i przyszedł do łóżka. Szczerze mówiąc, przypuszczam, że nie będzie z tym problemu.

Uwielbiam być mężatką, uwielbiam to miejsce i duchy, i w ogóle wszystko.

Wciąż twoja

Pat

PS Rysunek też dla mnie przechowaj, dobrze? Chcę go zatrzymać. Podrabiany czy nie, myślę, że jest w nim sporo miłości. I takiego poczucia, jakby się wracało z dalekiej podróży do domu. P.

1 Kasztan jest godłem stanu Ohio

2 Spike Lee - murzyński reżyser filmów cechujących się szczególną brutalnością (Mo Better Blues, Malcolm X)

3 S. King parafrazuje fragment "Pieśni miłosnej Alfreda Profrocka" T. S. Eliota oraz cytuje "Wydrążonych ludzi" tegoż autora (przekł. Cz. Miłosz)

4 W amerykańskim przemyśle filmowym pseudonim przybierany zwyczajowo przez scenarzystów, gdy nie chcą ujawniać prawdziwego nazwiska

5 Boot Hill: obiegowa nazwa cmentarzy (szczególnie dla rewolwerowców) na Dzikim Zachodzie

6 Linia Mason-Dixon: granica pomiędzy Pensylwanią a Marylandem, przed likwidacją niewolnictwa (1865) uważana powszechnie za oddzielającą stany wolne od niewolniczych.

7 Biegacz stepowy (tumbleweed) - roślina z terenów półpustynnych Azji i Ameryki; jej górna, rozgałęziona część odrywa się jesienią od podłoża i toczy się pędzona wiatrem, rozsiewając w ten sposób nasiona. W USA zwana także rosyjskim ostem.

8 Biblia Tysiąclecia, 1982

9 O. K. Corral: zagroda w miasteczku Tombstone (Arizona), w której 26.10.1881 roku odbyła się najsłynniejsza rozprawa rewolwerowa w dziejach Dzikiego Zachodu, z udziałem m. in. Wyatta Earpa i "Doca" Holidaya. W ciągu trzydziestu sekund oddano trzydzieści cztery strzały, z dziewięciu uczestników zginęło na miejscu trzech.

10 Jedna z pierwszych ról Clinta Eastwooda

11 Max Fleischer (1888-1972) - jeden z pionierów filmu animowanego. Popularność przyniósł mu cykl kreskówek z marynarzem Popeye'em. (Popeye the Sailor, 1933-1942).